





# VETO!

POWIEŚĆ

PRZEZ

ADAMA KRECHOWIECKIEGO.

---

TOM III.

Wydanie drugie niezmienione.



KRAKÓW.

NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.

WARSZAWA.

PETERSBURG.

GEBETHNER I WOLFF.

} KSIĘGARNIA BR. RYMOWICZ.

1893.









# VETO!

POWIEŚĆ

W DZIE

ADAMA KŁEPIKOWSKIEGO.

TOM III.

Wydanie drugie, poprawione.



KRAKÓW.

WYDAŁ D. GIEGOTTA I SPOŁECZ.

WAKSŁAWA.

WIEDEŃSKA.

WYDAWCA: J. WIELKI.

WYDAWCA: D. GIEGOTTA.

1866.

Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem Jana Gadowskiego.



## XI.

W noc letnią, pogodną, gwiazdzistą, woda dniewprowa rozlewająca się szerokim korytem pod Czerkasami, wydawała się zdala srebrzystą wstęgą wielką, połyskującą w xieżycowym blasku. Płynęła rączo wśród łąk bagnistych, rozpryskując się białą pianą na kamieniach i porohach, lub z szumem opływając dokoła liczne w tem miejscu ostrowy. Z pól i łąk mokrych podnosiły się ku niebu mgły białe i jak dym rozpływały w powietrzu. Dokoła cisza.... to jest ludzkich głosów ani krzyków słychać nie było, — lecz za to inna mowa, harmonijna i dźwięczna, przejmująca i uroczysta a z milionów złożona głosów, napelniała przestrzeń całą.... Lasy wtórowały szumem swym rzece; na ostrowach kołysały się drzew konary, strącając suche lub zwiędłe liście, które spadały ze szmerem na bagnistą ziemię lub na fale rzeki; z moczar podnosił się cały chór głosów rozlicznych, którym odpowiadał krzykiem ptak nagle

obudzony, z łoskotem trzepocąc skrzydłami. Z futorów, wsi dalekich i Czerkas sąsiednich, dochodziło psów ujadanie a czasem wycie przeciągłe, żałośnie.

Teraz gdy ludzie spali, kiedy ich widać nie było, przyroda cała zdawała się wolniej, swobodniej oddychać, zdawała się własnem niekrępowaniem cieszyć się życiem, własną dla siebie jeno chęć się pięknoscią. Nigdy z wieczora blaski xieżyca nie łamały się w tak różnorodne kształty i cienie wśród jarów, wysoczyzn i uroczysk, nigdy rzeka nie szemrała tak głośno i swobodnie, lasy nie szumiały tak donośnie, nigdy mowa łąk, moczarów i stepów dalekich, nie była tak dźwięczną, jak w tej nocnej porze, kiedy już oko ludzkie tych czarów nie widziało, ani ucho słyszeć ich nie mogło. Wybiegały teraz z ukrycia rozmaite małe zwierzątka, krety, susły i płazy różne lub wylatywały ptaki nocne kąpać się w xieżycowych promieniach i bujać swobodnie bez lęku....

Aż nagle rozpierzchło się i ucichło wszystko.... jeno rzeka płynęła zawsze szumiąc jednako i wiatr lekki poruszał gałęziami drzew na ostrowach i gnał przed sobą mgły białe.... Zdala dały się słyszeć kroki zbliżających się ludzi i echo rozmowy głośnej.

Brzegiem Dniepru szło dwóch ludzi zwolna, zatrzymując się co moment. Byli na małym wzgórku, z którego jak na dłoni widać było Czerkasy, a po za tem miastem dalsze slobody i sioła.... Domy w mieście liche, drewniane, pięły się pod górę i ciągnęły jednym szeregiem aż do błonia dniewowego, otaczając w około ostróg, czyli zamek królewski. Ostróg duży, oszańcowany, na niewielkim stojący wzgórku, z jednej strony od rzeki otoczony wałem, zarysowywał się czarną, nieforemną plamą na rozjaśnionem tle horyzontu.

Ludzie ci przystanęli i zamilkli. Starszy, lat średnich mężczyzna, wysoki, barczysty, w wielkiej czapce baraniej, miał na sobie strój dziwny, na poły tatarski, a na poły kozacki: żupan krótki z pasem skórzanym, za którym bogata rękojeść jataganu połyskiwała; u lewego boku zwisała krzywa szabla tatarska; skóra barania do góry wełną obrócona a spięta u szyi klamrą srebrną, przewieszona była przez plecy. W ręku miał rodzaj małego czekana, na którym chwilami się wspierał. Z pod czapki wymykały się włosy, długie, ciemne, w nieładzie spadając na ramiona. W tym momencie promienie księżyca rzuciły się wprost na twarz jego, oświetlając rysy grube, wielkie, wśród których szczególną

zwracały uwagę usta szerokie, mięsiste a wywrócone; wąs sumiasty spadał na dół po za krótko przystrzyżoną brodę.

Poprawił owo futro baranie na sobie, rękę lewą przyłożył do czoła, jakby się chroniąc od promieni słońca i spojrzał w dal, ku Czerkasom a potem przeszedł wzrokiem dokoła po dalszych slobodach, ostrowach dnieprowych, łąkach i moczarach. Rękę prawą z toporkiem podniósł i zatoczył wielki krąg w powietrzu.

— Patrz! — zawołał, ukazując na gwiaździste niebo — nauczył mnie jeden mnich uczony czytać w tych oczach niebieskich, które ku nam mrugają.... Tam jest napisane: Rok przyszedł: 1648, wielki rok.... krwawy rok! Wszystko to nasze! Czerkasy, Czehryn, Korsuń.... wszystko gotowe!... Ej wody wy czyste, nie tak niebawem pienie się i szumieć będziecie, gdy setki czajek puszczą się po was, jak strzały!

Wzrok mówiącego zapalił się ogniem.... Zamilkł i patrzył w przestrzeń, jakby w upojeniu; — nozdrza mu się rozdymały szeroko i otwierały usta, czerpiąc chciwie powietrze.... Wielka jego postać rosła i podnosiła się ku myślom czy marzeniom, jakie się rodziły w du-



Zapału tego snadź nie podzielał jego towarzysz, podobnie odziany, jeno miał jeszcze łuk z kołczanem na plecach. Młodszy był znacznie; twarz miał chudą, mizerną, ogorzałą od słońca; usta wąskie i zaciśnięte, oczy małe a zawsze prawie w dół spuszczone lub unikające otwartego spojrzenia, nadawały jej wyraz zawziętości i chytrości zarazem. I teraz miał głowę ku ziemi pochyloną a jeno czasem, jakby ukradkiem, spozierał na starszego kompana.

— Czy wy jeno, panie pisarzu — ozwał się po chwili — pewni jesteście?...

— Cha! cha! cha! — dziko zaśmiał się starszy. — Czym ja pewien? Nagotowałem już żytnioj sałamachy z buzynowym mołokom, na przyjęcie....

— A ataman Barabasz?... — przerwał znów młodszy.

— Już ty się nie bój ani Barabasza, ani czorta, jeno mnie słuchaj!

Zamilkł i znowu spojrzał dokoła.

— A przecie! — zawołał nagle, jakby sam do siebie — skończy się raz to udawanie nikczemne! Pierś wolniej oddycha, gdy się pozbyła tego ciężaru, jakim ją przygnięciono. Po co mnie Barabaszów i komisarzy królewskich i pułkowników?... Regestra im przedstawiać? A na co mi to?... U mnie regestr go-

towy.... krzyknę: Hej mójco zaporozcy! i zlecą się jak ptaki z Niżu i ze stepów ku mnie.... Oni już wiedzą, że Chmielnicki, nie Barabasz, otumanić się nie da....

Urwał i żywo zwrócił się ku kompanowi swemu.

— A ty, Krzyczewski, czemu milczysz jak pień? — spytał, widząc, iż on z pochyłoną głową stał w ponurej pograżony zadumie.

Nazwany Krzyczewskim podniósł wzrok na Chmielnickiego i odparł:

— A co mam rzec? Straszne gotują się rzeczy, to widzę....

— I boisz się, zajęcza duszo! — krzyknął Chmielnicki.

Krzyczewski rzucił się naprzód gwałtownie, snadź go ta obelga do żywego dotknęła, ale wnet się strzymał i rzekł głosem spokojnym:

— Nie boję się, ale myślę, na jaki się to koniec obróci....

— *Respice finem!* — zaśmiał się Chmielnicki — tak mię uczyli OO. Jezuici w Jarosławiu; ano, głupiby był, ktoby patrzył na koniec, początku nie zrobiwszy.... Ale z was każdy taki.... zerwie się do czynu, a potem się zaleknie i stchórzy.... pozrywa tamy na rzece a potem pada na ziemię i czeka aż go woda zaleje i zatopi.... Ty szlachcie, Krzy-

czewski i krew szlachecka morduje cię tak srodze.... Wiem ja to, bom i ja szlachcie z rodzica, a wiele lat minęło, zanim krew matki kozacki zwalczyła ojcowską.... Ale teraz.... dusza zna jedną tylko kozaczą dumkę, pierś jedno tylko, dnieprowe powietrze!...

— Panie pisarzu — ozwał się Krzyczewski — nie lękam się ja niczego, bo zresztą, co stracić mogę? Życie, na którem mi nie zależy.... nic więcej. Jeżeli myślę a frasuję się, to jeno lękam się o was i o tych wszystkich, którzy na śmierć pewną z wami pójdą. Wiem ja, że część rejestrowych kozaków wam nieprzychylna, pójdzie za Barabaszem, a Barabasz zrobi to, co Rzplta każe.... My zaś zostaniemy sami....

— Głupi ty! — wrzasnął Chmielnicki. — A czy ty myślisz, że ja na oślep idę?... Głupi ty i wszyscy, którzy tak myślicie! A co mi rejestrowi znaczą? Pójdą oni zresztą wszyscy za mną.... jak pójdą draby i pachoty wszystkie, których starostowie na zamkach trzymają. Jak ta mleczna droga na niebie, takim szeregiem pójdą za mną, gdzie zechcę!... Czy ty myślisz, że ja taki głupi jak Pawluk, Hunia albo Ostranica? To chłopcy podłe, a mnie nie darmo popy w Kijowie, zaś Jezuici w Jarosławiu dwóch rozumów uczyli.... Mam ja przeto rozum szlachecki, aby z panami gadać i przed

Królem Jegomością pokłony bić a oracyę łacińską powiedzieć, a mam też rozum kozaczy, który gdy gęba po łacinie mówi, albo gdy kark się ugina, rozmyśla, jakby do mołojców swoim językiem krzyknąć a rozmachnąć się tak, aby od Czarnego aż po Kijów i dalej — ja był pan!

Krzyczewski słuchał mowy Chmielnickiego w milczeniu, ale snadź przekonany nie był, bo zapal słów tych nie ogarniał go całe. Korzystając z przerwy, wtrącił:

— Ja wam wszakże zawždy powtarzam, iż lepiej jest z Królem w porozumieniu iść.... Król przecie obiecuje wszystko, byleby z Tatory harc rozpocząć, a Turcyę do wojny nakłonić....

Chmielnicki zachnął się gwałtownie i ciekawem w ziemię uderzył....

— A! — zawołał — nagadali tobie już ci owacy synowie rozmaitych jak widzę bredni! Ja ci zaś powiem tak: wody dniewowej nie zawrócisz, toż nie zawrócisz już teraz i tego potoku nienawiści w duszach kozacych. Nie darmo od lat tylu igrano z ogniem. Byłeś przecie na Siczy, słyszałeś, co tam mówi starszyzna, atamani koszowi i kurenni, co mówi pospólstwo.... Odebrano im wszystko, zamieniono w chłopstwo, nad porohem dniewowym postawiono twierdzę Kudak.... Buntowali się



wprawdzie Pawluk i Sulima, Ostranica i Hunia, ale bunty te głupie były, bo nie obejmowały całości. Teraz rzecz inna: na całej tej przestrzeni, którą masz przed oczyma, urosła nienawiść ogromna przeciw Wiśniowieckim, Kalinowskim, Potockim, przeciw komisarzom i pułkownikom królewskim, przeciw podstarościm pańskim, którzy tu wichrzą jak we własnym domu. Lat dziesięć minęło, jak poskromione siłą wielką, kozactwo zasnęło.... ale teraz się zbudzi....

Krzyczewski znów błysnął okiem na Chmielnickiego.

— Trzeba na to chyba potężnego hasła — wtrącił półgłosem.

— Hasła? — powtórzył Chmielnicki — za moment ja będę mieć hasło.... tak potężne, że starcy i dzieci pójdą za niem w ogień!...

Krzyczewski głowę podniósł.

— A jakież to hasło? — zagadnął.

Bohdan zmilczał.

— Słuchaj ty — rzekł po chwili, na pytanie nie odpowiadając — czort wie, za co ja cię miłuję.... Wykupiłem cię z tatarskiej niewoli, z mizernego szlacheica zrobiłem dzielnego kozaka i wierzę ci, jakbyś synem moim był....

— I zawodu wam nie zrobię! — zawołał żywo Krzyczewski. — Życie, krew moja do was należy!

— Wierzę ci — powtórzył, przerywając Bohdan — lecz nie słów mi trzeba.... Wiem, że odwagę masz i dzielność, toż dam ci wkrótce wojsko znaczne, z którem na Litwę pójdziesz....

Krzyczewskiemu zapaliły się oczy.

— Pójdę! — zawołał — gdzie każecie, pójdę!

— Nie sztuka pójść! — przerwał znów Chmielnicki — ale trzeba zwyciężyć, nie tylko zaś zwyciężyć, lecz i samego Radziwiłła żywcem wziąć....

— Więc porozumienie z nim nie przyszło do skutku? — zagadnął znów Krzyczewski.

— Nie chcę już żadnych układów! — krzyknął Chmielnicki. — Ten xiążę Janusz jeszcze mądrzejszy od rodzica. Onby chętnie panem chciał zostać na Litwie za naszą pomocą, ale chce od nas wszystko wziąć, nam nie nie dając. Szkoda czasu na takie gadanie.... Od wielu lat wychodzą różne projekta z Birż.... ano zawsze bez skutku. Chcieliby coś zrobić a lękają się, bo czują, że w narodzie, wśród szlachty, nieznaleźliby poparcia. Szko-

da słów tracić. Chcę go tu mieć żywcem w rękę, a wtedy będę z nim gadał...

Zamilkł Chmielnicki i znów jak pierwszej podniósł rękę do czoła, przysłaniając wzrok od promieni księżycowych, a patrząc w dal z natężeniem:

— Dziwna rzecz — mruknął — że nie wraca!

— Filon Dzedżelej? — zagadnął Krzyczewski.

— A to dzielny chłop! — zawołał Bohdan, potwierdzając tym wykrzyknikiem pytanie. — Tatarska w nim dusza, mściwa i pamiętna. Przed laty Barabasza kazał go obijkami za niekarność, toż dziś w Filonie ma wroga, który służy mu wiernie jak pies, aby tem łatwiej ukąsić mógł, gdy przyjdzie czas.... Ale czemu nie wraca?....

I znowu Chmielnicki wyteżył wzrok w przestrzeń, nasłuchując pilnie....

Ale dokoła była cisza; prócz szmeru wody dniewowej i szumu lasów, nie słychać nie było. Księżyc wypłynął w całej pełni na niebo.... musiała być północ. Mgły białe coraz niżej opadały, kładąc się rosą srebrzystą na trawach i buczanach dolin.

Krzyczewski ciekawe, przenikliwe spojrzenie zwrócił na Chmielnickiego.

Między nimi od lat dawnych dziwny zawiązał się stosunek. Krzyczewski młodem jeszcze chłopięciem z niewoli tatarskiej przez Chmielnickiego wykupiony, długi czas służył pod rozkazami jego w wojsku kozackiem. Przezorny, ostrożny i chytry w działaniu, nieustraszony zaś w walce, zwrócił on na siebie uwagę Bohdana, który się nim coraz bardziej opiekować począł, dziwując się szczególnej roztropności i odwadze młodzieńca. Krzyczewski w boju zdawał się całe nie dbać o życie, rzucał się na oślep, zdumiewając i płosząc nieprzyjaciela samem zuchwalstwem natarcia. Przed walką jednak, w obmyśleniu jakiej wyprawy lub podstępu, nie było nadeń przezorniejszego i mądrzejszego doradcy. Gwałtowny Chmielnicki zżymał się częstokroć na niego, widząc, jako Krzyczewski się wahał i namyślał długo. Gdy się wszakże namyślił i zdecydował na co, wówczas można było ręczyć, iż od powziętego postanowienia nie odstąpi. Ze swej strony Krzyczewski przywiązał się do Chmielnickiego tak, że gotów był każdej chwili za niego dać życie, gdyby tego było potrzeba. Jakkolwiek na Rusi rodzinę można miał, nie wrócił już do niej, ale pozostał wśród kozactwa na Ukrainie. Zrósł się z kozactwem, jeno w duszy, może w skutek przebytej niewoli tatarskiej, a może w na-



stepstwie przewalczonej tęsknoty za rodziną i krajem, została mu zaduma wieczysta, z której otrząść się nie mógł. Zamykał się w milczeniu pośepnem, spoglądając na wszystkich i na wszystko ponuro, nieufnie, z podełba. Chmielnicki oceniał przywiązanie Krzyczewskiego, w które wierzył; przed nim nie miał myśli ukrytej, w jego obecności mówił jakby sam do siebie, najtajniejszych pragnień nie kryjąc. Nie obawiał się zdrady. Krzyczewski brał też żywy udział w zatargach Bohdana z Czaplińskim, podstarościm czechryńskim, gdy zaś ten ostatni włość Chmielnickiego, Sobotów, zabrał a nadto żonę czy też kochankę mu uwiódł, sprawę tę jego za swoją uznał i przysiągł, że go nie odstąpi w planach zemsty, jakie Bohdan układał. W układaniu tych planów Krzyczewski, jako z natury bardzo nieufny i przezorny, usiłował zawsze Chmielnickiego ku łagodniejszemu myślowi nakłonić i zrazu mógł on mieć jeszcze nadzieję, że wszystko zakończy się porozumieniem z Królem. Wiedział o tem, że Barabasz i Chmielnicki, wzywani w r. 1646 do Warszawy, otrzymali z ust Króla przyrzeczenie, jako wolności kozackie powrócone będą, widział, jako przygotowywano się na wyprawę przeciw Turcyi, widział, jako z Warszawy przybywali gońce różni z pismami Króla do

Barabasza, który mianowany był hetmanem i do Chmielnickiego, który pisarzem zaporożskim został. Układy te wszakże toczyły się leniwo; obudzone nadzieje kozaków, raz się potęgowały, to znów upadały na wieść, jako sejm zamysłów królewskich potwierdzić nie chce, na wojnę z Turcyą nie przystaje, a o powrocie wolności kozackich czynić wzmianki nie dozwala.

Rosło tedy z dniem każdym niezadowolenie na Ukrainie wśród kozactwa obróconego w pospólstwo.... Trzymali się jeno w wierności dla Rzeczypospolitej rejestrowi kozacy i ataman Barabasz.

Chmielnicki tymczasem wyparty przez Czaplińskiego ze swej slobody Sobutowa, zbiegł na Niż i zamieszkał na jednym z ostrowów dniewprowych. Krzyczewski pozostał w Chyrynii, gdzie nad częścią rejestrowych kozaków dowództwo miał, ale na ostrów do Bohdana często potajemnie zachodził. Dostrzegł on też niebawem, jako Chmielnicki, nowe jakieś a stanowcze ma plany, z którymi nawet przed nim się nie zwierza. Zwykła Krzyczewskiego przezorność snadź go już znużyła, więc nie chcąc opozycyi słuchać, milczał; czasem jeno, gdy podpiał, wpadał w wściekłość i krzyczał a przeklinał, ale z tych przekleństw żadnego wątku schwycić było nie-

podobna. Często też Bohdan, w przebraniu prostego kozaka znikał na długo; snuł się po Zaporozu, zwiedzał Sicz całą, kosze i kurenie, zawiązywał stosunki z kosзовymi i kurrennymi atamanami, z assawułami i sotnikami, zapuszczał się też wyżej, aż do Kijowa, chodził po wsiach pomiędzy chłopstwo, zwiedzał wszystkie slobody i pałanki kozackie — a z wypraw tych powracał z coraz większem ukontentowaniem.

Krzyczewskiego zaś przejmował lęk okrutny.

— Zamordują was jeszcze kiedy.... — mówił.

Chmielnicki się śmiał, a oczy mu się iskrzyły.

— Chodzę ja wprawdzie po śmierć — odpowiadał — ale nie dla siebie.... Każdy mój krok znaczony jest krwią, ale nie moją....

— Toż pozwólcie mi towarzyszyć sobie przynajmniej — prosił Krzyczewski.

— A po co? Niebezpieczeństwa żadnego niema, bo na jeden znak, nie setki, ale tysiące za mną powstaną.... Gdybyś ty miał bystre oko a dojrzał, co się na Ukrainie dzieje!... Takich Czaplińskich, jak mój, w każdym siole niemal spotkasz.... fortuny pańskie rosna; obok Wiśniowieckich, Potockich, Kalinow-

skich, inni mniejsi już są, a podstarostowie ich pracują dla nas... dla mnie!...

Od pewnego czasu przebywał Chmielnicki najczęściej na pustym ostrowie, niedaleko Czerkas; tam zbudował sobie drewniane dworzysko o dwóch izbach i z kilku wiernymi kozakami zamieszkał.

Co wszakże zamyślał, przewidzieć było trudno. Krzyczewski przeczuwał, że buntownicy, że o wielkim rokoszu myśli i bał się. Widział bowiem, że cała kozaczyzna obrócona w pospólstwo, spała na pozór w zupełnej bezczynności od lat wielu; zdawało mu się, że rejestrowcy i Barabasz w pierwszym rzędzie przeciw buntowibym się oświadczyli, zwłaszcza, że w każdym grodzie, Korsuniu, Czerkasach, Czehrynie, był starosta królewski z całą czeredą drabów i pacholów....

Takie wątpliwości i obawy przychodziły Krzyczewskiemu do głowy, lecz gdy się zwierzał z tem Chmielnickiemu, on jeno za boki się brał i śmiał się.

— Zobaczysz — mówił — będę ja miał hasło, a wonezas i czort mi nie nie poradzi....

O tem hasle wspominał często, ale co miało oznaczać, nigdy odkryć nie chciał.

Na wiosnę R. P. 1647, przybył na Ukrainę, pod pozorem zwiedzenia dóbr swoich, kanclerz koronny Jerzy Ossoliński. Bawił on

długi czas w Czerkasach, u tamtejszego starosty, Kazanowskiego, oboźnego koronnego, a konferował długo z Barabaszem i znów jakieś obietnice w imieniu królewskim czynił. Wezwano też do tej narady i Chmielnickiego, który niechętnie poszedł, bawił trzy dni w Czerkasach, a potem wróciwszy na ostrów, rzekł do Krzyczewskiego:

— Mądry to pan ten Ossoliński.... gdyby wszyscy byli tacy, możnaby z nimi gadać. Ja wiem, że Król Najjaśniejszy dobrze chce... ano, szlachta nie dopuści....

Długi czas potem Chmielnicki pogrążony był w myślach ponurych. Pił jeno dużo, a gdy mu w głowie szumiało, to się zrywał, biegał po izbie i mruczał:

— Zniszczyć Turcyę, wielkie państwo wschodnie ufundować.... ładna myśl! ale gdzie im! gdzie im! nie dopuszczają!

W tym czasie przybyli na ostrów, kędy już Chmielnicki dworzysko swoje sztańcami otoczył i obwarował — posłowie tatarscy. Bawił się z nimi Bohdan dni kilka, pił, biesiadował i zaraz potem puścił się znowu sam ku Zadnieprzu, ku Siczy.

Tam mu już całe owo Ossolińskiego poselstwo z głowy wywietrzało, bo gdy mu znać dano, jako są nowi gońce królewscy, którzy wzywają go, aby do Czerkas przybył,



Chmielnicki ruszyć się nie chciał i hardo odparł, jako na próżne gadania czasu tracić nie może.

Aż tu dnia jednego, w samym środku lata R. P. 1647, przybył na ostrów do Chmielnickiego ataman Barabasz. Był to już człek w leciech podeszłych, lecz krzepki i silny; wysokiego wzrostu, okazałej postawy. Między nim a Chmielnickim była dawniej zażyłość wielka, ale od czasu zejść z Czaplińskim, zwłaszcza zaś gdy Barabasz buntowniczych zamiarów pisarza zaporozkiego popierać nie chciał, a zawždy za sprawami Rzpltej i Króla się ujmował, Chmielnicki znienawidził atamana i wszelkiej wspólności z nim się wyrzekł.

Wszakże gdy ataman na ostrów przybył, Chmielnicki wyszedł ku niemu i powitał z attencją wielką, kazał zaś obfitą ucztę przygotować na przyjęcie i najprzedniejsze wydobyć trunki, widział bowiem, jako Barabasz pić lubi i pije wiele.

Nadspodziewanie jednak Barabasz tym razem był przezojny. Śnędź ważne miał do Chmielnickiego sprawy i chciał je jasnym umysłem wyłożyć, bo trunku zrazu unikał, był zaś zamordony i szukał widocznie okazji, aby rzecz sztucznie rozpocząć.

W większej izbie dworzyska, zastawiony był stół prosty, wielki, a na nim rozliczne

potrawy z ryb i zwierzyny, tudzież dzbany z winem i kielichy. Przy stole siedzieli jeno Barabasz z Chmielnickim, a przy drzwiach stał kozak, Filon Dzedżelej, który Barabaszowi służył. Chłop to był rosły, barczysty, o rysach bardzo wybitnych; twarz miał ciemną i włosy czarne, kędzierzawe, nos orli, twarz bardzo długą, ożywioną oczami, co się jak dwa węgle żarzące paliły. Ubrany był w krótką koszulę płócienną, pasem skórzanym przepasaną; na plecach, futrem obrócona do góry, wisiała skóra barania, siwa; z takichże baranków czapkę, zwaną birka, trzymał w jednej ręce, drugą zaś opierał na jataganie za pas zatkniętym. Od czasu do czasu spozierał on na Barabasza z widoczną pogardą i nienawiścią a chwilami patrzył na Chmielnickiego, jakby się z nim wzrokiem porozumieć pragnął i oczekiwał znaku.

Rozmowa szła leniwo; Barabasz widocznie mówić coś chciał i szukał tej rozmowy początku, Chmielnicki zaś pił sam wiele a gniewał się w duchu na dziwną trzeźwość gościa. Gdy tak siedzieli czas dłuższy naprzeciw siebie, czując obaj, że ich jakaś niewypowiedziana a ważna myśl przegradzała, pierwszy Chmielnicki milczenie przerwał i z niecierpliwością pięścią w stół uderzył.

— Nie smakuje wam moje wino, mości atamanie! — krzyknął.

Barabasz zwolna głowę podniósł i ręką siwą brodę gładził.

— Wino jest dobre.... — rzekł — i przyjęcie wspaniałe, jakiegom się na tym ostrowie nie spodziewał.

— To wam gospodarz nie w smak, że mu nie dotrzymujecie! — zawołał znów Bohdan — jam już pijan, że mi się głowa zawraca, a wy nie....

Barabasz się uśmiechnął.

— Znam ja naturę waszą.... — odparł — po pierwszym kubku głowa wam się zawraca, a po dziesiątym trzeźwieje....

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Bohdan. — Jej Bohu prawda! — Toż muszę pić, aby otrzeźwieć, lecz nie sam, jeno z wami.... Filon! — zawołał do kozaka stojącego u drzwi — powiedz-no służbie, aby dano dzban tego wina, co to jeszcze....

Strzymał się i po chwili:

— Tego co to z pod serca.... — dorzucił.

Filon wyszedł, a Barabasz zagadnął:

— A jakież to wino z pod serca?

Iskrzącym wzrokiem rzucił Chmielnicki przed siebie, zachnął się i po chwili odrzekł chmurno:

— Jeszcze po ojcu mam wino.... od Koniecpolskiego hetmana....

Filon wszedł i postawił dzban wina na stole. Chmielnicki nalał dwa kubki i swój do dna wychylił.

— Zdrowie wasze! — rzekł do Barabasza.

— Za wasze! — odrzekł ataman i wypił duszkiem. Poczem oczy podniósł do góry usta otwierał, to znów zamykał, językiem w gębie przewracał, smakując.

— Dobrze — rzekł — doskonale....

Chmielnicki stuknął w stół pięścią.

— To mało! — zawołał. — Ani krew wraża nie byłaby tak słodką.... Filon! napij się i ty....

Nalał kubek i podał kozakowi.

Filon błysnął białemi zębami w uśmiechu, który mu usta czerwone otworzył i zbliżywszy się a kłaniając kornie, wziął kubek do ręki.

— Za zdrowie Waszych Myłosty pana atamana i pana pysara! a na pohybel woroham! — zawołał. — I wypił duszkiem, ostatnie krople wina do góry wyrzucił, że się u powały rozprysły, kubek silnie na stole postawił, usta otarł rękawem i raz jeszcze się skłonił.

— Zabraliście to wino z Sobutowa? — zagadnął nagle Barabasz.

Na to pytanie krew nagle uderzyła Chmielnickiemu do głowy; poczerwieniał cały, wzrok ciskał płomienie.

— Nie wspominajcie mi tego! — krzyknął. — Bies wam podsunął tę nazwę, aby mi żaru do krwi dorzucić....

Głosem spokojnym, poważnie, Barabasz przerwał.

— Panie pisarzu, — rzekł — jam człek już stary, ojcem waszym mógłbym być.... posłuchajcie mnie cierpliwie....

— Cierpliwie! — powtórzył Bohdan — wy u mnie cierpliwości przyszłście szukać? Byłem ja długo cierpliwy, prosiłem, błagałem, kłaniałem się nisko.... a pomogło co? Taki Czapliński był lepszy odemnie i utrzymał się w bezprawiu....

W tym momencie Barabasz, znalazłszy snadź dobrą okazję do wypowiedzenia tego z czem przybył i chcąc sam na sam z Chmielnickim pozostać, skinął na Filona, który wnet zniknął.

— Na co to o tem gadać! — kończył Bohdan. — To wszystko nie przyda się na nic. Takich jak ja, pokrzywdzonych, znajdziecie tysiące. Chyba już słuchu nie macie, że nie dochodzą was skargi i jęki na Zaporozu całym. A w cóż się to wszystko obróciło? w chłopcy, w poddaństwo! Do rejestru zbie-



gają się tysiące i tysiące odchodzą z niczem bo wolno jest tylko 6000 przyjąć. A z was jaki ataman?... lepszy każdy rotmistrz albo pułkownik niż wy! lepszy każdy pachoł lub drab starościński, bo siłę ma i moc rozkazania, lepszy każdy podstarości, bo za nim stoi pan, który tu królem jest.... Popatrzcie się, ile tych królewiat dokoła nas powstało! a nie żał-że wam swobody naszej i dawnych wolności i dawnych bojów, gdy Kudaku nie było? Ścisnęli nas ze wszystkich stron a myślą też może, że już i uduszeni jesteśmy.... ale Kudak forteca mocna, jeno że rękami ludzkiemi wzniesiona, więc ją też pięścią rozwalić można!....

Barabasza nie przerywał. Słuchał cierpliwie, jakby chciał, aby Chmielnicki sam znużył się mówieniem; jakoż niebawem Bohdan zamilkł i nowe kubki wina nalał.

— Pijcie — rzekł do Barabasza — a nie gadajcie o tem, bo to się na nic nie przyda....

— Jam jeszcze nie rzekł nic — odparł stary ataman, — a jeno waszych słów słucham, chciałbym zaś, abyście i mnie pozwolili mówić....

— Mówcie! — rzekł krótko Chmielnicki. Napił się wina, nogi przed siebie wyciągnął, bokiem obrócił się do Barabasza, a oparłszy prawą rękę na stole, na niej głowę skłonił,

jakby w ten sposób do cierpliwego słuchania przygotować się chciał.

— Mówcie.... — powtórzył — słucham!

— Otóż — zaczął Barabasz — jam nie taki uczony człek jak wy, Chmielnicki, alem stary i widziałem tu nie jedno na Zaporozu i przeżyłem nie jedno. Pomnę i Kosińskiego i Nalewajkę i Łobodę i wiem, o co chodziło w tych buntach.... Wiem, na czym się skończyło.... Ty powiadasz regestr mały? Żali utrzymasz większy? żali potrafisz panować nad tem niesforem chłopstwem, które się z Niżu zbiegnie, aby rycerstwo udawać?.... Dla sześciu tysięcy rejestrowych płaciła Rzeczpospolita 60.000 złotych oprócz jurgieltów dla starszego, assawułów, pisarzów i sotników....

Chmielnicki zaśmiał się szydereco.

— Darmo nie płaciła — mruknął — za to wojsko nasze obok kwarcianego idzie na służbę, gdzie potrzeba ukaże.

— Ale zważcie, — przerwał Barabasz, — że po wojnie wojsko to wraca napowrót i że nawet w czas pokoju żołd bierze.... lepiej mu było przeto jak kwarcianemu.

Chmielnicki zachnął się gwałtownie, dźwignął i pięścią w stół uderzył.

— Komu wy to gadać przyszli! — krzyknął. Żali ja nie wiem jak było i jest?.... A cóż z tego? Zapominacie o tem, że przed każdą

wojną powiększano regestr, pozwalano zaciągać na gardło i na pocziwość skazanych, rzemieślników i szynkarzy, rzeźników i rozmaite pospólstwo, potem zaś wypisywać kazano i wyganiać. Toż między nami ludzi tych, co dziesięć, dwadzieścia i trzydzieści lat dziełami rycerskimi na służbach Rzeczypospolitej się parając, szablą chleba sobie nabywali i członków stradali, więcej dziesiątka tysięcy należeć się może. A jakoż ten, który raz swobodnym był, jurysdykcyi pańskiej podlegać może?....

— To rzecz słuszna.... potwierdził Barabasz, i właśnie teraz z posłem królewskim osobiście mówiłem....

— A to on tu jeszcze? — zagadnął ciekawie Chmielnicki.

— Jest w Czerkasach u pana starosty Kazanowskiego i dufa, jako wraz zemną przybędziecie tam, aby się naradzić....

Chmielnicki zaśmiał się znowu.

— Niech czeka, — rzekł — ale ja nie pójdę.

— To mi dziw! — zawołał Barabasz wstając. — Skarżycie się, że jest źle a nie czynicie nic, aby lepiej się działo. Krótko wam powiem: Król stanowczo przyrzeka wszystko. Wolności nasze dawne powrócone będą, krzywdy wynagrodzone, regestr zwiększony....

— Czy jest na to list królewski? — spytał Bohdan.

— Jest — odrzekł Barabasz — a w liście tym potwierdzenie dawnych listów królewskich do mnie pisanych, w których te same obietnice są...

— I te same żądania, aby z Tatary i Turkami wojnę rozpocząć? — dokończył Chmielnicki — i może te same wyrazy: „czyście nie żołnierze, abyście sobie sami za krzywdy wasze sprawiedliwości wymierzyć nie mogli?”

Chmielnicki mówił to tak szyderskim głosem, że Barabasz zdziwiony spojrzał na niego i spytał:

— A zkądże wy treść tych pism znacie?  
Bohdan ramionami ruszył.

— Sam mi to Król Najjaśniejszy mówił, kiedym na wezwanie w Warszawie był. To samo też mi powiedział, kiedym się na Czaplińskiego żalił: — Wszakżeś ty żołnierz i szablę masz u boku?

— Tego jeno nie powtarzajcie głośno.... — rzekł Barabasz poważnie, siadając znów na przeciw Bohdana. — Gdyby te słowa rzucono pomiędzy kozackie pospólstwo, to by wielkie ztąd mogło wyniknąć nieszczęście. Ja też nawet tych pism królewskich starszyźnie nie publikowałem, ogłosiwszy jeno, iż Król Naj-

jaśniejszy wolności powrócić przyrzeka, skoro wojna z Turkami będzie....

Chmielnicki już teraz zamilkł i szyderczo jeno patrzył na starego atamana, a wina mu dolewał. Sam też był dziwnie podochocony; oczy mu się mieniły rozmaitemi barwy, raz były zielone, to znów niby krwią zabiegały lub też jakieś płowe ciskały blaski; szerokie usta śmiały się czasem wpółotwierając a wtedy twarz cała kurczyła się i wykrzywiała, miała zaś taki wyraz, jakby Chmielnicki całą siłą tłumił w sobie szaloną wściekłość, aby przedwcześnie nie wybuchnąć.

W tym momencie jakaś myśl nowa musiała się zrodzić w jego duszy, bo nagle stał się niezwykle czułym dla Barabasza a przysiadłszy się doń bliżej, ciągle namawiał do picia.

— Już ja teraz wam prawdę powiem — rzekł. — To wino jest takie, jakiego w całej Rzpltej nie najdziecie. Nie chciałem tego przekłętego Sobutowa wspominać, bo mi to krew psuje, ale to muszę wam rzec, iż kiedy ową słobodę rodzicowi memu Koniecpolski darował, dał mu też zarazem parę beczek wina przedniego, mówiąc: ilekroć się rozsierzysz a uchowaj Boże, przeciw nam wyrzekać byś chciał, tylekroć wina się tego napij, a doznasz, jako cię przyjemnie ostudzi, bo



słodkie jest jak miód a łagodne jak krew niewiniątek....

— Prawdę rzekł! — odparł ataman, który wychyliwszy znowu kilka kubków owego trunku, czuł coraz bardziej jego rozkoszne działanie. Jenó język czasem mu niedopisywał i skręcał się, niewyraźnie bełkocąc, — ale w duszy czuł rzeczywiście stary ataman rozrzewnienie dziwne i czułość bardzo przyjemną, że już nieraz Chmielnickiego uściskać chciał.

— Prawdę rzekł! — powtórzył. — Wino jest przedziwne....

— Ano, to pijcie! — zawołał Bohdan przyśuwając się coraz bliżej do Barabasa....

I nowy kubek mu podsunął.

— Wypiję! — rzekł Barabas — wypiję za zdrowie wasze, ale przedtem musicie mi coś obiecać....

To mówiąc objął jedną ręką Bohdana za szyję.

— Musicie mi przyrzec — kończył — iż pójdziecie ze mną do Czerkas.... Kazanowski oboźny koronny, starosta nasz czerkaski, to słuszny pan i wino ma też dobre.... Poseł królewski czeka tam na was.... żałować nie będziecie.... Ossoliński bardzo wspaniały to pan i wymowy takiej, że od niej serce jak od tego wina mięknie....

W ciągu tej dość już bezładnej mowy Barabasza, Chmielnicki śmiać się nie przedstawiał.... Ataman obejmował go wciąż jednym ramieniem, a drugą ręką, na której piękny pierścień brylantowy jaśniał, gładził po twarzy Chmielnickiego z czułością.

— Pojedziesz ze mną... powtarzał — pojedziesz!

— A może i pojadę! — zawołał Bohdan. Barabasz go uściskał.

— Widzisz — rzekł, — już do rozumu przychodzisz!.... Po co ci na tym ostrowie nędznie siedzieć a z chłopstwem się bratać, jak mówią, i buntę szerzyć. Lepiej nam porozumieć się z Królem i czynić co on rozkaże.... Owi posłowie najwyraźniej przyrzekli, że Sobutów będzie ci wrócony a z Czaplińskim sprawiedliwość uczynią.

— A wam co obiecali? — zagadnął Bohdan i znów wina Barabaszowi dolał.

— A co mi obiecać mogli? — odparł ataman. — Jam już stary i to atamaństwo mi cięży.... Wiesz co, Chmielniczeńku, niech oni ciebie atamanem zrobią.... ja się zrzeknę.... Król ci przysze chorągiew i buławę i zostaniesz nie takim jak ja, co to właściwie jeno starszym w zaporozkiem wojsku jestem., ale hetmanem takim, jak koronny lub litewski....

— Nie robią oni tego! nie robią — przerwał gwałtownie Chmielnicki, któremu się oczy zaiskrzyły.

— A ja ci mówię.... że tak.... — zabelkotał Barabasz — jeno jedź ze mną.... oni mnie tu po to przysłali, abym ciebie sprowadził....

Chmielnicki wydobył się z objęć pijanego już całkiem atamana, wstał i przeszedł się kilka razy po izbie. Snadź myśl rzucona przez Barabasza chwyciła się jego duszy. Kto wie? możeby rzeczywiście lepiej było porzucić tajemną, rozpoczętą już robotę, a wejść w porozumienie z Królem na nowych warunkach? Pierwszym z nich byłoby hetmaństwo z władzą zupełną, taką, jaką miał hetman koronny a może jeszcze większą. Byłoby to zawsze pół panowanie, zdobyte bez walki, które osiągnąwszy, możnaby było działać bezpiecznie i skuteczniej niż teraz, aby je w przyszłości jeszcze rozszerzyć. Ba! żebyż to z jednym Królem robota i jego posłami! Co z tego, że oni obiecują łatwo? Sejm potem krzyknie veto! panowie nie pozwolą i ze wszystkich obietnic nie zostanie znów nic, jak to już przedtem bywało....

Chmielnicki wstrząsnął się, jakby z siebie budzące się wątpliwości chciał zrzucić i przystąpiwszy do stołu, targnął silnie za ramię

atamana, który głowę nad stołem pochyliwszy, usypiał.

— Atamanie! — krzyknął — a gdzie pewność, że obietnice dotrzymane będą, że ich wiatr nie rozniesie, jako puste słowa?....

— A.... a.... — zabełkotał Barabasza — pewność?.... w listach królewskich.... królewskie słowo.... święte słowo....

— Cóż z tych listów!.... — zaśmiał się Bohdan, gdy ich nie ogłaszacie, kto wie gdzie one są?

— Jej Bohu są u mnie! — zaklął się ataman, stukając pięścią w pierś, że aż zadudniło — u mnie w Czehrynie.... u żony....

Podniósł wzrok zamglony na Chmielnickiego i nagle głośno śmiać się począł. Śmiał się tak, że aż się zachodził, a z oczu lży ciekły.... W pijanej głowie dziwaczne plątały się myśli.

— A mój ty biedny!.... — jękał — a mój ty Chmielniczeńku nieboże, a twoja żona gdzie?.... ha! Ten owaki syn Czapliński wziął jak swoją....

Chmielnicki zbladł jak ściana. Nogi się pod nim zachwiały.... zsiniałemi wargami ruszał a nie mówił nic, jeno zęby obijały się o siebie ze zgrzytem. Roziskrzonym wzrokiem patrzył sztywnie na atamana, który spozierał nań szklanemi oczyma, śmiał się jeszcze mo-

ment, a potem całym ciężarem głową runął na stół i zasnął.

Słowa pijanego atamana wszelkie wahanie Chmielnickiego rozproszyły do reszty; one przeważały szalę.

— Bezduszny pijanica! — mruknął — i zbliżając się do Barabasza targnął go za ramię.

— Pij! — wrzasnął i świeżo nalany kubek do ust mu podniósł.

— Dobre wino.... — zabelkotał Barabasz. Drżącemi rękami chwycił kubek i rozlewając trunek dokoła, pił.

— Daj jeszcze! — zawołał, wychyliwszy kubek do dna.... — Wypiję jeszcze na pohybel Czaplińskiemu....

Chmielnicki lał wino do kubka, ale ręka mu drżała, więc rozlewał po stole, a Barabasz niosąc do ust trunek śmiał się i mruczał:

— Żonę ci wziął.... chociaż to nie była żona twoja, jeno kochanka.... ale ci ją wziął.... Sobutów wziął i syna wychłostał.... młodec!...

Chmielnicki rzucił się jak wściekły.... W jednym mgnieniu oka dzbany i kubki, stojące na stole, potoczyły się z brzękiem, ława, na której siedział Barabasz zachwiała się i przewróciła a stary ataman pchnięty żyłastą Chmielnickiego pięścią, runął pod stół z łośkotem. Stęknął głośno, zakrztusił się, zabelkotał coś niewyraźnie i zasnął.



— Bydlę! — przez zaciśnięte zęby szeptał Chmielnicki — chłopie nikczemny, duszo sobacza!...

I z pogardą nogą go kopnął.

Barabasza znów stęknął, na wznak się przewrócił, usta otworzył i chrapał.

Ten starzec pijany, z twarzą zbladłą, zapadłemi oczyma, potarganą w nieładzie brodą siwą, poszarpaną w upadku i winem oblaną odzieżą, był rzeczywiście przerażający.

Chmielnicki z najwyższem obrzydzeniem patrzył nań przez długi moment.

— Mógłbym cię zamordować teraz, bydlę nikczemne! — szeptał — aleś mi jeszcze potrzebny, więc ci życie daruję, jeno listy królewskie mieć muszę; w nich znajdę hasło, którem całe Zaporozże obudzę!

Rzucił się ku drzwiom i krzyknął:

— Filon!

Za chwilę Dzedzelej wbiegł do izby a ujrzawszy pana leżącego na ziemi, nie mógł powstrzymać okrzyku:

— Zabity!

Nie był to wszakże okrzyk żalu lub litości; w oczach kozaka błyszczał ogień nienawiści i nieubłaganej zemsty.

Chmielnicki się zaśmiał.

— Nie zabit — rzekł — ale pijany na śmierć... Ja słowa dotrzymam, ty sam, gdy

czas przyjdzie, pomścisz się na nim swej krzywdy, ale czekaj, aż ci powiem....

Filon znów zęby białe pokazał w uśmiechu i skłonił się milcząc. Tymczasem Bohdan przystąpił do leżącego Barabasza, podniósł rękę jego, na której pierścień brylantowy błyszczał, pierścień ten zdjął i rzekł do kozaka:

— Teraz słuchaj, co masz czynić. Nie tracąc ani momentu, jedź z wichrem do Czehryna, do żony atamana. Dasz jej ten pierścień i powiesz, że ataman cię przysyła, abyś mu natychmiast wszystkie listy królewskie do Czerkas przyniósł, gdzie są królewscy posłowie.... Ja cię pod Czerkasami czekać będę.... listy mnie oddasz, byle wszystkie były.

— Słucham! — rzekł kozak — wszystkie będą....

— Jedź tedy z Bogiem!... a wracaj dopóki ataman nie wytrzeźwieje....

Filon wybiegł, a za chwilę już go na ostrowie nie było.

Tegoż dnia wieczorem, gdy Barabasza spał jeszcze snem twardym, Bohdan z przybyłym doń w odwiedzinę Krzyczewskim, opuścił ostrów i udał się do Czerkas.

I czekali tam obaj, pod miastem, w noc głuchą, stojąc na wzgórku.

Krzyczewski nie wiedział nic o celu poselstwa Filona, wiedział jeno, że go Chmiel-

nicki w missyi jakiejś wyprawił. Snadź zaś Chmielnickiemu wiele na dobrym jej skutku zależeć musiało, bo w miarę jak czas upływał, coraz bardziej i coraz widoczniej niepokojnym był, milcząc posępnie a jeno owym toporkiem, który w rękę trzymał, o ziemię bijąc.

— Gdzie Filon Dzedżelej pojechał? — spytał Krzyczewski, nie mogąc wreszcie ciekawości stłumić.

Chmielnicki spojrzał chmurno.

— Nie powiem, aż wróci — odparł krótko.

— Nie ufacie mi! — rzekł z wymówką Krzyczewski.

— Nie lubię mówić przed czasem — odburknął Bohdan — jak Filon dobrze się sprawi, to dziś jeszcze wiedzieć będziesz o wszystkim, a teraz....

Urwał.... bo zdala stłumiony, jak szmer daleki, ozwał się tętent wśród ciszy.

Bohdan znów rękę przyłożył do czoła i sięgnął wzrokiem w pustą przestrzeń....

Tętent stawał się coraz silniejszy a wreszcie rozeznać już można było, jak koń rwał kopytami ziemię, która dudniła głucho. Równocześnie w blaskach xieżycowych, po za mgłą białą, ukazała się postać kozaka, pędzącego na koniu jak wichher stepowy.

Nadjechał jak burza, a ujrzawszy Chmielnickiego ściągnął konia tak silnie, że ten, aż na zadnich nogach przysiadł i zarył się kopytami w miejscu. Chmielnicki podbiegł.

— Są listy? — niemal szeptem spytał.

— Są, sława Bohu! — odparł Filon, zeskakując z konia. Wyjął z zanadrza zwój i podał go Bohdanowi.

Chmielnicki rzucił się nań z chciwością i papiery rozwinął. Przy blasku księżyca usiłował odczytać pismo, a twarz mu się śmiała i ręce drżały....

— Sławno... sławno!... — powtarzał, przebiegając okiem papiery — to wystarczy.... jest wszystko!

Poklepał Filona po ramieniu.

— Nie zapomnę o tobie — rzekł. — Żałować tego nie będziesz.... A teraz wracaj na ostrów i pilnuj Barabasza.... dopóki ci znaku nie dam....

Kozak zaśmiał się, pokłonił nisko, potem dosiadł konia i popędził ku miejscu, kędy przygotowana czajka na ostrów zawieźć go miała.

Chmielnicki przez chwilę patrzył za nim, a potem szarpnął gwałtownie Krzyczewskiego za rękę i rzekł:

— Chodźmy!... czas, abyś wiedział o wszystkim.

Zeszli tedy ze wzgórką i ścieżyną wiodącą wśród zarośli, krzaków i burzanów, zbliżyli się ku Czerkasom.

Miasto spało. Nigdzie ani jednego światelka, nigdzie żadnego ruchu. Chmielnicki z Krzyczewskim schodzili w kotlinę, kędy stały małe domki przedmieścia, częstokroć ze słomy, gliny i gałęzi nędznie lepione. Przed nimi zarysował się teraz zamek, stojący na wzgórkę, w całej okazałości. Był to gmach duży, otoczony w około fosą i wałem kwadratowym z czterema rądelami. Wjeżdżając do zamku, trzeba było przebyć most ze zwodem, a w końcu mostu bramę ze strzelnicami i basztą wysoką, która także strzelnicami opatrzona była.

— Patrz! — zawołał Chmielnicki — jako się królewicęta umocnili przeciw tym, których hultajami ukraińskimi zwa.... Ano, zobaczmy...

W tym momencie, schodząc w bok nieco, dojrzał światło w jednym z okien narożnych zameczyska.

— Nie śpią jeszcze — dodał — posłowie królewscy czekają snadź na mnie i na Barabasa.... niech czekają!

Krzyczewski starał się znowu nakłonić Bohdana do układów.

— A możebyśmy — ozwał się — poczekali tu do jutra i z rana do zamku poszli.

Kto wie, co Ossoliński wam powie.... możnaby go zρέcznie wybadać.... możnaby....

— Milez! — przerwał Chmielnicki — gdyby mi oni złote obiecali góry, to nigdy nie dadzą mi tego, co te listy dać mogą.

Zwój przyniesiony przez Filona ścisnął silnie w pięści, jakby się lękał, aby mu go odebrać nie chciano, a czasem brał go w obie dłonie, przygarniał do piersi, jak gdyby pieścił.

— Zobaczysz.... — szeptał — zobaczysz! zaraz odkryję ci wszystko....

Szedł krokiem rażnym, spiesząc się snadź, aby mógł te listy bliżej oglądnąć. Niepokój, jaki nim miotał przed chwilą, gwałtowne wzburzenie wskutek zajścia z Barabaszem, ustąpiły miejsca wielkiej radości, że się podstęp udał i wielkim nadziejom, jakie wskutek tego otwierały się na przyszłość.

Oczy mu teraz błyszczały ogniem zadowolenia, usta szeptały niedosłyszane wyrazy, czoło marszczyło się nie posępną dumką lub gniewem, ale wskutek natężenia myśli, które cisnęły się nawałem do głowy.

Nareszcie stanęli u celu. Była to nędzna chałupa, której tylko część jedna zamieszkała się zdawała. Pochylona, z jednej strony podparta drągiem w ziemię wbitym, z drugiej całkowicie rozpadła się w gruzy. Lewe skrzydło



było zupełnie rozwalone i stało otworem, ukazując szczątki ścian, pieca i okopconą dymem glinę, na której porastały chwasty i wysokie koleczaste burzany. Wśród nich wydeptana ścieżka, wskazywała wejście do owej części chałupy, która jeszcze jako tako się trzymała. Wejście to założone było deskami nieszczelnie przystającymi do siebie.

Chmielnicki poskoczył i pukać począł. Za chwilę ozwał się z wnętrza głos chrypliwy i niezrozumiałe mruczenie, którego intonacya jeno mogła oznaczać pytanie.

— Otwórz Taras! — ozwał się Chmielnicki — otwórz a rychło! to ja, Bohdan....

Znowu dało się słyszeć mruczenie, a potem chód powolny, ciężki i za moment owe deski, wejście zapierające, z łoskotem i chrzęstem się otwarły.

-- Zapal światło stary.... — rzekł Chmielnicki, wchodząc z Krzyczewskim.

Taras mruczając ciągle, zaczął ognia krzesać i niebawem zapalone łuczywo migocącym światłem rozjaśniło nędzne ściany izdebki.

W jednym kącie, na ziemi, nieco siana, traw i burzanów stepowych, służyło za legowisko mieszkańcowi tej chałupy; przy ścianie ława i dwa kłocę drzewa, a powyżej w ścianie otwór, którym światło w dzień padało do wnętrza, a który teraz deską był założony.

Zdarte, brudne łachmany walały się na legowisku i na ziemi.

W pośród tej nędzy, przy niepewnem świetle łuczywa, z którego dym czarny szedł słupem w górę aż do niskiej powały i staczał się ztamtąd po brudnych ścianach izby, jeszcze bardziej przerażającą wydawała się postać tego, którego Chmielnicki nazwał Tarasem.

Była to postać wielka, choć wiekiem snadź już późnym, niekształtnie zgarbiona. Rysów prawie rozeznąć było niepodobna, ile że twarz niemal cała zarośnięta była skudłaczonymi włosami, które musiały być niegdyś czarne, a dziś byłyby siwe, gdyby śmiecie i brud nie odebrały im wszelkiej barwy. Na ramiona i czoło spadały mu także kudły potargane, z których wysterczały liście zeschnięte i suche łodygi burzanów. Wśród tych kudłów świeciły oczy małe, siwe; nos przecięty blizną szkaradną, zapadł się w połowie, a szerokie bardzo i wydatne usta poruszały się niemal nieustannie, wydając raz ciche mruczenie, to znów głośniejsze gardłowe echa, niby psawarczenie groźne. Wysoki, barczysty starzec ten, pomimo wieku, musiał być niepospolitej siły, o czem też świadczyć się zdawały ręce olbrzymie, żylaste a kosmate. Na sobie miał oponczę długą, połataną, która rozwarta na

piersiach, pozwalała widzieć koszulę płócienną, grubą, zupełnie zczerniałą i tak twardą jak skóra. Wstrętem i przestraczem przejmowała ta postać, patrząca dziko i wyglądająca jak potwór niehumaniczny.

Zdawna on był znany Chmielnickiemu. Pół kozaka a pół Tatara, bo z matki Tatarki zrodzony, Taras ojcem był owego Filona, który Barabaszowi służył a Chmielnickiego słuchał. Zrazu Taras mieszkał na Niżu, lecz surowe przepisy kozaków Niżowych nie przypadały mu do smaku, prowadził tedy koczowniczy żywot przechodząc z miejsca na miejsce, służąc to temu, to owemu panu, a najczęściej nikomu. Żył grabieżą i rozbojem a kilkakrotnie przez starostów królewskich karany, zbiegał zawsze z więzienia, kryjąc się na ostrowach dniewprowych lub pustynnych stepach. Zwano go też „Bihunem“, czyli zbiegiem a posądzano o czary i lękano powszechnie. Tej trwodzi, jaką dokoła rozsiewał, winien był Taras ocalenie swoje, bo chociaż i wiedziano, że najczęściej nocami przebywa w opuszczonej ziemlance na przedmieściu czerkaskiem, każdy sługa starościński wołał zejść mu z drogi, niż narażać się na śmierć pewną, mówiono bowiem, iż zawsze temu, kto się przyczynił do pojmania Tarasa, zdarzyło się niebawem nieszczęście. Taras Bihun przechodził tedy

bezpiecznie z miejsca na miejsce, znał doskonale całe Zadnieprze, zachodził nieraz aż do Krymu i z Tatarami, jak mówiono, był w ciągłym porozumieniu. Żona jego, a matka Filona, była także Tatarką, którą gdzieś w okolicach Krymu zostawił. Mówił też łamanym językiem z ruska po tatarsku, jeśli to w ogóle mową nazwać się mogło, najczęściej bowiem odpowiadał mruczeniem, uzupełniając je ruchami głowy i pięści żyłastych.

I teraz stojąc przed Chmielnickim, mruczał jeno i przenikliwym wzrokiem patrzył, gdy Bohdan usiadłszy na ławie, chciwie przy świetle łuczywa przeglądał owe papiery przez Filona przywiezione.

Chmielnicki przeglądając, śmiał się urywanym głosem, radośnie.

— Jest wszystko — szeptał — pieczęć królewska na każdym liście... jest hasło!.. Tarasie! — zawołał nagle, zwracając się ku staremu kozakowi — możesz ty zaraz do Krymu?...

Bihun potrząsł kudłami i zamruczał na znak potwierdzenia.

— Wyruszysz — dodał Bohdan — zaraz, natychmiast, skoro dzień zaświta.... pójdiesz do Tymoszka syna mego, który u hana jest, a powiesz mu, jako czas.... On już będzie wiedział co to znaczy.... Idąc zaś, mów wszystkim,

głośno, jako Lachy kozaków buntują, aby na Tatarów szli....

Z gardła Tarasa wyszło groźne warczenie.

— Nie dajcie bat'ku Bohdanie — wybełkotał — nie dajcie!

— Nie dam! — stanowczo odrzekł Chmielnicki. — Powiesz, jako są listy królewskie, aby na Tatarów iść....

Taras gębę otworzył szeroko.

— A.... a.... — wyjąkał — Korol każe....

Chmielnicki wskazał na listy i pieczęć na nich wybitą.

Taras pochylił się ku światłu a ujrzawszy pieczęć, aż się w tył cofnął i ręce złożył na piersiach.

— Korol.... Korol.... — mruczał i głowę chylił w dziwnem pomieszaniu. Oddychał ciężko i chrypliwie. Rozkaz królewski zdawał mu się niecofnionym wyrokiem na Tatarów wydanym, pieczęć monarsza przejmowała cześć i trwogą zarazem.

— Tarasie — ozwał się Bohdan — trzeba działać spiesźnie. Inaczej rejestrowcy i posłuszni rzucają się na Krym nieprzygotowany, pod wodzą Barabasza....

Na to nazwisko oczy Tarasa zamigotały.

— Filona bił — wyjąkał — mnie wydał, smert'!... smert'!...

I zatrząsł kudłami a pięście żyłaste ścisnął.

— Filon — dorzucił Chmielnicki — sprawi się z Barabaszem, jak ja dam znak.... Tymczasem idź.... a powiadaj w Krymie, że ja sam niebawem przybędę i okażę listy królewskie....

Taras oba ramiona podniósł do góry.

— Pójdę — rzekł — Barabaszowi śmierć, z Tatarami mir!

— Z Tatarami mir! — potwierdził Chmielnicki wstając i chowając w zanadrze pisma królewskie. Bywaj zdrów Taras, a skoro wrócisz, daj znać na ostrów....

— Z Bohom! — zamruczał Taras, wyprawdzając Bohdana i Krzyczewskiego, który przez cały czas tej rozmowy milczał posepnie.

Wyszli na powietrze. Xiężyc zniżał się już ku zachodowi, ukośne promienie rzucając na zamek czerkaski i całą okolicę. Dokoła było pusto.... Chmielnicki obejrzał się ostrożnie, ale nie dojrzał nikogo.... Nie spostrzegł, że postać jakaś, przypadłszy do ziemi i kryjąc się wśród gruzów rozwalonej chałupy, przypatrywała się mu pilnie, a skoro odszedł i zniknął na zakręcie, porwała się z ziemi i pędem skierowała ku zamkowi.

Tymczasem Bohdan z towarzyszem swoim szli milcząc przez całe przedmieście, aż dotarli do wzgórka, na którym stali przedtem



na Filona czekając. Szczyt tej wysoczyzny cały pokryty odłamami cegieł i czerepów, świadczących, iż tu niegdyś ludzka osada istniała, kąpał się jeszcze w promieniach słońca, ale doliny i jary, całe błonie dniewne nużało się w cieniach. Silniejszy niż przedtem wichur napędzał chmury na jasne niebo i przyspieszał prąd wód dniewnych, które z hukiem przewalały się po kamieniach i porohach.

Chmielnicki przystanął i znów jak przedtem ręką prawą, trzymającą czekanik, krąg wielki zakreślił w powietrzu.

— Rozumiesz teraz — rzekł do Krzyczewskiego — dla czego mówię, że to wszystko nasze....

Krzyczewski drgnął, jakby ze snu obudzony.

— Rozumiem — odparł ponuro — chcecie Tatarów ściągnąć.... Kozaków wzburzyć....

— A ty się zląkł nikczemnie! — przerwał Bohdan z szyderstwem — a ja się już niczego nie zlekne! — mówił dalej z coraz rosnącym zapalem. — Czem ja być mogę z łaski waszej? Hetmanem? Ale hetman koronny znaczyć będzie zawsze więcej.... Wiśniowiecki i Potocki i każdy z tych królewiat więcej niż ja!... Szlachcicem mnie uznają, sztandar i buławę przyszlą.... Tak! ale ja zawsze będę tym, który

pierwszy to osiągnął, a ostatni z rzędu między nimi jest....

— Tatarów tu sprowadzić — wtrącił Krzyczewski — to wydać na łup tę ziemię, to zniszczyć siebie samych, to w niewolę iść....

Chmielnicki spojrział przed siebie chmurno, milczał moment, a potem znów się porwał.

— Tak! — zawołał — zniszczeje ta ziemia, potokami krwi spłynie.... A co mi to! krew wsiąknie, a ziemia ziemią zostanie.... Musi być tak, gdy się nie stało inaczej....

Znowu zadumał się chwilę; zaczął gło-  
sem stłumionym, jakby złagodniałym nagle,  
mówił:

— Chciałem inaczej.... dla Najjaśniejszego Króla byłbym uczynił wszystko.... gdyby mi inni nie rozdrapali byli serca, nie nasypali żaru w duszę, nie zburzyli krwi.... Teraz za późno! Ziemi mi tej żal! a co po niej i po tem chłopstwie nikiemnem, które przez lat dziesięć śpi jak martwe, a którego jeśli Tatarzy nie zbudzą, to królewiczy wezmą w niewolę.... Wszystko jedno: ci czy tamci! a dla mnie lepszy Tatar, niż podstarość pański.... Ziemi tej mi żal, ale gorzej mi żal mego Sobutowa, który Czapliński zagarnął; gorzej mi żal syna, którego zachłostano; — gorzej mi żal....

Urwał i czekaniem tak silnie uderzył o ziemię, iż odłamy rozbitej tem uderzeniem cegły z łoskotem posypały się dokoła.

Nagle zaśmiał się takim przerażającym głosem, iż Krzyczewski się wzdrygnął.

— A wiesz! — zawołał — co mi Król rzekł, kiedym mu się skarżył, jako Czapliński niewiastę mi wziął?... Powiedział mi: wiele jest piękniejszych kobiet na świecie, panie Chmielnicki.... poszukaj sobie inszej, tę zaś zostaw do kogo przyłgnęła.... Ha, ha, ha! jest dużo piękniejszych! ale drugiej takiej niema! niema! niema!... Obwiesiła mi się ona na około szyi i serca jak wąż jadowity.... wpila mi się w krew, duszę zabrała.... czar rzuciła na mnie! A Czapliński ją wziął! wziął jej uściski i pieśszcoty i uśmiechy! A ja wezmę za to zemstę taką, że cała ta ziemia zleje się krwią, że całe to niebo zaczerwieni się pożogą, że za każdy moment rozkoszy, jaką miał Czapliński z tą niewiastą, tysiące ludzi latami całemi jęczyć będą!... Taką zemstę, taką władzę chcę mieć, abym z panami to czynić mógł, co sługa ich uczynił ze mną!...

Niewstrzymanym potokiem płynęły słowa z ust Chmielnickiego; Krzyczewski kilkakrotnie chciał przerwać tę mowę, ale Bohdan nie dawał mu przyjść do słowa, jeno wstrzymywał się czasem, aby zachwycić powietrza,

dyszał bowiem gwałtownie, oczy ciskały płomie-  
nie ognia, porywał się i ramiona przed siebie  
wyciągał, jakby nieprzytomny.

Krzyczewski, widząc to uniesienie niezwy-  
kłe, postąpił bliżej ku Chmielnickiemu i kładąc  
mu rękę na ramieniu, rzekł głosem stanow-  
czym, w którym wszakże coś jakby wzruszenie  
brzmiało:

— Wy wiecie: ja z wami na śmierć lub  
życie.... ale wolałbym na życie, niż na śmierć.  
Nie znam waszych planów, nie znam sił —  
a widzę niebezpieczeństwa srogie.... dla tego  
się lękam. Uczynić tak, jak Król chce, iść  
z nim na Tatarów, na Turcyę, to zwycięstwo  
niemal pewne, to odzyskanie przywilejów da-  
wnych dla Zaporozża, to hetmaństwo, półpano-  
wania dla was!... Iść z Tatarami przeciw pa-  
nóm i Rzeczypospolitej....

— To — przerwał Bohdan z uniesieniem,  
chwytając Krzyczewskiego za rękę — to całe  
panowanie! Nie mówiłem ci dotąd nic, bałem  
się twoich słów przezornych, nie chciałem,  
abyś mnie wstrzymywał, wiedziałem zaś, iż  
gdy będzie wszystko gotowe, pójdziesz za  
mną....

— Pójdę! — rzekł Krzyczewski.

— Więc słuchaj.... Teraz gotowe jest  
wszystko: Oddawna przygotowywałem ro-  
botę; z każdej słobody, z każdego futoru,

przyjdzie do mnie co najmniej po trzech mołojców... Popy mi przyrzekli to święcie, na krzyż i wiarę... Widzisz te horodyszcza i słobody: Borowica, Arklej, Hołtwa, Bohuszowa, Biełozero, Kropiwna, tam domów kozackich nieposłusznych przeszło tysiąc... ci od razu pójda za mną; tyleż przybędzie z Kaniowa, dwa razy tyle z Korsunia i Czehryna!... Część rejestrowych przejdzie także do mnie, ty masz to sprawić... A ze wszystkich ostrowów, ze Zwońca i z Korczewatego i z całego Niżu zleca się mołojcy jak ptaki... Na Sicz pójde jeszcze sam i pokażę im list królewski, jako mam prawo kraj cały w posiadanie wziąć! Uwierzą zobaczywszy pieczęć królewską... A potem pójde lub posłów wyprawię do Tatarów, których Taras uprzedzi, a powiem im: Król polski przysłał mi chorągiew i buławę a hetmanem chce uczynić, bylebym z wami wojnę prowadził; tedy macie wybór, albo z nami się złączycie przeciw Lachom, albo my na was z nimi pójdziemy... I znowu im pokażę list królewski z wyraźnym rozkazem, abyśmy na Tatarów szli... W rękach Barabasza listy te marniały, u mnie staną się...

— Hasłem śmiertelnem... — dokończył Krzyzewski.

— Dobrześ rzekł — potwierdził Bohdan — hasłem śmiertelnem! A potem — koń-

czył, — gdy już wszystko gotowe będzie, gdy ty rejestrowców twoich sprawisz, aby z nami szli w ostatecznym momencie, gdy orda posiłki nam przysze a mołojcy się zleca, — z hetmanem koronnym rozmówimy się rychło; zaczem ty brzegiem Dniepru na Litwę pójdziesz... Dam ci trzydzieści tysięcy wojska i wodzem ich uczynię... będziesz zaś tak przeznornie a chytrze działał, aby Radziwiłła żywcem ująć, wtedy Litwa w naszych rękach: dobra królewskie dla mnie, a szlacheckie, które jeno weźmiesz, twoje są...

Krzyczewski podniósł głowę; oczy zabłysły mu niezwykłym ogniem.

— Tak! — zawołał — wahanie próżne... ja z wami!

Chmielnicki nie odrzekł nic — jeno obie ręce na ramionach mu złożył i tak stali moment w milczeniu, patrząc na wody dniewprowe, na ostrowy i stepy dalekie, na których promienie siężycia rozścielały się jeszcze pasmami srebrnemi, nikiąc wśród wysoczyzn a jarów. Nie mówili nic, ale pakt był już między nimi zawarty...

— Na życie lub śmierć... — powtórzył Krzyczewski z cicha.

Schodzili ze wzgóрка na doliny. Chmielnicki raz jeszcze rzucił okiem na Czerkasy



i widniejące zdała zameczysko. Znow dojrzał w oknach migające światła.

— Jeszcze czuwają — rzekł w zamyśleniu, — co to znaczyć może?

— To pewnie strażę — odparł Krzyczewski — albo może budzą się już ze spoczynku, boć to i brzask niedaleki...

— Taras już w drodze... — mruknął Chmielnicki.

I już się rozeszli: Bohdan na ostrów, a Krzyczewski ku Czehrynowi podążył.

Tymczasem w zamku czuwano istotnie noc całą.

Starosta czerkaski, Kazanowski, oboźny koronny, brat stryjeczny ulubieńca królewskiego, Adama, i także Adam imieniem, był to podówczas mąż w sile wieku, a w rycerskich sprawach wypróbowany. Odwagi niepospolitej, na polu bitwy straszny nieprzyjacielowi i nieubłagany, w czas pokoju łagodności niezwykłej składał dowody, a pan był przytem szczodroblivy i pobożny. Twarz jego nie piękna i bardzo śniada, jak u wszystkich z Kazanowskich rodu, miała wyraz nieustraszonego męstwa, które się też przebijało w całej postawie i ruchach śmiałych a rycerskich. Żołnierzem był dzielny a dzielając affekt i wdzięczność całego rodu swego dla Króla Władysława, gotów był zań żywot oddać

każdej chwili, we wszystkim zaś najwierniejszym był wykonawcą rozkazów.

Pod pozorem zwiedzenia dóbr swoich ukraińskich, przybył do Czerkas sam pan kanclerz koronny, Jerzy Ossoliński, a jakkolwiek oboźnego nie lubił jak i całego rodu Kazanowskich, z polecenia Króla musiał konferencyę z nim odbyć i wyjaśnić mu zamiary królewskie.

— Król — mówił on — wielkie myśli ma, marzy o zgnieceniu potęgi ottomańskiej i utworzeniu państwa wschodniego, któregooby był monarchą... Ma szczytne i wspaniałe chęci... ano, szlachta wszystkiemu na zawadzie staje. Już parę lat temu wszystko było gotowe. Rzeczpospolita wenecka wielką obiecywała pomoc a i teraz ją daje; Król całą swą fortunę ofiarował; własnym kosztem czynił zaciągi, arsenały bronią wszelaką napełniał — lecz szlachta skoro się jeno o zamysłach wojny dowiedziała... to już wiecie co się stało: — krzyknęła veto! Wszystkie zamysły odłożone być musiały...

Oboźny koronny spojrzał na kanclerza z ukosa, a jako szczerym był i nie mógł nigdy myśli swoich utaić, toż po żołniersku rąbnął:

— Mości kanclerzu... jam nie polityk, jeno ten, który szablę na to przy boku nosi, aby jej rdzewieć w pochwie nie dawał. Cze-

kam jeno okazyi i z wielkiem ukontentowaniem ją przyjmę... ale mi się tak widzi, jako te wszystkie plany za szerokie są i urzeczywistnić się nie dadzą... Zgnieść ottomańską potęgę nie tak łatwo, zwłaszcza gdy naród, gdy sejm wojny nie chce!

— Otóż to — podchwycił kanclerz — i mnie się tak zrazu zdawało; dlatego też, chociaż myśl wojny zawsze popierałem, w ostatecznym momencie widząc, jako trzebaby przeciw woli sejmu iść, a w nadziei, że z czasem można będzie szlachtę ku owym zamysłom nakłonić, zawahałem się i listów odpowiednich pod pieczęcią koronną wydawać nie chciałem...

— I Król bardzo cierpiał nad tem, a mówił, mości kanclerzu, żeście go jako Judasz Chrystusa zdradzili.... — wtrącił obożny, jakby z wymówką.

Kanclerz zmarszczył się nieco na te słowa, ale nie chcąc dać poznać wewnętrznego nieukontentowania, odparł:

— Niesłusznie Król Jegomość żalił się na mnie... Nie zdradziłem go, jeno widziałem, iż wobec konstytucyj, jakie na sejmie zapadły, nie poradzimy nic.

— A cóż się teraz zmieniło — wtrącił Kazanowski, — iż pomimo owych konstytucyj, podejmujecie dawne zamysły?

Na to pan kanclerz nie zaraz dał respons. Przeszedł się kilka razy po komnacie, jakby się namyślał, co odpowiedzieć ma i w jaki sposób najlepiej a najtreściwiej rzecz wyłożyć. Wreszcie zatrzymał się przed Kazanowskim i rzekł z powagą:

— Nie każdemubym to odkrył, co wam teraz powiem; toż zachowajcie słowa moje w milczeniu, nie o mnie bowiem tu chodzi, ale o Króla... Zamysłów jego, owych wielkich, szerokich, o zgnieceniu tureckiej siły i ufundowaniu potężnego państwa wschodniego, nie podzielałem ja nigdy, ale w wojnie tureckiej widziałem inne korzyści... Wy, siedząc tu, w głuchej Ukrainie, ani pojęcia mieć nie możecie, co się u nas w kraju dzieje. Długoletni pokój, zabezpieczony zwycięztwami Władysława, zamiast przynieść pożytek, wielkie nieszczęścia zgotował. Dziedzic trzech koron, Król dla pokoju tego, umiłowanego przez naród, musiał dwie z nich poświęcić, przestał marzyć o moskiewskiej i szwedzkiej — ale teraz i na własnym chwieje się tronie...

Z wymownych ust kanclerza wychodziły te słowa zwolna, wyraźnie a dobitnie, każde zaś z nich padało na serce Kazanowskiemu.

— Co Wasza Miłość powiadasz! — zawołał on z przerażeniem. — Król na tronie się chwieje?

— Lada dzień upaść może tron ten, obalony swawolą szlachecką... — dokończył kanclerz. — Uchciałem go umocnić, wyteżalem wszystkie siły, układałem różne projekta... Widziałem ja w cudzoziemskich krajach wszelkie narody, obyczaje i prawa... ale samowoli takiej jak u nas, nie widziałem nigdzie. Wszędy Król władzę ma rozkazania lub wzbronienia, a u nas wszyscy mają to prawo, prócz Króla...

Kazanowskiemu to się słusznem nie zdało, więc zaoponował:

— U nas wolności są większe... — rzekł.

— Wolność! wolność! — przerwał żywo Ossoliński, a po jego pięknej, wygładzonej twarzy, przemknął błysk gniewu. — To żadna wolność jest, jeno swawola! Słuchaj waść, długiej dyskusyi nie chcę prowadzić... więc tylko rzekę: Litwa cała wzburzona; katolicy z dyssydentami w otwartej walce, a ci ostatni gotowi są z każdym pójść przeciw katolickiemu Królowi i katolickim panom. Xiażę Janusz, gorszy stokroć od rodzica, różne zamysły ma tajne, a wiecie, jako nieraz Królowi groził i krzyczał, że przyjdzie jeszcze czas, gdy Polacy do drzwi nie trafiają, Litwini zaś przez okna wyrzucać ich będą... Król to łagodzi jak może, ale wszystko do czasu. Rośnie tam zdrada na gruncie kacerstwa,

która prędzej czy później dojrzeje. Otóż tam dyssydenci krzyczą, domagając się wszelakich wolności, z nimi łączą się, gdy im potrzeba, dyzunicy, łączą się wszystkie niespokojne umysły, krępując królewskie działanie. Dogodzisz jednym, to drudzy się burzą... wszystkim zaś zadość uczynić, to znaczy zejść z tronu i powiedzieć im: panujcie sami!... A możeż to być?...

— Wszakże — zauważył Kazanowski — Król ma na kim się oprzeć, są rody możne dokoła tronu, które go wspierają...

— Są — przerwał Ossoliński — ale nie skojarzone, nie połączone niczem. Jeden drugiemu zawidzi, każdy na własną rękę i ku własnej chciałby dążyć korzyści. Chciałem ich zjednoczyć...

— Orderem Niepokalanego Poczęcia... — wtrącił obożny i uśmiechnął się z lekka.

— Nie śmiejcie się — przerwał Ossoliński, — kawalerya ta, którą utworzyć chciałem, byłaby właśnie stworzyła dokoła tronu zjednoczoną falangę. Król przeorem orderu, dwunastu starszych a siedmdziesięciu dwóch młodszych orderowych braci — tylu, ilu było apostołów i uczniów Chrystusa — to zawiązek miał być wiernej tronowi armii, związanej przysięgą iść tam, kędy Król każe... W takim narodzie jak nasz, to mogło znaczyć wiele...



Głos kilkudziesięciu panów, rodem i mieniem górujących, byłby się rozchodził potężnem po kraju echem, byłby nakazywał milczenie temu motłochowi rozswawolonej szlachty...

— Motłochowi.... — powtórzył Kazanowski — za szorstkie słowo wyrzekliście, mości kanclerzu...

— Motłoch, motłoch jest! — zawołał impetycznie Ossoliński, — który tem silny i od nas potężniejszy, że idzie zwartym szeregiem, skoro się o jego prawa wygórowane potrafi, a my dążym każdy w swoją stronę bez poczucia wspólności... Toż motłoch ten z jednej strony a dyssydenci z drugiej, powstał przeciw myśli kawaleryi orderowej, bo dyssydenci widzieli w tem wzmocnienie katolickich uczuć, a szlachta upatrywała niebezpieczeństwo dla swoich wyuzdanych wolności.

Kanclerz mówił z takim uniesieniem i taką nienawiścią, że Kazanowski mimowoli uczuł się chłodniejszym, przypisując tę nienawiść temu, iż niedawno szlachta zaoponowała na sejmie przeciw zagranicznemu tytułom, zwłaszcza zaś przeciw tytułowi książęcemu, który kanclerz w Rzymie otrzymał i w Rzeczypospolitej używać począł. Owa więc gwałtowność płynęła widocznie z podrażnionej ambicji. Kazanowski rzekł tedy chłodno:

— Wszakże, mości kanclerzu, było tak od wieków u nas i było dobrze, tron przeto nie upadł, iż szlachta wolności swe miała; naród to rycerski, szlachectwo zdobył krwią i orężem, i trudno go zamienić w trzodę poddanych...

— Pięknie waszmość to mówisz, żeby cię szlachta za to na rękach poniosła... — odparł szyderczo Ossoliński, — ale się wam nie dziwuję: wy tę szlachtę widzicie, gdy służbę rycerską pełni, gdy w walce jest... a wówczas jest dzielną. A ja widzę ją w domu, wśród pokojowej ciszy, jako się burzy... I wać sądzisz, że to długo być może?... Było tak dotychczas, ale już nie potrwa... Ja wam powiadam: źle jest i radzić trzeba! Z Litwy idą podmuchy złe, zdradzieckie... w około tronu, ci co stoją przy nim, patrzą jeno swojej korzyści... a dalej szlachta wrzeszczy, domagając się coraz więcej. Król odkrywszy swoje zamiary wojenne i na sejmie opozycją szlachty złamany, stracił jej ufność; między nim a tymi, których wać, mości oboźny, w obronę bierzesz, urosła niechęć, rozwarła się głęboka przepaść, którą zapełnią chyba — trupy...

Kanclerz urwał, a Kazanowski zbladł, zachnął się, popatrzył badawczo na kanclerza i powstając a zbliżając się doń:

— Co chcecie rzec? — zawołał — by-  
 łożby to prawdą, co w paszkwilach różnych  
 wam i Królowi zarzucają? byłożby to prawdą,  
 jako przepaść tę zapełnić chcecie trupami  
 niesfornej szlachty z pomocą czerni kozackiej?...

Ossolińskiemu krew uderzyła do głowy...  
 wzrok zaiskrzył się dziko, zsiniałe wargi drżały.

— Na sumienie moje się klę! — za-  
 wołał — nieprawda! Ani mnie, ani Królowi  
 taka myśl nie przyszła... Ale podejrzenia są...  
 i w tem właśnie klęska, którą jeno wojna od-  
 wrócić może... Od 1646 roku, t. j. od chwili,  
 gdy zamiary wojny z Turcyą na jaw wyszły,  
 gdy Król wbrew woli sejmu, zaciągi czynić  
 kazał, lekceważąc sobie opór szlachty i gdy  
 w skutek tego owo haniebne podejrzenie  
 rzucono, rosło ono i wyrosło tak, że pod  
 jego brzemieniem Król albo upaść musi, albo  
 się nagłym czynem wydźwignąć. O zezwoleniu  
 sejmu na wojnę turecką ani marzyć niepo-  
 dobna; skoro nie zezwolono na nią wówczas,  
 gdy Król ulubieńcem narodu się zwał, to nie  
 zezwolą tembardziej teraz, gdy jest wszystkim  
 podejrzanym a wielu nienawistnym... A gdy  
 zezwolenia mieć nie możemy, iść musimy na  
 przebój, zwalczyć veto szlacheckie!... Ja się  
 pierwiej wahałem... dziś widzę, już ostatni  
 czas i nie wahać sięcale!...

— A co ztąd wyniknie? — zagadnął Kazanowski, który coraz bardziej zalterowany stanął przy oknie i patrzył posepnie w dal, na roztaczający się przed zamkiem widok, dalekie stepy i dniewrowe wybrzeża. — A co ztąd wyniknie? — powtórzył. — Żali wiecie wy, mości kanclerzu, jaką poruszacie siłę, idąc na przebój?...

— Wiem! — odparł z mocą kanclerz. — Wojna jest teraz nieodpartą koniecznością... Nie mordować chcemy szlachty, ale ten motłoch, niesforny w spokoju, rzucić w zamęt chwalebnej walki, zmusić go, aby zaprzestawszy waśni domowych, rycerskim zapałem się zagrzał... Że zaś do tego celu inaczej dojść nie można, trzeba poruszyć kozaków, rzucić ich całą masą na Tatarów i Turcyi zagrozić, aby nam wojnę deklarowała...

Kazanowski się zachnął.

— Nie trzebaż było kozaków niweczyć — rzekł. — To zaiste niebezpieczna igraszka. Raz odbiera im się wszystkie wolności i chłopami czyni, potem zaś daje się broń w rękę, podburza i każe iść za hasłem z góry narzuceniem, obiecując to, na co znów potem sejm nie zezwoli...

— Musi zezwolić! — przerwał Ossoliński. — Skoro wojna deklarowaną zostanie a na dobry koniec się obróci, kozacy otrzy-

mają wszystko... Chmielnickiego uczynimy hetmanem z zupełną władzą, powiększymy regestr, przyznamy prerogatywy szlacheckie...

— Jam nie polityk — wtrącił Kazanowski — ale tak rozumiem, że przeciw temu szlachta, zwłaszcza panowie, krzykną najgłośniejsze veto...

— Byleśmy je raz w tej wojnie złamali — odparł kanclerz — a już potem łatwiej pójdzie. Raz obalone, nie powstanie ono tak rychło... Szczęśliwa wojna, powróci Królowi cały stracony urok... przekonają się wszyscy, iż nie o mordzie szlacheckim, ale o potędze Rzpltej marzyliśmy, dążąc do przedsięwzięcia tego... i ulegną. W tej wojnie, a mówię to wam otwarcie, idzie przedewszystkiem o zwalczenie szlacheckiego veto; gdy ono upadnie, wszystko inaczej pójdzie a Rzplta, na wzór innych państw, ze wzmocnioną władzą królewską, zajaśnieje potęgą!

Kazanowski nie odrzekł na to nic. Walczyć z elokwencją Ossolińskiego, zdawało mu się niepodobnem, zresztą sam czuł, iż argumenta jego do przekonania mu trafiały, jakiś jeno lęk go chwycił przed budzeniem potęgi kozackiej, która zdawała się zupełnie złamana i spała od lat dziesięciu w nieprzerwanej niemal martwocie.

Ale Ossoliński i te wątpliwości zwalczyć umiał.

— Kozakom — mówił — sprawiedliwość uczynioną być musi, bez tego nie będzie spokoju i bezpieczeństwa w Rzpltej... zanadto się tu rozigrała swawola komisarzy i podstarościów pańskich, zanadto daleko szła pogarda dla tych, których chłopami zwano a którzy byli i mogą być w przyszłości dzielną granic obroną... Przyzwijcie Chmielnickiego, ja mocen jestem dać mu uroczyste poręczenia...

Kazanowski chociaż nie zupełnie jeszcze przekonany, wszakże widząc, jako pan Ossoliński wyraźne intencje królewskie wypowiada i nie znajdując już na wymowne jego argumenta responsu, posłał po Chmielnickiego, który, jak już wiadomo, przybył raz pierwszy na to wezwanie i ujęty elokwencją kanclerza, czynił mu niejaki obietnice, choć niepewne i chwiejne. Mając plany zdrady uknute, ofiarowanego sobie hetmaństwa nie akceptował, odkładając to na czas późniejszy a mówiąc jako i bez tego gotów jest na rozkaz królewski iść przeciw Tatarom.

Z tej konferencyi nie bardzo był zadowolony pan Ossoliński a przeczuwając w słowach Chmielnickiego jakąś zdradę, zwołał jeszcze do Czerkas innych starszych w wojsku zaporoskiem, przedewszystkiem zaś Barabasza

który też natychmiast wyprawiony został do Bohdana, aby go raz jeszcze z ostrowa do zamku sprowadził...

Napróżno wszakże czekano na powrót Barabasza i przybycie Chmielnickiego. W obszernej komnacie zamkowej siedzieli noc niemal całą Ossoliński i Kazanowski, naradzając się żywo z przyzwanymi starszymi, assawułami i sotnikami, między którymi znajdowali się rotmistrz kozaków rejestrowych Topicha, Nesterenko, Hajduczenko, Eliasza Kalenaka, Wadowski, Gurski i inni. Wszyscy oni przysięgali wierność Królowi i obiecywali posłuszeństwo jego rozkazom. Obietnice te rozpromieniały oblicze pana Ossolińskiego, wszakże niepokoiło go to mocno, że Barabasz nie wracał. Odprawivszy tedy starszyznę kozacką i umocniwszy raz jeszcze ich serca piękną przemową, wyszedł pan Ossoliński wraz z Kazanowskim na dziedziniec zamkowy, a potem po za mury i bramę i tam na wzgórku stanawszy, rozglądał się, żali Barabasza, który wyraźnie przyrzekał, iż długo bawić nie będzie, powracającego nie ujrzy.

Dokoła wszakże było pusto. Xiężyc już zaszedł i brzaskiienne przebiejały się na niebie, gasząc gwiazdy. A gdy tak stali obaj zapatrzeni w przestrzeń, ujrzeli nagle pomiędzy dworkami przedmieścia, postać jakąś wyscką,



chudą, przemykającą się spiesźnie, która widocznie ku zamkowi dążyła.

Za moment człek ten był już przed nimi a zdyszany, nieledwie do nóg panu Ossolińskiemu przypadł, wołając:

— Miłosierdzie to jest boskie, że Waszą Miłość tu spotykam... bo oto nie wiedziałem, żali mnie do zamku przypuszczą, a ważne nowiny niosę...

— Ktoś ty jest? — zagadnął Ossoliński, cofając się nieco na widok tego człowieka, który odziany nędznie, o twarzy bardzo wymizerniałej i chudej, z zapadniętymi oczyma, które gorączkowe rzucały blaski, całe zaufania nie wzbudzał, a raczej przestraczem przenikał... Włosy długie, skudłaczone a siwiejące na ramiona mu spadały.

— Ktoś ty jest? — powtórzył kanclerz, gdy na zapytanie jego człek ów nie dawał rychłego responsu.

Kazanowski zbliżywszy się, pilnie się przypatrywał owej postaci.

— A! — zawołał po chwili — to pątnik pobożny, który był mi bardzo usilnie polecony przez znanego i wam dobrze, mości kanclerzu, świątobliwego Dominikanina O. Polikarpa. Chodzi tu on oddawna między ludem a modlitw ich uczy i pobożności daje przykłady; pono

z Litwy jest.... nazwiska swego wszakże powiedzieć nie chce....

Ossoliński z ciekawością spojrział na pątnika, który z pochyloną głową stał przed nim, jakby wstydząc się słów Kazanowskiego.

— Co po mojem nazwisku? — wtrącił ponuro. — Bylebym Bogu, Rzpltej i Królowi wiernie służyć mógł — a jużby mnie tam w niebiesiech, kędy być pragnę, poznali....

— Ale tu na ziemi, — przerwał Ossoliński — jakoż słowom takim wierzyć, gdy niewiadomo od kogo pochodzą....

Pątnik podniósł głowę i zapadłemi swemi a świecącemi oczyma spojrział w twarz kanclerza.

— Gdyby Waszej Miłości do uwierzenia słowom moim potrzeba było mego nazwiska, to gotów jestem je wyznać, jakkolwiek ono wam nic nie zwiastuje.... Przebrzmi bez znaczenia w uszach waszych.... Ale oby darmo nie przebrzmiały prośby!....

Ossoliński z coraz rosnącym zdziwieniem słuchał słów pątnika z niezwykleym wypowiedanych zapalem. Z ust tego człowieka, który na żebraka wyglądał, padały wyrazy urywane, szybkie i natchnieniem przejmujące.

— Jakież to są prośby? — zagadnął.

— Ratujcie, mości kanclerzu, Króla i Rzeczpospolitę!.... — zawołał pątnik. — Zdrada tu się go-

tuje wielka.... całe kozactwo niemal zbuntowane; na Siczy Chmielnicki przygotował już wszystko a z Tatarami jest w porozumieniu; dziś tu był.... widziałem go przed momentem, gdy owo zwierzę dzikie, Tarasa Bihuna, odwiedzał, a już pewno nie w dobrych zamiarach....

Ossoliński porwał się w zdumieniu wielkiem.

— Chmielnicki tu? — zawołał — nie może to być, wszakże Barabasz u niego na ostrowie jest....

— Na Boga przysięgam! — przerwał pątnik — jakom go tu widział, gdy do chałupy Tarasa wchodził.... Szedł z drugim, który przezornie oblicze swe krył, żem go dobrze dojrzeć nie mógł, ale tak mi się zda, że to jest ów polak, Krzyczewski, dowódzca rejestrowców czechryńskich.... Jużem go dawno posądzał o zdradę.... a musiała to być jakaś straszna namowa, kiedy tak tajemnie, w nocy tu przyszli.... Słów dosłyszeć nie mogłem, alem ich widział dobrze i zaraz tu pobiegłem, aby wam, mości kanclerzu wiadomość dać. Straszliwe gotują się rzeczy!....

— Nie może to być — wtrącił Kazanowski — aby Krzyczewski na zdradę się zmawiał, on przecie wierny, chociaż Bohdana zasłania i broni....

— Nie wiercie! — zawołał pątnik z zapalem — nie wiercie ani rejestrowym, ani ich dowódcom! są niektórzy wierni, ale ich mało — większość zdradziecka!...

Pątnik ramiona do góry podniósł.

— Mości kanclerzu! — zawołał. — Wracajcie co rychlej do Króla i wielką, wielką siłę gromadźcie, bo nieszczęście stanie się ogromne. Krzywdy tu się działy i dzieją; z winy niektórych panów, a bardziej jeszcze podstarościch pańskich, nienawiść urosła wielka; chłopstwo do wolności nawykłe, znów ujarzmione, czeka jeno hasła, aby się rzucić... za winy niewielu, strumienie krwi płynąć będą, morze krwi się rozleje!...

Głos łamał się w piersi pątnika. Mówił niemal szeptem, ale każdy wyraz wnikał jakimś przerażeniem dziwnem w Ossolińskiego duszę.... Rozwaga nie dozwalała mu przykładać wielkiej wagi do słów nieznanego człeka, który na poły szalonym się zdawał.

— Zkądże ty takie hiobowe wieści niesiesz? — ozwał się znowu. — Ja dzisiaj miałem zapewnienia od całej niemal starszyny kozackiej....

— Zapewnieniom nie wiercie! — przerwał pątnik. — Zapewnieniom nie wiercie! Przebiegłem ja całą Ukrainę wszerz i wzdłuż

i lepiej ją znam niż Barabasza lub Nestereńko, którzy są wierni....

— A któż cię tu posłał? — spytał jeszcze Ossoliński z coraz większem zajęciem patrząc na dziwną postać pielgrzyma — kto ci kazał badać owe sprawy?....

— Kto mię posłał? kto mi kazał? — powtórzył pątnik. — Kazał mi Bóg, a posłało sumienie.

Zatrzymał się moment, a potem nagle, jakby namyśliwszy się i przystępując blisko do Ossolińskiego, rzekł:

— Moje słowa, jak widzę, nie będą miały dopóty wagi, dopóki nie będziecie wiedzieli kto je mówi. Otóż wam powiem, mości kanclerzu: Pochodzę z Litwy, z Birż, szlachcicem jestem.... Wodźbun moje nazwisko. W młodości stałem się zbrodniarzem; słuchałem podszeptów zdradzieckich i sam zostałem zdrajcą.... a odtąd dusza moja spokoju nie ma.... Jako szatan zdrady opętał mię niegdyś i śigał mię aż do tego momentu, gdy ujrzałem rodzica własnego, idącego przeciw mnie i Szwedom, których wiodłem; aż do tego momentu, gdy ujrzałem strumienie krwi, które lały się przezemnie.... tak i ja teraz śigam zdradę wszędy, gdzie ją dojrzę, a żywot mój cały ofiarowałem na to odpokutowanie.... Na Boga, na zbawienie moje przy-

sięgam, jako prawdę mówię!... Jako burzany na stepach, jako kłosa na bujnej ziemi tu-tejszej, taka moc niezliczona buntowników powstanie zagnała, przeciw panom i szlachcie... Skorom usłyszał, jako ma być wojna z Turcyą za pomocą kozaków, poszedłem tu i snuję się jak cień, nocą i dniem, za każdym chodzę i myśli jego zgaduję... A widzę jako na dzie-sięciu jednego wiernego nie masz...

Zbladły z przerażenia słuchał kanclerz tej mowy, zwracając się czasem ku Kazanowskiemu z niemem zapytaniem. Kazanowski równie pomieszany, nie wiedział co czynić ma, a na owe zapytania nieme kanclerza, po-wtarzał jeno:

— O. Polikarp go polecał...

— Zda mi się nie spełna rozumu jest... — szepnął Ossoliński do czerkaskiego starosty, odprowadzając go nieco na stronę, gdy Wodź-bun jakby zmordowany mówić przestał. — Można-li mu zaufać?...

— Nie znam go — odparł Kazanowski — wiem jeno, że od dawna tu się snuje, całą Ukrainę zna i obyczaje tutejsze. Lud go po-waża, za świętego uważając... To go też jedno tu broni, a wszakże raz go już zamordować chciano w jakiejś zamieszce, w której on po stronie pana przeciw zbuntowanemu chłopstwu stanął... Człek jest dziwny... Teraz błaga,

aby go rejestrowym kozakiem uczynić, bo powiada, jako w ten sposób łącniej rejestrowców pilnować będzie i wierności wśród nich przestrzegać....

— Trzeba go jednak dokładniej wybadać.... — zauważył Ossoliński — czasem i takie relacye mogą mieć wagę, a myślę go też wysłać, aby spenetrował, co się tam z Barabaszem stało, bo niepokoi mię to mocno, iż Chmielnicki tu był pokryjomu tej nocy i jakieś spiski z owym Tarasem knował....

Podczas tej rozmowy, Wodźbun stał z oczyma ku niebu wzniesionemi, jakby się modlił, a z widoczną radością przyjął wezwanie kanclerza, aby z nim do zamku szedł.

— Niech będą Bogu miłosiernemu dzięki! — zawołał — jako mnie nędzarza wysłuchać chcecie.... może też jeszcze czas....

Już dzień był biały, kiedy Wodźbun zamek opuszczał. Ossoliński mocno zafrasowany pożegnał go polecając, aby nie ustawał w badaniu i pilnem śledzeniu, wszystko zaś natychmiast Kazanowskiemu lub innym starostom donosił. Na razie zaś polecił mu, aby spenetrował co się z Barabaszem stało.

Tegoż dnia wszakże Barabasz sam przybył do Czerkas. Pomieszany był bardzo i mówił, jako zbyt uczęstowany przez Chmielnickiego, zachorzał; ponawiał obietnice swoje



i składał zapewnienia wierności; nie uszło wszakże bacznej Ossolińskiego uwagi, jako czynił to z niejakim wahaniem i wyraźny przy tem niepokój zdradzał.

Z takim rezultatem, pełen obaw i fraszunku a bardziej niż kiedy przeświadczony o konieczności wojny, która w czas deklarowana, jedynie to wszystko potłumić jeszcze mogła, powrócił Ossoliński do Warszawy i zdał Królowi relację z poselstwa. Nie mogło ono zadowolić Władysława, który też natychmiast postanowił innych jeszcze posłów na Ukrainę wyprawić, którzyby bliżej sprawy kozackie zbadali i ze wszystkimi starszymi assawułami i sotnikami w bliższe a stanowcze porozumienie weszli.

— Młodszych do tego potrzeba — mówił Król — niż Ossoliński, który latami starszy i dostojęnstwy wyższy, nie tak łatwo poruszać się i nachylać może. Ossolińskiemu z Papieżami i Królami a nie z motłochem kozackim gadać.... Przychodzi mi też na myśl, aby Radziejowskiego, starostę łomżyńskiego, tam wysłać.... On Ukrainę już zna, bom go tam z listem do Barabasza posyłał — głowę zaś ma mądrą a przebiegłą, która to i owo potrafi....

Słyszając zaś to pan Adam Kazanowski, marszałek nadworny, doradzać począł, aby

Radziejowskiemu przydać za towarzysza Sicińskiego Władysława.

— Jestto dworzanin mój od lat wielu, zaufany i wierny — mówił — za sprawność jego, przezorność i rozum ręczyć mogę, bom go doświadczył, a wiem, że on i tam dosięgnąć zdoła, gdzie pan Radziejowski nie pójdzie....

— Dobra myśl — rzekł Król — ale stanowiącą decyzję jeszcze odłożono — i tak się to ciągnęło, aż do jesieni 1647 r.

---

## XII.

Władysław Siciński, od kiedy z polecenia xiążęcia Krzysztofa Radziwiłła na dwór Kazanowskiego się dostał, pozostawał ciągle na tem samem stanowisku, chociaż biegły lata, nie ziszczając dotąd jego nadziei, nie przynosząc mu ani takiego wywyższenia, o jakim marzył, ani dostatków takich, jakich pożądał. Był wprawdzie pierwszym na Kazanowskiego dworze, usilną pracą i staraniem posiadał zaufanie zupełne nieprzystępnego zwykle i hardego pana, ale łaski te nie dawały mu dotychczas spodziewanych owoców. A żywot jaki prowadzić musiał, był stokroć może jeszcze gorszym, niż owe młodzieńcze lata spędzone w ponurym zamku birżańskim.

Wspaniały gmach na Krakowskiem Przedmieściu stał się przedmiotem ciekawości powszechnej, od kiedy go hojność królewiców polskich Adamowi Kazanowskiemu darowała. Zgromadził też on tam niewidziane cuda i nieprzeliczone bogactw skarby, a łaska monarsza

wszystkie swoje promienie skierowała ku tej siedzibie ulubieńca, wynagradzając go w dwójnasób za poniesione ofiary i czyniąc najbogatszym panem w Koronie.

Gdy w dniach pogodnych, jaskrawe blaski słońca odbijały się od złotych gałek i ozdób krużganków, niby aureolą promienną otaczając rezydencyę wspaniałą, gdy z marmurowych galeryj i altan pałacu rozbrzmiewały dźwięczne tony muzyki, towarzysząc wspaniałym bankietom i ucztom, przechodnie zatrzymywali się w zdumieniu nad tą świetnością i bogactwy.

Mijały lata. Pan Kazanowski ze stolnika koronnego, podkomorzym koronnym a wreszcie marszałkiem nadwornym mianowany, zdawał się stać u szczytu potęgi. I nie jeden zazdrościł szczęścia temu, który oprócz owych godności, posiadał liczne a intratne starostwa, szczycił się niezachwianie zaufaniem i miłością królewską, był zaś małżonkiem najpiękniejszej w kraju a równie bogatej niewiasty. I z pozoru zdawało się istotnie, jako los się wysilał, aby Kazanowskiego najszcześniejszym uczynić; był dość potężnym, aby zawistnymi móżd gardzić, ze współzawodnikami zwyczajko się mierzyć a nie lękać się żadnych podstępów. Mógł nieprzyjaciół zgłębić jednem swem

słowem, przyjaciołom zaś także jednym słowem zapewnić znaczenie.

A jednak wśród tych wszystkich szczęścia i powodzenia warunków, dumna twarz marszałka wyrażała najczęściej przygnębienie i smutek; w przygasłym jego wzroku zapalały się wprawdzie czasem ognie gorączki, lecz wrychle gasły a z ust zbladłych padały wyrazy pełne zniechęcenia, zimne jak lód, obojętne a czasem jak ostrze miecza szyderskie.

W duszy dumny i hardy, zarówno nieufnie przyjmujący życzliwe słowa jak marne pochlebstwa, Kazanowski, to rzucał się chwilami w odmet intryg dworskich i rozpoczynał zaciętą walkę ze wszystkimi, których znaczenie jego własnej influencyi grozić się zdawało, to otaczał się pustką, grobowem milczeniem i stronił od ludzi, aż znów nagle sale pałacu otwierały się na oścież, gromadząc tłumy obojętnych lub zawistnych. Wówczas gmach olbrzymi rozświeciał się sztucznym blaskiem, p. marszałek nadworny z uśmiechem uprzejmym na ustach witał tłumy gości, całą swą umiejętność dworską wysilał, aby pociągnąć ku sobie i zjednać; olśniewał przepychem i bogactwem, wśród których wspaniała postać małżonki, najcudniejszym wydawała się klejnotem....

Ale za moment gasło znów wszystko na długo.... Cień ponury pokrywał zamek i jego mieszkańców, gromady dworzan znudzone tą ciszą, rozbiegały się po mieście, szukając gdzieindziej zabawy, a pustkę sal bogatych, monarszym zbytkiem lśniących, zapełniał smutek nieukożony i przerażający....

Było w tym zamku tak samo niemal jak w kraju. W kraju było także wielkie bogactwo, roztaczane dumnie na wspaniałych ucztach, wjazdach tryumfalnych, uroczystościach weselnych; była rzeczywista i jeszcze niezachwiana potęga, ale bez możliwości należytego jej użycia; były wszystkie warunki pomyślności i znaczenia na zewnątrz, ale wewnątrz coraz większa niezgoda i rozterka, brak uznania władzy, brak należytej spójni, owszem dążenie, aby władzę coraz bardziej osłabić a węzły łączące potargać.

Po tryumfach wyprawy moskiewskiej, po zawarciu rozejmu ze Szwecją i korzystnego z Turcją pokoju, zdawało się, iż panowanie Króla Władysława przyniesie narodowi zupełne szczęście a potęgę Rzeczypospolitej na zawsze ustali. Zabezpieczona od Wschodu i Północy Polska, dążyć się zdawała przyrodzonym biegiem rzeczy do aliansu z Francją, który zapewniał pomoc przeciw Szwecyi, czynił możebnem odzyskanie Szlązka

a co najważniejsza, dawał Rzpltej przynależny głos w radzie mocarstw Europy środkowej. Alians ten wszakże nie przyszedł do skutku, a bezczynność opanowała politykę Polski na długie lata. W pokojowej ciszy słabnął duch narodu, objawiający się jeno niesfornością na sejmach burzliwych, wśród waśni wewnętrznych, intryg dworskich i religijnych niesnasek.

Nieufność rosła między narodem a Królem; szlachta na sejmach i sejmikach, lękając się wzmagającej się potęgi optymatów, którzy tron otaczali, domagała się ciągle ograniczenia władzy monarszej a odpychała stale wszelkie pokuszenie, aby ją umocnić; dyssydenci burzyli się nieustannie, kościoły unicki i wschodni były w otwartej walce, wszelkie zamierzone przez Króla w tym kierunku reformy rozбивały się w samym zarodzie, a Władysław nie miał dość wytrwałości czy siły, by rozpoczętemu dziełu, pomimo przeszkód, powodzenie wywalczyć. Otoczony dokoła intrygami dworskiemi, niezgodą i rywalizacją możnowładców a burzliwemi roszczeniami szlachty, coraz bardziej zapadający na zdrowiu i dręczony ciężką chorobą kamienia, Władysław porywał się chwilami do czynu, zapalał się do myśli wielkich i zbawczych przedsięwzięć, ale wnet złamany moralnie i fizycznie, zapadał w niemoc



Jak cofnął się przed zamierzonym poślubieniem palatynówny Renu, wnuczki Jakóba króla angielskiego, co mu zapewnić mogło przyjazną pomoc potężnej Anglii, jak potem wyrzekł się zamiaru poślubienia księżniczki francuskiej i zjednania sobie w ten sposób aliansu z Francją, przez nią zaś z Zachodem, a wyrzekł się w obec niechęci senatu, z którą walczyć nie chciał, — tak też i w następnych latach panowania swego, nie umiał postawić niezwalzonego oporu ani zachciankom szlachty, podnoszonym na sejmach burzliwych, ani groźnej potędze możnowładców, która z dniem każdym rosła, czerpiąc teraz nowe siły w olbrzymich fortunach na Ukrainie gromadzonych....

W pośród tych wewnętrznych niebezpieczeństw i niesnasek, rwąca się do czynu dusza Króla Władysława, przemysliwała wciąż jednak o sposobach ratunku. W około niego gromadzą się doradcy: poseł wenecki Tiepolo, nuncyusz apostolski de Torre a w pierwszym rzędzie Jerzy Ossoliński — wszyscy zaś pragną wojny tureckiej, widząc w niej jedyny środek stłumienia waśni domowych a zarazem zdobycia wielkiej potęgi.

Okryty chwałą w zagranicznych poselstwach, bystrości umysłu i elokwencji niezrównanej, Ossoliński, przebojem niejako, po-

mimo nienawiści szlachty, niechęci i zazdrości, jakie obudzał, wywalczył sobie wyjątkowe, potężne stanowisko. Mierzył się on nawet i zwycięsko się mierzył z kochankiem królewskim, Kazanowskim. Ten bowiem, pewien królewskiego affektu, nie mieszał się zrazu do spraw publicznych, a gdy Król przybywał do pałacu swego kochanka, lub gdy Kazanowskiego wzywał do siebie, to nie po to, aby z nim o planach swych lub zamysłach wojennych radzić, lecz aby o troskach wszelkich w wesołej a poufnej rozmowie zapomnieć. O tych rozmowach a biesiadach poufnych, obiegały nawet rozmaite, dziwaczne wieści; nikt do nich przypuszczany nie był, prócz kilku ulubieńców królewskich, na których milczenie rachować było można. Odbываły się one w osobnych komnatach pałacu, do których, prócz Sicińskiego, żaden z dworzan Kazanowskiego dostępu nie miał. Opowiadano, że tam dzieją się orgie haniebne a podejrzenia te umocniły się jeszcze, gdy raz dojrzano, jako pokryjomu przybyła do pałacu i w wielkiej tajemnicy przez Sicińskiego do owych komnat wprowadzoną została, dawna kochanka królewska, zwana Jadwiżką ze Lwowa, którą Król wydał za Jana Wypyskiego chorążego nurskiego, nadawszy mu oraz na Litwie starostwo mereckie.

W pośród dworzan rosła ciekawość wielka, ale pomimo usilnych starań nic więcej dośledzić się nie udało. Zazdrosnem jeno okiem spoglądano na Sicińskiego, który był tych wszystkich tajemnic powiernikiem. On wszakże mileżał jak grób, a wszystkie pytania zbywał jeno uśmiechem lub pogardliwą odpowiedzią, która żadnego wyjaśnienia nie dawała.

Jak niegdyś w Birżach, tak i tu obecnie Siciński przedmiotem był powszechnej nienawiści wśród dworzan. Dziwowano się, w jaki sposób umiał on pozyskać zaufanie pana i takie łaski, jakich nikt dotąd nie dostąpił. Zrazu potulny i uprzejmy, Siciński stał się hardym i zuchwałym, od kiedy łask pańskich był pewnym, lekceważąc ową nienawiść, jaką dokoła siebie obudzał. Z podniesioną dumnie głową, którą jeno przed panem kornie schylał, patrzył on zrazu śmiało w przyszłość i zdawało mu się, że jest blizkim urzeczywistnienia najśmielszych nadziei.

Wielką pracą, nieustannemi zabiegami i starannością zdobył on to, co zdawało się najtrudniuszem: zaufanie Kazanowskiego, który nikomu ze swych dworzan przystępu do siebie nie dawał i przed nikim nie zwykł się był zwierzać. Najwymowniejszym znakiem tego zaufania, było to, iż gdy Kazanowski na zdrowiu zapadał — a zdarzało się to coraz

częściej — i gdy do jego komnaty nikomu wejść wówczas nie dozwolano — jeden Siciński miał i tam przystęp i przy chorym panu dnie i nocę spędzał. Nawet jedyny dawniej zaufany dworzanin i krewniak p. Kazanowskiego, Nakielski, z łask marszałka przez Sicińskiego wyparty został.

— Dwie są tajemnice w tym pałacu — mówili dworzanie — to najpierw odwiedziny królewskie i to, co się w owych skrytych komnatach wówczas dzieje, — powtóre, choroba pańska, której dotychczas nikt nie spenetrował....

— Jest i trzecia jeszcze tajemnica — dorzucił słysząc to jeden ze starszych dworzan — a ta pono najważniejsza jest....

— A jakaż to jest trzecia? — pytano.

Stary dworzanin nie odpowiadał na to nic, jeno wskazywał w tę stronę, kędy były komnaty małżonki marszałka.

A na to jedni uśmiechali się złośliwie, drudzy zaś, liczniejsi, ze współczuciem głosami kiwali, mówiąc:

— Biedna niewiasta!

Wszakże Halszka nie skarżyła się nigdy i przed nikim na swoją dolę. Uroda jej rozkwitała z rokiem każdym i stawała się coraz wspanialszą, a wśród królewskiego przepychu, jakim ją Kazanowski otoczył, zdawała się

rozpromieniać coraz większym blaskiem. W czasie uczt i bankietów ukazywała się Halszka jak bóstwo, któremu wszyscy składali hołdy, ale ona je od wszystkich przyjmowała z jednaką obojętnością. Wśród szmeru uwielbień i zachwyków, przechodziła majestatyczna i zimna nie poruszając się niczem; z ust jej czarownych, które się rzadko rozchylały uśmiechem, wychodziły wyrazy uprzejme, ale najczęściej jakby w roztargnieniu wypowiedane; spojrzenie promienistych jej oczu błąkało się prawie bezwiednie, nie zatrzymując się na nikim, jakby nikogo przed sobą nie widziało.

Z wyjątkiem dni owych, w których podwoje pałacu otwierały się na wspaniałe przyjęcie liczego zastępu najprzedniejszych w stolicy gości, Halszka spędzała żywot w zamknięciu niemal zupełnem. Wiedziano jeno, że część bogactw swych używa na wspomnienie nędzy, że kościołom i klasztorom liczne czyni ofiary, że niejednokrotnie sama wyjeżdża, aby ubóstwu pomoc przynieść. Ztąd na całym dworze wielbiono ją i miłowano bardzo, a domyślano się ze współczuciem, iż żywot tej pięknej pani otoczonej monarszym przepychem, musiał być bardzo nieszczęśliwym, jakkolwiek z ust Halszki nie wyszło żadne słowo skargi, a cała jej postać zdradzała raczej lodową obojętność i spokój, niż

smutek. Raz jeden tylko widziano bladość rozpaczy na jej obliczu a łzy w oczach. Było to w pierwszym roku pożycia z Kazanowskim, gdy po raz pierwszy odwiedził córkę wojewoda Słuszką. Halszka niemal z krzykiem, nie bacząc na obecność ciekawych, wybiegła naprzeciw rodzica i ze łzami a łkaniem do stóp mu się rzuciła.

Jaka była rozmowa między rodzicem a córką i jakie wyznania, to jeden Bóg mógł wiedzieć — wiedzieli wszakże wszyscy jako ta rozmowa długa i bardzo rzewną była. Słyszano łkania i jęki Halszki, słyszano głos pana wojewody raz poważny i surowy, to znów łagodny i drżący wzruszeniem, widziano też potem twarz jego bladą, głęboki wyrażającą smutek i oczy łez pełne, gdy na pochylonem czole córki ukochanej kreślił krzyż pożegnania, wyjeżdżając. A po wyjeździe jego Halszka przez długie dni ze swych nie wychodziła komnat, pan Kazanowski zaś ciężko zachorzał. A gdy podźwignął się z niemocy, zaczęło się odtąd owo życie jednostajne na pozór, bez burz żadnych i niepokojów. Jeden może Siciński wiedział więcej niż inni, jeden może wiedział co się poza tym zewnętrznym kryje spokojem; on baczną na Halszkę zwracając uwagę, umiał dostrzedz poza uprzejmym uśmiechem, boleśne ust skrzywienie

a w spojrzeniu dla wszystkich na pozór obojętnem, ognie tłumionej namiętności. On jeden wiedział; ale milczeć umiał i milczał uparcie. Dworzanie przeczuwali jeno, że w czasie owego przyjazdu pana Słuszki i wynikłej ztąd długiej choroby marszałka, musiał on pochwycić tajemnicę ważną, która go czyniła panem, zapewniając mu łaski Kazanowskiego na zawsze.

A nie tylko sami dworzanie byli ciekawi owych tajemnic; najbardziej może ciekawym był imćp. Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński. W rzędzie tych, którzy pięknej Halszce hołdy składali, był on najpierwszym, a nie dawał się odstraszyć ani obojętnością jej, ani nawet pogardą, jaką mu okazywała.

Pan starosta łomżyński nie zawiódł wcale pokładanych w nim za lat młodzieńczych nadziei; miał powszechną sławę przebiegłości i rozumu. Śmiały aż do zuchwalstwa, chytry bez granic żadnych, porywczy względem niższych lub równych a korny i do wszelkich usług gotowy dla wyższych lub wpływy znaczne mających, starosta łomżyński szedł hardo naprzód, druzgocząc wszelkie zapory i urągając wszelkim zasadom. Mówiono o nim głośno, że gwałtownik jest i rozpustnik. Szlachcie pewien, nie mogąc inaczej spra-



wiedliwości z możnym panem otrzymać, oskarżył go publicznie na sejmie, jako córkę jego siłą zniewolił; ale pomimo tego, Radziejowski umiał utrzymać się na stanowisku i wszystkie owe gadania a oskarżenia nieszkodliwemi dla siebie uczynić. Młody, bo zaledwie trzydzieści kilka lat wieku liczący, był już wdowcem po dwóch żonach, których znaczną fortunę zagarnął, a obiegały wieści, że je brutalnem zachowaniem i głodem pomorzył. Szła tedy za nim nienawiść i pogarda powszechna, ale on urągał wszystkiemu, przebiegłością swą niszcząc zabiegi nieprzyjaciół, a zawsze na to jeno bacząc, aby wyzwawszy do walki którego z przeciwników, miał poparcie możniejszych. Poparcie to, chytrą zdołano, znajdował Radziejowski u królowej Cecylii Renaty, a po jej śmierci pozyskał równe względy u drugiej małżonki Władysława IV Maryi Gonzagi. Był krajczym nadwornym królowej, a za jej protekeyą uzyskał urząd administratora żup krakowskich, z kąd wielkie czerpał dochody. Rósł tak w dostatki, budząc odrazę lecz zarazem bojaźń, czekał zaś na coraz większe zaszczyty, pewny, iż go nie miną.

Nosił tedy wysoko głowę pan starosta łomżyński. Nie wielka jego, dość opasła postać, prostowała się dumnie, a małe, biegające oczy, iskrzące się z pod wielkiej pudrowanej peruki,

patrzyły przed siebie zuchwale. Dotychczas w życiu nie spotkał żadnej niezwalczonej przeszkody; te zaś które były, pogruchotał śmiało; brał siłą to, czego inaczej ująć nie można było.

Wzrok jego chciwy, nienasycony, lubieżny, oddawna ścigał Halszkę Kazanowską. Gdy ukazywała się ona w stroju wspaniałym, gasząc promienną urodą blask brylantów, które jej włosy i szaty zdobiły, przyćmiewając wszystkich i wszystko dokoła, Radziejowski czuł, że mu serce w piersi kołacze, jak nigdy, że krew lawą ognistą rozlewa mu się po żyłach, że za jeden uśmiech, za jedno słowo miłości z ust tej kobiety, oddałby całą swą przyszłość, wszystkie pożądanja i nadzieje. I zbliżał się do niej, cicho, jakby ukradkiem, napawał się wonią jej szat, upajał obecnością, pożerał rozplomienionym wzrokiem, a przemawiał nieśmiało, niezręcznie, tracąc przy niej zwykłą swą zuchwałość.

Ona zaś patrzyła na niego z tak zimną pogardą, że Radziejowski wzdrygał się nieraz i kurczył jakby zimną wodą oblane. Na jego rozgorączkowaną głowę padało to spojrzenie lodem i tamowało bicie serca, że układne słowa zamierały na zwykle wymownych ustach pana starosty. Nieraz układał sobie naprzód co przemówi do Halszki, układał sposoby

złobyciu jej przychylności — jedno jej spojrzenie, widok jej ust lekceważącym uśmiechem rozchylonych, wystarczał, aby wszelkie owo przygotowania w niwec obrócić. Ona patrzyła na niego zawsze z taką pogardą, jak wówczas, na uczcio u xiążęcia Radziwiłła, gdy po haniebnej bitwie z Daniłowiczem, stanął przed nią w podartej odzieży, bez peruki, z poszarpanemi i wzburzonemi włosami, pieniaący się ze złości a blady ze wstydu. Obraz ten snadź niezatarty w jej pamięci pozostał.

Ale im większa była obojętność Halszki, tem większy upór i zawziętość budziły się w sercu Radziejowskiego. Nie była to miłość, którą dla niej uczuwał, ale ślepa i pełna pożądania namiętność, która często przeradzała się w nienawiść i chęć zemsty za doznawaną pogardę. Nieprzeparta siła jakaś popychała go ku tej kobiecie, tem potężniejsza im większy i bardziej na pozór niezwalezony spotykała opór.

W rozbudzonej wyobraźni starosty, snuły się coraz jaskrawsze i ponętniejsze marzenia. Ową dumną, obojętną Halszkę widział on nie raz w snach gorączkowych, wyciągającą ku niemu namiętnie ramiona, widział jej usta rozchylające się nie pogardliwym, lecz pełnym nieprzepartego uroku miłośnym uśmiechem, słyszał jej słowa upajające rozkoszą... Da-

remnie, aby wydrzeć te obrazy z duszy, usiłował zająć myśl, utopić ją w szalonych wybrykach i zabawach; wracały one później stokróć jeszcze jaskrawsze, a blade usta starosty szeptały z mocą:

— Ona musi być moją!

Widział on równie dobrze jak wszyscy, iż tajemnica jakaś zdawa się otaczać małżeńskie Halszki pożycie; nikt bowiem przypuścić nie mógł, aby szczęśliwą być mogła z małżonkiem, którego ciężka a nieuleczalna choroba, wstręt budzić musiała i tworzyć między nim a nią nieprzebytą przepaść. Coraz głośniejsz mówiono, iż owa choroba, z którą się pan marszałek tak starannie ukrywał, to epilepsya, powracająca coraz częściej i gwałtowniej; do uszu starosty dochodziły wieści, jako Halszka cały niemal żywot spędza zamknięta w swoich komnatach, a małżonka jeno przy ludziach widuje, nie mówiąc z nim prawie nigdy. Spenetrować tajemnicę tego zamkniętego żywota, przeniknąć, jakie uczucia tkwiły w skrytem sercu Halszki, to jedynie mogło zapewnić zwycięstwo, mogło doprowadzić do zdobycia tego serca. I to stało się odtąd celem zabiegów starosty.

Bystrem swoim spojrzeniem przeniknął on od razu, że jeśli kto, to jeden tylko Siciński może mieć ślad owych tajemnic, i dla tego

wszelkimi sposoby usiłował pozyskać jego życzliwość i zaufanie. Dumny względem wszystkich, którzy mu stanowiskiem nie dorównywali, stał się on niejako przyjacielem dworzanina Kazanowskiego, udzielał mu nieraz zbawiennych rad i ostróg a często trafiając w ambicję jego, którą przeczuwał, jako wielką jest i nienasyconą, wyrażał przed nim zdziwienie, iż najpiękniejsze lata życia marnie spędza na służbie, która wielkiej nie przedstawia przyszłości.

A gdy, dzięki zabiegom pana starosty, przyszło między nimi do poufałości takiej, że już sobie to i owo opowiadali, zaszedł raz p. Radziejowski, niby przypadkiem do mieszkania Sicińskiego w pałacu i po kilku zrazu obojętnych słowach, znów mu to samo powtarzać począł: —

— Ja was nie rozumiem — mówił — przyglądam się waszemu tu życiu i widzę jako mizerne jest. Przy chorym ustawicznie marszałku, nie wesoło; podczas gdy towarzysze wasi zabawiają się w mieście, wy jak na pokucie albo w więzieniu siedzicie...

Słowa te znajdowały żywy oddźwięk w duszy Sicińskiego.

Radziejowski miał rację: on młodość swoją marnował; w ciągłych zabiegach o łaski pańskie, w obawie, aby ich nie utracić lub

nie dać się ubiedz innemu, wyrzekał się wszystkiego, nie wychodził prawie nigdy, do żadnych uczt wesołych z towarzyszami nie chciał należeć. Czuł, że ma w duszy rozmaite myśli, które mu tać należało, różne też tajemnice cudze, które za skarb swój na przyszłość uważał, a lękał się, aby w szale wesołości lub upojenia, nie zdradził ich nieostrożnem słowem. W oczekiwaniu rezultatu zdobytych łask pańskich, zapatrzony w przyszłość swoją, którą chciał mieć wielką i świetną, na terażniejszość zwracał on o tyle uwagi, o ile to mu nadal posłużyć mogło. Zdawał się czekać, aż przyjdzie chwila używania, chwila w której osiągnie wszystko, czego pragnął a tem samem pozbędzie się obawy i troski, która go obecnie gnębiła, każąc strzedz się wszelkiego zapomnienia.

Słowa Radziejowskiego rzucały mu żar w duszę, podnosiły bunt przeciw postanowieniom, osłabiały wolę. Odpychał je jako pokuszenie.

— Dość mi na tem — odpowiadał — że zaskarbiłem sobie łaski i zaufanie pana marszałka.... on mi zginać nie da, a w przyszłości może i moje służby wierne znajdą nagrodę....

Radziejowski zaśmiał się szyderczo.

Piękna to rzecz zaufanie pana — rzekł, ale co do mnie, jabym wolał zaufanie i łaski pięknej małżonki jego...

Siciński spojrział bystro na starostę, który mówił dalej:

W naszej Rzeczpospolitej zawsze biłogłowa znaczy więcej, a jej influencya przemożną jest. Wszak przypominasz sobie wacpan, co się działo za życia królowej Cecylii Renaty i co się teraz dzieje... U dworu nie Król, ale królowa stanowi.

Nie zawsze tak jest — zaproponował Siciński — zwłaszcza nie zawsze tak było za życia królowej Cecylii...

Wiem, o czem chcecie mówić — podchwycił szybko starosta — o Denhoffie, jako pomimo oporu królowej, marszałkiem nadwornym jej został... To prawda, iż w tym wypadku influencya innych a mianowicie pana Kazanowskiego, przeważała. Wszakże tu musiały być inne ważne powody, które to sprawiły, a tak mi się widzi, jako w tym razie nie chodziło ani o Denhoffa, ani o królowę, jeno że to była walka pana Kazanowskiego z Ossolińskim... przeczuwam zaś jako i tu bez niewieściej interwencyi się nie obeszło, interwencya zaś ta była po stronie pana Kazanowskiego i okazała się silniejszą, niżli znaczenie Ossolińskiego w sojuszu z królową...



Siciński się uśmiechnął.

— Wy to najlepiej wiedzieć musicie — dorzucił Radziejowski, patrząc z ukosa na Władysława — ale od was trudno słowo wyciągnąć.... milczycie nawet przedemną, a otwarcie rzekę, czynicie źle, bo ja w zamian, mógłbym wam niejedno powiedzieć, coby wam oczywisty przyniosło pożytek....

— Ależ panie starosto — przerwał Siciński — nie widzę, cobym miał Waszej Miłości rzec, czegobyście nie wiedzieli w tej sprawie, która, że dawno przeminęła, żadnego też znaczenia mieć nie może....

— Mylicie się — wtrącił Radziejowski — albo też nie mówicie szczerze. Sprawa ta, na którą ja ze strony królowej patrzyłem, o tyle ważną jest i teraz, że pan Kazanowski wbrew zwyczajowi swemu, zerwał się wówczas do spraw publicznych, czego dawniej nie czynił. Widocznem było, iż działał pod wpływem, za instygacją przemożną.... a nie pomyłę się pewno, skoro rzekę, iż potężna influencya ta wychodziła od pięknej małżonki marszałka.... A skoro tak było wówczas, może się stać znowu, każdej chwili.... rzecz to więc jest zawsze ważna....

Radziejowski przerwał i bacznie rzucił okiem na Sicińskiego.

W ten sposób sprowadził on zrazu obojętną dyskusję na pożądane tory: dotykał kwestyi stosunku Kazanowskiego z małżonką.

Siciński milczał długi moment, czując dobrze w mowie starosty uczynioną zasadzkę. Zastanawiał się on też nad tem, czy rzeczywiście częściową przynajmniej szczerością, nie należało zdobyć sobie przyjaźni Radziejowskiego i łaski sobie ofiarowanej. Zamykał się on dotychczas w wiernem milczeniu, a to mu żadnych nie przyniosło korzyści; rozum tedy nakazywał skarbić sobie zawczasu gdzieindziej protekcję, zwłaszcza że p. Radziejowski rósł z każdym rokiem w znaczenie, a jakkolwiek z panem Kazanowskim w życzliwych, przynajmniej pozornie, pozostawał stosunkach, to główne poparcie miał u królowej i w przeciwnym marszałkowi obozie. Gdyby tedy Sicińskiemu udało się zaskarbić sobie łaskę zręcznego starosty, to posiadając już względy marszałka, których mógł być pewnym, uzyskiwał stanowisko niezachwiane, poparcie z dwóch stron, tak że gdyby go jedna zawiodła, mógł się łączo na drugą przerzucić.

Ostatnie wahanie usunął Radziejowski, który przystąpiwszy doń i kładąc mu rękę na ramieniu:

— Mości Siciński — rzekł — wiercie mi, źle czynicie, zamykając się przedemną

w tak nieufnem milczeniu. Ja was pytam o sprawy, które jak sami powiadacie, dalekie są i bez znaczenia. Dla mnie mają one o tyle wagę — a to wam z całą szczerością wyznaję — iż będąc ciągle zajęty u królewskiego dworu, potrzebuję znać wszystkie tajne sprężyny, które działają całę niewidocznie. Dojść mógłbym tego i bez was.... a wy beżemnie wiele rzeczy nie dojdziecie, które wam dobrze jest wiedzieć. Powtarzam wam, jesteście na fałszywej drodze, która was przez czas tak długi do niczego nie doprowadziła a ja mogę wam podać sposoby rychłego wydźwignięcia się ze stanowiska, które bądź co bądź mizernem jest....

Siciński podniósł głowę, którą dotychczas w zamyśleniu trzymał pochyloną na piersi.

— Panie starosto — odparł — tajemnic ja żadnych do zdradzenia nie mam a jeśli się waham z responsem na pytania wasze, to jeno dlatego, iż służąc panu Kazanowskiemu, nie chciałbym, aby przez usta moje rozszerzały się wieści, które jakkolwiek nie tajemnego w sobie nie mają, wszakże domowe, poufne są....

— Piękne bardzo sentymęta — wtrącił Radziejowski, uśmiechając się z lekkim szyderstwem.

— Jeżeli to jednak — kończył Siciński — dla waszej jeno informacyi a pożytku służyć ma, to wdzięczem za uprzejmą skłonność mi okazywaną i ufny w dalsze względy Waszej Miłości, gotów jestem ową sprawę, o którą pytacie wyjaśnić.

Pan starosta łomżyński z widocznem ukontentowaniem uścisnął za rękę Sicińskiego mówiąc:

— Rad jestem, jakoście się wreszcie poznali na intencyach moich, odwzajemnie się też zaraz, dając wam dobre i pożyteczne consilium. — Jeno z całą szczerością mówcie, jakim to potęgom uległ pan Kazanowski, iż pomimo niechęci swej do walki, i pomimo choroby, która go gnębi, porwał się z taką zaciętością przeciw panu Ossolińskiemu...

To rzekłszy usiadł naprzeciw Sicińskiego i z baczną uwagą przysłuchiwać się począł, gdy ten zwolna, każdy niemal wyraz przedtem w umyśle ważąc, tak prawił:

— Nie potrzebuję wam powiadać, jako to było w pierwszych latach panowania Króla Władysława, boć to lepiej odemnie wiecie. Pan Kazanowski pewny affektu królewskiego, obsypany bogactwy i zaszczytami, nie przypuszczał, aby jaka inna, ważniejsza od niego potęga u boku Króla wyrość miała. Sprawami publicznemi nie zajmował się cale a jeno zu-

pełnie się oddał upiększeniu tego pałacu i rozrywaniu Króla, gdy się frasobliwym okazywał.

— Niektórzy mówią, jako te rozrywki nie bardzo były godziwe.... wtrącił od niechcienia Radziejowski.

— Puste gadania są! — odparł Siciński i ręką machnął.

— Zaraz na wstępie kłamie.... pomyślał starosta, on mi tu powie mało nie wiele, a najważniejsze schowa — ale ja już z niego i resztę wydobędę...

— Otóż — mówił dalej Władysław — pan Kazanowski całę uspokojony i pewny co do królewskiego affektu i swego znaczenia, kochający też Króla do zbytku, gotów każdego momentu życie i mienie dlań oddać — nie mieszał się całę do spraw publicznych lub dworskich. Było to dobrze i utrzymywało się bez zmiany, dopóki Król był sam, dopóki nie było królowej. Ale z Cecylią Renatą przybył dwór całę, równocześnie zaś powyrastali tacy, którzy nie mogąc trafić do Króla, szli do jego małżonki.... Tą drogą poszedł i pan Ossoliński a mądrością swą i zdobytą sławą w zagranicznych poselstwach, stanął od razu jako potęga. Gdy po pierwszych tryumfach i uroczystościach a festynach, nadeciągnęły kłopoty i troski, Król szukając rady, znalazł przy sobie

nie pana Kazanowskiego, lecz Ossolińskiego, którego mądrym słowom coraz bardziej ulegał... Wy to zresztą, moi starosto, lepiej wiecie odemnie, a ja powtarzam to dlatego, aby przedstawić wam nieogłędność pana Kazanowskiego, który przez ten cały czas ani pomyślał, ani przeczuwał, iż influencya jego i znaczenie malały. Dawniej, w pierwszych czasach, w każdej niemal porze dnia, antykamera tego pałacu przepełniona była proszącymi o słowo pana Kazanowskiego do Króla, które mniemano, iż wszechmocne jest... A pomiędzy tymi, którzy tu przychodzili z prośbami, byli nie rzadko ludzie znaczni rodem i dostojęstwem, senatorowie i rycerze znakomici. Naraz to wszystko ustało, — cały ten tłum poszedł inną drogą, poszedł ku Ossolińskiemu i królowej... Pan Kazanowski, czem innem zajęty, możeby i tego był nie dostrzegł, a może też i rad był, że go owe nieustanne molestacye nie nudzą — ale ja, jako wierny sługa jego, ścierpieć tego nie mogłem i musiałem mu to odkryć. Na moje wszakże słowa zaśmiał się i ręką jeno skinął, a w kilka dni potem dał ucztę tak wspaniałą jak nigdy, na którą przybyli i Królestwo oboje i posłowie zagraniczni i wszyscy dygnitarze najwyżsi. Panu Kazanowskiemu zdało się, że zaćmił i olśnił wszystkich, a ja widział

i słyszał, iż jeno zazdrość a śmiech szydery obudzał...

— A co? — rzekł do mnie po tej uczcie wspaniałej — żali kto będzie teraz i podola mierzyć się ze mną?...

Nie odrzekłem na to już nic, a widząc jako poprzednie moje słowa żadnego skutku nie miały, udałem się tam, gdzie się na pewno spodziewałem znaleźć skuteczne poparcie. Malejące z dniem każdym znaczenie pana marszałka, było zarówno krzywdą dla niego, jak dla jego małżonki, jak i dla mnie, który wszystkie w nim położył nadzieje...

— Poszedłeś waśc zatem do pani Kazanowskiej?... — zagadnął starosta.

— Poszedłem do niej — potwierdził Siciński — i wyznałem jej wszystko.

— Masz-że wacpan równe u niej jak i u małżonka jej zachowanie? — wtrącił niby od niechcenia starosta.

Siciński nieco się zawahał.

— Tego rzec nie mogę — odparł po chwili milczenia. — Łaskę pana marszałka posiadam zupełną... małżonka zaś jego była zawsze dla mnie jak dla wszystkich zarówno obojętną, spoglądała tak na mnie, jakby mnie nie widziałacale...

— Znam ten wzrok... — mruknął z cicha Radziejowski i dodał głośno: — Musiała



wszakże ci być wdzięczną, żeś z tem do niej przyszedł i okazałeś taki dla jej męża affekt?...

— Miałem ja zrazu nadzieję, jako tym czynem zdobędę sobie jej skłonność — alem się zawiódł... Wysłuchiła mnie zimno i odprawiła grzecznem słówkiem, dając wszakże złośliwie do zrozumienia, jako niepotrzebnie się lękam, bo influencyi pana Kazanowskiego wystarczy jeszcze dla takich jak ja — chudo-pachołków...

Ostatnie wyrazy wymówił Siciński jakby z trudnością, innym zupełnie głosem; pomimo-woli przejawiał się w nim żal głęboki za doznane wówczas a może i później doznawane upokorzenia.

Radziejowski przenikliwym wzrokiem spojrzał na mówiącego. Schwycił on w tym momencie ważną broń dla siebie i domyślił się, iż serce Sicińskiego kryć w sobie musiało głęboką ku pięknej marszałkowej nienawiść a z tego odkrycia postanowił korzystać. Drażniąc to uczucie, mógł dowiedzieć się od niego znacznie więcej, niż przyrzeczeniami lub prośbą.

Po chwili Siciński mówił dalej:

— Wszakże słowa moje nie pozostały tym razem bez skutku. Od tej pory, kilka razy słyszałem gwałtowne między małżonkami rozmowy...

— Słyszałeś waś? — podchwycił starosta. — A jakimże sposobem?...

Siciński poczerwieniał jak burak. Nieostrożne słówko wymknęło mu się mimowoli i należało je teraz wyjaśnić.

— Ano — rzekł widocznie zmieszany — pałac ten ma dziwne w niektórych komnatach odgłosy i echa... Czasem słowo wymówione na dole, odbija się wyraźnie na górze... Był też krużganek jeden ponad komnatą sypialną...

Radziejowski słuchał z natężoną uwagą, ale w tem miejscu przerwał nagle:

— Powiedz mi, mości Siciński, — ludzie gadają, jako wspólna komnata sypialna jest jeno dla oka ludzkiego — w istocie zaś, wspólności nie było i niema...

Siciński się zaśmiał.

— Puste gadania!... — odparł — a kto to wiedzieć może?...

— On wie, ale kłamie... — pomyślał Radziejowski — i dorzucił głośno ze śmiechem:

— Mniemałem, iż skoro w tym pałacu echa gadają...

— Już zamilkły — spiesźnie przerwał Siciński, — krużganek ów zamurowany został dawno, a ja wówczas jeno przypadkiem przechodząc w nocy, słyszałem...

— I cóż słyszałeś? — z ciekawością zagadnął starosta.

— Słyszałem, jako pani Kazanowska srogie czyniła mężowi wyrzuty, iż o swoje stanowisko u dworu nie dba a innym ubiegać się daje...

— A on co mówił?

— Tłómaczył się zrazu i perswadował a potem przyrzekł wszystko i jeszcze przeproszał...

— Już z tej rozmowy, którą dosłyszałeś — wtrącił znów starosta, — mógłś wacpan dorozumieć się, jaki jest i jaki był przedtem stosunek małżonków...

— Wyrazów dobrze słyszeć nie mogłem — odparł wymijająco Siciński, — to jeno wykombinować zdołałem, jako z jednej strony były wyrzuty, z drugiej przeproszania i obietnice. Jakoż zaraz nazajutrz pan Kazanowski rozpoczął działanie...

— Pomnę dobrze ten moment — przerwał Radziejowski — a teraz mi się już wszystko wyjaśnia. Było to niezawodnie podówczas, gdy Zamoyski kanclerz koronny zmarł; pieczęć wielką otrzymał po nim podkanclerzy Gembicki, a do podkanclerstwa jedynym kandydatem, żarliwie przez królowę popieranym, zdawał się Ossoliński, gdy nagle pan Kazanowski z pretensją do mniejszej

pieczęci wystąpił. U dworu nadziwować się podówczas nie można, że człek, który od spraw publicznych zawždy dotąd stronił, z taką zaciętością ubiega się o podkanclerstwo, które już nie jeno godnością ale i urzędem jest, zmuszającym do działania... A teraz już wszystko rozumiem — działo się to za interwencyą pani Kazanowskiej...

— Odtąd nie było tu ani dnia, ani nocy spokoju — mówił dalej Siciński, — Król pragnął szczerze uczynić zadość woli ulubieńca, przyjeżdżał tu sam, a widząc jako ze strony królowej nacisk jest wielki, nieledwie z płaczem pana Kazanowskiego prosił, aby od pretensyi odstąpił...

— Ale on nie chciał... — wtrącił starosta.

— Nie mógł odstąpić! — zawołał Siciński. — Jeżeli nacisk ze strony królowej i Ossolińskiego na Króla był wielki, to tu stokroć większy. Po nocach i dniach całych, jęki i prośby i groźby...

— A to wam wszystko ów gadatliwy kruźganek powiedział! — zaśmiał się starosta.

— Mniejsza już o to! — z pewną niechęcią w głosie odparł Siciński, zły, iż nieostrożnem słówkiem tajemnicę owego kruźganku zdradził, — mniejsza już o to — powtórzył, — dość,

że pan Kazanowski do końca się upierał i jako wiecie, sprawę przegrał...

— To dopiero sądny dzień musiał być tutaj — wtrącił Radziejowski.

Siciński ręką machnął.

— Długo by to rozpowiadać przyszło. Jednem słowem, zmieniło się tu nagle wszystko. Pan Kazanowski zaprzysiągł Ossolińskiemu zemstę, i czekał jeno okazji; mnie zaś kazano pilnie śledzić co się na dworze królowej dzieje, kogo lubi, a do kogo niechęć uczuwa...

— Wtedy to zapewne — przerwał pan starosta ze śmiechem — zaczęłaś wacpan cholewki smażyć do jednej z ulubionych panien dworskich królowej, panny Eckerin...

Siciński także się zaśmiał.

— Niemkini owa myślała, że to na prawdę jest i omal, że mię nie zmusiła, abym się z nią ożenił... Owo wszakże gruchanie naprowadziło mię na ślad różnych ciekawych rzeczy.

— Wszyscy wówczas mówili — przerwał Radziejowski — jako bardzo sztucznie wacpan poczyniałaś sobie w tej sprawie i że to w skutek owego z panną Eckerin gruchania, wynikła sprawa Denhoffa, która omal nie stała się powodem rozłączenia królewskich małżonków i wyjazdu królowej... Już to wacpan

w służbie dworskiej wyćwiczonym się okazałeś jak mało...

Pochlebstwo to przyjemnie snadź polectało dumę Sicińskiego, który nie tając żadnych już szczegółów, opowiadać począł, jako on zawiązawszy stosunki miłosne z ową panną dworską, przez nią rozmaite tajemne sprawy wybadał, a spenetrowawszy, jako królowa znosić nie może wojewody sieradzkiego Denhoffa, i jako Ossoliński jest z nim w otwartej nieprzyjaźni, podsunął Kazanowskiemu myśl, aby wypróbował influencyi swojej i na opróżnioną po śmierci wojewody łęczyckiego Przyrębskiego, godność marszałka na dworze królowej, owego Denhoffa promował. Byłaby to dotkliwa zemsta za pochwyczone podkanclerstwo a zarazem upokorzenie wielkie.

— Ale jakoż się to stało — ozwał się znów Radziejowski, — że pan Kazanowski, chociaż ciężko wówczas chory, co i na obliczu jego wyraźnie się malowało, nie bacząc na siebie, aż na Litwę z Królem i królową jechać się porwał, aby tę Denhoffowską sprawę do dobrego dla siebie doprowadzić skutku? Musiały tu być jeszcze inne powody niż chęć zemsty i upokorzenia p. Ossolińskiego, musiały być inne, osobiste przyczyny...

— Rzecz to jasna — odparł Siciński. — Aby złamać Ossolińskiego przewagę, należało

pozyskać sobie sojusznika na dworze królowej, takim zaś był Denhoff, jak wiecie, dworak wielce sprawny. Pan Kazanowski w przymierzu z Denhoffem i kanclerzem wielkim Gembickim, mógł już się mierzyć szczęśliwie na przyszłość z opozycją królowej i Ossolińskiego stronnictwem.

— Nie byłem ja wówczas na Litwie — wtrącił starosta — i jeno tak mi rozpowiadano, jako wy, mości Siciński, z panną Eckerin gruchając, wszystkie tajniki dworu królowej badaliście zręcznie, zarazem zaś tej rozczulonej Niemkini podawaliście to, co mogło przeciw Królowi rozjątrzyć jeszcze bardziej królowę i ostateczny ich rozdział sprowadzić. I nie tajcie się daremno — dodał, patrząc bystro w oczy Sicińskiemu, — to było waszym zamiarem, a działaliście zręcznie...

Siciński tać się nie myślał, owszem jakby pochlubić się chciał zręcznością w tej sprawie okazaną, rzekł:

— Ukrywać nie mam powodu... gdyby królowa nie była uległa woli królewskiej i Denhoffowi dworu nie oddała, byłby rozdział nastąpił. Przecież Król już na nią patrzeć nie chciał ani z nią mówić a wołał jeno w gniewie: — Jam jest głowa i posłuszeństwa wymagam! — Królowa zaś płacząca, nieledwie omdlała i chora, odpowiadała zrazu dumnie —



„Królewską żoną jestem nie służebnicą, cesarskiego urodzenia a nie niewolnicą żadną, marszałkowski urząd domu mego jest mój własny i wrogowi memu go nie oddam!... skoro jest wola królewska, niech Denhoff łaskę nosi przedemną, ale go uznać nie mogę za przełożonego nad fraucymerem moim“... Długo by to rozpowiadać co się wówczas działo u dworu, łzy i gniewy, narzekania i groźby... wszyscy byli jak w gorączce...

— A pan Kazanowski?

— Był wszędy najczynniejszy; odżył i odmłodził w tej walce; nigdy go nie widział tak zdrowym jak podówczas... zdawało się, iż mu sił w dwójnasób przybyło...

— Wszakże — wtrącił starosta — po odniesionem zwycięstwie, gdy królowa woli królewskiej uległa i rządy dworu swego Denhoffowi zleciła, Kazanowski powróciwszy tutaj zachorzał ciężko i odtąd jeszcze więcej ponurym się stał. Nie ucieszyło go to zwycięstwo...

Siciński milczał.

— Daremne wasze milczenie... — rzekł Radziejowski powstając i kładąc Władysławowi rękę na ramieniu. — Piękna to rzecz jest dochowanie tajemnic, ale tajemnica ta, którą wy tak zazdrośnie ukrywacie, nadto widoczna jest wszystkim, którzy jeno patrzeć umieją. Patrząc ja i obserwuję od dawnego czasu

panią Kazanowską i rozumiem z kąd pochodzi owa jej niewieścia wspaniałość, w połączeniu z urokiem dziewiczym, który dokoła rozsiewa. Równie pięknych niewiast jest może wiele, ale żadna tego uroku nie ma... Tajemnica owa, którą chowacie, mówi sama o sobie z jej ust, których snadź pocałunek nawet małżonka nigdy nie dotknął, z jej oczu, które rzucają iskry, ale rzekłbym, do marzeń budzących się czasem w duszy, nie zaś do życia, które ją otacza. Tajemnica ta widna w jej postawie sztywnej nieco, nienawykłej giąć się w ucisku, w jej słowach często hardych, aby pokryć nieśmiałość i lęk, w rumieńcach, które czasem jej oblicze cudowne oblewają szkarłatem i w tym smutku niepokieszo-  
nym, który się dumą okrywa, aby rozeznany być nie mógł. Inaczej by ta cudowna jejmość patrzyła, gdyby...

Strzymał się pan starosta, czując, jako w mowie swej o Halszce mimowolnie się unosi i zdradza niebacznie sentyment ku tej niewieście, która urodą swą i niezwalczoną obojętnością pociągała go namiętnie. Zamilkł i chwilę czekał odpowiedzi, czekał zaprzeczenia, — które nie przyszło.

Podniósł głowę, spojrzał na Sicińskiego i aż się załakł widząc twarz jego dziwnie zmienioną i zbladłą. Władysław siedział przy

stole a oparłszy głowę na obu rękach, patrzył przed siebie sztywnie, nieruchomo, jakby widział przed sobą obaczyl. Z wielkiego wzruszenia usta mu drżały a oczy ciskały niezwykle blaski. Piękne, wyraziste rysy jego twarzy, pokryły się chmurą ponurego zamyślenia i jakby boleści...

Radziejowski zachnął się w zdumieniu.

— Czyżby i on także nie zdołał się oprzeć urokowi tej niewiasty?... Tem lepiej — dodał w myśli po chwili, — bo musi być jej wrogiem, a moim sprzymierzeńcem.

I znów zbliżając się do Władysława, położył mu przyjaźnie rękę na ramieniu.

— Nie zaprzeczacie? — zagadnął z cicha.

Siciński jeszcze milczał moment, ale wnet wybuchnął. Powstał i uderzając w stół pięścią:

— Nie pytajcie mnie więcej! — zawołał — nie pytajcie mnie!... Czyliż nie widzicie sami, że to jest niewiasta, która dokoła siebie truciznę, jad śmiertelny rozszerza?... Małżonka swego, który ostatnią kroplę krwi oddałby dla niej, zabija bez litości... z uśmiechem szyderstwa na ustach patrzy bez wzruszenia na jego męczarnie, na jego łzy i rozpacz... Czołgać się tak będzie u stóp jej do śmierci!... Toż jeśli duszę waszą salwować chcecie, to się odwróćcie co rychlej i uciekajcie, dopóki

nie zczaruje was piekielnym swym wzrokiem...

Zamilkł Siciński, przerażony sam swoim zapalem, który mu tyle nierozważnych słów wypowiedzieć kazał. Zamilkł i usiadł, odwracając się nieco od Radziejowskiego, aby ukryć przed nim twarz swą, która płonęła.

Pan starosta łomżyński uśmiechał się zaś swobodnie. Celu swego dopiął i wiedział wszystko niemal o co mu chodziło. Szczegółów mógł się dowiedzieć później, dziś zaś nalegać nie wypadało, a zwłaszcza nie należało pokazać po sobie doznanych wrażeń i zdradzić myśli, wywołanych niezwykle Sicińskiego wzruszeniem...

— Dajmy przeto pokój pani Kazanowskiej, bo widzę jako żal macie do niej głęboki... — rzekł od niechcienia i zrećznie odwracając rozmowę, dodał:

— Otóż powiedźcie mi przynajmniej, jakęście się potem wypłatali sami z tych intryg z panną Eckerin, boć to podobno i obietnica małżeństwa z waszej strony była...

Siciński odetchnął swobodniej, widząc jako rozmowa inny obrót bierze i natychmiast już uspokojony, odparł:

— Ano, małżeństwo obiecywać musiałem, bo inaczej nie byłbym nic z owej Niemkin wydobył, która królowę jak matkę kochała....

Ale przed przysłym małżonkiem swym mówiła otwarcie, co mi wielce w tych sprawach Denhoffowskich służyło. Z mojej strony mówiłem jej to, co wiedziałem, iż królowej odniesie; donosiłem jej, jako Król różne niewierności popełnia, jako z panem Kazanowskim bachanalia urządza, co królowę jeszcze bardziej w zaciętości umacniało. Król zaś widząc ten opór, coraz więcej zniechęcał się do doradców jej a zwłaszcza do Ossolińskiego, co właśnie naszym było celem.

— Bardzo mądrze to wacpan urządziłeś — wtrącił Radziejowski — i zaiste wart jesteś lepszego losu, innego stanowiska, niż to, w tym głuchym pałacu...

— Otóż to samo — ciągnął dalej Siciński, wdzięcznie przyjąwszy pochlebne słowa łomżyńskiego starosty — posłużyło mi do wypłatania się z owego z Niemkinią romansu. Żenić się z nią nie mogłem, chociaż królowa dawała jej bogatą oprawę i łaskę swoją w dodatku, ale panna Eckerin była szpetna jak słotna noc jesienna, a także jesienne lata miała, bo znacznie starsza była odemnie. Gdy więc wiktorya nasza była zupełna a Denhoff przyjęty został przez królowę, zaczęliśmy ją godzić z Królem, do czego zacięta Niemkini dopuścić nie chciała, ujmując się za swoją panią a wyrzekając głośno przeciw Królowi, jako nie-

wiernym jest i niedobrym małżonkiem.... Nawówczas ja ująć się musiałem za dotkniętym Majestatem a to tak skutecznie, że panna Eckerin na żądanie Króla, choć z wielkiem zmartwieniem królowej, dwór opuścić musiała, wracając ku ojcom swoim płacząca...

Pan Radziejowski śmiał się tak, że mu się aż peruka przechyliła na głowie.

— Doskonale! — wołał. — A do wacpana nie rościła pretensyi?...

— Chciała, abym z nią jechał... Ale ja wówczas godnie odrzekłem: jako nieprzyjaciółki mego Pana i Króla poślubić nie mogę — czem zyskałem sobie pochwałę Majestatu...

— Gracz jesteś, mości Siciński! — przerwał z zachwytem pan starosta. — Toż widząc experyencyę twą i sprawność extraordynaryjną, jeszcze mocniej się dziwuję, że tak marnie waść tu siedzisz...

— A co mam czynić? — z rezygnacyą rzekł Władysław.

— Co czynić? — powtórzył Radziejowski. — Otóż ja, wdzięczen za zaufanie, którego dowody daliście mi dzisiaj, odpłacę wam równą życzliwością a powiem otwarcie, cobym na waszem miejscu przedsięwziął.

— Mówcie, z wdzięcznością słuchać będę... — przerwał Siciński.

— Żeście tu lata długie spędzili — ciągnął dalej starosta, — to wam szkody nie przyniesie. Daliście się poznać; wie o was i Król i nie jeden możny senator, pan Kazanowski zawždy popierać was będzie, znajdą się też i inni życzliwi, — Denhoff n. p., który sprawności waszej był świadkiem... Ale mając to już zapewnione, pora odejść wam ztąd co rychlej....

Siciński zachnął się niecierpliwie na te słowa, ale nie rzekł nic, jeno wargi przygryzł.

Radziejowski mówił dalej:

— Na waszem miejscu, powróciłbym teraz na Litwę, do Upity, a tam pozyskiwał skłonność szlachty — wrócił zaś tutaj posłem...

Siciński z lekceważeniem ręką skinął.

— A to mi na co? — wtrącił. — Dużo zachodu a mała pociecha, — co taki jeden poseł znaczy w tłumie?...

— Co znaczy poseł? — przerwał Radziejowski. — Znać po was, żeście przy panu Kazanowskim tyle lat strawili; w dworskich zabiegach wyćwiczyliście się znakomicie, ale o służbie publicznej pojęcia nie macie.... Co poseł znaczy?... Znaczy więcej niż Król, bo mu wszystkiego odmówić może, znaczy więcej niż sejm cały, bo jednym słowem może go zważyć....

— A przecież to się nigdy nie dzieje... — zauważył Siciński.



— Nie dzieje się jeszcze, ale może się dziać, to zaś samo przekonanie u tego, który posłem jest, znaczy wiele.... Zrywają się i teraz sejmy za sprawą partyj różnych, ale to samo i jeden sprawić by mógł, zaprotestowawszy....

— Zarąbaliby go inni, zanimby protestacyę wyjąkał.... wtrącił Władysław.

— Zarąbaliby go, — odparł starosta — gdyby głupi był a na oślep szedł, poparcia nie mając. Ponieśliiby zaś go na rękach, albo się przelekli, gdyby potęgę jaką po za nim czuli. Ale najlepiej to wam wyjaśnię, przytaczając exemplum z własnej experyencyi mojej, a exemplum to pokaże wam oraz, jako bez niewiast i protekcyi ich obejść się nie można. Wy się chlubicie łaskami p. marszałka, a ja wam powiem, że z niemi nie daleko dojdziecie, jeżeli n. p. ona, Kazanowska, będzie przeciw wam.

Siciński na tę wzmiankę o Halszce znowu spochmurniał, ale Radziejowski, nie zważając na to, mówił dalej:

— Wiesz wacpan, jako posiadałem łaski zmarłej królowej Cecylii Renaty. Gdyby nie to, zarąbanoby mię dawno, jak wy powiadacie. A oto nie uczyniono mi nic. Słyszeliście może, jako szlachcic pewien w sejmie oskarżył mię, iżem córkę jego przemocą nie-

wolił.... Sejm cały podniósł okrutną wrzawę i niezrobili mi nic.... zostałem krajczym królowej i starostwo otrzymałem łomżyńskie. Xiądz biskup kujawski, Gniewosz, pisał list do mnie i rozgłosił go, zarzucając, iż drugą małżonkę moją, a pokrewną mu, Tarnowską de domo, wdowę po Wiśniowieckim xiążęciu, zamorzyłem głodem, na co znów cała owa familia można powstała na mnie, krzycząc.... Byliby mię może zgnetli, ano nie uczynili nic.... ostałem się na miejscu. Ale oto zmarła królowa Cecylia, mogłem zaś mniemać, jako druga małżonka Króla Władysława, Marya Gonzaga, nie będzie mi cale przychylną, bom ja tam zrazu przeciw temu związkowi z francuzką gardłował. — Byłem też nieco w apprehensyi i przemyślałem nad środkami pozyskania sobie łaski nowej monarchini. Okażę do tego dał mi sejm, na którym kwestya wojny tureckiej rozpalila umysły. Król wojny chciał, poczynił już przygotowania i wojna niemal deklarowaną była; szlachta oburzona na tę samowolę królewską uchwałała jedną konstytucyę po drugiej przeciw Królowi i zamierzonej wojnie. Poruszoną też była na tym sejmie sprawa oprawy królowej, ale szlachta na Majestat rozsierdzona, na nic przyzwolić nie chciała. Królowa łamała ręce wyrzekając, iż w prawdziwem ubóstwie a nędzy zostanie.

Wtedy ja poszedłem do niej i rzekłem: — Uczynię wszystko tak, aby oprawa zabezpieczoną była...! Królowa ze zdumieniem a niewiarą popatrzyła na mnie. — Jakżeż to uczynisz, pytała, gdy sejm cały przeciwko mnie? — A ja jej wówczas wydemonstrowałem, jako jest u nas takie prawo, które zwykle przez szlachtę przeciw Królowi i jego woli stosowane jest, a które ja teraz w obronie królowej przeciw szlachcie obrócę. I uczyniłem tak. Na ostatniej sesyi sejmowej rzekłem: albo przyzwolicie oprawę królowej, albo ja krzyknę veto! i wszystkie wasze konstytucye przeciwwojenne w niwec pójdą.... Krzyk się zrobił okrutny.... ale krzyk nie zabija, więc ja się jeno śmiałem w duchu, patrząc, jako struchlała szlachta radziła co ma czynić: nie dać bowiem królowej oprawy, to znaczyło pozwolić na wojnę Królowi, bo ja sejm zerwać byłem gotów. Namysły trwały nie długo: oprawę królowej dano i sejm doszedł.... a ja do królowej pobiegłem zwiastować jej dobrą nowinę, odtąd zaś mam łaskę jej zapewnioną.... Król się na mnie nieco schmurzył, bo czynił zabiegi, abym sejm ten koniecznie zerwał, wszakże mi jeno o królowę chodziło a to osiągnąwszy i Króla się nie bałem, bom jego małżonkę za sobą miał. — A tak wacpan z tego exemplum widzisz, jaka jest posła po-

tęga, zarazem zaś jako główna rzecz jest, aby za tobą niewieście było słowo i opieka.... Słuchaj waść mego consilium.... jedź ztąd co rychlej, bo tu już nic więcej nie wysiedzisz, a wracaj posłem.... Wówczas zaś będziesz patrzył a zręcznie badał, jako masz swoim poselskim głosem kierować....

To mówiąc, pożegnał już pan Radziejowski Sicińskiego, który mocno zamyślony, dziękował mu za rady życzliwe z roztargnieniem a po jego wyjściu, sam zostawszy, jał chodzić po komnacie z pochyloną głową na piersi, snadź wszystko co mówione było, rozważając. A musiały to być całę nie ucieszne myśli, bo twarz jego mieniła się jakby pod wpływem silnego wzruszenia. Im dłużej rozmyślał, tem to wzruszenie było widoczniejszem, bo rozważanie nie mogło rozproszyć troski, która gnębiła duszę, ani myśli, które tłumem cisnęły się do głowy. Coraz szybciej chodził po komnacie, jakby go owe myśli trapiące gnały, aż nagle przystanął i podniosłszy głowę, roziskrzonym gorączkowo wzrokiem, spojrzął przed siebie.

— Ma słusznosc.... — szepnął — należy mi się ztąd oderwać.... cóż bowiem pomoże ten sen na jawie, który trwa lat tyle?.... Przemienie młodość całę, wszystkie plany i nadzieje obróć się w niwec.... wszystko przepadnie

o czem jeno marzyłem.... przez nią! przez tę kobietę!...

Stalowe błyski, jak ostrze miecza, którymby kto igrał przy ognia płomieniach, strzeliły mu z oczu; zaciśnięte pięście przyłożył do czoła i znów zaczął biegać po komnacie jak szalony.

Jak rój pszczoł z zamkniętego ula nagle wypuszczony, rozlatuje się z szumem i brzękiem w powietrzu, tak z głowy Sicińskiego w tym momencie samotności, gdy się przed nikim krępować nie potrzebował, rozpierzchały się bezładne myśli, wirując w około niego jak zmory. Czuł, że nadeszła chwila postanowienia o całej przyszłości a terażniejszość niby obręcz żelazna opasywała go dokoła, krępując wolę. I stawiała mu znów przed oczami cała przeszłość przebyta, wszystkie poniesione ofiary, wszystkie walki z sumieniem zwyciężkie, wszystkie usiłowania, aby się wydzwignąć. Dawniej był znacznie silniejszym. W samych początkach umiał przecie, pomimo głosu serea, które się wzdrygało, obrócić sprawę Wodźbuna na własną korzyść; jej ostatecznie zawdzięczał, że osiągnął to, czego wówczas pragnął: poparcie xiążęcia Radziwiłła i stanowisko na Kazanowskiego dworze. Następnie umiał Radziwiłłowi służyć, donosząc mu to, co się jeno w stolicy w sprawach dyssydenekich działo i potrafił

zarazem zaskarbić sobie Kazanowskiego łaski; potrafił w intrygach na królewskim dworze okazać się zręcznym, zimnym i rozważnym. Ale dotychczas był to jeno nagromadzony materyał, z którego obecnie należało korzystać i właśnie teraz brakowało mu siły.... Jakaś potęga nieprzemierzona trzymała go na miejscu, gdzie już nic dla siebie uzyskać nie mógł lecz owszem wiele, jeśli nie wszystko, stracić. Los sam wskazywał mu drogę. Nie tylko Radziejowski radził mu, aby wracał na Litwę, to samo od lat już kilku powtarzał mu rodzic w listach, które coraz bardziej stawały się naglące.

Z ojcem swym, od owego zajścia w Tronikach i śmierci matczynej, Władysław nie widywał się prawie; raz jeden jeszcze pan marszałek upitski przybył do Warszawy w dyssydenckich sprawach i wówczas wydał się Władysławowi więcej niż kiedykolwiek ponurym i bardzo zmienionym. Odtąd lat kilka minęło a rodzic snadź zatęsknił za ukochanym synem, bo go coraz usilniej do siebie wzywał. Kazimierz także pisał raz, donosząc jako rodzic chory jest i ciąglej potrzebuje opieki — ale na te wszystkie wezwania Władysław pozostawał głuchym. Był wówczas czem innem zajęty. Użyty przez Kazanowskiego do intryg przeciw królowej i Ossolińskiemu,

oddął się temu z takim zapalem, że o niczem innem myśleć nawet nie mógł. Ale teraz nie trzymało go tu nic zgoła. Kazanowski był coraz bardziej chory; długiego żywota obiecywać mu nie można było; toż sama przeżorność nakazywała szukać obecnie innego stanowiska, pójść drogą przez Kazanowskiego wskazaną a korzystać z ostatnich może lat życia marszałka, aby wpływów jego marnie nie stracić i dla siebie wziąć z nich pożytek.

— Trzeba się ztąd oderwać.... powtarzał szeptem.... trzeba koniecznie!...

I jak niegdyś w Birżach przed wyjazdem do stolicy, tak samo teraz, gdy po przebyciu służby dworskiej, zamierzał napowrót powracać, stanęły mu w myśli lata minione.

Ile on tu walk przebył, ile poświęcił, ile przecierpiał, dławiąc skargę w duszy, nie dając nikomu przystępu do tajników myśli!... Nieraz ogień młodości bujnej, przepalał mu serce, nieraz gdy towarzysze jego uciekali z chmurnego pałacu i rozbiegali się po mieście szukać wesołej hulanki, zazdrość porywała go okrutna, że chciał biedz za nimi a szaleństwem długo tłumionem przewyższyć ich swawolę.... Ale burzę tę gnębił przemocą, bo czuł, że raz puściwszy jej wodze, jużby jej potem opanować nie zdołał. Zazdrościł tym, którzy jedno i drugie, zabawę i pilność w służbie



razem pogodzić umieli. On zaś czuł, że statecznym mógł być jeno dopóty, dopóki nim był ciągle, nieodmiennie, że gdyby raz pozwolił sobie na młodzieńczą swawolę, jużby w niej potem granic nie znał, że zatonałby w niej tak, jak teraz oddawał się bez wytchnienia na usługi pana.

Lata całe zbiegały mu smutno, ponuro, jak w klasztorze — a jednak zbiegły rychło.... jak sen. Wszak to tak zda się niedawno, gdy on rozpoczynając swą służbę, patrzył chciwemi oczyma na wspaniałość uczty weselnej w Wilnie i pożerał wzrokiem zachwyconym piękną, nowozaślubioną Kazanowskiego małżonkę. To zda się był wczora ten wieczór piękny i ciepły, pełen woni i uroków, gdy Halszka stojąc z królewicem na galeryi pałacu, rozmawiała z cicha a on ukryty za oknem słyszał z ust jej, wybiegające jakby mimowoli, namiętne słowa: Pomnieć będę do śmierci!.... To zda się wczora jeszcze on snuł się oszołomiony tym widokiem, po przedmieściach wileńskich, czując, że echo tych słów pozostanie mu w duszy na zawsze. I tyle lat od tego czasu minęło a on je słyszy jeszcze i widzi ciągle przed sobą twarz Halszki rozpromienioną takim wyrazem, jakiego nikt chyba więcej i on nigdy później nie widział. Przebiegały potem w oczach jego przez to cudowne oblicze

rozmaite uczucia: gniewu, oburzenia, żalu, tęsknoty, rozpaczony nawet, ale takiego wyrazu twarz ta nie miała odtąd nigdy.... Inni szaleli na widok jej piękności, chociaż nie widzieli twarzy jej nigdy inną, jeno uśmiechniętą z przy-musem, lub szyderską a najczęściej obojętną i zimną — on jeden, oprócz królewica, pamiętał ją rozpromienioną zachwyceniem anielskim, więc nie dziw, że tego obrazu nie już zagładzić w duszy nie mogło, nawet upokorzenia tysiąckroć od Halszki doznane, nawet jej obojętność i więcej niż obojętność, bo widocznie okazywana pogarda.

Usta Sicińskiego skrzywiły się szyderczym uśmiechem.

— Ja jej nienawidzę! — szepnął — nienawidzę tak głęboko i tak bezlitośnie, żebym ją zamordował z rozkoszą i pastwił się nad nią, ale nikomu dotknąć bym jej nie dał; że przez zemstę za tyle lat pogardy, zbez-cześciłbym ją sam, ale za cześć jej gdyby przez innych szarpaną była, ostatnią kroplę krwi bym oddał!.... Obecność jej jest dla mnie męczarnią, a oderwać się od niej nie mogę....

Zmordowany usiadł przy stole i oparł się obu rękami a myśl jego znów pobiegła ku pierwszym chwilom pobytu w tym pałacu, dziwne mu przedstawiając obrazy.

Było to wkrótce po powrocie obojga Kazanowskich z Litwy do Warszawy, kędy Halszka na przyjęcie swoje w nowo urządzonego pałacu, znalazła przepych iście monarszy i niezliczone skarby. Ale ona przechodziła obok tych cudów tak obojętna i milcząca, jakby jej myśl i dusza gdzieindziej zostały a tak była smutna i blada, jakby srogiem przygniecioną nieszczęściem. Kazanowski niepokojnem okiem błędził za nią ustawicznie a zbliżał się do niej i przemawiał tak nieśmiało, jakby ją za obecność swą przepraszać chciał i bał się jakimkolwiek urazić słowem. Władysław nie mając jeszcze wówczas przystępu bliższego do pana, który dla wszystkich dworzan jednakowo był uprzejmym, ale też jednako od wszystkich dumnie oddalonym, spostrzegł to jeno ukradkiem. Lecz domyślając się co w sercu Halszki się działo, z pochwyczonego wątku rozmowy z królewicem, śledził pilnie każdy krok jej i poruszenie, w nadziei, iż prędzej czy później, stanie się panem tajemnicy, którą na swoją korzyść będzie mógł obrócić. Z daleka tedy ale pilnie przypatrywał się wszystkiemu. Widział też Halszkę często stojącą w oknie lub na wielkiej galeryi, pięknemi ozdobionej kolumnami, do której wspaniałe kryształowe podwoje z jej komnaty wiodły; widział ją tam nieraz sto-

jącą i tęsknem okiem sięgającą w dal, a raz dostrzegł, jak z oczu jej biegły cicho, bez łkania, strumienie łez. Serce ścisnęło mu się włody rzewnem współczuciem.

Po nad tem oknem i komnatą Halszki, był krużganek nie wielki i rodzaj altany bardzo misternej, pełnej roślin i krzewów najrzadszych. Ztamtąd Władysław przez nikogo nie dostrzeżony, mógł widzieć wychylającą się z okna postać Halszki, tam też codziennie zabiegał i patrzył.

A nie tylko patrzył lecz i słyszał, bo do tej altany dziwnym sposobem dochodziły echa tak wyraźne, że niemal każde słowo rozmowy, prowadzonej w Halszki komnacie, ze swej kryjówki pochwycić mógł. Przekonał się o tem jednego wieczora, gdy do późna w tej altanie siedząc ukryty, obudzony naraz został słowami Halszki, wypowiedzanemi głosem podniesionym i bardzo stanowczym.

— Zawodu nie macie, — mówił ten głos — bom uprzedzała i nie tałam wcale, że serca mego nie posiedziesz, chociaż żoną swoją przed ludźmi mię nazwiesz....

Odpowiedź była cicha, niedosłyszalna, a potem znów mówiła Halszka, ale głosem także już bardziej stłumionym, proszącym; uszu Sicińskiego dochodziły jeno urywane wyrazy:

— Przez litość.... miejcie litość!.... będę wierną, przysięgam! ale nie wymagajcie ofiary nad siły.... znienawidziłabym i siebie i was....

Serce Sicińskiego biło tak gwałtownie i głośno w piersi, że nie dozwalało mu słyszeć tej mowy, która szeptem ponurym dochodziła do niego. Obiema rękami cisnął kołaczące serce, ale snadź teraz mówił pan Kazanowski, bo jeno szemranie rzewne, niby jęk daleki, przynosiło echo.

Rozpalone czoło do zimnego przyłożwszy muru, Siciński drżący od gwałtownego wzruszenia, stał, nie mogąc się ruszyć, ale nie słyszał już nic, jeno od czasu do czasu jękliwe szemranie pana Kazanowskiego, a potem energiczny wykrzyknik Halszki:

— Nie! nigdy!....

Równocześnie otwarły się kryształowe podwoje na galeryę wiodące i Siciński ujrzał wychodzącą Halszkę w białej sukni powiewnej, a za nią pana Kazanowskiego, który mówił ciągle, Halszka zaś odpowiadała mu z ożywieniem wielkiem. Ale tu już słów Władysław nie słyszał — jeno niewyraźne dźwięki dochodziły jego uszu.

Za to widzieć mógł dobrze. Widział, jak Halszka, oparłszy się na balustradzie galeryi, stała długi moment pochylona nieco, patrząc w przestrzeń, jakby słów małżonka

nie słuchała wcale. Przed jej okiem roztaczał się widok na wstęgę Wisły, połyskującą w świetle gwiazdzistej, pogodnej nocy; na pola dalekie, od których lekki wietrzyk przynosił woń ziół i kwiatów; na małe dworki przedmieścia, migające światełkami swych okien, niby gwiazdami rozsianemi po ziemi, wśród bujnej zieleni ogrodów. Powietrze było czyste, wonne, a po dniu upalnym, przepełnione jeszcze gorącością zgasłych niedawno promieni słonecznych, rozpraszana zwolna łagodnem tchnieniem wietrzyka. U podnóża galeryi, roztaczał się ogród pełen najrzadszych roślin, drzew wspaniałych i kwiatów, wśród których snuły się i przelatywały błękitnawemi iskrami, świecące robaczki, otoczone mgłą promienną....

Już teraz nawet dźwięki rozmowy Kazanowskich nie dochodziły uszu Sicińskiego. Widocznie milczeli oboje: ona zapatrzona w przestrzeń, on dalej nieco stojący, ze wzrokiem utkwionym w jej cudowne oblicze.... Nagle, pan Kazanowski roztworzył ramiona i parę kroków postąpił ku Halszce, jakby ją objąć chciał.... Ale ona porwała się natychmiast, jeszcze dalej się usunęła i oparta o kolumnę, wyprostowała się dumnie, ręce skrzyżowawszy na piersiach. Włosy jej ciemne, bujne, rozplotły się w nagłym poruszeniu

i spadając na ramiona jak płaszczem ją okryły.

On szedł ku niej z wyciągniętymi ramionami.... Lecz w tem zachwiał się tak, jakby się pod nim ziemia rozwarła; rozpostartemi rękami chwycił się powietrza, snadź oparcia szukając i z nieludzkim jękiem, który dalekiem echem odbił się w powietrzu, padł całym ciężarem na marmurową posadzkę galeryi....

Jęk ten zagłuszył krzyk Halszki i jej wołanie o pomoc. W tej stronie pałacu nie było o tej porze nikogo.... Jeden Siciński widział i słyszał wszystko a nie bacząc już na nic biegł na ratunek.... Biegł wszakże od strony ogrodu, aby jakimkolwiek pozorem okryć niespodziewaną swą obecność.... Ujrzawszy go Halszka, przywołała go sama, on też wszedłszy napowrót do pałacu i przebywszy pędem szereg pustych korytarzy i komnat, znalazł się w jednym momencie obok niej, nad nieszczęśliwym Kazanowskim, który nieprzytomny, z wykrzywionem dziwnie i zsiniałem obliczem, tarzał się u stóp małżonki w niewysłowionych męczarniach.

Halszka pomieszana, blada, z załamaniem rozpaczliwie rękami, z przerażeniem i wstrętem odwracała głowę od tego widoku.



— Na miłość bożą! zawołała ku Sicińskiemu — ratuj waść, podnieś go.... wyprowadź!...

Nie mówiąc nic, Władysław w silne ramiona schwycił Kazanowskiego i uniósł go z trudem z ziemi.... Ale w tymże momencie chory przychodzić do siebie poczynął.... drżącymi rękami schwycił się oburącz balustrady, otworzył oczy i zamglonem okiem spojrzał na Halszkę. Ona wciąż odwrócona stała, patrząc w inną stronę. Kazanowski dyszał gwałtownie; oddech chrypliwy, ciężki, pierś mu rozrywał, drżał teraz jak w zimnicy na całym ciele a wzrok sztywny utkwiał w małżonkę.

— Wyprowadź go waść! wyprowadź! szeptała Halszka, ręką niecierpliwie rzucając.

Pierś Kazanowskiego podniosła się łkaniem gwałtownem, które rozpaczliwym jękiem wydobyło się z krtani i wnet urwało, stłumione. Wargi poruszały się ciągle jakby przemówić chciały, ale głos łamał się i konał w niewyraźnym szepcie. A z oczu bez blasku wybiegły nagle dwie łzy duże i potoczyły się po zsiniałem obliczu.

Głowę pochylił na piersi i wspierając się silnie na ramieniu Władysława, krokiem chwiejnym, zwolna, nie spoglądając już na Halszkę, wyszedł i wrócił do swojej komnaty.

Od tej pory Władysław najzaufanszym stał się pana marszałka powiernikiem. Jak

niegdyś xiążę Krzysztof w Birzach, tak teraz Kazanowski zapytał go:

— Czy umiesz ty milczeć?...

I otrzymał milczenia przysięgę, dochowana wiernie. Z ust Sicińskiego nie wyszło nigdy nieostrożne słowo, coby zdradzić mogło tajemnicę straszliwej choroby, której się wprawdzie domyślano, lecz o której prócz Króla, zaufanego lekarza i jednego sługi, nikt na pewno nie wiedział. Przekonał się niebawem p. Kazanowski, że Władysław milczeć umie, przekonał się też o jego niezwykłej sprawności w wykonywaniu powierzonych mu, choćby najtrudniejszych zleceń i obdarczać go odtąd poczał szczególniejszą łaską.

Ale z Halszką było inaczej. Siciński z ust jej nie słyszał innego słowa, prócz zimnego rozkazu, jej spojrzenie, gdy czasem, przypadkiem, nań padło, raniło go dziwną obojętnością i dumą. On dla niej nie istniał prawie jako człowiek, — był narzędziem dla wykonywania rozkazów, które kto inny na jego miejscu tak samo spełniaćby mógł.

I mijały tak lata, żadnej nie przynosząc zmiany. Władysław, oddawał wielkie w zataргach z Ossolińskim usługi a podczas tej walki, Halszka przemawiała doń nieraz łaskawiej, raczyła spoglądać z większem zajęciem, słuchała zdawanych sobie relacyj a nawet

raz uśmiechnęła się wdzięcznie, gdy Władysław zwiastował jej pierwszy o zwycięstwie.

Ale to trwało niedługo. Kazanowski, zagrożony obietnicami Halszki, przyrzeczeniem zmiany w dotychczasowym postępowaniu, widząc, że wstręt, jaki mu dotychczas okazywała, zniknął na chwilę w rozkosznym uśmiechu, ozdrowiał nagle i z młodzieńczą siłą porwał się do walki. Ale po odniesionem zwycięstwie — ponownie odepchnięty, zachorzał znów ciężko, Władysław zaś ze zdumieniem ujrzał, jako zasługi jego także żadnej nie odnoszą nagrody. Przedtem uprzejma, Halszka powróciła znów do swej dawnej obojętności, nie zwracając już wcale uwagi na dworzanina, który dni i noce spędzał przy chorym jej małżonku. Spojrzenia jego palące, namiętne, wypowiadające całą burzę duszy młodzieńczej, tem większą, że tłumioną, spojrzenia te, któremi bezustannie ją ścigał, nie poruszały jej zgoła... A on żyjąc nieustannie pod jednym z nią dachem, widując ją codziennie niemal, oddychając tem samem co ona powietrzem, bezwiednie upajał się jej pięknością a z upojenia tego budziła go jeno czasem pogarda Halszki. Ona zaś widząc wzrastające zaufanie małżonka ku Sicińskiemu, wstręt, jaki czuła do Kazanowskiego, przeniosła w części i na jego powiernika, który jej się zdawał nie-

pewnym, nieszczerym, zdradzieckim. Halszka mu nie ufała a brzydziła się nim jak służalcem do wszystkiego zdolnym i to mu niejednokrotnie okazywała.

Na wspomnienie tysiąca upokorzeń, jakich od niej doznał, Siciński drżał z oburzenia; całą duszą pragnął zemsty, całą duszą przyzywał tej chwili, w którejby mógł wypowiedzieć jej głośno, otwarcie, jaką ona burzę sprzecznych uczuć w jego obudziła sercu. Nie było dnia niemal, aby Halszka spojrzeniem, ruchem lub słowem, nie dała mu uczuć swego lekceważenia i wzdardy, a on za to wszystko pragnął jednej chwili zemsty, chwili, w którejby ją ujrzał bezbronną a siebie panem jej woli...

Zrazu, jak wiadomo, łudził się nadzieją, że zasłyszane w Wilnie słowa rozmowy Halszki z królewicem, dadzą mu w rękę tajemnicę, którą będzie mógł w czas stosowny przeciw dumnej niewieście użyć. Oddawna jednak wszelkie stosunki między królewicem a Halszką zdawały się przerwane. Niebawem po ślubie Halszki, udał się królewic do Wiednia, wrócił wprawdzie ztamtąd niebawem, lecz na niedługo, wyjechawszy znów bowiem do zagranicznych krajów, przyłączył się do armii węgierskiej, pod Wormacyą i Frankfurtem stojącej, i wziął udział w walce przeciw Francuzom, którzy naówczas w połączeniu ze Szwec-

dami przeciw cesarzowi oręż podnieśli. O wyprawie tej rozmaite sądy wypowiedano. Jedni widzieli w tem jeno animusz rycerski królewica, który w spokoju i w ciszy pozostawać nie mógł, drudzy potępiali go, iż jako szwedzki królewic bez żadnego powodu, wziął udział w walce ze Szwedami.

— Nieszczęście on i klęskę na Rzpltę sprowadzić gotów... — szemrano. — Niespokojny duch jest w tym królewicu-peregrynancie. Mienie swe po rodzicu i po rodzeństwie zmarłem, już strwonił, dziedziczne starostwa i tenuty długami obciążył, a teraz jeno się na pomoc cesarską ogląda...

— Nie jest to żadna pomoc — mówili inni — jeno cesarz winien był znaczne sumy królowi Zygmuntowi, które teraz zwrócić ma.. Prócz tego posiada jeszcze królewic Nieporęt i różne kosztowności z macierzystego spadku, w zagranicznych zaś krajach księstwo Bari i hrabstwo Rossano, które po królowej Bonie na babkę królewica spadkiem przeszły i jemu zwrócone być mają.

— To też on się bardziej na owe zagraniczne kraje, zwłaszcza na cesarza ogląda, niż na Rzeczpospolitą i Króla — powtarzali niechętni.

Te wszystkie nieprzyjazne głosy zbierał pilnie Władysław i natychmiast je Kazanow-

skiemu odnosił, tak się zawsze starając, iżby Halszka to słyszeć mogła, widocznie w tym celu, aby wrażenie, jakie na niej te słowa czyniły, wybadać. I w tym jednakże względzie doznał zawodu. Halszka nie dawała po sobie poznać uczuć, jakie w niej owe doniesienia obudzały; najczęściej wychodziła natychmiast z komnaty, lub w ponurem zamykała się milczeniu. Widocznie wszakże ta uporczywość, z jaką Siciński owe złe wieści o królewicu przed nią powtarzał, musiała zwrócić jej uwagę, bo z coraz większą niechęcią a podejrzeniem na dworzanina patrzyła, dziwując się słabości małżonka swego, iż dla wszystkich nieprzystępny, jemu jednemu pozwalał mówić z sobą i do niezwykłej poufałości go przypuszczał. Raz też pan Kazanowski będąc sam z dworzaninem swoim, otwarcie mu rzekł:

— Żle jest, iż wacpan nie umiesz sobie zaskarbić łask niewieścich. Oto małżonka moja w wielkim na mnie gniewie, iż w jej obecności mówić poufnie waści dopuszczam, co nikomu u dworu mego nie jest dozwolonem... Ano, może i nie dobrze czynię...

— Skoro jw. pan — odparł Siciński kornie — mówić mi zabraniasz, to milczeć będę, tak wszakże mniemałem, jako to, com dotychczas donosił, nie było bez wagi,

a w mojem sumieniu czuję, iż niepoczciwiebym działał, gdybym panu memu za łask tyle doświadczonych, nieszczerością, albo milczeniem, które nieraz szkodliwem być by mogło, odpłacał. Słyszę ja wiele rzeczy takich, które do uszu pańskich nie dosięgłyby nigdy, a które wiedzieć pożytecznem jest...

— Tego nie zapieram — przerwał Kazanowski, patrząc z widoczną czułością na dworzanina, którego w życiu swem smutnem i samotnem, nieledwie za jedyne go przyjaciela i powiernika miał — tego nie zapieram, a znając wierność twoją, doświadczwszy zaś sprawności, wiem jako to czynisz dla pożytku mego, abym wiedział wczas wszystko, co się u dworu dzieje... Jeno tak się już staraj, abyś mi to samemu mówił, gdy małżonki mej nie będzie...

Do tego rozkazu zastosowywał się czas jakiś Siciński, ale niedługo. Niebawem bowiem zaszły takie wypadki, które wzmagając dawne jego podejrzenia, zwiększyły też jeszcze chęć zbadania prawdy i żądę zemsty.

Z owej wyprawy przeciw szwedzko-francuskiej armii, rozkazem królewskim odwołany, powrócił Jan Kazimierz do kraju i czas jakiś przebywał w stolicy, a wówczas zauważał Siciński, iż do pałacu Kazanowskiego przybywali jacyś posłowie do Halszki, najczęściej



Tyzenhauz, pokojowy dworzanin królowica, lub też ulubiony jego pacholik Sokół. Lękał się on z tego powodu jakąkolwiek wrzawę czynić, lub też otwarcie badać owych posłów, którzy zresztą zawsze jakowymś prawdopodobnym pozorem swe misye okrywali, ale coraz pilniej śledził każdy krok Halszki, w przewidywaniu, że prędzej czy później na ślad pewny wpadnie. Na jednym też bankiecie, który pan Kazanowski dla królowica w pałacu swym wyprawił, dostrzegł on, jako Jan Kazimierz ciągle do Halszki się zbliżał a widocznie szukał okazji do dłuższej z nią i poufnej rozmowy. Przysuwał się wówczas Siciński jak mógł najbliżej, ale mógł jeno pochwycić urywane wyrazy, które wszakże świadczyć się zdawały, jako Halszka teraz albo odmieniła sentymenta, lub też przysięgą małżeńską związana, postanowiła królowica nie słuchać. Jan Kazimierz bowiem nie umiając utaić swych uczuć, z rozpłomienioną twarzą i bardzo żywo a coraz ciszej do niej przemawiał; ona zaś z attencją ale zarazem z powagą wielką i zimnym spokojem odpowiadała. Do uszu Sicińskiego doszły wyraźnie jej słowa:

— Przysięgam mu... tego nawet słuchać mi nie wolno... wolę nieszczęśliwą być niżeli występłą...

A na to królewic schmurzył się widocznie... twarz przybrała wyraz dumy, na ustach błąkał się uśmiech goryczy pełen i szyderstwa. Wreszcie skłonił się przed Halszką i odszedł bardzo zasepiony; wkrótce zaś odjechał, wymawiając się niezdrowiem.

I odtąd wszelki ślad zniknął. Królewic wyjechał niebawem do Wiednia celem zaślubienia w imieniu króla arcyksiężniczki Cecylii Renaty i towarzyszył jej do stolicy. Równocześnie zaś z jego przybyciem i przyjazdem dworu królowej, już w czasie uroczystości weselnych, które wspaniałością swą przewyższyły wszystko, co dotychczas w Rzpltej widziano, zaczęto szerzyć wieści, jako królewic zachwycił się do szaleństwa urodą jednej z panien dworskich królowej, nazwiskiem Guldenstern.

Było o tem wielkie i głośnie w całej Warszawie gadanie, tembardziej, iż królewic, jakby mu na tem zależeć mogło, jakby za obojętność Halszki zemścić się pragnął, nie tylko owego gadania przytłumić się nie starał, ale je umyślnie podniecał, okazując jawnie swój affekt. Zaczęto mówić, jako z tą panną żenić się chce, z czego wielkie zgorszenia i niechęć urosły.

Z wieściami temi przybiegał zawsze do pana Kazanowskiego Siciński i raz umyślnie, jakby zapomniawszy rozkazu, nie bacząc na

obecność Halszki, jął opowiadać. Zaledwie jednak relację rozpoczął, Halszka zbladła, porwała się z miejsca i nie mogąc już zdzierżyć oburzenia, zawołała:

— Ścierpieć nie mogę, aby takie wieści o domu królewskim, które widoczną kalumnią są, służalec powtarzać śmiał!...

I wyszła, drzwiami stuknąwszy, a pan Kazanowski przerażony tem mocno, z wymówką i niemal gniewem zwrócił się ku ulubieńcowi swemu.

Tłómaczył się Siciński, jako to są sprawy, o których powszechnie w stolicy mówią, że zatem nie sądził, aby powtórzenie rzeczy wszystkim wiadomych i z którymi sam królewic się nie tai, czyjąkolwiek obrażą być mogło.

— Zresztą, dodawał kornie, nie racz mię jw. panie, gniewem swym karać, bo oto już winę, jeżeli jest jaka, odpokutowałem srogo, ile że całkowicie bez racji kalumniatorem nazwany i nienależącem się wolnemu szlachcicowi mianem służalca zbeszczeszczony zostałem...

Wszakże pan Kazanowski gniewał się czas długi na Sicińskiego, tak dalece, że go nawet do swojej komnaty przypuszczać przestał, ale czynił to widocznie nie przez rankor, którego w sercu nie miał, jeno dla dogo-

dzenia małżonce, której wola stała się dlań prawem. Wyrobił się bowiem między nim a Halszką taki stosunek, że ona jak zawsze obojętna, wszakże łagodną i uprzejmą dlań była, on zaś tę uprzejmość okupywał bezwzględnem posłuszeństwem, patrząc jeno w oczy małżonki i najmniejsze jej zlecenia spełniając, bez żądania jakiejkolwiek nagrody. Uśmiech Halszki był mu już wystarczającą za wszystko zapłatą...

Władysław znając dobrze stan rzeczy, nie frasował się zbytecznie chwilowem nieukontentowaniem pana i pokutą sobie naznaczoną, wiedział bowiem, iż to rychło przeminie, miał zaś zadowolenie, bo się zdołał zemścić na Halszcze, własnymi oczami widział jej pomięszanie i boleść, niejednokrotnie też potem dostrzegał łzy w jej oczach i smutek na zbladłem obliczu. To wszystko potwierdzało jeno podejrzenia jego.

— To jest niewiasta, — mówił sam do siebie — która raz powziętego sentymentu nie zapomni. Opiera się jeszcze i walczy, bo duma jej prawie tak jest silna jak miłość, ale pono ta ostatnia zwycięży...

Na to zwycięstwo czekał Władysław z upragnieniem, spodziewając się, że ono da mu w rękę ową przemożną tajemnicę, której posiadanie zapewni mu wszystko, czego by

jeno pragnąć mógł. Czekał wszakże bez rezultatu czas bardzo długi, a śledząc nieustannie, doszedł jeno do tej konwikcyi, że Halszka wszelkiemi siłami stłumia uczucie, które chociaż w tej walce nie maleje, toć wszakże żadnych złych nie daje pozorów. Że nie znikło ono, na to Władysław pilnem śledzeniem zebrał wiele dowodów. Na jej obliczu rozpoznawał on, jak bardzo, jak boleśnie, raniły ją koleje, które królewic przebywał.

Kiedy owa miłość dla panny Guldenstern zbyt stała się głośną i nadto wiele oburzenia wywoływała w kraju, królowa co rychlej za męża ją wydała, a Jan Kazimierz rozgniewany tem, zerwał niemal z całym dworem, z bratem się poróżnił i deklarując, jako na zawsze kraj opuszcza, za granicę, do Hiszpanii wyjechał.

O tej podróży znów różne obiegały wieści. Mówiono, jako królewic jedzie, aby owo księztwo Bari i hrabstwo Rossano od ciotecznego brata swego Filipa IV rewindykować; inni utrzymywali, iż Jan Kazimierz wicekrólem portugalskim ma zostać, inni wreszcie, iż naczelnym wodzem floty hiszpańskiej mianowany będzie, aby w gotującej się wojnie z Francją wziąć udział...

Halszka po wyjeździe królewica, który powszechnie za wieczystą z krajem rozłąkę uważano, niemal zachorzała, a gdy nadeszła

wieść o uwięzieniu Jana Kazimierza przez Francuzów i osadzeniu go w pałacu arcybiskupim w Salon niedaleko Marsylii, pani Kazanowska wielkiej rozpaczy swojej przed badawczem okiem Sicińskiego utaić nie zdołała, jakkolwiek zręcznie przed innymi pokrywała to oburzeniem, które powszechnie w kraju odczuwane było na tak niesłychane traktowanie królewica polskiego, brata potężnego monarchy.

Siciński, jakkolwiek jego zawistne serce napawało się nieraz rozkoszą na widok, jak sam los doświadczał okrutnie tę, której on pomstę poprzysiągł, to wszakże czasem nie mógł się obronić uczuciu podziwienia nad mężstwem duszy i hartem tej niewiasty. Z głową dumnie wzniesioną do góry, bez uśmiechu na zbladłych ustach, ale i bez łzy w oku, które ciemna otoczyła obwódka, bez skargi, chociaż pierś jej musiała straszliwa przenikać rozpacz, Halszka obojętnym lub obcym przedstawiała się zawsze jednako... Zdawała się pięknym posągiem, którego żadne silniejsze nie poruszało uczucie. Jeden tylko Siciński domyślał się, jaka burza, jaka boleść beznadziejna i jaka niedola niewysłowiona, ukrywały się pod tym pozorem. On jeden przeczuwał rozpacz, która ogarniać musiała Halszkę, gdy pozostawszy samotna, zamknięta w swo-

jej komnacie, kędy żadne oko ludzkie dostrzedz jej nie mogło, wyciągała daremnie ramiona do tego, któremu wieczystą przysięgła pamięć, a który w takim oddaleniu, w celi więziennej, równie jak ona rozpaczał i tęsknił...

Do powiększenia tego smutku, nie mało się przyczyniły wieści ubliżające królewicowi, które z Francyi rozmyślnie rozszerzano. Mówiono mianowicie, iż królewic jako szpieg hiszpański lustrował porty i wybrzeża francuzkie, czem usprawiedliwić chciano bezprzykładne uwięzienie, które zresztą wcale lekkiem nie było. Donoszono, jako królewic już nie w pałacu arcybiskupim, ale w gorszem więzieniu, gdzie łotrów i zbójów trzymano, w jednej izbie osadzony, głód, zimno i największe niewygody znosi a narażony jest na grubiańskie i srogie postępowanie nieokrzesanych dozorców...

Położenie było bardzo trudne. Król francuzki, Ludwik XIII, w listach do Władysława, tłumaczył uwięzienie królewica koniecznymi względami na bezpieczeństwo państwa francuzkiego, którego Jan Kazimierz zdawał się być zawziętym nieprzyjacielem, a uwolnienie czynił zależnem od poręczenia Króla i Stanów, jako za to uwięzienie mścić się nie będą i jako Rzplta w wojnie przeciw Francyi udziału nie weźmie. Sprawa ciągnęła się długo,



dla Władysława była trudną, ile że cesarzowi już były obiecane przeciw Francyi posiłki a Sejm nie zbyt chętnie podejmował kroki dla obrony niemiłego szlachcie królewica, którego z szyderstwem peregrynantem zwano, zarzucając mu, jako dla kraju własnego jest obcym i nieprzyjaznym.

Po dwóch wreszcie leciech, na podstawie żądanego przez Francję poręczenia, uwolniony został Jan Kazimierz i powoli, jak gdyby ze wstydem czy niechęcią powracał do kraju, opóźniając swój przyjazd do stolicy.

Siciński oka podówczas nie spuszczał z Halszki i widział, jak zwolna po dwuletniej martwocie ożywiała się twarz jej blada a oczy nabierały niezwyklej expressyi radości. Było to widoczne budzenie się przygasłych nadziei, powrót do życia tego uczucia, co siłą woli tłumione, wśród rozpacznej tęsknoty nowych sił nabrało, a teraz miało się w całej pełni rozwinać.

... Gdyby królewic przyszedł teraz — szeptał Siciński, patrząc na twarz Halszki pełną gorączkowego niepokoju — to już go nie odepchnie jak wprzód, nie będzie miała siły odepchnąć...

Podówczas w pałacu Kazanowskich dwie dusze cierpiały niewypowiedziane męczarnie niepokoju: Halszka wyglądając tęsknem, roz-

płomienionem okiem przybycia Jana Kazimierza i Siciński z niezmordowaną zapobiegliwością śledząc każdy krok, każde poruszenie Halszki...

Ale czas mijał, a królewic chociaż był już kilkakrotnie w stolicy, do Kazanowskich nie przybył, widzenia się z Halszką unikał, a zamknięty po większej części w Nieporęcie swoim, pogrążony był, jak mówiono, w ponurym smutku, którego nie rozproszyc nie mogło. Zamek w Nieporęcie wyglądał jak klasztor, tak pełno w nim było duchownych, nad którymi przywodził O. Leyer Jezuita, spowiednik królewica. Mówiono, że długi czas w niewoli przebyty, takim smutkiem nappełnił duszę Jana Kazimierza, iż jeno w nabożeństwie a ćwiczeniach pobożnych mógł znaleźć ulgę.

Królewic stał się porywczym i gwałtownym; najwierniejszych sobie odtrącał i odsuwał, z bratem swym Władysławem w ciągłej był waśni, a otaczał się coraz większą pustką i klasztorzem milczeniem.

Siciński widział, jako na obliczu Halszki, w czas powrotu królewica dziwnie rozpromienionem, gasły zwolna blaski nadziei; każdy dzień, który mijał w oczekiwaniu daremnie, pokrywał to oblicze coraz większą mgłą smutku a ten wreszcie przyrósł i niejako

zmarł na niem, że stało się jakby marmurowe, żadnym już niedostępne uczuciom.

Dawniej przychodziły jeszcze chwile wzruszenia, a wówczas oczy Halszki zachodziły mgłą łzawą, pierś wznosiła się żywszym oddechem, na lica wybiegały rumieńce. Teraz źródło to snadź wyschło, bo oczy ciskały jeno czasem, w momentach uniesienia lub gniewu, takie błyskawice, jakie rozdzierają niebo w czas posuchy, zwiastując, iż w chmurach niewidzialnych ludzkiemu oku, niema ani kropli dżdżu dla spragnionej ziemi. Postać Halszki, która przedtem jeszcze gięła się czasem łagodnie i miękko, ulegając snadź wewnętrznym duszy marzeniom, wyprostowała się teraz dumnie i hardo; do ust przyrósł uśmiech dla wszystkich jednaki, goryczy i lekceważenia pełen, uśmiech, który szydzi z pożegnanych nadziei, a drwi z przyszłości i budzących się może jeszcze mimowoli marzeń młodego a niezaspokojonego serca.

Z przenikliwością swej podstępnej natury, odgadywał przeczuciem Siciński, co się w duszy Halszki działo, a gdy uirzał jako ona, po ponownym wyjeździe z kraju królewica, z obojętnością już przyjęła wiadomość o wstąpieniu jego do Zakonu OO. Jezuitów, powiedział sobie, iż w tej sprawie badanie jego skończone i że spodziewane z niej korzyści

stanowczo go zawiodły. Z szyderskim uśmiechem przyjmowała już Halszka dalsze wiadomości, jako Jan Kazimierz po odbyciu nowicyatu Zakon porzucił i jako w Rzymie o purpurę kardynalską się ubiega, a wreszcie, że i to otrzymawszy, zaledwie ostateczną confirmację uzyskał, do kraju powraca.

Powrót ten nie uczynił na Halszce pozornie żadnego wrażenia, a gdy w jej przytomności mówiono raz o powodach owego dziwnego postępowania królewica i przypisywano je obudzonym nadziejom otrzymania polskiej korony, ile że Król sam mocno chory, stracił jedynego syna i następcy nie miał, Halszka zaśmiała się dziwnie i rzekła:

— A jakóżby ten peregrynant królem mógł zostać! Mnich nie mnich, znowu potem kardynał a nareszcie król! dziwne to drogi do tronu...

Pierwszy to raz Halszka mówiła o królewicu, dawniej bowiem imienia nawet jego nie wymieniała nigdy, i nigdy też udziału nie brała w rozmowie o nim. Snadź tedy czuła już sama, jako dawne uczucia spopielwały w jej sercu i z całą swobodą mówić mogła o tym, którego imię przedtem, znagła wymówione, przejmowało ją dreszczem.

— Skamieniało w niej serce — myślał Siciński, gdy po odejściu łomżyńskiego sta-

rosty, przechodził w pamięci wszystkie owe przebyte koleje, których wspomnienie rozmowa z Radziejowskim żywo poruszyła.

— Skamieniało w niej serce — powtórzył półgłosem sam do siebie — a szalony ten, ktoby chciał szukać iskry w wygasłych popiołach... Przez lat tyle ścigałem ją płomienistym wzrokiem, który płoszony jej wzgardą, przepalił moje własne serce a po jej wyniosłej postaci ślizgał się bez wrażenia. Jakożby ona mogła na mnie, na tego, którego służalcem pogardliwie mieni, uwagę zwrócić, gdy taki pan Radziejowski i inni jeszcze znaczniejsi, daremnie o to zabiegają? Jakaż ją pomsta dosięgnąć może, gdy ona dziś zda się na wszystko obojętna i każdy cios by najsroższy nie wzdrygnąwszy się przyjmie... Dziwna niewiasta!

Do uczuć nienawiści, chęci zemsty, goryczy i żalu, które wrzały w Sicińskiego duszy, łącząc się tam z silniejszą nadewszystko namiętnością ku Halszce, przywiązywało się teraz mimowiednie uczucie ogromnego podziwu dla siły woli, mężstwa i niewzruszonego spokoju tej niewiasty, która niedolę swego życia znosiła bez skarg i wahania.

Przemocą niemal otrząsł się Władysław z długich rozmyślań, w jakie był zapadł po rozmowie z Radziejowskim. Silne postano-

wienie opuszczenia dworu pana Kazanowskiego zapanowało ostatecznie nad słabością serca. Było już późno, gdy Władysław obudziwszy się z zadumy, postanowił natychmiast zwiastować panu Kazanowskiemu, jako dwór jego i służbę porzucić zamierza — a w tymże momencie wszedł sługa oznajmiając, jako pan marszałek spieszenie go wzywa do siebie.

---

### XIII.

Pan Hieronim Radziejowski po rozmowie z Sicińskim podążył wprost do pałacu Ossolińskiego kanclerza, gdzie tego dnia wielkie odbywało się przyjęcie. Pan kanclerz coraz częściej świetne uczyty wyprawiał dla tego jeno, jak niechętni mówili, aby umysły szlachty i senatorów dla swoich zamiarów niewolić.

Dnia tego, wspaniałe sale pałacu, lśniące od marmurów, obić drogich i złota, wypełnione były najznakomitszymi gośćmi. Król z całym dworem przybył, również posłowie i rezydenci zagraniczni, ministrowie i senatorowie najprzedniejsi a także tłumy posłów i szlachty.

Pan Radziejowski wszedłszy do pierwszej marmurowej sieni, ozdobionej wielkimi posągami bronzowymi, z Rzymu sprowadzonymi, ujrzał jako na schodach wiodących na piętro, tłoczyły się tłumy pań i panów strojnych, którzy wszyscy dążyli do wielkiej sali, kędy był dwór królewski.



Sala ta obita drogocenną makatą, złotem tkaną, najwspanialszą była w pałacu. Nad wchodowymi drzwiami wisiało siedm chorągwi, które Ossolińscy w różnych potrzebach własnym kosztem na pole walki wyprowadzili; na ścianach wielkie portrety rodowe a w samym środku olbrzymi obraz, przedstawiający Króla Władysława na koniu, otoczonego rycerstwem. Na wszystkich gzemsach widniały marmurowe popiersia rzymskich cesarzy. Od drzwi wchodowych na przestrzał ciągnął się cały szereg sal wspaniałych, ozdobionych zwierciadłami, w których odbijały się strojne zgromadzonych postacie.

Okna przysłonięte były zasłonami z purpurowej materyi, na której lśniły złotem haftowane herby Ossolińskich z xiążęcami mitrą, na co szlachta i senatorowie niektórzy z szyderstwem wskazywali, śmiejąc się z cicha.

Pan Radziejowski szedł zwolna, kłaniając się jednym nisko, drugich poufalej pozdrawiając a nie rzadko też przystawał i nadstawiał ucha, gdy mu jakaś rozmowa ciekawą się być zdała. Uderzyło go to od razu, że pomimo tak liczного zgromadzenia, nie było w tej sali zwykłej gwarliwej wrzawy; po kątach tworzyły się grupy, mówiące żywo a z cicha; z tych zaś ogólnych szeptów, powstawało niewyraźne mruczenie, które wszakże

groźnem się zdawało, jak stłumiony odgłos gromu, zwiastującego zbliżanie się burzy.

W jednym końcu sali liczniejsze grono szlachty i młodych senatorów, otoczyło sędziwego marszałka w. koronnego, Łukasza Opałińskiego, na którego zgrzybiałem obliczu, pomarszczonem i pofałdowanem a okolonem białemi jak śnieg włosami, osiadła w tym momencie poważna zaduma. Wysoki, niemłody szlachcic stał obok niego i głośno rozprawał, że go inni mitygować musieli, przedstawiając, iż mowa jego do uszu Króla dojść może.

— Czas jest, aby się też o tem dowiedział! — odparł na to niezmiészany szlachcic. — W izbie poselskiej głosu naszego usłuchać nie chciał, to może tu posłyszysz i strzyma się... Jam jest od lat niemal młodzieńczych posłem i jeszcze za nieboszczyka Króla Zygmunta pomnę rozliczne kontrowersye, — ale takiego nieposzanowania paktów conventów nie było! Do ciebie to jaśnie wielmożny marszałku wielki koronny, który z otaczających Króla ministrów, najstarszy jesteś wiekiem, do ciebie należy głos podnieść i powiedzieć, jako szlachta takiego deptania swej woli znieść nie może, rokosz podniesie, posłuszeństwo Majestatowi wypowie!...

— Uspokój-no się waszmość — przedstawiali inni — wszak to wszystko jeno gadania być mogą bez żadnej podstawy...

— Bez podstawy! — zakrzyknął ów szlachcic. Nie moja to rzecz bez dowodów, na wiatr gadać! Wie o tem najlepiej imćp. marszałek wielki koronny, jako pomimo wyraźnych przyrzeczeń królewskich, zaciągi w tajemnicy się robią, arsenały napełniają bronią, królowa pieniądze daje, xiażęta zagraniczni niektórzy przyrzeczenia czynią, signoria wenecka subsydyja w pieniądzach przysłała, na Ukrainie gońce królewscy podbuntowują kozaków — a wszystko jeno w tym celu, iżby wojnę z Turcyą wywołać...

— Nie może to być! — zawołało kilka głosów — było tak, ale przeminęło, bo Król przeciw woli narodu iść nie chciał...

— Było tak! — przerwał szlachcic, — i teraz jest nie inaczej! Dopóki żył syn królewski, strzymywano się jeszcze przez wzgląd na niego, aby przez postępowanie rodzica i syn narodowi nie stał się niemiłym. Ale teraz gdy królewic zmarł, Król nie zna hamulca i nie mogąc otwarcie, tajnie działa. A przecież wiadomo, jako różni posłowie zagraniczni skrycie przybywają na dwór królewski, jako z Grecyi przybył w tych dniach mnich jakiś, który ofiarował

Królowi koronę bułgarską a posiłki w pie-  
niądzach i ludziach, byleby wojnę z Turcyą  
prowadził...

Łukasz Opaliński na słowa te podniósł  
głowę i bystro na mówiącego spojrział.

— Niebezpieczne to są mowy — rzekł  
zwolna — lepiejbyś waszmość zrobił, gdybyś  
powtarzaniem wieści takich, które cale sprawa-  
wudzonemi nie są, nie rozdrażniał bardziej umy-  
słów...

— Gdy inni milczą, których powinnością  
jest mówić — zawołał zawzięty oponent — to  
co nam czynić? nam szlachcie, których wol-  
nościom grozi największe niebezpieczeństwo!..  
Przecież ta wojna nie na co innego, jeno na  
to uknuta, aby szlachtę wygubić a na trupach  
naszych nowy porządek wznieść...

— Milcz waszmość! — drżącym głosem  
zawołał Opaliński — nawet przez sen nie godzi  
się takich rzeczy mówić... Jeżeli to wacpana  
uspokoić może, to poręczam, jako dziś jeszcze  
z Królem mówić będę i owe głosy szlacheckie  
mu odniosę...

Słowa te marszałka zdawały się uśmie-  
rzać nieco zapalczywość szlacheica.

— Nie wątpię, — rzekł spokojniej — że  
słowa z ust takich, pożądaną influencyę wy-  
wrą, byleby — dodał ciszej — pan Ossoliński  
nie bruździł, boć to jego głównie są sprawy...

Radziejowski wysłuchał całej tej rozmowy a ujrzawszy, jako pan Opaliński ruszył się i odszedł dalej, posunął się za nim, kędy znów niektórzy senatorowie równie z cicha gwarzyli.

Ale i tu nie ucieszne usłyszał mowy. Senatorowie, którzy z obowiązku przy boku królewskim na rezydencyi bawić mieli, oświadczało głośno, jako w obec tajemnych knowań, wojnę na celu mających, opuszczają stolicę, oświadczywszy Królowi, iż czują się być niepotrzebni, a złych zamiarów nawet milczeniem popierać nie chcą.

Zamyślił się nad tem bardzo pan starosta łomżyński, ile że i jemu należało w tej sprawie jakieś stanowisko zająć, dotąd bowiem znany był jako zwolennik wojny tureckiej, Królowi z gotowością do usług wielokrotnie się oświadczał i na Ukrainę z listami do Barabasza podróżował. Podróż ta tak wielką otoczona była tajemnicą, iż nikt nie znał jej prawdziwych powodów, ile że pozorem odwiedzenia dóbr ukraińskich, po pierwszej małżonce odziedziczonych, dobrze była okryta. Należało jednak się namysleć jak postępować dalej, p. Radziejowski wiedział bowiem, że wojenne zamiary królewskie były niecofnione, a dostrzegał, iż ze wszech stron wielka powstawała opozycja, a jakże odgadnąć na czyją stronę

obróci się ostateczne zwycięstwo? Myślami temi zafrasowany, szedł dalej, gdy nagle głowę podniósłszy o wszystkich troskach zapomniał...

Ujrzał naraz przed sobą Halszkę Kazanowską, stojącą w otoczeniu innych niewiast i panów. Była piękniejszą niż kiedykolwiek, w stroju wspaniałym: uroda jej była tak promienną, iż zaćmiewała wszystkich i wszystko, blask rozsiewając dokoła a gasząc brylanty zdobiące jej szyję i włosy.

Po długiej nieprzyjaźni z kanclerzem, pani Kazanowska, po raz pierwszy ukazywała się na jego salonach, co uczyniła na wyraźne nalegania Króla, który w obec rosnącej przeciwnie mu niechęci, usiłował pojednać i zbliżyć tych, co mu wiernymi zostali. Czyniąc tedy zadość woli królewskiej i usilnym prośbom kanclerza, jakkolwiek pan marszałek słabością zdrowia się wymówił, Halszka w towarzystwie innych niewiast przybyła na ową ucztę a z niezwykłym zajęciem zdawała się przysłuchiwać toczącej się w około niej rozmowie.

— Królewic z Nieporętu wczoraj przyjechał — mówiono — a dziś miał tu przybyć. Ma być teraz znacznie uspokojony... z Królem się pojednał...

— Zaświtała mu nadzieja tronu po śmierci królewica Władysława Zygmunta... dorzucił

głos jakiś szyderczo — toż ze wszystkimi jednać się teraz będzie.

— Król go sam pragnie mieć swoim następcą — już do Rzymu wysłał kanonika warmińskiego Roncaglia, aby Papieżowi ustnie przedstawił, jako królewic kapeluszkardynałski składa...

— Lepsza mu korona od kapelusza — przerwał tenże głos złośliwy — jak był lepszy kapelusz od mycki zakonnej... ciekawa rzecz czy znajdzie się coś jeszcze od korony lepszego...

Jeszcze nie przebrzmiały te słowa, gdy u progu szmer się zrobił, rozstępowano się pospiesznie i w tymże momencie, krokiem wolnym wszedł do komnaty Jan Kazimierz.

Ubrany był całe nie jako kardynał. Strój miał na sobie barwy ciemnej ale ozdobny i kosztowny, krojem włoskim sporządzony, przy szpadzie. Wielki, szeroki kołnierz haftowany, spadał mu na piersi; ręce delikatne, małe, jak gdyby niewieście, tonały wśród batystów, na palcu czwartym lśnił wielki pierścień brylantowy. Jako jedyną oznakę swej kardynałskiej godności, miał na głowie nie wielką czapeczkę purpurową.

Oblicze królewica nosiło widoczne ślady przebytych utrapień; postarzało się i zwiędło — jeno oczy, nieco w głąb zapadnięte, świeciły



się zawsze jednakim blaskiem; patrzyły wszakże z pewną nieufnością, schylając się co chwila ku ziemi. Na ustach zbladłych, błąkał się półuśmiech, niby uprzejmy a jakby szyderski. Idąc mówił do xiążęcia Albrechta Radziwiłła, który postępował za nim.

Wtem umilkł, niedokończywszy wyrazu i. u progu stanął, zoczywszy Halszkę, której oblicze oblało się nagle rumieńcem, a potem znów zbladło, jakby jej krew cała zbiegła do serca. Mimowolnym ruchem cofnęła się nieco, obiema rękami opierając się o stół stojący po za nią. Spuściła oczy ku ziemi i stała tak w dziwnem pomieszaniu, słowa przemówić nie zdolna.

Jan Kazimierz był już obok niej, iskrzącym wzrokiem obejmując całą jej postać.

— Pani marszałkowo... — zaczął i nie dokończył. Głos mu drżał dziwnie; białą rękę podniósł zwolna do czoła i przesunął ją po twarzy, szukając w myśli odpowiedniego wyrazu powitania.

Stojący w około cofnęli się, widząc jako królewic z Kazanowską rozmawiać pragnie. A on odszedłszy z nią razem parę kroków i zatrzymując się we framudze okna, mówił niemal szeptem:

— Nie spodziewałem się was tu ujrzeć... i trudno mi rozpoczynać rozmowę po latach tylu... Wyrazy rwą się i myśli płaczą...

Halszka oprzytomniawszy, śmiało głowę podniosła i spojrzała w twarz królewica.

— Czas ten — odparła — nie musiał się wydać zbyt długim Waszej Królewicowskiej Mości... W podróżach zmieniają się wrażenia i ludzie i myśli... my cośmy na miejscu siedzieli...

Królewic uśmiechnął się gorzko.

— Zmienia się wszystko — przerwał — jeno smutek zostaje zawsze ten sam a przybywa doń z dniem każdym coraz więcej goryczy...

Głos Jana Kazimierza brzmiał jak dawniej przejmująco... Jeżeli twarz uległa zmianie, zbladła i młodzieńczą straciła świeżość, to oczy paliły się zawsze jaskrawo przenikliwym ogniem, a słowa dźwięczały tak tęsknie, iż wprost wnikały do serca, budząc w niem niewymowne współczucie.

Halszka znów oczy spuściła ku ziemi. Królewic mówił o smutku i goryczy, a czyjeż serce, jeśli nie jej, mogło być bardziej przepełnione temi uczuciami; któż lepiej od niej znał tęsknotę do niedoścignionego marzenia i burzę uczuć, buntujących się przeciw niedoli życia?..

Milczeli chwilę oboje, aż znów królewic mówić zaczął:

— Halszko! — rzekł, nazywając ją tak jak dawniej, przed laty — mówić z wami pragnę, wytłómaczyć się, wyjaśnić wszystko!... dlaczegoście na pisma moje żadnego nie dali responsu?...

— A na co ta rozmowa po latach tylu?.. — odpowiedziała Halszka pytaniem — co nam przynieść może?... nowy ból, i nowe zawody...

— Przebyłem tyle zawodów, że już się ich nie lękam — odparł Jan Kazimierz. — A im ich więcej w życiu, tem większe pragnienie jedynej pociechy, jedyne go pokrzepienia, które jest we wzajemnem uczuciu...

Halszka dumnie podniosła głowę. Jakiś uśmiech na poły boleśny a na poły szyderski, przemknął po jej pięknych ustach.

— Jam też — odrzekła zwolna — pokrzepienie to znalazła... małżonek mój...

Królewic rzucił się gwałtownie.

— A! — zawołał — tego nie mówcie!... nie takiej jak wy niewieście przystoi zasłaniać się udanemi słówkami... Chyba, że pragniecie oddalić mię od siebie na zawsze?...

Roziskrzony wzrok królewica utkwiał w o-bliczu Halszki, która widocznie bardzo pomię-

szana, usiłowała zapanować nad ogarniającem ją uczuciem.

— Niech Wasza Królewicowska Mość wierzyć raczy — przemówiła po chwili — że po długiej walce znalazłam już spokój... I jeżelibym miała w życiu jeszcze jakie pragnienie, to chyba jedno tylko, aby nikt i nie tego spokoju naruszyć nie było w stanie...

— Nie wierzę! — zawołał Jan Kazimierz — nie wierzę! wy tak samo jak ja nie znajdziecie spokoju, bo życie nie dało wam, jak i mnie nie dało tego, czego spodziewać się mogliśmy, czegośmy pragnęli... Ten spokój, to złudzenie, to moment ciszy, którą lada wietrzyk zburzy... Czyliż dla tego, aby zachować to złudzenie, warto niszczyć lata młodości, ostawiać, a raczej tworzyć pustkę w sercu, którą rychła starość nawet wspomnieniem żadnem zapełnić nie zdoła?

Królewic mówił z coraz większem uniesieniem, które i Halszkę ogarniać poczynąło. Czuła ona, że należy co rychlej skończyć tę rozmowę, którą łącno ciekawe ucho podsłuchać mogło. Raz przeto jeszcze spozierając zimno na królewica, odparła:

— Nie chcę ja takich wspomnień, któreby mogły być wyrzutem występny... wolę pustkę serca, niż zgryzotę duszy skalaney...

To rzekłszy odejść chciała, ale królewic strzymał ją, ujmując za rękę.

— Halszko! rzekł głosem przejmującym rzewnością — ja nie mogę, ja nie chcę wierzyć twoim jak lód zimnym słowom... Od-daliły cię odemnie i czas i ludzie i moje własne, być może, szaleństwo... ale ja przed tobą wyznać chcę wszystko... dziś jedno ci powiem: Byłem zawsze i wszędy nieszczęśliwym a gorączkowo pragnąłem szczęścia, które dusza moja przeczuwała i którego pożywała. Mierności znieść nie mogłem; cisza dokoła mnie budziła burzę w duszy; upokorzenia wyrodziły dumę, niedola żądzę niepohamowaną rozkoszy... I oto w takiej rozterce okrutnej przeszło mi lat tyle! Dziś przychodzę do ciebie, którąm ujrzał i ukochał w zaraniu młodości, przychodzę prosząc... — Żali i ty mnie odepchniesz?...

Halszka odrzec chciała, ale drżące usta nie zdołały przemówić już słowa. Błagalne niemal brzmienie głosu królewica przeniknęło jej serce i ogarnęło niewysłowioną rzewnością.

Jan Kazimierz ujął ponownie dłoń jej i trzymał długo w uściśnieniu. Aż ona nagle dłoń swą wyrwała i nie podnosząc już wzroku rzekła głosem cichym:

— To ja was królewicu proszę: nie poruszajcie mi serca, które bolało i przebolało...

przeszło całe piekło udręczeń... i lęka się nowych...

— Więc nie zapomniało serce wasze? — zapytał królewic szeptem, pochylając się ku Halszce i patrząc wciąż na nią płomienistym wzrokiem.

Halszka milczała — a królewic bystro spojrzał dokoła, spostrzegłszy zaś jako tłum cały stał opodał, patrząc ciekawie, niecierpliwie się zachnął.

— Niepodobna nam tu mówić — rzekł — uszu i oczu tysiące... nie żądam też zaraz responsu... dziś jeszcze może przyszlę do pałacu... Tyzenhauzowi zaufać możecie... wyznaczcie czas na rozmowę a nie odmawiajcie mi tego!..

I nagle zmieniając ton głosu, dodał tak, aby wszyscy słyszeć mogli:

— Więc pan marszałek zawsze chory..! przykro mi dowiadywać się o tem... może jutro sam go odwiedzić pospieszę, a was proszę, byście mię jego pamięci przypomnieć raczyli...

To rzekłszy, skłonił się Halszce i już ku drzwiom się kierował, gdy z drzwi tych wkroczyło do komnaty kilka osób, pośrodku których szedł Król.

Bardzo otyły, postępował wolno, krokiem ciężkim, wsparty na ramieniu Ossoliń-

skiego, a widocznie poruszony, mówił głośno i gniewnie.

Wielka postać jego ugiwała się niejako pod brzemieniem otyłości; twarz niegdyś piękna, teraz rozlana, rozpłynięta, wyrażała przygnębienie; oczy duże patrzyły ze znużeniem przed siebie, czasem jeno zapalając się iskrami gniewu.

Władysław ubrany był niezwykle strojnie, na piersiach zwisał mu wspaniały łańcuch z orderem Złotego Runa. Od czasu do czasu szarpał ten łańcuch niecierpliwą ręką, która drżała.

Idący obok Króla kanclerz koronny Jerzy Ossoliński, liczył wówczas lat pięćdziesiąt wieku. Średniego wzrostu, zdawał się znacznie wyższym, tak wielką powagę miał w ruchach i taką imponującą a wspaniałą postać. Twarz piękna, o rysach bardzo regularnych, ożywiona była spojrzeniem oczu jasnych, wielkich a pełnych blasku, patrzących przed siebie z rozwagą i spokojem. Czoło wyniosłe, okolone krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, fałdowało się często, gdy się pan kanclerz zamyślił lub nieukontentowanie okazać chciał. Usta małe, wąskie, nie znały prawie uśmiechu; osiadała na nich posępna zaduma, gdy milczał; płynęły z nich mądre lub uczone a zawsze wymowne słowa, gdy



przemawiał. W całej postaci przebijają się powaga i pewność. Podając ramię Królowi, pochylał się ku niemu z attencyą wielką, ale bez zbytecznej uniżoności. W tym momencie z pewnym niepokojem widział niezwykle zniecierpliwienie Władysława.

— Nie tu miejsce na ucałowanie ręki królewskiej! — wołał Król do idących za nim senatorów — jutro o dziewiątej rano czekam w zamku, tam przyjść proszę i przedstawić owe racje niepraktykowanego postanowienia. Senatorowie rezydenci chcą opuszczać Króla! szlachta rokoszem grozi! Zebrzydowskiego duch was opętał!...

— Miłościwy Panie — ozwał się Ossoliński z cicha — takie wzruszenia szkodzą zdrowiu W. Król. Mości....

— Szkodzą.... szkodzą.... przerwał Król, — i zaszkodzą.... zabijają!...

Strzymał się na środku komnaty, z głębi piersi zaczerpnął powietrza i oglądał się dookoła, a widząc jako w tej sali było dużo osób, które z ciekawością jego słowom przysłuchiwać się zdawały, ruszył ramionami niecierpliwie i skierował się do przyległej komnaty, kędy było pusto.

Jan Kazimierz jakby nie chciał być świadkiem rozmowy Króla z senatorami, przeszedł pośpiesznie do innej sali, a za Władysła-

wem podążyło jeno kilku przedniejszych panów, jako książę Albrecht Radziwiłł i Opaliński a także wsunął się Hieronim Radziejowski, mocno tem wszystkiem co widział i słyszał zainteresowany.

Wnet podano krzesło, Król usiadł i głowę wsparł na rękę zamyślony chmurnie. Wszyscy dokoła stali, milcząc.

— Gdzie jest Opaliński? — zapytał Król, wzrok nagle podnosząc.

Marszałek koronny wysunął się naprzód i stanął naprzeciw monarchy. Sędziwa twarz jego wyrażała smutek ale i niezłomne postanowienie.

Władysław potoczył okiem po komnacie.

— A — rzekł — jest i kanclerz litewski i starosta łomżyński.... to dobrze.... Zresztą, wszak to już głośno wszyscy mówią, jako Król zamachy czyni, spiski knowa, jako łamie zaprzysiężone pacta conventa.... Nie ma już w tem tajemnicy żadnej i dla nikogo!...

— Najjaśniejszy Panie! — z powagą ozwał się Opaliński — starym jest jako łabędź i w moim kandorze umrzeć chcę, więc nie przestanę wedle sumienia prawdy mówić Królowi....

— Mów przeto ową prawdę! — zawołał Władysław — boć ja dotychczas jeno oszczerstwa słyszę....

Po sędziwej twarzy p. Opalińskiego, przemknęła błyskawica oburzenia.

— Nie znały usta moje nigdy oszczerstwa — rzekł śmiało — a i teraz gdy je wkrótce może śmierć zawrzeć ma, plamić się niem nie będą.... Nie posądzam ja, jeno mówię to co w powszechnem jest mniemaniu. Stajemy tu nie jako seditiosi cives, lecz jako prawdziwi poddani, kochający Króla i ojczyznę.... Na to gościnne theatrum przynoszę ja i wszyscy, powinna submissyę Królowi, zachowując sobie wszakże wolność głosów przy nienaruszonej majestatu obserwancyi....

Król pięść ściśniętą podniósł i ruszał się niecierpliwie a nie mogąc doczekać się końca przemowy, przerwał:

— O konkluzyę proszę!

— Krótko więc mówić będę — rzekł marszałek. — Stwierdzoną już jest rzeczą, jako pan hetman koronny otrzymał od Tatarów pisma z zażaleniem, iż pan chorąży koronny Koniecpolski i książę Wiśniowiecki wojewoda ruski, wbrew pokojowym traktatom z siłą zbrojną przeciw nim expedycey czynią. Powszechnem zaś jest mniemaniem, iż dzieje się to nie w innym, jeno w tym celu, aby wbrew konstytucyom sejmowym, wojnę z Turcyą zapalić.... Pan chorąży aż pod Oczakowem był a mając 4000 żołnierza, zabrał 50 jeńców

tatarskich i moc niezliczoną koni, wołów, owiec i wszelakiego dobytku. Xiażę Jeremi z całą armią 26000 liczącą, aż ku Perekopowi pomknął.... Wszystko to nie byłoby się stało, gdyby wola najwyższa....

— Więc mnie posądzasz marszałku? — przerwał Król.

— Nie jest to posądzenie — odparł Opaliński — stwierdzają je bowiem dowodnie inne oznaki; różne zagraniczne a tajemne legacye, od Papieża, od niektórych xiażąt chrześcijańskich, nawet od Greków....

Król milczał, jeno ściśniętą pięścią o kolano bił....

— Mówią — ciągnął Opaliński — jako się krucyata gotuje, aby Turków z Europy wypędzić....

Król podniósł głowę.... oczy mu zabłyśły niezwykłym ogniem.

— A! — zawołał — i to jest crimen, który mnie zarzucacie, wy senatorowie, coście radą i poparciem tronu być winni!

— Sumienie inaczej nie pozwala.... — wtrącił cichym głosem xiażę Albrecht, szarpiąc według zwyczaju brodawkę na policzku — tak myślą wszystkie stany Rzplitej.... sejmy i konstytucye to wypowiedziały....

— Co powiedziały? — krzyknął Król z gniewem wielkim — krzyknęły veto! na

wszystko com chciał dla dobra i wielkości tej Rzplitej.... Cudzoziemskie wojsko znieść, zaciągi porozpuszczać, komput gwardyi zmniejszyć, kozaków gotujących się przeciw Tatarom, powstrzymać!... to znaczy pozostawić tę Rzplitej na pastwę najazdów tatarskich, swawoli rozbudzonego kozactwa, zapędów zuchwałej szlachty.... to znaczy zamiast korzystać z potęgi, która w nas jest, zniszczyć ją w samym zarodzie! Zamiast rozszerzyć panowanie nasze wielkim bohaterskim czynem, zamiast iść z krzyżem przeciw groźnemu półksiężycowi, znaczy poledz bez walki, Króla swego na urąganie przyszłym pokoleniom oddać, położyć kres szczęśliwości naszej!

Król mówił z uniesieniem wielkiem a w miarę jak mówił, oblicze rozpromieniało mu się dziwnie; wyraz gniewu ustępował zwolna, a zapal olbrzymi, rozjaśniał wzrok przygasły dotąd, pierś zdawała się oddychać szerzej, swobodniej, postać prostowała się wyniosłe na krzesło, głos grzmiał przejmującą siłą....

— Odwołuję się — mówił Władysław dalej — do waszych sumień i experyencyi, marszałku koronny! i mości kanclerzu litewski! do twojej wypróbowanej mądrości apeluję kanclerzu koronny! wiecie wszystko, radźcie też, abyśmy nie zginęli!... Gdybyście wy, pociągna-

wszy przykładem swoim innych jeszcze, stanęli w około mnie, w około tronu a nie odmówili poparcia przedsięwzięciom, które jeno dobro i potęgę Rzplitej na celu mają, natenczas pierzełnęłyby chmury niebezpieczeństw, natenczas wrogowie nasi, widząc, jako naród z Królem swym idzie, zaniechałoby zamysłów zdradzieckich, natenczas ja, oddając Bogu ducha mego, oddałbym w wasze ręce tę ojczyznę szczęśliwą i wielką!...

Uniesienie Króla silnem wrażeniem odbiło się na słuchających, Władysław mówić przestał a wszyscy stali pogrążeni w milczeniu i zadumie, nie płosząc uroczystej ciszy. Po długiej dopiero przerwie zabrał głos Ossoliński, przedstawiając raz jeszcze wszystkie niebezpieczeństwa od Tatarów i kozaków grożące; mówił jako otrzymał pisma prywatne z Ukrainy od starosty czerkaskiego Kazanowskiego i od niejakiego szlachcica nazwiskiem Wodźbun, który badaniu spraw kozackich się poświęcił, i że tak Kazanowski jak ów Wodźbun zgodnie donosili o nieochybnym wybuchu buntu na wiosnę, że przeto należałoby niezwłocznie odwrócić tę burzę i wielką wojnę Tatarom i Turcyi deklarując, kozaków w czas na swoją przyciągnąć stronę. Przedstawiał też wymownie wszystkie tej wojny korzyści i dał do zrozumienia, jako dzięki ofiarności

Króla i królowej, wszystko jeszcze na czas gotowe być może.... Król sam na Ukrainę jechać zamierza, osobiście z kozakami traktować będzie, byleby był pewny poparcia senatorów i przedniejszej szlachty....

Ostatnie wyrazy poruszyły znów silną opozycję.

— Widzę z przerażeniem — rzekł x. Albrecht, wciąż brodawkę szarpiąc — widzę najlepszy w tych słowach dowód, jako pomimo konstytucyj sejmowych i senatorów zdania, pomimo, iż sejmiaki na zaciągi żołnierza odmówiły subsydyów, — w cichości, potajemnie, przygotowywano wszystko ku wojnie.... A nie wiem jako pan kanclerz koronny tą gotowością chwalić się może, która wbrew woli Stanów jest....

Król błysnął gniewnem okiem na x. Albrechta, ale nie rzekł już nic. Jakby znużony uniesieniem i mową, opuścił teraz głowę na piersi i milcząc słuchał dyskusyi, jeno czasem do Ossolińskiego szeptał:

— Słyszysz wacpan, słyszysz.... wszystko daremne!

Mówił potem jeszcze długo p. Łukasz Opaliński, przedstawiając, jako on żadnych tak wielkich niebezpieczeństw nie widzi, Tatarowie bowiem to nie nowina i zwykłą siłą



odparci być mogą, kozacy zaś, to nie jest żadna potęga, którejby się obawiać należało.

— Chłopstwo do jam ucieknie rychło!... dodał x. kanclerz litewski a co po takim kozackim żołnierzu, choćby i na stronę Rzplitej był przeciągniony. Nie wierzę ja w taką alchemię co z chłopa szlacheica przerobić obiecuje.

— Gorsze stokroć niebezpieczeństwo — zakonkludował p. Opaliński — w nieposzanowaniu konstytucyj i woli narodu. Z boleścią serca widzimy, jako różne traktaty — nawet z kozakami się czynią bez wiadomości senatorów, jako uniwersały i pisma różne pod prywatną pieczęcią królewską wydawane były. Nie dlatego bolejemy, iżbyśmy niedowierzali W. Król. Mości, którego miłość i zasługi dla Rzplitej i chęć dobrej woli wdzięcznem uznajemy sercem, ale dla tego, iż to wszystko czyniono bez wiadomości Rzplitej i tych, których mu do boku prawo pospolite przydało. A już i tego nie zamilczę — dodał w końcu — iż to wszystko złe, nie za sprawą nieżyczliwości ku nam W. Król. Mości się stało, ale za poduszczeniem cudzoziemców, którzy do ucha Pańskiego łatwy przystęp znaleźli....

A na to Król znów głowę podniósł.

— I którzyż to są owi cudzoziemcy? — zapytał z gorzkim szyderstwem.

— Wymieniać zda mi się rzeczą zbyteczną — odparł Opaliński — boć przecie wszystkim wiadomo jako poseł wenecki Tiepolo....

— Przecie odjechać mu kazano i odjechał.... przerwał Król.

— Zostawił wszakże zastępców.... hrabia Magnus i brat jego kapucyn O. Waleryan i sekretarz W. Król. Mości, Fantoni.... Pierwszą złego przyczyną jest rada tych cudzoziemców.... Ci złe konsylia W. Król. Mości dają, aby z cudzej fortuny żyć....

— Dość mości marszałku! — przerwał Król głosem osłabłym — wszak najmniejszemu z poddanych wolno mieć takich sług i takich przyjaciół, jacy mu najmiłsi są?...

— Byleby oni na sprawy publiczne influncyi nie mieli — wtrącił cichym głosem x. Albrecht. Nie mam ja nic przeciw O. Waleryanowi, który świątobliwym mnichem jest, chociaż astrologią się bawi, co mi podejrzanem się być zdaje.... Wszakże tak upatrzyła sobie ojczyzna nasza, ażeby opieki nad nią nie mieli cudzoziemcy, którzy ku niej żadnego nie mają afektu.... Teraz zaś w rządy Wasze Miłościwy Królu wdzierają się nieznanome imiona....

Władysław dał znak kilkakrotnie ręką, jako pragnie i prosi o koniec tej dyskusyi.

— Sporów już o to wznawiać nie chcę! — rzekł stanowczo — czyńcie jako uważacie.... pragnąłem wiedzieć wolę waszą raz jeszcze i oto ją słyszałem. Powtarzacie to, coście już przedtem mówili — nie chcecie wojny, nie chcecie czynić nic!...

— Nie chcemy! — powtórzył Opaliński — nie mogę brać ojczyzny i jej losu na sumienie nasze. A nie racz nam Miłościwy Królu przyganiać, iż widząc jako czynności te, dążące do wywołania wojny, schodzą ze ścieżki prawa pospolitego, tośmy ze wszelką obserwancyą Majestatu przełożyli, prosząc, aby pacta conventa w swej całości zachowane były.... Co pro fide et conscientia powiedziawszy, życzę od Boga, aby tak zachował Majestat królewski, iżby też i całość prawa publicznego i ojczyzny zachowaną była.

To mówiąc przystąpił p. Opaliński z wielką submissyą wraz z x. Albrechtem do ucałowania ręki królewskiej. Władysław chmuennie milczał i głowy nawet nie podniósł.... jeno gdy już odchodzili rzekł stłumionym głosem:

— Pomnijcie, jakom was zaklinał i błagał, abyście inaczej postanowili!... Bogu was oddaję!...

Za Opalińskim i Radziwiłłem wyszli i inni, a jeden z pierwszych wymknął się

Radziejowski, zamyślony bardzo, z postanowieniem odstąpienia Króla w tych sprawach, które taką wywoływały opozycję. Z Królem pozostał jeno Ossoliński.

Władysław siedział ciągle z pochyloną głową w ponurych pograżony myślach; oczy przymknął jakby w ducha skupieniu. Aż nagle oba ramiona podniósł do góry i z głęboką rozpaczą zawołał:

— Cała więc klątwa i narodu i potomności na mnie spadnie! za to, że oni niebezpieczeństw widzieć nie chcą.... za to, że nie chcą widzieć, jako w otwartą lecą przepaść!... Dlaczegoż i ty, mości kanclerzu, mnie odstąpił, gdy był czas jeszcze działać.... przed rokiem; dlaczegoż listów przypowiednich do rotmistrzów, aby werbunek poczynali, pieczętować nie chciał?... Tyś się salwował.... a mnie teraz p. Opaliński zarzuca, jako uniwersały pod pieczęcią prywatną wydawać kazałem....

— Miłościwy Panie! — odparł Ossoliński — musiałem tak uczynić, jak uczyniłem.... przygotowania wojenne zawczasie publikowane zostały, co mogło groźny pożar wojny domowej zapalić.... uważałem też warunki weneckie przez Tiepolego uzyskane za niekorzystne, skarb pieniędzy nie miał.... je-

den arsenał warszawski kosztował 180.000 talerów.... a cudzoziemskie zaciągi....

Król ręką machnął.

— Niech mi się zda — odparł — żem ja te kilkakroć sto tysięcy dla uciechy swej rozdał.... Wówczas wszakże łatwiej było, niż dziś.... teraz jam nędzarz, nie mam nic — a działać trzeba. Myślałem, że skoro panowie senatorowie niebezpieczeństwo ujrzą, to mi swoje własne gwardye i milicye, co je tylko dla blasku i dumy bezpożytecznie trzymają, oddadzą, a oni veto! krzyczą, choć już niemal nóż na gardle jest.... Przed rokiem nie było tak źle, jak powiadasz mości kanclerzu; miałem zapewnioną pomoc państw chrześcijańskich. Signoria wenecka miała zapłacić 500.000 talerów i wojsko wysłać do Dalmacyi; z Moskwą zaczepno - odporne przymierze było gotowe.... Francya obiecywała subsydyja pieniężne i posiłki, toż samo przyrzekali xiążęta niemieccy. Była zatem siła i poparcie. Mogłem mieć 52.000 ochotniczej kawaleryi, 100.000 kozaków zaporozkich — co mi Chmiel uroczyście był przyrzekł, 6000 rejestrowych kozaków, 30.000 kwarcianego wojska — a od gospodarów multkańskiego i wołoskiego 50.000 ludzi.... Potężną armię postawić mogłem, a dziś?...

Król ręce załamał.

— Wielki Boże! — zawołał — jeżeli już srogim wyrokiem Twoim postanowione było, aby syn mój jedyny zmarł, czegożeś mi go przed sejmem nie zabrał, a nie byłbym nigdy od zamiaru wojny odstąpił. Uczyniłem to dla syna, a oto wszystko okazało się daremne.... Bóg dziecię moje wziął, wszystkie zamiary obróciły się w niwecz, a ja tchu już w pierśiach i życia w ciele nie mam!...

Ostatnie słowa wypowiedział Król z tak przejmującą rozpaczą a oblicze jego wyrażało tak głębokie cierpienie, że Ossoliński przerażony, zbliżył się pospiesznie, pocieszać chcąc.

— Chory jestem — rzekł Władysław — mocno chory.... cierpię niewypowiedziane męczarnie na duszy i na ciele....

Milczał moment, a potem znów zwracając się ku kanclerzowi:

— Co czynić? — zawołał. — Opuścić ręce i czekać niepewnego końca? Czy też....

— Nie! — przerwał Ossoliński z mocą. — Nie, Miłościwy Panie, trzeba nam teraz działać i działać stanowczo. Niepodobna się wahać, inaczej bowiem zginiemy pod ciężarem szlacheckiego veto! Pozwól mi Najjaśniejszy Panie mówić dziś jeszcze z innymi senatorami i posłami przedniejszymi, może też znajdziem gdzieindziej poparcie....

Wzrok Króla nową nadzieją zabłysnął.

— Dobrze.... — rzekł — mów z nimi kanclerzu! a mów tak wymownie, abyś przekonał.... Ja ze swej strony z posłem greckim archimandrytą Teofanem, dziś może widzieć się będę u Kazanowskiego. Nie kazałem go u dworu przyjmować, bo tam tajemnicy dochować nie sposób, poseł zaś jutro odjechać ma. Będę więc u Kazanowskiego; gdyby co ważnego zaszło, daj znać mości kanclerzu....

To mówiąc Król dźwignął się z fotela i szedł ku drzwiom, ciągle przez Ossolińskiego wspierany.

— Chciałbym — mówił idąc — Radziejowskiego wyprawić raz jeszcze na Ukrainę, z instrukcjami do hetmana i starostów tamtejszych, dla zbadania co się teraz tam dzieje.... Radziejowski był tu, ale się wymknął a mówićbym z nim pragnął. Gdybyś go zobaczył, to mu powiedz, aby nie zwłócząc do drogi się gotował, niech też do Kazanowskiego dziś przybędzie, abym ustnie polecenia mu dać mógł....

Zmierzchnął już zapadł zupełny, gdy Władysław opuszczał pałac Ossolińskiego a zanim wyjechał, wysłany goniec poniósł do Kazanowskiego wiadomość, jako za moment Król przybędzie.

W mroku jesiennego wieczoru wysokie wieże Kazanowskich pałacu, zarysowywały



się ponuro na tle schmurzonego nieba, niby ramiona olbrzyma, w niemej wyciągnięte rozpaczy. Z ciężkich ołowianych obłoków spadały zwolna, jakby leniwie na skrzepłą ziemię, małe płatki śniegu; wiatr zimny smagał po twarzy przechodniów, którzy nieledwie biegli po ulicach, nagle przeniknięci zimnem. To też jakkolwiek pora nie była spóźniona, ulice niebawem wyludniły się zupełnie; wychodził ten jeno, kto musiał.

Pałac pograżony w ciemnościach nie zdawał się dziś spodziewać gości. W żadnym oknie nie można było dojrzeć światła; cisza też panowała głęboka a wszystkie bramy szczelnie były zamknięte.

Od strony miasta, u wielkiej bramy z ciosu, po nad głęboką fosą, napełnioną wodą, przy moście zwodzonym, chodziły uzbrojone straże. Miarowe ich kroki, po zmarzniętej ziemi rozchodziły się echem dokoła.

Pośród tej ciszy ozwał się zrazu daleki, stłumiony a potem coraz głośniejszy tętent koni. W dali, w pomroku, ukazała się wielka karoca, otoczona jezdnyimi; przodem pędził goniec, który dopadłszy bramy pałacu przystanął.... Straże zamieniły krótkie hasła, jeden z żołnierzy pobiegł wnet do wnętrza zamku a w tymże momencie bramę rozwarło na

oścież i żołnierze z berdyszami stanęli po obu stronach szeregiem...

Na chwilę przedtem Władysław Siciński wchodził na wezwanie do komnaty marszałka. Wspaniała komnata pogrążoną była w półcieniu. Od świeczników jeno złotych, stojących na olbrzymim, czarnym marmurowym kominie a przyćmionych gęstą osłoną, padały ukośnie blaski i pełzały po marmurowej posadzce, wysadzaney drobnymi kamyczkami barw rozmaitych, lśniły się miejscami na złotogłowiach, rozwieszonych po ścianach, odbijały w olbrzymich zwierciadłach, iskrzyły na złotych i srebrzystych ramach, i nikły w głębi komnaty, kędy stało wspaniałe łoże weneckie pod baldachinem z bogatej i ciężkiej materyi. Nad kominem wisiał wizerunek wojewody Słuszk, a na głównej ścianie olbrzymi portret Halszki, jaśniejącej urodą, w sukni białej, z kwiatami we włosach i w dłoni.

Na wielkim stole hebanowym, ustawionym pośrodku komnaty, stało marmurowe popiersie Króla Władysława i leżało xiąg mnóstwo w kosztownych oprawach. Przy tym stole, na-przeciw królewskiego popiersia i owego portretu Halszki, siedział Kazanowski. Zgrzybiała jego, wychudzona postać, niknęła prawie w głębi olbrzymiego fotela z wysokimi poręczami. Na miękkich poduszkach wspierał

głowę; włosy w tył odrzucone, dobrze już przyprószone siwizną, odkrywały czoło poorane zmarszczkami i skronie zapadnięte. Odziany był w długą, powłóczystą suknię z perskiej materii, która okrywała mu nogi, wyciągnięte i otulone w miękką flanelę. Prawą ręką nie dbale na stół wyrzuconą, poruszał xięgi, wychudzonemi, sztywnemi palcami szarpał ich karty i okładki a czynił to machinalnie, bezwiednie. Oczy miał przymknięte, a twarz jego pochylona tak na poduszkach i wstecz cofnięta, z zapadniętymi policzkami, z brodą zarosniętą siwiejącymi włosami, z półotwartemi a blademi usty, do których przyrósł wyraz cierpienia, zdawaćby się mogła trupią, gdyby nie ten ruch palców gorączkowy, bezwiedny, zdradzający życie, wraz z oddechem trudnym i ciężkim, który zapadłą pierś podnosił. Lewa ręka opuszczona bezwładnie, spadała z poręczy fotela.

Cisza była w komnacie; jeno olbrzymi zegar, w rogu stojący, szemrał regularnie, wyrzucając z siebie co minuta gałkę złotą, którą sztucznym mechanizmem poruszające się małe pachole, pięknie z hebanu utoczone, napowrót weń wkładało. Czasem też z ogniska, które dogorywało na kominie, rozpryskiwały się jeszcze iskry z popiołów, rzucając jaskrawe blaski na białą postać portretu, zda-

jąca się uśmiechać urodą i szczęściem i na wynędzniałą twarz marszałka, który wśród tego przepychu, konać się zdawał samotny...

Rozsunęła się z głuchym chrzęstem ciężka makata, pokrywająca podwoje i do komnaty wszedł Władysław. Zbliżył się do Kazanowskiego i z niekłamanem współczuciem spojrział na chorego pana, który dlań zawsze był dobrym.

Kazanowski oczy otworzył.

— Władysławie — rzekł — wezwałem cię, bo oto niespodziane wieści otrzymałem. Z uczty od Ossolińskiego przybywa tu Król, przybędzie zaraz... Niespodziewałem się dzisiaj tych odwiedzin, i ciężkie mi są, bom chory... cierpię...

— Możeby też — wtrącił Władysław — prosić Króla, aby...

— Nie można — przerwał marszałek — nie można... ważne muszą być sprawy, skoro Król tak nagle sam przybywa, a snadź nie gdzieindziej jeno tu u mnie traktowane być mogą. Przybędzie także archimandryta Teofan i O. Waleryan i hrabia Magnus. Trzeba przeto spiesźnie zarządzić wszystko... służbę zwołać, pozapalać światła... zaordynuj to wacpan, zaraz, natychmiast...

Mówiąc to p. Kazanowski dźwignął się i próbował powstać stękając.

— Na domiar — rzekł — przekłeta niemoc w nogi mi wlaźła — ano, muszę rozprostować się, aby na spotkanie Miłościwego Pana wyniść... Ale waść idź... idź, spiesznie, — dodał widząc jako Władysław chce go pod ramię podnaszać — i zaordynuj, aby wszystko w pięknym było porządku... Potem zaś wracaj, dopomożesz mi na spotkanie wyjść...

Siciński wybiegł, a był czas już ostatni; niebawem bowiem przez most zwodzony wtoczyła się z hukiem wielka karoca królewska. Równocześnie w oknach gmachu zabłyśły światła; na korytarzach i schodach słychać było przyspieszone stąpania zwołanych przez Władysława sług i dworzan... Jeden drugiemu podawał do ucha, szeptem, wiadomość:

— Król przybył!...

Tymczasem z karocy, powolnie, z trudem widocznym, wysiadał Władysław IV. Wszedł do wielkiej, wspaniałej sieni marmurowemi ozdobionej kolumnami, kędy już cały szereg dworzan pana Kazanowskiego oczekiwał ze świecznikami gorejącymi w ręku. Stali oni uszykowani rzędem, od drzwi wchodowych, przez sień całą i na kobiercami usłanych schodach, które na piętra wiodły, gdzie najpiękniejsze były komnaty.

Król zatrzymał się pośrodku sieni. Stał i okiem potoczył dokoła, jakby kogoś szukał.

W tymże momencie na schodach w górę ukazał się Kazanowski; obok niego postępował Siciński, wspierając go nieznacznie pod ramię. Kazanowski widocznie się spieszył, trzęsącą się ręką, gorączkowo, chwycił poręcz stromych schodów, ale mimo to szedł bardzo powoli; nogi mu drżały; stopy szukały schodów chwiejne, niepewne, a widocznie nie były posłuszne jego woli, bo miały dziwne wybryki, to odskakiwały zbyt daleko, to znów sunęły się tak ciężko, jakby ołowiane. Twarz Kazanowskiego wyrażała w tym momencie niecierpliwość i niepokój; policzki wystające, były zaczerwienione gorączką, oczy niezwykłym świeciły blaskiem.

Król podniósł wzrok i ze współczuciem patrzył na ulubieńca swego.

— Nie spiesz się! nie spiesz marszałku; — wołał. — Niespodzianie przybyłem, a nie zbyt na zdrowiu mocen, na schody iść mi nie sporo, toż sędzę, że snadniej w sali stołowej, na dole, pomówić możemy.

Kazanowski zdyszany, zeszedł już ze schodów i przypadł do ręki królewskiej.

Ale Władysław pochylić mu się nie dał, ujął w objęcia i uścisnął serdecznie.

— Mój dobry marszałku... — szepnął — obaj zda się nie mocni dziś jesteśmy, mnie podagra srodze za nogi chwyta, a ciebie...

— Mnie... mnie... — jękał Kazanowski — nie mi nie jest, Miłościwy Panie, przeciwnie, teraz czuję się lepiej, znacznie lepiej...

Zaczem wzięwszy z rąk jednego z dworzan, który nadbiegł na skinienie, łaskę swą marszałkowską, rażniej nieco postąpił naprzód, przed Króla, i wzniosłszy łaskę wysoko w górę, szedł ku drzwiom, które się wnet na oścież otwarły, dając wstęp do wielkiej, wspaniałej sali, stołową zwanej.

Wnętrze tej sali oświetlone już było rzęsiście olbrzymimi świecznikami szczerozłotymi o kilkunastu ramionach, a światło to pomnażało się jeszcze, odbijając w wielkich zwierciadłach, zawieszonych na ścianach. U góry, w pośrodku sali, od wielkiej korony złotej, zwieszał się najcudniejszy świecznik, bardzo kunsztownej roboty, wśród którego umieszczony zegar wskazywał godziny. Ściany wszystkie pokryte obiciami bardzo drogiemi: na tle złotem, wyrażony był tam bankiet królewski u Kazanowskiego, z wizerunkami Króla, królowej, posłów francuzkiego, rakuzkiego, hiszpańskiego, perskiego, tureckiego, licznych senatorów i cudzoziemców. W około olbrzymiego stołu, ustawionego w pośrodku tej sali



stały rzędami stołki złotą skórą obite z herbami marszałka, przy ścianach i w kątach oraz między oknami, szafy wielkie pozłacane; w jednym zaś kącie szczerosrebrna baryła o czterdziestu garncach wina, na srebrnych kołach z obręczami złotymi. Ogromny, uśmiechnięty Bachus w wieńcu na głowie z czarą w ręku siedział na niej.

Król wszedł do sali za Kazanowskim, który ku najprzedniejszemu miejscu u stołu postąpiwszy, kędy na podwyższeniu stało krzesło najbardziej ozdobne i największe, łaskę spuściwszy ku ziemi, czekał z głębokim pokłonem na Króla.

Władysław miejsce zajął, odetchnął z głębi piersi i rzekł:

— Przybywam tu do ciebie mój marszałku, pokrzepienia szukać — bo mi tam na owej uczcie u Ossolińskiego, taką wrzawą napełniono uszy, a taką boleścią serce, iż nie wiem jako jeszcze zdzierżyć się mogę od rozpacz...

— Czy nowe jakie relacye z Ukrainy? — zagadnął Kazanowski.

Król ręką skinął.

— Nowe nie są, ale potwierdzenie dawnych, najgorszych. Wiesz już, jako Koniecpolski chorąży koronny i Jeremi Wiśniowiecki zebrawszy wojsko, wyruszyli na Tatarów. Mó-

wią teraz, że pan chorąży aż pod Oczakowem był, a Wiśniowiecki z całą armią ku Perekopowi pomknął... Zdawało się zrazu, iż han Islam Gerej, mścić się nie będzie, ile że bunt w Krymie zaskoczony, miał u siebie dość roboty z Nohajcami. Ale oto bunt ów już ustał, a han, według relacyj, jakie Ossoliński dziś otrzymał, zwołał murzów na naradę i otrzymawszy pozwolenie sułtana, na wiosnę w granicę Rzpltej wkroczyć zamierza... Tymczasem Chmielnicki, który niby Ossolińskiemu przyrzeczenia czynił, w wyraźnym jest buncie. Siedzi na swoim ostrowie dniewnym, tam wszystkich starszych zaporozców wzywa i spiski knowa, z Tatarami się znosi i z nimi już formalny układ zawrzeć chce, a syna swego Tymoszka hanowi w zakład oddał.

— A przecież listy pisze i do W. Król. Mości i do hetmanów...

— Podstępne, zuchwałe listy! — zawołał Król z mocą. Warunki już nam dyktować się poważa, a to zuchwalstwo świadczy, jako siłę za sobą czuje...

Zamyślił się moment posepnie, głowę pochylił na piersi, a potem rzekł:

— Nie tego chciałem... Bóg widzi! — nie tego! Myśli wielkich pełną miałem duszę, a oto na co przyszło!... Czuję przed sobą klęskę — nieznana trwoga mię napada, że

niewiem, dokąd bym się udał, aby ratunek znaleźć...

— Miłościwy Panie — wtrącił Kazanowski przejęty cały współczuciem dla widocznej boleści Króla -- te czarne myśli odpędzić należy, wszak jeszcze wszystko na dobry koniec obrócić się może...

Król uśmiechnął się gorzko.

— Ty jeden, marszałku, pocieszyć mnie chcesz, a nawet...

Tu się strzymał i po chwili, znagła:

— Żali Jadwiżka nie odjechała jeszcze do Merecza? — zagadnął.

— Zda mi się, że nie... odparł Kazanowski.

— Ona mi smutne sny opowiada, mówił dalej Władysław, — ale może jedynie prawdziwe!... czasem mówi tak, jakby złe przeczucia w myślach moich czytała... Chciałbym ją widzieć przed wyjazdem... Zawezwij ją, marszałku, aby tu przyszła...

Kazanowski z pewną niechęcią, ale zadość uczynił rozkazom królewskim, wysławszy gońca po znaną w Warszawie starościnę Nurską, która niedawno z Litwy na wezwanie Króla przybyła.

Władysław cały w myślach pogrążony mówił tymczasem, jakby sam do siebie:

— Gdyby nie ten sejm! gdyby nie te konstytucye, które mi całą odebrały władzę:

kazano rozpuścić zaciągi, gwardyę moją zmniejszyć, nie chciano królowej zwrócić nawet tego co z funduszów własnych na zaciągi wydała!... Gdyby nie to... jeszcze byłby czas! Zebrać silną armię, natchnąć zapalem żołnierzy, wielką wyprawę krzyżową ogłosić, rzucić się na Turcyę, zgnieść ją... pognębić, i na gruzach ottomańskiej potęgi, swoją ugruntować!... I kozactwo poszło by jeszcze z nami...

Strzymał się znowu, podniósł rękę do góry, kilka razy uczynił nią taki ruch w powietrzu, jakby chciał marę odegnać i zaśmiał się z goryczą:

— Cha, cha, cha! szalone myśli — zawołał — I ty się nie śmiesz, marszałku? Dziwna rzecz... Śmiał się nawet ze mnie w swej mądrości pan kanclerz Ossoliński, chociaż teraz widzi, uznaje konieczność wojny... Ale dla czegoż odstąpił mię wówczas, gdy jeszcze opór sejmu, opór szlachty można było przełamać!... Dziś cokolwiek się stanie, krzykną: Król winien! szedł przeciw woli narodu, łamał konstytucyę, wbrew zakazom sejmowym czynił potajemnie zaciągi!... I oto rezultat kilkunastoletniego panowania...

— Królu mój miłościwy — wtrącił znów Kazanowski — pocóż się dręczyć tak srogiem przeczuciem...

— A jak się nie dręczyć! — przerwał z uniesieniem Władysław — jak się nie dręczyć, gdy znikąd pokrzepienia nie widać?... Gdybyś słyszał co mi dziś Opaliński i Radziwiłł gadali! Odstąpiło mię wszystko, zdradzili najwierniejsi...

Kazanowski pochylił się do ręki królewskiej i głosem stłumionym, rzecznym, przemówił:

— Jam cię Królu nie zdradził...

— O nie! — z mocą zawołał Król — tyś mi zawsze wierny, tyś mi najlepszy przyjaciel... Tożesmy oba od młodości idąc razem, zaszli nad przepaść i stoimy teraz samotni, jako rozbitki... Obu nas gnębi choroba, oba patrzym rychło-li kres żywota przyjdzie i męczarnie się skończą... Ano, co do mnie, czuję że rychło...

— Nie mówcie tak, Miłościwy Panie! — przerwał Kazanowski z niewymownem wzruszeniem i jakby lękiem w głosie — żywot Wasz Królu, to jedyna nadzieja całej Rzpltej, to warunek jej szczęścia. A czyjaż prawica jeżeli nie Władysława IV odwróci grożące niebezpieczeństwa?...

Po zbladłej twarzy Króla przebiegł błysk uniesienia; zamglone oczy zapalały na moment.

— Tak! — rzekł — pragnąłbym żyć jeszcze, po to jeno, aby oko w oko spotkać się

z tą burzą, która nadciąga. Znalazłbym jeszcze w sobie dość siły, aby się z nią mierzyć; i chcę to uczynić!... Ossoliński miał dziś mówić z wielu senatorami i posłami, miał im choć w części odkryć konieczność wojny, niebezpieczeństwa grożące od kozaków, jeżeli ich nie użyjemy sami... Gdybym jeno miał kilka poważnych głosów za sobą, gdyby mię oni nie odstąpili w czas ostatni, tobym jeszcze spróbował... Podążyłbym sam na Ukrainę, na Zaporozie, i stanął pośród kozactwa, a wówczas obaczylibyśmy za kim pójdą... za mną, czy też za Chmielem...

— O skutku wątpić niepodobna — wtrącił Kazanowski — i to jedno co uczynić należy...

— Obaczymy — dodał Król — może też Ossoliński jaką pomyslną wiadomość przyniesie...

Jakby w odpowiedź na słowa królewskie, rozległ się w tymże momencie turkot zajeżdżającego przed pałac pojazdu, ruch się zrobił w antykamerze, podwoje się otwarły i wszedł dworzanin oznajmiając:

— Pan kanclerz wielki koronny!

Król z podziwu rzucił się na krzesło.

— Muszą być fatalne wieści — zawołał — skoro Ossoliński tak rychło i sam przybywa...

Rzeczywiście przybycie to było rzeczą zgoła niezwykłą i niespodziewaną. Od kiedy animozya sroga rozdzieliła kanclerza z Kazanowskim, widywali się oni chyba z konieczności, bywali u siebie jeno dla pozoru, na ucztach i wielkich bankietach, lecz nie mówili prawie nigdy z sobą. Kazanowski usłyszawszy też nazwisko nienawistnego sobie współzawodnika, który przybywał o niezwyklej porze, zachnął się niecierpliwie, ale wnet powstać musiał na powitanie, bo Ossoliński już wchodził.

Kanclerz przystanął nieco i pochyliwszy głowę przed Królem, który go powitał skinnieniem, a wzrokiem niespokojnym badał, rzekł do zbliżającego się z trudem marszałka, na którego bladym obliczu wyraźne malowało się nieukontentowanie:

— Przebacz, mości marszałku, że bez inwitacyi i w czas niewłaściwy przychodzę... mniemam wszakże, jako obecnie, gdy nam radzić trzeba i około tronu Miłościwego Pana naszego stać społem, animozye osobiste winniśmy odłożyć... zapomnieć o nich. Przejęty podziwem dla wspaniałomyślności waszej, gdy się oto dowiedział, jako po raz wtóry fortunę waszą złożyliście Panu naszemu na potrzeby wojenne...



— Tak! tak! — wołał Król, z widocznem zadowoleniem tych słów kanclerza słuchając.

— Mości kanclerzu! — przerwał Kazanowski — powinność to moja, którą spełniłem... przeto...

— Przeto — przerwał Ossoliński — przychodzę pierwszy podać wam rękę, mości marszałku, i prosić o zapomnienie uraz, jako ja moich zapomniałem...

To mówiąc, dłoń wyciągnął i uściśnawszy prawicę marszałka, szedł już prosto ku Królowi, nie czekając Kazanowskiego responсу, jakby uczyniwszy to, co za konieczne uważał, nie dbał o rezultat słów swoich.

Rezultat ten też nie musiał być bardzo pomyslnym, bo twarz Kazanowskiego ciągle schmurzona, uczuć pojednania z dawnym współzawodnikiem nie wyrażała wcale.

— Najjaśniejszy Panie — mówił dalej kanclerz pospiesznie, zbliżywszy się do Króla i zajmwszy przy nim miejsce — przybywam niespodziewanie rychło, zwiastować Waszej Król. Mości niepomysłny eventus moich zabiegów...

— Niepomysłny! — zawołał Król — tegom się też spodziewał...

— Mówiłem z wieloma — kończył Ossoliński — ale nikt od zasady sejmowej i konsty-

tucyj zapadłych odstąpić nie chce... Wszyscy powtarzają to samo co Opaliński i Radziwiłł!

— A powiedziałaś-że im, kanclerzu — spytał Król — o wieściach z Ukrainy, o Chmielnickiego zmowach, o grożącym napadzie Tatarów?...

— Mówilem... — odparł Ossoliński ze wzgardliwym wyrazem na ustach — mówiłem wszystko — ano, nie wierzą... — „Chłopstwo do jam zapędzim rychło!“ — wołają. — To wszystko pozory wasze, aby dojść do absolutum dominium, aby samowolnie móżdż czynić zaciągi, gwardye powiększać... Powtarzają, co już tylekroć było mówione...

Król oba ramiona podniósł do góry.

— Klęska! klęska nieuchronna! — zawołał. — Boże ulituj się! A cóż senatorowie? — zapytał.

— Senatorowie?... powtórzył Ossoliński, i uśmiech pogardy wybiegł mu na usta. — Senatorowie to samo mówią co posłowie, a wszyscy to samo, co szlachta na sejmikach: jednogłosne veto!... Gdym jeno dał do zrozumienia, że cofać się za późno, że pomimo zakazów konstytucyj, ofiarnością W. Król. Mości, królowej i takich — dodał kanclerz z ukłonem — jak pan marszałek nadworny, mężów, wszystko może być gotowe, jedni z przerażeniem spojrzeli na siebie, drudzy nie ledwie

„zdrada!“ krzyczeli, a inni zapragnęli sami powiedzieć ci, Najjaśniejszy Panie, jako na takie samowolne zachcenia pozwolić nie mogą...

Król słuchał, patrząc nieruchomo przed siebie.

— Była to więc — kończył Ossoliński — ostatnia próba...

— Próba? przerwał Król — a po tej próbie co?

— Pójdziemy bez oglądania się na nic! zawołał Ossoliński. I my krzyknjemy veto!

Władysław pochylił głowę na piersi i oddychał z trudem, jak gdyby mu tchu brakło.

— Wbrew woli narodu... szeptał — wbrew woli narodu... ciężko, bardzo ciężko!

Posepna cisza zaległa komnatę. Król milczał pogrążony w zadumie, jeno pięścią ściśniętą od czasu do czasu uderzał po stole...

— Miłościwy Królu — ozwał się znowu Ossoliński — a cóż znaczy ta wola narodu, gdy ona w swawolę się przeradza i do niewoli wiedzie?... Nadszedł czas, że należy siłą, wszelkimi sposoby, zgnieść to veto szlacheckie, które wszystkiemu na zawadzie staje. Nie zwalczym go, to zginiemy, a zginiemy także, jeśli walczyć nie będziemy... Wszystko jedno! Jeśli zaś zwyciężymy, to imię Twoje Najjaśniejszy Panie po wiek wieków jaśnieć będzie, a uwielbi je wdzięczna potomność

tej samej szlachty, która dziś groźne przeciw zamiarom Twoim wykrzykuje veto!...

Król upajał się widocznie słowami kanclerza; pierś oddychać poczęła swobodniej, oko znów zabłysło.

— Tak.... tak.... — powtarzał. — Kto wie? Może też orężowi chrześcijańskiemu pobłogosławi Bóg przeciw potędze niewiernych!... Pomocy nam i teraz jeszcze nie braknie; otrzymałem wieści jako gospodarowie wołoski i multański się zbroją.... będą bronić Turkom przeprawy przez Dunaj.... Od cesarza marokkańskiego i konstantynopolitańskiego patryarchy, również pocieszające są poselstwa.... poseł grecki ofiaruje mi koronę Bułgaryi i 40.000 ludzi, byleby jeno ich w poddaństwo przyjąć i namiestnika swego tam posłać.... Wenecya daje subsydyja pieniężne, Francya również posiłki przyrzeka.... Byleby kozacy nie zawiedli.... Toż trzeba niezwłocznie gońców tam śłać.... Z Radziejowskim mówileś?... zapytał Król zwracając się żywo ku kanclerzowi.

Ossoliński się zawahał.

— Radziejowski — odrzekł po chwili — nie daje stanowczego responsu. Na niego widoczny wpływ ma opozycja powszechna. Gdym mu przedstawiał, jako on najlepiej misyę spełnić może, ile że Ukrainę zna i odprawo-

wał już raz poselstwo, deklarował mi, jako się lęka, aby i ta jego pierwsza podróż, gdyby się wydała, nie sprowadziła nań wzgardy i klątwy narodu....

— Więc nie chce! — krzyknął Król uderzając w stół pięścią.... Taki młodzieniaszek nieledwie a już się przeciw woli mej buntuje.... poselstwa mego przyjąć nie chce!.... więc kogoż tam śłać?...

— Racz Miłościwy Panie, mego dworzanina, Sicińskiego, wyprawić — przemówił Kazanowski — za sprawność jego i wierność rękę.... jego podróży nie zauważy nikt — a z pełnomocnictwem królewskim znaczyć on będzie na Ukrainie to samo, co i Radziejowski.

Król się zamyślił.

— Dziwna rzecz — rzekł po chwili — jako te sprawy spadają.... pierwsze poselstwo sprawował sam pan kanclerz koronny.... dziś już jechać nie może, bo cała Rzplta bunt by podniosła; — nie chce też jechać taki młody starosta łomżyński, bo i jemu teraz się zdaje, że jest zanadto widoczny, aby się narodowi narażać.... Więc owego Sicińskiego wysłać trzeba.... Niech jedzie, nie zwłócząc! Ty mości kanclerzu, spisz obszerną instrukcję; społem ze starostą czerkaskim Kazanowskim, ma zbadać krzywdy, na które użalają się kozacy

i przyrzec w imieniu królewskiem najzupełniejsze zaspokojenie. Hetman Potocki niech z wojskiem kwarcianem pogotowiu będzie ale niech się nie rusza, aby kozaków nie drażnić. Ja tam na wiosnę, jeśli potrzeba się okaże, przybędę sam. Do Moskwy też, mości kanclerzu, pisać trzeba, aby przyrzeczone posiłki w czas przysłała....

Mówiąc to Król widocznie się ożywiał; z oczu strzelały mu iskry uniesienia a w zapale tem zapominać się zdawał o chorobie i cierpieniu, które od czasu do czasu odbijało się skrzywieniem na jego obliczu. Mówił tak jeszcze długo i naradzał się z Ossolińskim, układając cały plan wojenny a przyzwawszy Sicińskiego, szczegółowe, ustne polecenia mu dawał, jako zachować się ma i spełnić to trudne poselstwo.

— Jeżeli mi się waść wywiążesz sztucznie z misyi powierzonej — rzekł wreszcie Król do Sicińskiego — to mojej łaski możesz być pewny, — bacz jeno pilnie, abys mego zaufania nie zawiodł i okazał się godnym tego świadectwa, jakie ci pan marszałek dał, polecając twą sprawność i wierność....

Siciński słuchał i uszom własnym wierzyć nie chciał.... Nareszcie stawał u szczytu swych marzeń w tym właśnie momencie, gdy mu się zdawało, jako najdalej jest od nich.

Otrzymał missyę, która go mogła od razu wydzwignąć i postanowił ją spełnić wiernie, pewien, że Król wdzięcznym okazać się potrafi. A nie były to już zwykłe intrygi dworskie, lecz sprawa doniosłego znaczenia, która na losy całej Rzpltej wpłynąć mogła.... Nie trwożyła go też wcale myśl, żali zdoła trudne spełnić poselstwo: wierzył w swoje własne siły i czuł, że obrotnym okazać się potrafi.

W uczuciu radości, jaka mu zaświtała, pozbył się od razu wszelkich trapiących myśli i wracał spiesźnie do swego mieszkania, aby tam jeszcze w ciszy i uspokojeniu nad poleceniem królewskim się zastanowić i ułożyć cały plan podróży. Wybiegł pędem na korytarz, który przebyć mu należało, aby dojść do skrzydła pałacu, kędy mieszkanie miał, gdy nagle z wielkiem zdziwieniem ujrzał w dali jakąś postać, która snadź korzystając z mroków wieczornych, chyłkiem a spiesźnie pod mur się przemykała, skierowując w tę stronę, kędy były Halszki komnaty.

Z uczty Ossolińskiego wróciła Halszka wcześniej, niż się spodziewano i natychmiast zamknęła się w swojej komnacie. Rozmowa z królewicem poruszyła ją więcej, niż przewidywać mogła. Ona sądziła, że serce jej zamknęło się już stanowczo dla uczuć wszelkich, a oto słów kilka, wyrzeczonych przez króle-



wica, obecność jego, wzrok i brzmienie głosu, odebrały jej niemal przytomność.... Co czynić? i jak się bronić przeciw niebezpieczeństwu, które ukazywało się jej teraz tak blizkiem i groźnem? Bronić się, to cierpieć okrutnie... a uleść, to cierpieć także, ale serce spragnione uczucia, rwało się całą potęgą ku tym cierpieniom, opromienionym tęczowemi barwy niedoznanych rozkoszy....

Siciński widział powracającą Halszkę. Powrót jej tak nagły zwrócił już jego uwagę, zwłaszcza, że ujrzał w przechodzie twarz jej bladą, zmienioną, pełną niezwykłego pomieszania. Zoczywszy teraz ową tajemniczą postać, przemykającą się ku komnatom Halszki, zadrżał mimowoli. Złowrogie jakieś przeczucie ścisnęło mu serce.

W pierwszym momencie chciał gonić i przekonać się ktoby to był, ale się strzymał na myśl, jako tem mógł niepotrzebny rozgłos wywołać, bez żadnej dla siebie korzyści. Lepiej było śledzić potajemnie, nie dając po sobie poznać, iż cokolwiek dostrzegł. Postać przemknęła chyżo, niknąc w oddali, a Siciński z bijącym sercem przystanął, skrył się w ciemnym zakręcie korytarza i czekał. Nie było wątpliwości, iż owa postać szła ku Halszki komnatom, ile że korytarz ten do nich jeno prowadził; powracając zaś musiała przechodzić

obok kryjówki Sicińskiego, który w ten sposób mógł się snadnie przekonać, żali podejrzenia jego były ugruntowane.

— Jeżeli to — myślał — Tyzenhauz, rękodajny pokojowiec królewica, lub pacholik Sokół, to już na pewne dawne porozumienie wraca.... Tedy baczne trzeba mieć oko....

Nie długo czekał. Na samym końcu korytarza otwarły się nagle podwoje i struga światła padła z nich na ciemną przestrzeń, opromieniając dwie stojące we drzwiach postacie. Jedna niewieścia, wspaniała, wyniosła.... poznałby ją zdala Siciński pośród innych tysiąca: — to Halszka! a przed nią w kornej postawie stał smukły młodzian, którego gibka, zgrabna postawa zarysowała się wyraźnie na tle owej smugi światła promiennej. I jego od razu teraz poznał Władysław. Był to Tyzenhauz, zaufany pokojowiec królewica, młodzian hoży i przystojny, o którego sukcesach wśród niewiast w okolicy i fraucymeru królowej, dziwy rozpowiadano.

Siciński go nie cierpiał. Zazdrościł mu wesołości jego ustawicznej, zazdrościł uśmiechu, który z lic jego rumianych nie schodził, zawidził miłości ludzkiej, którą Tyzenhauz powszechnie posiadał. Z rozmaitych intryg miłośnych, w jakie się młody dworzanin królewicowski często nieopatrznie płątał, wy-

chodził on zawsze ręką obronną a taki był ujmujący i taki śliczny w zgrabnym stroju szwedzkim, tak pogodnie i łagodnie patrzył szafirowemi oczyma, a tak słodko się uśmiechał, że mu nawet niewiasty niestałości jego za złe brać nie mogły. Tkliwszego serca płakały a on je łagodnie pocieszał, przedstawiając wcale rozumnie, jako na tym świecie nie trwałego być nie może. Mężowie jeno i współzawodnicy, zawsze pokonani, krzywili się czasem — ano, i tych Tyzenhauz rozbroić umiał układnością swą i grzecznem obejściem.

— Zła to już sprawa — mruknął przez zęby Siciński — skoro to strojne paniątko tu zachodzi...

W tym momencie uleciało mu z pamięci wszystko, czem był dotychczas tak pilnie zajęty: polecenie królewskie i podróż na Ukrainę, cała sprawa jego przyszłości ustąpiła w tej chwili miejsca gwałtownemu wstrząśnieniu z powodu podejrzeń, jakie jego sercem miotały. Nie mogąc dosłyszeć słów rozmowy wyszedł z kryjówki i pospiesznie a cicho jak cień, pomknął ku wyjściu z korytarza, kędy z Tyzenhauzem spotkać się zamierzył.

— Wybadać go muszę.... — myślał — a jeśli mi nie powie, to z jego delikatnego oblicza czarną zdradę odgadnę....

Za chwilę Tyzenhauz wychodził i mimowolnie zadrżał, gdy Siciński, idąc ze strony przeciwnej, pozdrowił go na pozór uprzejmie.

— A! — rzekł — niespodziewanego gościa o tej porze witam.... cóż to wacpana do nas sprowadza?...

Tyzenhauz już się był z chwilowego pomieszczenia obaczył.

— Przybyłem tu — odparł — z dworzanami królewskimi, a zabłąkałem się szukając wacpana, mości Siciński, aby was prosić, byście pana marszałka uwiadomić zechcieli, jako królewic jutro tu przybędzie....

— A! — zawołał znów Władysław i uśmiechnął się szyderczo. Jego Królewicowska Mość już się snadź znudził samotnością, bo oto słyszę, że dziś i u pana kanclerza w gościnie był.... Skończyło się już pono zakonne rozmyślanie....

Tyzenhauz ręką machnął.

— Biedny pan! — rzekł. — Dusza niepokojna, czynu pragnąca a skrępowana. Powiem wacpanu — dodał, postępując zwolna obok Sicińskiego, — jako bym nie mieniał mojej kondycyi na taką królewicowską purpurę....

— To pewna rzecz! — zawołał śmiejąc się Władysław — purpura niewygodna jest, zwłaszcza z kardynalskim kapeluszem lub

kapturem mniszym, który już zgola nie może być przynętą dla niewiast.... Dworzaninowi takiemu jak wacpan, to łatwo wszędy samemu trafić, a królewic, zwłaszcza zaś kardynał i exjezuita, to chyba jeno za pośrednictwem dworzanina trafia a to już zawždy trudniej i spudłować można.....

Tyzenhauz zwrócił się szybko ku Sicińskiemu, ale w ciemnościach wyrazu jego oblicza dostrzedz nie mógł; raził go jeno głos dziwnie szyderski i drwiący. Instynktem przeczuwał niebezpieczeństwo i podstęp.

— Ano — odrzekł po chwili śmiejąc się swobodnie — w sprawach niewieścich, to już królewic pono zobojętniał zupełnie a nietylko zobojętniał, lecz skamieniał; — jeszcze go nigdy tak surowym pod tym względem dla innych nie widział. Że tam o mnie różne dziwa ludziska plotą, to już się był i na mnie za to rozsierdził, piekłem grożąc w wieczności, a wypędzeniem ze dworu swego w doczesnym żywocie.....

Podczas tej rozmowy, idąc ciągle, zwrócili się w inny korytarz i stanęli u drzwi mieszkania Sicińskiego. Władysław otworzył podwoje.

— Darujcie — rzekł z uprzejmym ukłonem — jeżeli śmiem do siebie inwitować....

ale może spocząć zechcecie.... skoroście się tu przypadkiem zabłąkali....

Tyzenhauz zawahał się moment. Inwitacya ta nie była mu snadź pożądaną, ale z drugiej strony ton mowy Sicińskiego przejmował go jakąś obawą, wyrażał istnienie podejrzeń, które co rychlej usunąć należało.

— A może ten chytry Kazanowskiego powiernik — pomyślał — widział mię jakem do pięknej Halszki szedł? Spenetrować to trzeba....

Ta myśl skłoniła go, iż inwitacyę Sicińskiego przyjął i wszedłszy do wnętrza komnaty bardzo ozdobnie urządzonej, począł się z zajęciem wszystkiemu przyglądać i chwalić.

— Zazdroszczę wacpanu — rzekł — służbę macie lekką a miłą, łaski tak potężnego jak marszałek nadworny pana, mieszkanie piękne a dostatnie, sąsiedztwo zaś takie, że oszaleć można z rozkoszy....

— Jakie sąsiedztwo? — spytał Władysław.

— Ano, takie, że podobnego mu w całej Rzpltej nie znaleźć.... wszak pani marszałkowa z najpiękniejszych najpiękniejsza....

I mówił dalej swobodnie, przenikliwym wzrokiem na Sicińskiego patrząc:

— Widziałem ją przed chwilą i rozmawiałem z nią nawet....

— Jakto? — zawołał Siciński z udanem zdziwieniem — mówiliście z marszałkową? o tej porze?

— Kłamca doskonały — pomyślał Tyzenhauz — albo też może rzeczywiście nic nie dostrzegł.

— Ano, — rzekł głośno — nie spuszcza-  
jąc z oka twarzy Władysława — mówiłem wam,  
jakom się tu w tych ciemnych korytarzach  
zabłąkał... pusto było wszędy, bo dworzanie  
wszyscy skupili się w antykamerze z kró-  
lewską służbą, więc szedłem po omacku, aż  
zaszedłem na koniec korytarza, kędy drzwi  
się nagle otwarły, a ja znalazłem się w obec  
cudownej jejmości, która zoczywszy mnie  
omal nie krzyknęła....

— Przecie wacpan nie straszny... za-  
śmiał się Władysław.

— W dzień nie... ale w nocy oczy moje  
pono błyszczą jak kocie — śmiejąc się  
również odrzekł Tyzenhauz, potrząsając buj-  
nemi, jasnemi kędziorami włosów, które mu  
aż na ramiona spadały — więc ją tedy prze-  
praszać jałem, submitując się kornie i tło-  
macząc, że chciałem jeno wacpanu, jako naj-  
bliższemu powiernikowi pana marszałka, zwia-  
stować, iż królewic jutro odwiedzić go pragnie,  
co pani Kazanowska uprzejmie przyjąć ra-  
czyła....



Siciński oczy ku ziemi spuścił.

— Mądry z ciebie gracz, myślał, ale się twoja sztuka nie udała całe, bo stara jest.... Jeszcze mię Godziemba, niech z Bogiem spoczywa, uczył, jako najlepiej jest fałsz w część prawdy ubrać, aby całej prawdzie ucieczkę ułatwić.... Ale przedemną nie ujdzie....

Zaczem po krótkiej jeszcze, obojętnej rozmowie, rozeszli się młodzi dworzanie, zapewniając siebie wzajem o szczerych i przyjaznych sentymentach.

Ale Tyzenhauz nie bez obawy do królewica powracał. W słowach Sicińskiego i w wyrazie jego twarzy przeczuwał zdradę; domyślał się, że był śledzonym a może odgadniętym i to go przejmowało trwogą. Postanowił wszakże o obawach swoich nie wspominać nic królewicowi, aby jego zmartwień już i tak srogich jeszcze nie pomnażać.

Jan Kazimierz czekał na powrót Tyzenhauza w Zamku królewskim, jakkolwiek od czasu powrotu swego z Rzymu nie mieszkał tu prawie nigdy, zwłaszcza gdy Król, straciwszy serce do brata, apartamenta jego oddał ulubieńcowi swemu, hrabiemu Magnusowi, na mieszkanie dla królewica tak zwaną dziekanję przeznaczając. Rezydencyi tej królewic przyjąć nie chciał i zmusił Magnusa do ustąpienia, ale zagniewany na Króla, prze-

bywał najczęściej w zamku swym Nieporęcie, o trzy mile od stolicy odległym.

Tego jednak wieczora nie wracał już do Nieporętu, lecz wysławszy Tyzenhauza, w wielkiem wzburzeniu i niepokoju oczekiwał jego powrotu, siedząc samotnie w komnacie, którą jeszcze w latach młodzieńczych zajmował, a w której w przeddzień elekcji brata, ową rozmowę z o. Polikarpem miał i usłyszał słowa mnicha, zwiastujące mu w przyszłości ciężką do dźwignia koronę, a przestrzegające przed występłą miłością.

Mrok niemal zupełny zalegał dużą, sklepioną komnatę. Dwa złociste świeczniki na kominie ustawione, przysłonięte były umyślnie, że jeno niepewne błyski migotały na ciemnych obiciach z ciężkiej, spłowiałej materii. Urządzenie tej komnaty było niemal ubogie; sprzętów mało, kosztowności żadnych ani obrazów, jeno nad małym żołnierskim łóżem, wisiał piękny krucyfiks z rozpiętym ciałem Zbawiciela, ku któremu jak ongi w przeddzień elekcji Władysława, Kazimierz korny a błagalny chwilami wzrok podnosił.

Wówczas — przed laty — marzył on o ciszy zakonnej.... mniemał, że świat rzuciwszy, rzuci zarazem wszelkie pożądanja, pozbędzie się niepokoju, który mu duszę targał, — ano, nadaremnie! Życie mu dało

upokorzeń mnóstwo; marzył o sławnych czynach wojennych, a los wtrącił go do więzienia, kazał znosić potwarze i urągowiska. Szukał uspokojenia w ciszy zakonnej; lecz w tej ciszy głośniejszem mu się zdało jeszcze wołanie jego duszy, spragnionej czynu, tryumfów, znaczenia, rozkoszy. Więc chciał zabłysnąć najwyższem dygnitarstwem w Kościele, ale i tu żądano, aby się wyrzekł godności i tytułu królewica, kazano mu się zaprzeć krwi xiążęcej, która burzyła się, czując swą wyższość.... Więc i to rzucił — a wróciwszy do kraju, znalazł niechęć brata, pustkę w około siebie, nędzę na królewskim dworze, brak środków do przyzwoitego stanowi utrzymania....

Zamknął się tedy w Nieporęcie, otoczył ciszą niby klasztorną i tak chciał czekać przyszłości....

Zrazu o Halszcze nie myślał prawie nigdy. Zdawało mu się, że uczucie, które obudziło się niegdyś dla niej, na zawždy się w jego sercu zatarło.... już nawet we snach postać jej nie stawała przed nim. Aż nagle jedno przypadkowe spotkanie się, jedno spojrzenie przelotne, odnowiło jaskrawemi barwy, zacierający się w jego sercu obraz.... Odtąd obraz ten snuł mu się ciągle przed oczyma, pojawiał się w chwilach rozrzewnienia lub

tęsknoty, jak dalekie ale drogie sercu odbicie, nieskażone niczem, zawsze jasne, bo opromienione urokiem pierwszych dni młodości....

Odtąd Jan Kazimierz ścigać począł Halszkę ognistym spojrzeniem a nie mogąc uzyskać od niej swobodniejszej rozmowy, słał jej listy przez zaufanych posłów, Sokolika lub Tyzenhauza, w których spowiadał się przed nią ze wszystkich smutków i uczuć duszy. Ale Halszka na pisma żadnego nie dawała responsu: płomienisty wzrok królewica, nie zdawał się na nią wywierać wrażenia, słowa zaś jej były obojętne, zimne i krótkie, czasem jakimś szyderstwem brzmiące a zachowanie się takie, jakby rozmowy dłuższej i spotkania unikać chciała. Ten opór, to milczenie i obojętność, zamiast zniechęcić, jeszcze bardziej rozpłomieniały uczucia królewica. Ale wszystko zdawało się daremne i Jan Kazimierz byłby już może wyrzekł się nadziei, gdy ją znów rozbudziło krótkie spotkanie się na uczcie u Ossolińskiego.

Halszka wydała mu się wówczas tak cudną jak nigdy a bardziej niż kiedy pożądana godną. Nie było w niej dawnej lęklivosti dziewczęcej, ale za to powaga wspaniała a w oczach i ustach nieokreślony wyraz tajnego smutku i tłumionych pragnień.

Królewicę twarz ukrył w dłonie i siedział nieporuszenie, wpatrzony okiem duszy w postać Halszki cudowną. Przypominał sobie każdy jej ruch, każde drgnienie twarzy — i rumieniec nagły, gdy go wchodzącego ujrzała i zblednięcie, gdy do niej się zbliżył. Wyrazy były zawsze zimne, obojętne, ale jakieś przecucie mówiło mu teraz, że ona, pomimo wszystkiego, pomimo lat tylu i ciągłego oddalenia, pomimo że on sam cofnął się od niej, innemi myślami zajęty — że ona pozostała wierną przyrzeczeniu swemu wieczystej pamięci....

— Och, miłość tej niewiasty nagrodzić by mogła wszystkie, wszystkie klęski mojego żywota! szepnęły mimowolnie usta królewica.

Lecz czy przyniosłaby uspokojenie? żali do wzburzonej duszy nie dodałaby straszliwego żaru namiętności, nie złamała woli i ochoty do dalszej z przeciwnemi losami walki?...

Jan Kazimierz odjął dłonie od twarzy, powstał i zbliżył się ku łożu kędy wisiał krucyfiks. Wpatrzył się w niego rozpłomienionym wzrokiem, jakby w tym obrazie najwyższej ofiary odkupienia, szukał odpowiedzi na pytania budzące się w sumieniu.

Zwolna ręce królewica podniosły się i złożyły na piersiach jak do modlitwy; blask

oczach gasnął... zdawało się, że walka ustaje, że zwycięstwo głosu sumienia pewne...

W tym momencie rozległ się odgłos kroków w pobliżu i drzwi się otwarły. Na progu stanął zdyszany Tyzenhauz.

Królewicę poskoczył ku niemu, wyciągając ramiona. Oczy zapłonęły znowu.... głos mu drżał, gdy pytał z niepokojem, pospieszenie:

— Cóż.... widziałeś ją?

— Widziałem, Najjaśniejszy królewicu — odparł pokojowiec, — i niespodziewanie dobre wieści niosę Waszej Królewicowskiej Mości....

— Mów więc!... jakie wieści?... — zapytał Kazimierz.

— Gdym przybył — mówił dalej Tyzenhauz pospiesznie, widząc gorączkowy niepokój królewica — a doręczył pisanie W. Królewicowskiej Mości, pani marszałkowa przebiegła je szybko oczyma i zamyśliła się moment. Już byłem pewien, że da taki respons jak przedtem, grzecznem zbywając słówkiem, — ale ona po owym namyśle, zbliżyła się do mnie i patrząc mi przenikliwie w oczy, zagadnęła: — Waśc jesteś wierny królewicowi?... Zaufać ci można?... Gdym zaś jej przysiągł, jako dałbym rychlej duszę sobie z ciała wydrzeć....

— I cóż?... I cóż? — przerwał królewic, targając za ramię Tyzenhauza.

— Tedy ona — odparł dworzanin — rzekła głosem tak dziwnym, drżącym i jakby stłumionym, jakiegom z ust jej jeszcze nigdy nie słyszał: — Responsu pisemnego nie daję... przeproszę za to ustnie Najjaśniejszego królewica, gdy przybędzie, a przybyć może zawżdy, kiedy jeno zechce.... jam tu samotna zupełnie... — Zawahała się znowu i jakby się przelekła słów ostatnich, dodała po chwili: — Tak jestem samotna, że mówić zapominam... toż za zaszczyt odwiedzin podwójnie wdzięczną będę....

— I to wszystko? — przerwał jakby rozczarowany królewic.

— Jeszcze jedno słowo, najważniejsze. Jużem wychodził, gdy pani marszałkowa nagle ruszyła się za mnie i dognawszy mię u drzwi, stanęła w nich i rzekła groźnie: — Wacpan jesteś szpetnie zalotny... poproszę królewica, gdy jutro do małżonka mego przybędzie, aby cię nigdy tu nie przysyłał, bo mi już raportowano, jako w godzinach wieczornych do mego fraucymera zaglądasz.... Jam się zaklął jako to fałsz wierny... — pani marszałkowa mówić mi nie dozwoliła, jeno tymże samym to nem dodała: — Nie gub duszy kłamstwem.... wiem, jako do panny Klary zachodzisz — a całe



nieszczęście jest, jako ten korytarz i jej mieszkanie zupełnie odludne są i mają wyjście ku osobnej furtce ogrodowej, od której klucz wacpan jakimś sposobem, jak mi mówiono, zdobyłeś.... Ale ja to ukrócić muszę i zakazuję wacpanu takich tajemnych dróg używać, bo to chyba małżeństwem się skończy.... — A niech-że Bóg uchwata! — zawołałem, — czego już pani Kazanowska słyszeć nie mogła, bo drzwi zatrzasnęła za sobą.

Królewic stał zamyślony.

— Nie rozumiem... — rzekł w końcu, jakby sam do siebie.

— Ja zaś — śmiało rzekł dworzanin — tak to zrozumiałem, iż to było wskazanie drogi i jako panna Klara była tu jeno pozorem....

— Więc ona nie istnieje? — zagadnął królewic.

— Panna Klara jest zawsze.... jeno że pani Kazanowska mówi to dzisiaj, co było prawdą przed półrokiem albo i więcej....

— Więc ty, nieponiu, tamtą drogą chadzałeś? — uśmiechnął się królewic.

— Na tej drodze odtąd trawa miała czas porosnąć i zmarznąć — odparł dworzanin — ale droga jest dobra i pewna, od strony ogrodu całe nie strzeżona, a ja dla mojego Miłościwego Pana zawsze do usług gotów....

przewodnikiem mógłbym być doświadczonym i na siebie pozory wziąć, jako do panny Klary chadzam...

— Milcz! — przerwał królewic głosem stłumionym i drżącą ręką przesunął po czole i twarzy. — Szalona myśl! szalona myśl! — szepnął i Tyzenhauza odprawił, mówiąc mu wszakże, jako do Nieporętu tak rychło nie wróca, lecz dni kilka zabawią w stolicy.

Nocy tej królewic oka zmrużyć nie mógł. Byłyż słuszne domysły Tyzenhauza? Byłóż podobnem, aby opór Halszki tak długo niezwalczony przełamać się dał w sposób tak niespodziewany i nagły? Najpewniej Tyzenhauz nie zrozumiał dobrze słów jej, albo sobie ich znaczenie mylnie wytłómaczył... Te myśli spędzały sen z powiek królewica, niepokoiły serce a krew burzyły, że jak lawa ognista przelewała się w żyłach.

W pałacu Kazanowskich nie spano również tej nocy. — Król bawił bardzo długo u ulubieńca swego. Po odejściu kanclerza ożywił się wielce, zdawał się zapominać o troskach i przeczuciach złowrogich, jakie go przed chwilą gnębiły, cały zajęty rozmową.

W okola stołu, obok i naprzeciw Króla, siedziało teraz kilka postaci, wśród których odszczególniała się zwłaszcza jedna. Był to starzec wysoki, chudy, z długą siwą brodą

i takiemiż włosami, które mu na ramiona spadały. Oczy jego w głąb zapadnięte, czarne jak węgiel, zapalały się czasem niezwykłym blaskiem a czasem zasuwwały mgłą i tonęły jakby w pomroce zamyślenia czy smutku. Odziany był ów starzec w długą i szeroką czarną suknię duchowną z szerokimi rękawami, która z przodu od góry do dołu rozpięta, ukazywała pod spodem drugą węższą suknię barwy fioletowej; takież kołpak wysoki spoczywał obok niego na stole. — Zajmował on miejsce naprzeciw Króla, który z natężoną uwagą słuchał jego mowy, wygłaszanej zwolna, uroczyście, w języku włoskim. Wyrazy padały z ust tego starca miarowo, spokojnie, a brzmiały donośnie, musiały być zaś wielkiej wagi, bo wszyscy zdawali się je pochłaniać z ciekawością, dech zapierając w piersiach.

Był to archimandryta Teofan, ów grecki wysłannik, który Królowi koronę Bułgarii przyrzekał i znaczne w ludziach posiłki w razie wojny z potęgą turecką.

Obok owego archimandryty, stał wspinały wzrostem i postawą Włoch, grabia Franciszek Strassnitz de Magni, Magnusem zwykle nazywany, wielki ulubieniec królewski. Twarz jego piękna, o rysach wybitnych, patrzyła przed siebie śmiało, dużemi, czarnemi oczyma. Ubrany był bardzo strojnie i bogato.

Białą, jak niewieścia wypieszczoną ręką, a ozdobioną brylantowymi pierścieniami, opierał się z lekka na stole i z utkwionym wzrokiem w twarz archimandryty, słuchał jego przemowy.

Obok niego z głową pochyloną na piersi, pogrążony w zadumie, siedział mnich w kapucyńskim habicie. Twarz jego chuda i znędzniała, miała wyraz ponury; ponuro też patrzyły oczy, zasunięte siwymi brwiami. Wy-chudzoną, żylastą ręką gładził zwolna długą, białą brodę, a czasem ustami poruszał, jakby z cicha dawał odpowiedź na słyszane wyrazy. Na głowie mnich ów miał czapkę sukienną, spiczastą, z pod której wymykały się jak śnieg białe włosy i spadały na ramiona, odbijając białością swą od twarzy ciemnej, jakby od słońca ogorzałej. Od czasu do czasu mnich ów, snadź pod wrażeniem słów archimandryty, poruszał się żywiej, głowy wszakże nie podnosząc, a wtedy ręką szarpał wielki różaniec wiszący mu od pasa, który medalikami i krzyżykami ozdobiony, głośny dźwięk wydawał.

Był to brat hrabiego Magnusa, O. Waleryan, misyjonarz Apostolski w Rzeczypospolitej, wielkiej powagi u Króla używający, że go kardynałem koniecznie uczynić chciał

gdy królewic Kazimierz tej godności się wyrzekał.

Była jeszcze jedna postać, tak mała, że cała niemal tonęła w krześle, a tak ruchliwa, że ani chwili spokojnie usiedzieć nie mogła, jeno ciągle zrywała się z miejsca, otwierając usta jakby mówić chciała i z trudnością znosząc to przymusowe milczenie. Mały ten, chudy a niespokojny człowieczek, odziany był również w ciemne suknie, gdyby duchowne; czarne, kędzierzawe włosy, w długich spadające zwojach, okalały oblicze o rysach drobnych, ale ostrych, z wystającymi policzkami i brodą; usta tak wąskie, że ich niemal znać nie było, poruszały się i otwierały nieustannie, okazując zęby precudnej białości; oczy małe, przenikliwe, błyszczące, biegały na wsze strony, jakby czegoś szukając.

Fantoni, tak się nazywał ów człowieczek, był sekretarzem królewskim, powszechnie nie lubiony dla nieszczerości swej i przebiegłości iście włoskiej. Król cenił go wszakże bardzo; głównie dla tego, iż tajemnicy wszelkiej ściśle dochować umiał, ciekawe pytania zbywając uśmiechem lub półsłówkiem; tajemnice zaś innych sprytem odgadnął lub wyłudził. Ceniąc spryt ten, Król go nietylko swoim sekretarzem uczynił i do najpoufniejszych na-

rad przypuszczał, ale także bogatą kanonią uposażył, co niemałe wywołało oburzenie, ile że Fantoni szlachcicem nie był a z prostego muzykanta dobił się tych godności.

Nie lubił go też mocno p. Kazanowski; drażniła go zwłaszcza nieustanna ruchliwość owego Włocha, że widoku jego niemal znieść nie mógł. I teraz siedział odwrócony od niego plecami; głowę pochylił, oczy zawarł i jeden tylko zdawał się nie słuchać słów archimandryty, które pieszczoną włoską mową wypowiadane, brzmiały donośnie a dźwięcznie jak muzyka, łącząc się ze szmerem srebrnej fontanny, z której na kilka łokci w górę biło wino najprzedniejsze, spadając w ustawione w około nalewki, roztruchany i konwie. Przy każdym też z obecnych stały kubki szczerolote i kryształowe kielichy, trunkiem napełnione a na twarzach było poznać, jako za przykładem Króla nie szczędzono hojności gospodarza.

Przed jednym tylko owym posłem greckim czara stała nie tknięta. On się upajał nie trunkiem, jeno własnymi słowy. Powstał, oczy podniósł w górę i mówił ciągle głosem dźwięcznym a czasami drżącym, jakby ze wzruszeniem. Ramiona wreszcie wyteżył przed siebie i zawołał:

— Wstań, Miłościwy Królu! weź oręż chrześcijański w prawicę, podnieś znamię krzyża, które cię najpotężniejszym wśród potężnych uczyni!... Rzeknij słowo, a zagrmi ono trąbą Jerychonu, druzgocząc mury, niewiernych ręką wzniesione, krusząc kajdany ludów uciemiężonych przez barbarzyńskich półkieżyca czcicieli... Oto widzę, jako nad głową twoją Anioł zwycięstwa się unosi... widzę jako ci niesie wielką koronę Wschodu, widzę jako wyzwolone ludy otaczają cię dokoła, wznosząc na cześć twoją okrzyki wesela, zwać Wybawicielem! Wstań, Królu, i ujmij berło władzy! Włóż na czoło koronę przesławną, przyjmij hołd ludów Wschodu, które ku tobie, wielki Monarcho, wyciągają dłonie!...

Król nie przerywał tej mowy, jeno wzrok pałający utkwiał w postać starca, prostującą się wyniośle w natchnieniu, a czasem szeptał do siebie:

— Tak.... tak! wola Boża!... duch boży mówi przez te usta....

— Tron Paleologów — wołał dalej starzec — tobie, Miłościwy Królu, należy się z prawa, przez małżonkę twą, Maryą Gonzagę, która jest Paleologów ostatnią dziedziczką....

— Koronę grecką — dorzucił O. Walleryan, korzystając, iż starzec znużony mówieniem zamilkł, — przepowiadano królowej



gdy jeszcze dziecięciem była.... Ano — dodał chmurno — przepowiednie różne są, i mogą być wolą bożą zapisane w niebiesiech, jeno że je zła wola ludzka, niedbalstwo lub zgoła lenistwo ludzi, odwrócić usiłują.

— Nie odwróć! — przerwał z mocą starzec — nie odwróć! Głosicie jeno wojnę krzyżową a nie ustawajcie....

To mówiąc, ruszył się z miejsca i przystąpił do Króla z niskim pokłonem.

— Cześć ci, wielki Cesarzu Wschodu! — rzekł — czytałem imię twoje zapisane w gwiazdach, widziałem w snach i objawieniach postać twoją opromienioną blaskiem potężnego Majestatu.... przyjmij hołd pokornego sługi a wysłuchaj głosu, który z nieba jest....

A na to Król z miejsca się ruszył i widocznie do głębi wzruszony, rzekł:

— Póki tchu w piersiach mych a siły w ręku, nie odstąpię myśli, którą mię natchnął głos boży.... Jedźcie i gotujcie wszystko.... na wiosnę....

Zaczem żegnać się poczęto i za chwilę poseł grecki opuścił komnatę, w towarzystwie Fantoniego, który z polecenia Króla miał go w podróż wyprawić.

Ale zaledwie za nimi podwoje się zawarły, wbiegła raczej niż weszła, postać niewieścia, całę dziwnie wyglądająca. Twarz

jej bardzo blada, nosiła ślady dawnej piękności i wielkiego znękania; oczy czarne jak węgiel, zapadnięte, paliły się w głębi niezwykłym ogniem; w powiększonej źrenicy znać było, jakby pomieszanie uczuć i myśli; raz odbijało się w nich przerażenie, lęk niewytłómaczony, to znów gniew namiętny, to namiętna czułość a wówczas oczy zachodziły łzami, które bez łkania spływały po wychudzonych policzkach.

Ubrana była owa niewiasta w suknie żałobne, na głowie miała zarzucony welon czarny, gęsty, z pod którego wymykały się włosy niegdyś krucze, a dziś dobrze już przprószone siwizną. Niewielkiego wzrostu, zgrabna i zwinna, zdawaćby się mogła bardzo jeszcze młodą, gdyby nie twarz zdradzająca, jako młodość wraz z urodą przeminęła niepowrotnie. Ruchy wszakże były młodzieńcze, żywe i nagle.

Była to dawna kochanka królewska, zwana Jadwiżką ze Lwowa, słynnej za młodu urody, którą Król wydał potem za mąż za Jana Wypyskiego, chorążego nurskiego i starostę mereckiego.

Opowiadano jako wielkiego rozumu i sprytu była to niewiasta, która przeniknąć umiała niedostępne zwykłym niewieścim umysłom

tajniki. Posądzano ją o czary i czarnoxieztwo, zwłaszcza od czasu gdy widoczne pomieszenie zmysłów zdradzać poczęła. Stało się to zaś wówczas, gdy syn jej i syn królewski, Zygmunt, pięknych nadziei młodzian, pod nazwiskiem Waza chowany, zmarł w dorosłych już leciech, w nieutulonym żalu pozostawiając swą matkę. Odtąd chorążyna nurska grubą przywdziała żalobę, oddała się pobożnym modlitwom i miłosiernym uczynkom, ale też odtąd mowa jej stała się często niezrozumiałą, sprzeczne wyrażając zdania; to zadziwiała bystrością i głębokością, tajemniczem jakby znaczeniem, to przejmowała palącem szyderstwem lub rozrzucała niewymownym smutkiem. Odtąd uroda z jej lic, jeszcze młodych, uciekła, a jej miejsce zajął wyraz wewnętrznego stanu duszy; oczy zapadły w głąb, usta zbladły, pierś wyschła i zwiędła. Snadź dla tej niewiasty ze śmiercią syna skończyło się wszystko na świecie; nie miała już ani uczuć, ani pragnień żadnych: jedno chyba pragnienie odpokutowania, co dopełniała miłosiernymi uczynkami, i jedno przywiązanie do Króla, za którego życie, ostatnią krwi kroplę oddać była gotową. Przywiązanie to objawiało się także w dziwny sposób. Ilekroć król był chory czy zgębiony, tyle razy chorążyna przeczuła ten smutek lub cierpienie i przybywała z Mere-

cza do Warszawy, dopraszając się jeno o to, aby jej wolno było popatrzeć na Króla i kilka słów do niego przemówić. W ostatnich czasach, od chwili kiedy sprawa wojny tureckiej coraz bardziej rozpalać się poczęła, chorążyna przyjeżdżała coraz częściej; ale w jej pomieszanym umyśle wojna ta przedstawiała się jakąś okropną klęską. Niejednokrotnie, tonąc we łzach, tarzała się u stóp Władysława, błagając, aby tych zamysłów wojennych zaniechał. Zrazu Król nie zwracał uwagi na słowa szalonej niewiasty, potem oddalać ją od siebie począł, zniechęcony jej słowami, aż wreszcie gdy chorobą i nieustanną walką znużony, stał się zabobonnym, a słuchać począł rozmaitych przepowiedni, wówczas i słowa chorążyny większego nabrały znaczenia i z czasem gniewać przestały. Owszem, ostudzały one jego porywy, godziły niejako z przeciwną wojnie wolą narodu, uśmierzały bunt, jaki się przeciw tej woli zrywał w jego duszy — przynosiły bądź co bądź uspokojenie...

Ale w tym momencie, gdy słowa posła greckiego rozbudziły na nowo zapal ku wojnie, Król spojrział na wchodzącą niemal z niechęcią. Podobnież O. Waleryan niecierpliwie ramionami dźwignął, a hrabia Magnus nie mógł powstrzymać okrzyku nieukontentowania.

Wszakże niewiasta owa, nie zwracając na to uwagi, szybko zbliżyła się do Króla i do nóg mu przypadła.

— O! mój Panie miłościwy! — zawołała. — Powiedziano mi, jakoś jest chory, przeto w najwyższym niepokoju czekałam, zanim ów starzec tajemniczy wyjdzie....

Król zamyślony jeszcze po ostatnich słowach archimandryty, dopiero na dźwięk głosu Jadwiżki głowę podniósł i łaskawiej się uśmiechnął.

A ona mówiła dalej głosem dźwięcznym, w którym tak samo jak w oczach przejawiały się różnorodne, pomieszane dziwacznie uczucia: czasem szyderstwo, czasem gorycz wielka i smutek, a czasem czułość, chwytająca za serce, to znów wesołość, wybuchająca nagle w śmiechu srebrzystym....

Wyciągnęła śliczną, białą, wypieszczoną dłoń przed siebie i wskazując na hr. Magnusa i O. Waleryana, zawołała:

— Chciałam czekać jeszcze aż wyjdą oni.... bo wiem, że mnie nie lubią.... O. Waleryan nie chce dawnej Jadwiżce absolucyi dać.... chociaż może Bóg w niebiesiech przebaczył.. widział bowiem i łzy i cierpienia i pokutę....

O. Waleryan zachnął się i poruszył z miejsca, jak gdyby do wyjścia się zabierał.

— Czekaj, ojcze świątobliwy! — zawołała Jadwiżka, — ważne nowiny mam, miałam bowiem sny dziwne i karty dla ciebie rzucałam....

Hr. Magnus szepnął do brata:

— Niespełna rozumu jest.... chodźmy!...

To mówiąc, powstał także. Ale Król ich strzymał.

— Czekajcie — rzekł. — Przepowiadają entia rationis z gwiazd archeologowie i matematycy, to ich słuchacie, a czemuż posłuchać nie chcecie słów tej niewiasty, które się już niejednokrotnie ziściły?...

Jadwiżka powstała z klęczek i zbliżyła się do stołu. Twarz jej wyrażała w tym momencie zamyślenie głębokie; na zbladłych ale ślicznie wykrojonych uśmiech błakał się jakby uśmiech szydery.

— Rzucałam karty dzisiaj dla hr. Magnusa i O. Waleryana.... ale mi nie chciały przyszłości powiedzieć, jeno mówiły, co w duszach ich jest, wszystkie tajne ich myśli odkryły....

O. Waleryan przerwał z powagą:

— Bóg jeno zna myśli ludzkie, a jakżeby je z kart wyczytać można?...

— Cha, cha, cha!... — zaśmiała się Jadwiżka — macie słuszność, głupie są karty.... one mi dziś mówiły, jako wy świątobliwy ojcze, sługą sług Pańskich zostać pragniecie,

przywdziać białą sukienkę Namiestnika Chrystusowego, zostać następcą Innocentego Papieża, który jeszcze żyw jest.... To śmieszne i prawdą być nie może! Mówiły mi owe głupie karty, jako wy w tym celu wojnę z Turkami rozniecić, krucyatę głosić, niewiernych wytępić pragniecie, aby potem rządzić pokojem chrześcijańskiego świata.... Wielkie myśli.... wielkie myśli! tak wielkie, że szalone!...

— Daj pokój Jadwigo! — przerwał Król z nieukontentowaniem.

— Wszystko w bożych rękach jest — dorzucił O. Waleryan mocno zmieszany — a nie godzi się człowiekowi przeciw wyrokowi Stwórcy powstawać....

— Żali kto zna wyroki owe?... — zawołała Jadwiżka. — Pokora je tylko odgadnąć może, bo się nie rwie jak pycha ku przedsięwzięciom szalonym, ani oczu ludzkich nie oślepia.... Ale oto — dodała, zwracając się ku Królowi — widzę jako Pan mój nie chce, abym wam mówiła prawdę — przeto już zmilczę....

— Rzuć karty!... — rzekł Król.

Chorażyna wyjęła z kieszeni kilkanaście kart dużych, nieforemnych a poczerńiałych z używania częstego i rozsypała je po stole. Rysunek na tych kartach był całkiem niezgrabny, od ręki robiony; były tam cztery tuzy odmalowane na proporcach; króle przedstawieni kon-



no w sukni kusej z krzyżami a krótkimi berłami w rękach, wyżniki i niżniki jako giermkowie w wysokich czapkach z pióropusząmi, jeden z halebardą w prawicy, drugi grający na wielkim flecie, inny bijący w bęben olbrzymi, znów inny dzierżący papugę na dłoni a wszyscy o tłustych policzkach i wąsie sumiastym, w stroju zaś cudzoziemskim, fałdzystym, spadającym na cienkie nóżki w spodniach obeisłych.

Chorażyna zbierała powoli te karty, spoglądając ukradkiem na hrabiego Magnusa, który z zajęciem każde jej poruszenie śledził.

— Grabia Strassnitz de Magni, — ozwała się po długim milczeniu, — chciałby przysłać swą z kart tych wyczytać...

— Dla mnie rzuć karty!... ozwał się Władysław.

Jadwiżka zwróciła ku niemu wzrok niemal błagalny.

— Nie, Królu mój! — zawołała składając ręce.... nie każcie mi tego czynić — karty kłaniają.... skłamały mi wczoraj haniebnie... Dla grabi Magnusa położę pierwej.

To mówiąc nagłym ruchem zebrała wszystkie karty, zmieszała je razem i wyrzuciła wysoko w powietrze najprzód dwie, potem trzy a potem znów pięć kart. Padały one na

stół w rozmaitych kierunkach; z tych dwie koło Magnusa padły odwrotną stroną....

— Zamysły macie tajne! zawołała Jadwiżka śmiejąc się szydersko — ale je odgadnę za pomocą tych kart, które padły dobrą stroną.... Macie tu — mówiła dalej wskazując na inne karty — wyżnika walącego w bęben, który na wojnę zwołuje, a oto drugi niżnik z halebardą, to cudzoziemskie zaciągi; przy nim zaś dwójka — zły omen!....

Król zachnął się niecierpliwie.

— Jadwigo — rzekł — porzuć tę zabawę, która mi jest nie miłą a mów prawdę, jako widzisz w kartach.

— Tak mówię, jak widzę Miłościwy Panie — odparła chorążyna — a oto dowód najlepszy, iż powiem, jakie to karty zakryte przed grabią Magnusem leżą, które oznaczają jego tajne zamysły.... Leży tam król....

Graf Magnus, który z widocznym niepokojem i niezwykłym zajęciem przyglądał się tej kabale, omal nie krzyknął.

— Król.... powtórzył — Król.... a cóż to ma za znaczenie?...

— Zachciewa się wam korony! zaśmiała się znów Jadwiżka, nie bacząc na nieukontentowanie Władysława — ale zachciewa się nadarmo, bo przy owym królu.... zły omen — dwójka!

Graf drżącą ręką chwycił karty, odwrócił je i spojrzał... Był tam rzeczywiście król i dwójka fatalna.

Nawet p. Kazanowski, który przez cały czas ten siedział nieruchomo w głębi fotelu, z oczyma przymkniętymi, widocznie chory i znużony, poruszył się i patrząc na skonsternowaną twarz grafa nie zdołał się powstrzymać od uśmiechu.

Wiadomo było powszechnie, że jak O. Waleryan kardynałem pragnął zostać a marzył o tyarze papieżkiej, tak brat jego ochotnie opowiadał, że mu w dzieciństwie koronę przepowiadano, byleby jeno tytuł książęcy uzyskał, o co też tajemnie czynił zabiegi, chociaż na pozór udawał, jako owym prorocstwom zgoła nie wierzy.

Słyszając słowa chorążyny i widząc jako dziwnym sposobem odgadła zakryte karty, chwycił je ze stołu, ścisnął w pięści i z gniewem rzucił na ziemię.

— Nie walajcie kart moich grafie! — zawołała Jadwiga, biegnąc ku niemu — wiecie jako trudno ich dostać i drogie są...

— Głupie prorocтва... — szepnął Magnus z gniewem, ruszając się z miejsca.

— Wszystko w bożych rękach... dorzucił O. Waleryan idąc ku Królowi, aby go pożegnać. — Wszelakie czary i kabały zdrożne

są, bo usiłują odgadnąć to, co umyślnie przed człowiekiem jest zakryte, aby się woli bożej poddawał i wierzył z ufnością....

— Albo myśłom pysznym dawał folgę.... dokończyła Jadwiga.

— Milcz! — krzyknął Król gniewny i zaklął głośno. — Niepowściągliwy jest język tej szalonej niewiasty.... żał mi, iż ją tu dopuściłem....

Słyszając groźne słowa Króla, chorążyna upadła przed nim na kolana, i ku ziemi się chyląc, załamała dłonie.

— Przebacz Miłościwy Panie! przebacz Królu! — szeptała. — Głos jej przed chwilą szyderczy, urywany, donośny, ścichł nagle i stał się niezwykle rzewnym.

Ale Władysław odwrócił się od niej i w milczeniu, widocznie zafrasowany i gniewny, żegnał odchodzących. Pan Kazanowski powstał z trudnością i krokiem chwiejnym, opierając się o sprzęty, odprowadził ich do drzwi, poczem znów zajął miejsce przy Królu, ale tak był osłabły i zbolący, że głowę złożył na poręczy fotela, oczy zawarł i jeno oddychał ciężko, tłumiąc widocznie jęk, który mu ból mimowolnie wyrывał.

Król w myślach pogrążony, nie zwracał nawet uwagi na cierpienia swego ulubieńca, pięścią ściśniętą o stół bił, poruszał się gnie-

wnie a nagle pochwyciwszy kielich na poły winem napełniony do dna go wychylił.

Chorażyna ciągle w jednej postawie, schylona ku ziemi, klęczała przy nim.

— Jadwigo!... — zawołał nagle Władysław — dla mnie rzuć karty!

Chorażyna wzdrygnęła się cała i podnosząc się ukazała oblicze rzewnemi zalane łzami.

— O nie... Królu mój... nie dzisiaj... nie teraz!...

— Rzuć karty! — krzyknął Król groźnie.

Na rozkaz ten Jadwiga powstała szybko z ziemi, zebrała karty i mięsząc je poczęła zrazu gwałtownie, niecierpliwie a potem zwolna, coraz wolniej, kartę za kartą przekładając.

Władysław się niecierpliwił.

— Prędej! — zawołał.

W kandelabrach dopalały się już świece, воск topniejąc spadał od czasu do czasu z głośnym szmerem, dużemi kroplami; odzywała się też monotonnym szmerem fontanna, rozlewając z brzękiem strugi złotego wina w roztruchany i konwie. Zresztą cisza panowała tak uroczysta, że słyhać było przyspieszony oddech chorego marszałka i miarowe uderzenia o stół pięści królewskiej. Zegar umieszczony w środkowym świeczniku

wskazywał zbliżającą się północ. Z zewnątrz, chwilami dochodziły echa kroków spóźnionego przechodnia, rozlegające się wśród bezludnych ulic.

W tym momencie zafrasowane oblicze Króla obok bladej, cierpieniem skrzywionej twarzy marszałka, który jak obumarły leżał w fotelu i czarna postać pół szalonej niewiasty, której łez pełne oczy, utkwione przed siebie, wyrażały smutek głęboki a zarazem dziwne przerażenie — tworzyły obraz przejmujący trwogą i współczuciem zarazem.

A wielka postać Bachusa z wieńcem na głowie, siedząca naprzeciw, na olbrzymiej baryle o złotych obręczach, śmiała się tłustemi usty bezmownie, wyciągając rękę z czarą, jakby inwitując do uczt wesolej...

— Prędej! — powtórzył Król — rzuć karty!...

W tymże momencie dwie jeno karty wyleciały z rąk Jadwigi w powietrze.... Obie padły przed Królem: na krzyż złożone dwie czarne dwójki....

Z krzykiem rzuciła się ku nim Jadwiga, rękami przysłaniając.

— To nie dla ciebie Królu! to dla mnie.... to dla nich.... dla marszałka! — jękała się, nie wiedząc sama co mówi....

Kazanowski się poruszył.

— Dla mnie? — rzekł głosem osłabłym, nie patrząc na karty. — A na co dla mnie?.... wszak wiem co mię czeka.... dziś — jutro — wyzwolenie przez śmierć....

Król dziwnie pomieszany, zbladły, wstał z miejsca.

— Dwie dwójki na krzyż złożone.... — szeptał — to także chyba śmierć przed czasem...

Chorażyna zebrała karty i gwałtownym ruchem podbiegając do komina, cisnęła je w przygasające ognisko.... Mnóstwo iskier uleciało do góry, ogień syczeć począł i buchnął naraz wysoko a karty wygięły się łamiąc i rozpadając w pośród płomieni.

— Ostatni raz skłamały przeklęte karty! — zawołała Jadwiga, patrząc w ognisko.

— Kto wie?.... rzekł Król idąc ku oknu, przy którym w zamyśleniu przystanął i odsunął zasłonę, aby spoglądnąć na rozpogodzone w tym momencie i gwiazdami usiane niebo.... — Kto wie? — powtórzył — czy one raz ostatni nie powiedziały prawdy.... Kto wie, żali na rok przyszły, gdy o tej porze, tak samo gwiazdy świecić będą, iskrząc się na białym śniegu, żali ja jeszcze czuć będę w pierśsiach kołaczące się serce i rwące się nadarmo ku myślom a zamiarom potężnym, z których nie zostanie ni śladu.... Kto wie?....



Pochylił się ku oknu, przykładając rozpalone czoło do zimnej tafli kryształowej i stał tak długą chwilę w niemej pogrążony zadumie, której nie śmiał przerwać ani p. Kazanowski, stojący opodal i walczący siłą woli z cierpieniem, które go gnębiło, ani Jadwiżka, łamiąca białe dłonie z rozpaczyny...

Nagle ciszę tę przerwał odgłos kroków kilku ludzi idących ulicą. Szli zwolna a gadali tak głośno, że w pośród ciszy słowa dochodziły wyraźnie do uszu królewskich.

Jeden z idących krzyczał nieledwie z pełnej piersi — a drudzy odpowiadali mu, udając echa:

— Kto Króla chytrze do wojny przywodzi.... — wołali jedni.

....wolności szkodzi! — kończyły echa.

— Niech będzie żywcem w ziemię zakopany....

....z kanclerzem, z pany....

— Każdemu, który do wojny podnieta —  
....krzykniemy.... veto!....

Król cofnął się nagle od okna.... Moment stał słuchając owych krzyków a potem nagle zwracając się ku Kazanowskiemu zawołał:

— To koniec dnia dzisiejszego!... jeszcze tego mi brakło — ulicznych wrzasków!.... Bądź zdrów marszałku.... spocznij — ja odjeżdżam....

I szedł już ku drzwiom, blady, zmieniony, pomieszany dziwnie. W milczeniu przyjął pożegnanie marszałka, nie rzekł nic, gdy Jadwiga chyląc mu się do stóp, ze łzami opuszczoną rękę jego całowała — a w antykamerze, gdzie oczekiwali dworzanie, kazał się pod ramiona prowadzić i szepnął jeno:

— Spiesznie, do zamku!...

Za chwilę też głośny turkot karocy ozwał się na pałacowym dziedzińcu, długo tętniał wśród ciszy nocnej, aż znikł w oddali, gdy pan Kazanowski stał jeszcze oparty o framugę okna i okiem zamglonem patrzył nieruchomo w usiane gwiazdami niebo.

---

## XIV.

Nazajutrz pan Kazanowski nie mógł po-  
dnieść się z łoża.

Niemoc opanowała go tak sroga, że się  
była wieść w zamku rozniosła, iż kona. Z kró-  
lewskiego dworu przybiegali co pół godziny  
niemal gońce, aby powziąć wiadomość w imie-  
niu niespokojnego Króla; nad wieczorem zaś  
przybył sam królewic Jan Kazimierz do pa-  
łacu marszałka. Wszakże p. Kazanowski był  
w tym momencie tak słabym, iż na powitanie  
królewica zaledwie słów parę cale niezrozu-  
miałych wyjąkać zdołał. Senność go opano-  
wała tak ubezwładniająca, iż zdawało się,  
że śmiercią lub w najlepszym razie zgaśnie-  
ciem myśli i pamięci, zakończyć się musi.

W sali przyległej do komnaty sypialnej,  
w której marszałek obumierać się zdawał, Jan  
Kazimierz i Halszka znaleźli się sami. Długi  
czas stali naprzeciw siebie w milczeniu,  
mimowolnie przejęci uczuciem niepokoju i trwo-  
gi, jaką rodzi w najobojętniejszych sercach

widok zbliżającej się śmierci człowieka. W całym pałacu panowała uroczysta cisza, chodzący na palcach a mówiono szeptem; na wszystkich twarzach znać było pomieszanie wielkie; każde głośniejsze wymówione słowo odbijało się dziwnie wśród tego powszechnego skupienia, w jakim oczekiwano na przybycie owego tajemniczego a potężnego gościa, który się śmiercią zowie...

Halszka z głową spuszczoną ku ziemi, pomieszana i blada, stała przed królewicem nie zdolna słowa przemówić. Przewidywany od dawna skon małżonka, teraz, gdy prawie nieuchronnym się zdawał, przejmował ją nieopisanym lękiem. Mimowolnie czuła żal za tym człowiekiem, który przez lat tyle otaczał ją cichą i pokorną miłością, chociaż z ust jej nie słyszał nigdy czulszego wyrazu. W tym momencie o nim tylko i o nim jednym myślała.

Ale nagle, gdy tak stała przed królewicem w głębokim pogrążona smutku, uczuła przenikające do głębi duszy, jego ogniste spojrzenie, jakim on jej postać ogarniał. Podniosła oczy i spotkała się z tym iskrzącym wzrokiem.... Rysy królowica wychudzone, zbladłe, noszące na sobie wyraźne ślady długoletnich walk, zawodów i upokorzeń, schmurnione wewnętrznym smutkiem duszy, pełnej

goryczy, zniechęcenia i niewiary w przyszłość, — nagle rozpromieniać się poczęły. Głębokie uczucie smutku, jakim go przeniknął widok schorzałego marszałka, w duszy wrażliwej królewica zacierać się już i ustępować poczęło innym uczuciom, budzącym się w obec cudownej w swem pomieszaniu i blaśdości niewiasty. Dzień wczorajszy, niespodziewane spotkanie się u Ossolińskich z Halszką, poselstwo Tyzenhauza i jego o niem relacya, stanęły mu nagle w myśli.

W miarę jak patrzył na Halszkę, wzrok jego rozpromieniał się ogniste, usta drżały.

— Halszko — przemówił z cicha. — Poznaliśmy się, pomnisz, przy świetle gromnic... i oto ciągle idziem obok siebie, choć nie razem, wśród utrapień i żałoby...

Na usta Halszki wybiegł uśmiech smutny i wnet zniknął.

— Dla Waszej Królewicowskiej Mości — odparła — nadchodzi już może dzień pogodny...

— Pogodny! — powtórzył Jan Kazimierz z goryczą — wszystko dokoła mnie czarnemi zasnutę chmurami; za mną przeszłość smutna i boleśna, przedemną przyszłość złowrogiem znaczone przecuciem, a ja, jak w odmiecie, sam.... bez przyjaciół.... bez....

Głos mu drżał.... Królewic pragnął mówić dalej, ale przemocą zmusił się do mil-

czenia; lękał się powiedzieć za nadto. Od lat wielu zamknięty w sobie, dla wszystkich nieprzystępny, odczuwał on nieraz gwałtowne pragnienie zwierzenia się, odkrycia tajników serca. Przed Halszką, przed tą niewiastą, do której pociągało go niepohamowane uczucie, byłby chciał wyznać wszystko.... żali jednak wiedzieć mógł jak słowa jego byłyby przyjęte? Obojętność Halszki okazywana mu od tak dawna, mroziła go i strzymywała słowa na uściech; to co wczoraj zaszło, co mu Tyzenhauz powiedział, wydawało się całę niepewnem, mogło być przywidzeniem tylko zbyt gorliwego sługi.

Więc zamilkł nagle, a Halszka w tymże momencie zrozumiała powody wahania, domyśliła się nieufności, odczuła cały ogrom smutku, jaki przejmował duszę królewica.

....Jak w odmęcie.... sam.... bez przyjaciół.... bez jednego serca, któreby mu było całkowicie oddanem.... To zapewne chciał powiedzieć królewic a w duszy Halszki słowa te z nieopisaną wymówione goryczą, odbiły się głośnie echem, budząc rzewne współczucie.

I podniosła na niego wzrok, którego blaski przysłoniła na chwilę łza, jakby mgłą przejrzystą....

A siła tego spojrzenia musiała być wielką i niezwalczenie pociągającą, bo Jan Ka-

zimierz poruszył się nagle i snadź niezdolny zapanować nad sobą, przystąpił ku Halszce bliżej i ujął za rękę.

— Żali, — przemówił przyciszonym głosem — mogę z wami mówić otwarcie?... Żali głos mój tak trafi wam teraz do serca, jak niegdyś, jak wówczas, gdy z ust waszych usłyszałem to słowo: do śmierci?...

Twarz Halszki oblała się rumieńcem. Wspomnienie to, zawsze żywe w jej duszy, stanęło w tej chwili przed nią tak jasno, jakby daleka przeszłość zawróciła się nagle i teraźniejszością się stała. Głos królewica, wzruszeniem drżący, stłumiony, brzmiał tak samo, jak wówczas, wzrok jego palający namiętym ogniem, budził w jej sercu uciszoną burzę; jak niegdyś, czuła znowu, równie potężnie, przejmującą siłę tych oczu a wszystkie dawne marzenia nocy bezsennych stawały się jawą...

— Żali, — mówił dalej królewic — żali to prawda, iżeś wczoraj Tyzenhauzowi respons dała pomyślny?...

Ręka Halszki w silnym uścisku dłoni królewica odczuwała ich żar namiętny; wzruszenie tamowało głos w jej piersi, która poruszała się przyspieszonym oddechem; serce kołatało gwałtownie.

Milczała. Zdało się jej w tej chwili, że stoi obok królewica w dzień swego wesela,



na krużganku wileńskiego pałacu.... Zdało się jej, że widzi jak złagodniałe po dniu upalnym promienie słońca, złocą całą uroczą okolicę, domy, chaty, łąki, pola i wzgórza zielone i połyskują w dali tęczowemi barwy w przejrzystej wstędze zwolna płynącej rzeki; zdało się jej, że otacza ją upajające powietrze pełne woni i rozkosznego ciepła, i słyszy tęskny, jękliwy odgłos piosnki litewskiej — że czuje tak jak wówczas, przed laty, a w jej sercu nie zmrożonem jeszcze doświadczeniami życia, odbijają się żywo te wszystkie wrażenia, budzące w niem słodką, ufną, pełną siły i młodzieńczego zapału miłość....

A głos królewica, cichy, rzewny, powtarzał ciągle pytania, stawał się coraz natarczywszym, coraz bardziej przejmującym.

— Gdybym mógł wiedzieć, — mówił Jan Kazimierz — że ani czas, ani cierpienia przebyte, ani ta niechęć, którą dokoła siebie widzę, a która wszystkich oddala odemnie, twego nie zmieniły serca!.... Gdybym mógł z ust twoich usłyszeć, że to serce wśród powszechnego potępienia, jakim mnie ścigano, jedno mi zostało wiernem.... żem nie samotny i nie opuszczony, że jest jedna na świecie, twoja dusza, która ze mną współczuje.... to rzekłbym sobie wówczas, że warto żyć i walczyć dalej.... dla twojej miłości!....

Ostatnie słowa wymówił królewic ledwo dosłyszalnym szeptem, pochylony nad Halszką, którą lekko przyciągnął ku sobie i nagle objął ramieniem.

Ona nie mogła, nie miała siły wyrwać się z tego objęcia. Głowa jej spoczęła na piersiach królewica a ucho słyszało uderzenia gwałtowne jego serca, które odpowiadało przyspieszonem tętnem jej własnemu sercu....

Dłoń jej spoczywająca dotąd bez ruchu w dłoni Jana Kazimierza, mimowolnie na uścisk odpowiadała uściskiem....

Milczeli teraz oboje, jakby zalęknieni tym nagłym, niespodziewanym wybuchem uczucia, któremu się już oprzeć nie mogli. Ramię królewica coraz silniej obejmowało kibić Halszki, a ona garnęła się i tuliła ku niemu jak dziecię, spragnione matczynej pieśszczoty.... Nie było już ani cienia oporu z jej strony, siła jej woli złamała się od razu w tem objęciu, pod wpływem wzroku ukochanego, pod wpływem jego głosu przejmującego uczuciem. Zamęt ogarniał jej myśl i duszę; krew uderzała do głowy, w skroniach młotem biły tętna.... a postać cała gięła się miękko, rozkosznie w ramionach królewica, który twarz swą tulił do jej twarzy płonącej gorączką i ustami szukał pocałunku na jej wpółotwartych ustach....

— Kochasz mię Halszko? — pytał szeptem namiętnym.... — odpowiedz mi.... odpowiedz!....

Nagle postać Halszki wyprostowała się sztywnie i zadrżała od stóp do głowy.... Wyrwała się z objęć królewica i wzrok przerażony utkwiała w podwoje komnaty sypialnej małżonka.

Ztamtąd ciche, boleśne, okropne ozwało się jęczenie....

— Nie dziś.... nie teraz.... nie w tym momencie!... — wyjąkała Halszka głosem lęku pełnym. — Miejcie litość królewicu nademną.... i nad nim!...

Z tą szybkością, z jaką twarz Jana Kazimierza zmieniać umiała swój wyraz, starły z niej słowa Halszki w jednym momencie wszelki ślad chwilowego zapału. Blask oczu przygasł, oblicze spochmurniało nagle, dolna ust wargę wydeła się dumnie. Puścił dłoń Halszki i nie odrzekłszy nic, skierował się sam ku drzwiom komnaty Kazanowskiego; otworzył je, wszedł i zbliżył się szybko ku łożu, na którem marszałek spoczywał bezwładnie.

Kazanowski otworzył oczy i długo patrzył w twarz królewica. Rzewny jakiś uśmiech przebiegł przez jego oblicze; z trudem podźwignął głowę i skłonił ją, jakby w kornem dziękczynieniu.

— Dziękuję — szepnął po chwili z trudnością — dziękuję... za łaskę... odwiedzin.... Chciałbym mówić z Królem Jegomością.... Trzeba koniecznie.... zwalczyć intrygi.... Może Bóg da sił...

Jan Kazimierz pochylony nad chorym, patrzył z rozrzewnieniem głębokiem na zmienne rysy marszałka i słuchał tych wyrazów, które drżące jego usta wyjąkały z trudem. Nie lubił on nigdy Kazanowskiego; dawniej zazdrościł mu miłości brata, okazywał mu też niejednokrotnie lekceważenie a zwał z pogardą zausznikiem królewskim. Miał wszakże to głębokie przekonanie, że nie było w całej Rzpltej wierniejszego królewskiemu domowi serca jak Kazanowskiego. Dla Władysława marszałek był gotów poświęcić wszystko i bronić go przeciw wszystkim, choćby przeciw królewicowi — ale po nim Jan Kazimierz był mu najbliższym. Jako wtajemniczony we wszystkie rodzinne sprawy, marszałek wiedział dobrze, że pomimo nieporozumień, jakie zachodziły między braćmi, Król Władysław serdecznie kochał Kazimierza i po śmierci syna, nie komu innemu, ale jemu koronę po sobie przeznaczał. O usposobieniu marszałka względem siebie wiedział też dobrze królewic i dla tego teraz z tem większym smutkiem przeczuwał blizki zgon tego, który mógł

mu być skuteczną pomocą i niezawodnym przyjacielem.

— Nie męcz się, mości marszałku, mówieniem — odrzekł też z rzewnem współczuciem na urywane Kazanowskiego słowa. — Da Bóg niebawem przyjdiesz do siebie a wówczas pomówimy o sprawach.... Tymczasem niech Bóg radzi i stanowi....

Kazanowski podniósł oczy ku niebu i dłonie złożył jak do modlitwy — ale za moment powieki znużone się zamknęły i marszałek wpadł znowu w senność bezwładną.

Jan Kazimierz dłuższą chwilę stał nad nim w myślach pogrążony, nie zwracając już całej uwagi na Halszkę, która wszedłszy w ślad za królewicem, zajęła miejsce przy małżonku. Naraz Jan Kazimierz podniósł głowę, wstrząsnął się jakby przemocą oderwać się chciał od myśli ponurych, które go opanowały, a widząc, że marszałek nieruchomo spoczywa, skłonił się przed Halszką i szybkim krokiem wyszedł z komnaty, dając znak ręką, aby go nie odprowadzano.

Halszka została sama przy łożu małżonka. Wczesny zmrok zimowego wieczora pogrążał wspaniałą komnatę niemal w ciemnościach. W ostatnich dnia błyskach, padających od okien olbrzymich, widniała postać Kazanowskiego wynędniała straszliwie, poruszająca

się od czasu do czasu gorączkowym drganiem. Na białych poduszkach złożona głowa, wydawała się martwą, z przymkniętymi powiekami, wpółotwartymi ustami, z siwiejącymi włosami, odrzuconymi w nieładzie z wysokiego czoła.

Zamęt, jaki przed chwilą ogarnął myśl i duszę Halszki, burza obudzona w jej sercu namiętnymi królewica słowami, uspokajając się zwolna zdawała a w tem uspokojeniu, w tej ciszy i mrokach zmierzchu, które ją teraz otaczały zwolna, oczy jej i myśli kierowały się ku schorzałej postaci małżonka.

Tyle lat — najpiękniejszych w życiu — przeżyła z tym człowiekiem, który umierał ciągle a dusza nie mogła się wydostać z wynędzniałego ciała.... Tyle lat przeszło jej marnie u boku tego żyjącego trupa....

W pierwszych czasach pożycia, rozpacz, wstręt i żal głęboki opanowały jej serce. Wśród wspaniałych uczt i bankietów, gdy oczy wszystkich ku niej skierowane, zdawały się jej zazdrościć monarszego przepychu, jakim otoczona była, ona, zmuszona uśmiechać się ustami, dławiała łkanie rozpacz w piersi, spragnionej życia i niedoznanych rozkoszy....

Na wieki pamiętną jej będzie ta chwila, gdy po godach weselnych przybywszy do Warszawy, stojąc na krużganku pałacu i to-

nać w smętnych dumaniach wśród ciszy letniej, pogodnej nocy, ujrzała obok siebie postać Kazanowskiego z wyciągniętymi ku niej miłośniczo ramionami.... Oczy jego paliły się gorączkowym blaskiem.... Aż nagle, twarz zbladła trupio, wzrok rozplomieniony przygasł i zasnuł się jakby mgłą śmierci.... z ust, zamiast szeptu miłości, wyszedł jęk zgłuszony a potem okropne chrapanie, ramiona opadły bezwładnie i Kazanowski runął na ziemię jak martwy....

Chwila ta okropna staje nieraz przed nią niezatartem wspomnieniem, widzi ją tak jasno w najdrobniejszych szczegółach, jakby to było wczoraj, a z tem wspomnieniem, najstraszniejszym w życiu, łączy się nierozdzielnie w jej myśli postać Władysława Sicińskiego, który wówczas nadbiegł na ratunek. Człowiek ten, dotychczas nieznany jej prawie dworzanin, ginący w tłumie innych, stał się odtąd najpoufalszym jej małżonka powiernikiem, dla niej zaś nierozwiązana, a przejmującą lękiem zagadką. Milczący, wierny, do usług gotowy, Siciński, wkradłszy się w zaufanie marszałka, patrzył na nią nieraz tak przenikliwym wzrokiem, jakby tajemnicy jej serca się domyślał.... Czego chciał od niej ten człowiek, o twarzy niezwykle pięknej a posępnej, o wzroku przejmującym a ciekawie i bacznie śledzącym wszy-



stko, w którym niejednokrotnie płowe jakieś, tłumione ale zuchwałe paliły się błyski?...

Halszka instynktem czuła, że zaufany powiernik marszałka śledzi ją bacznie, ale w jakim celu to czyni? w tem spoczywała zagadka, nie rozjaśniona dotąd. Oddalała go ona swą wyniosłością i dumą, odpowiadała zimną pogardą na jego zabiegi aby jej łaski pozyskać i znowu czuła instynktem, że pomiędzy nią a tym człowiekiem, pogarda jej i duma, cały szereg drobnych, codziennych upokorzeń, jakie on od niej znosić musiał i znosił z niewzruszonym spokojem, stworzyły nieokreślony a wszakże stały i niewzruszony łącznik.

Ona przeczuwając w nim zuchwalstwo wielkie i niemniejszą zdradliwość, broniła się od niego pogardą i wyniosłością, on zaś walczył, odpowiadając na to spokojem pozornym i kornem milczeniem, którem pokrywał burzę miotającą snadź sercem a objawiającą się w tłumionych błyskach spojrzenia.... Tak zmierzał do jakiegoś celu, niepojętego dla Halszki; ten bowiem jego spokój niewzruszony, ta wytrwałość pozostawania w służbie, która nie urzeczywistniała ambitnych nadziei pięknego młodzieńca, musiały mieć jakieś ważne, tajemne powody....

Dziwiła się Halszka sama sobie nieraz, że ją ten człowiek taką mimowolną przejmuje

obawą. Cóż jej szkodzić mogło, iż on zdawał się ją śledzić? Najbardziej niebezpieczne nawet i najbardziej podejrzliwe oko nie zdołałoby w jej postępowaniu dostrzedz nawet cienia zdrożnego a uczucia serca znać mógł tylko jeden Bóg!...

Życie jej całe było pasmem męczeńskich zaiste udręczeń. Od owej chwili, kiedy Halszka ujrzała małżonka w przystępie ciężkiej choroby, którą przed nią tajono, wstręt nieprzemierzony odepchnął ją od niego i odepchnął na zawsze. Widziała go jeszcze potem u stóp swoich tarzającego się w niemej boleści, słyszała jego słowa, któremi ją o przebaczenie błagał, że ją przykuł do siebie w złudnej nadziei, iż zdrowie odzyska, zbyt powolny głosowi miłości dla niej i namowom Króla-przyjaciela.... Ale te słowa i ta boleść i te łzy nie czyniły już na niej wrażenia. Zrazu jeszcze odczuwała chwilami litość, ale wstręt przemógł wreszcie wszystko i żal srogi opanował serce, żal do człowieka, który skrepiował jej młodość i stanął na drodze jej życia zawadą.

Wówczas to Halszka przywołała ku sobie rodzica i ukochanego brata Bogusława, którym nie nie tając, odkryła nędzę swego pożycia i o ratunek, o rozerwanie tego związku błagała ze łzami. Ale rodzic zarówno jak

i Bogusław, jakkolwiek odczuwali jej niedolę, ratunku nie widzieli żadnego. Rozerwać ten związek, skojarzony za wolą królewską, wyzwać przeciw sobie gniew Króla i możnej Kazanowskich rodziny, zdawało się panu wojewodzie rzeczą nad wyraz niebezpieczną; przekonania zaś jego o świętości złożonej u ołtarza przysięgi, nie dozwalały popierać myśli rozdziału, który też nieskalanemu imieniu Słuszków mógł przynieść uszczerbek.

Ze łzami przeto ale stanowczo odpowiedział wojewoda na skargi córki, jako wszelką niedolę z dopuszczenia Pańskiego przyjmować należy z korną rezygnacją.

— Żali dla tego — mówił pan Słuszka — iż Kazanowski dotknięty jest ciężką chorobą, że przeto jest nieszczęśliwym, żali dla tego małżonka jego mogłaby mu nie dotrzymać uczy-nionej przysięgi i nie być mu wierną aż do śmierci, jako przyrzekła przed Bogiem? W rodzie naszym bogobojność niewiast przechodziła z pokolenia na pokolenie.... nie było nigdy ani waśni, ani rozdziałów małżeńskich. Każda z niewiast w rodzie naszym schodziła do grobu z obrączką ślubną bez najmniejszej skazy.... A jakóżby stać się mogło, aby córka moja, owym przekazanym przykładom stała się niewierną?...

Daremne były łzy i błagania Halszki.... Rodzie rozrzewniał się czasem serdecznie, ale z ust jego płynęły stanowcze słowa....

— Chyba po śmierci mojej! — zawołał wreszcie — gdy Halszka głos podnosić zaczęła w obronie całej swej przyszłości.

W tej walce, która kilka dni trwała, a w której Halszka nawet w ukochanym bracie spodziewanej nie znalazła pomocy, wypłakała ona wszystkie łzy swoje i pożegnała ostatnie nadzieje....

— Pomnijcie ojcie — rzekła wreszcie głosem, w którym brzmiał żal srogi — pomnijcie, jako nie za moją, ale za waszą wolą związek ten skojarzony został.... Broniałam się przeciw niemu jak mogłam.... Ano, teraz, gdy wobec spełnionej niedoli, nie chcecie jeszcze podać mi ręki pomocnej, za wszystko co w przyszłości nastąpić może, wy, ojcie, odpowiadać będziecie przed Bogiem....

Pan wojewoda mimowolnie zadrżał na te słowa, ale wnet uspokoił się myślą, jako obowiązek swój spełnia, stając w obronie małżeńskiego związku i godności domu.

— Nie czynię ja nic — odrzekł — za cobym się kary bożej obawiać miał.... widzę jeno, jako każdy z żyjących obowiązek ma do spełnienia cięższy lub lżejszy, ale go wykonać bez wahania powinien....

Żegnając się z Halszką rozczulił się pan wojewoda wielce; łzy płynęły strumieniem po jego licach, gdy błogosławił ją a pobożnymi słowy umacniał jej serce.

— Niedola w żywocie doczesnym — mówił — stanie się wiekuistą szczęśliwością w niebiesiech.... Tam tedy spoglądajmy, znosząc krzyż żywota....

Halszka suchemi już oczyma patrzyła na łzy rodzica; z kamiennym spokojem słuchała pożegnalnych słów jego — czasem jeno na usta wybiegał uśmiech dziwny, niezwykły, który się zdawał goręczy pełen czy szyderstwa....

Pan wojewoda ujął w objęcia ukochaną córkę; długo ścisnął ją a całował płacząc.

— Biedne.... biedne dziecko! — szeptał.

Ale słów wyrzeczonych nie cofnął i pozostawił Halszkę zimną i sztywną, jakby odrętwiałą, patrzącą przed siebie szklanemi oczyma z wyrazem goręczy na uśmiech i kamiennego spokoju na zbladłym obliczu.

Odtąd spokój ten nie odstąpił jej ani na chwilę. Zdawaćby się było mogło na pozór, że po gwałtownem wzburzeniu, serce jej czuć na zawsze przestało, i że Halszka przyjęła dalsze życie w tych warunkach, stanowczo i z rezygnacją zupełną. Jakiem było jej z panem Kazanowskim pożycie o tem na pewno

nikt wiedzieć nie mógł: na pozór zdawało się zgodnem, a może jeden tylko Siciński dostrzegał czasem burzę rozpaczy, która szalała chwilami w sercu Halszki, dostrzegał wyraz smutku bez nadziei w przygasłym wzroku marszałka. Kazanowski kochał Halszkę do szaleństwa, był dla niej niezmiennie dobrym, łagodnym a nieśmiałym jak dziecko, korzył się przed nią jak niewolnik, gotów przeproszać na klęczkach za to, że był tak nieszczęśliwym....

Ale ona wszelkie zwierzenia, wszelką czulszą z małżonkiem rozmowę, strzymywała kamienną swą obojętnością i chłodem.

— Jeżeli jeno chcecie — rzekła raz do marszałka stanowczo — abym zniosła cierpliwie to życie, to nigdy, ani jednym słowem nie poruszajcie mi serca.... pozwólcie mu zapomnieć, przebaczyć.... zamrzeć.

I popłynęło tak życie, dzień za dniem, jednostajnie i cicho, że samej Halszce zdawało się czasem, iż serce w niej już zamarło...

Ale nie! serce to było zawsze żywo, tętniła w niem krew ognista, która płomienistą lawą rozpływała się po żyłach....

A gdy w czas nocy bezsennych, Halszka spoglądała w mroczną przestrzeń swej wspa-  
niałej komnaty, to zdawało się jej nieraz, że

wśród tej ciszy ponurej, która zalegała dokoła, dobywają się szmery jakieś tajemnicze i szepty, powtarzające jej niegdyś słyszane wyrazy.... To znów zdawało się jej, że z poza kolumn marmurowych, które dzieliły komnatę, występuje z mroków wyniosła, piękna a harda postać o twarzy bladej, ciemnej, z ognistemi oczyma i dolną ust wargą dumnie wyrzuconą. I zdawało się jej znowu, że w olbrzymich zwierciadłach odbija się w jasnych promieniach światła, jakby w aureoli, postać ta sama, uśmiechająca się ku niej i ku niej wyciągająca ramiona....

Ale z czasem i to widzenie, poruszające sercem Halszki rozkosznie, zasnuwało się mgłą i bladło.... Coraz boleśniejsze dochodziły ją wieści o królewicu, którego widywała jeno w rzadkich momentach chmurnym, roztargnionym, unikającym jej wzroku, jak pokuszenia....

I zaczął się dla Halszki czas najboleśniejszej walki.... Wszystkie marzenia, które przeszłość i terażniejszość samotna, gromadziły w jej sercu, wszystko to okazywało się uludą.... nawet wspomnień należało się wyrzec, bo ten, który był ich głównym, jedynym przedmiotem, sam burzył je wszystkie. Zrazu załzawionem, a potem suchem, gorączkowo rozplamienionem okiem, śledziła Halszka koleje losu królewica; myślą stęsknioną towarzyszy-



ła mu w jego wędrówkach, zamykała się w jego celi więziennej, współczuła z jego niedolą i upokorzeniem. Ale i myśl cofnęła się strwożona, gdy Jan Kazimierz przybrał habit zakonny.... Goryczą i szyderstwem zapłynęło później serce, gdy doniesiono, że królewic zapragnął kardynalskiej purpury a potem że i to rzuca, pociągnięty napowrót do kraju nadzieją panowania po bracie, gdy jedyny syn Władysława umarł....

Podczas tej długiej walki, pustki jej serca i goryczy duszy nie rozpraszało nic.... Nadarmo Halszka rzucała się chwilami w odmetwaśni dworskich i knowań, do których przynaglała małżonka, bawiąc się widokiem jego zapasów z kanclerzem Ossolińskim, nadarmo otaczała się przepychem monarszym, wrzawą uczt i balów wspaniałych, nadarmo brzmiał dokoła niej głośny szmer uwielbień, hołdów i wyznań.... Otoczona tłumami wielbicieli, piękna i wspaniała jak królowa, ona słuchała nie słysząc, z uśmiechem lekceważenia na uściech; jednakiem zawsze, obojętnem i zimnem spojrzeniem obejmując cały ten świat strojny, bogaty, lśniący, który ją otaczał.

A kiedy wreszcie wrzawa wspaniałej uczty scichła i Halszka wracała do swojej komnaty, kędy tysiące światel odbijało się w olbrzymich zwierciadłach, rzucając oślepia-

jące blaski na marmury, mozaiki, makaty i złotogłowia, i gdy ujrzała przed sobą własne swe odbicie wśród tego monarszego przepychu, to dziwne jakieś uczucie grozy przenikało jej serce, bo zdawało się jej, jako jest sama posągiem nieżywym, pośród tych zimnych marmurów, albo jak owe świecidła kosztowne rozrzucone dokoła, martwo leżącym klejnotem....

I była pewną, że głos serca nie odezwie się w niej już nigdy....

Aż oto nagle, znów ta sama postać wyniosła, o twarzy bladej i ciemnej a oczach iskrzących się namiętnie, która zdawała się już niknąć w dalekiej, niepowrotnej przeszłości, wynurzyła się z mgły szarej, która jej życie skrywała.... Królewic powrócił a spotkawszy się z Halszką, dawnem zdawał się rozplomieniać uczuciem. A uczucie to snadź było gwałtowniejszem, bardziej niecierpliwem i wymagającym stokroć więcej. Od pewnego czasu przychodziły ciągle od królewica listy gorące a namiętne i poselstwa natarczywie domagające się rozmowy. Halszka na listy nie dawała responsu, a na prośby odpowiadała stanowczą odmową. Ale teraz czuła, iż serce jej znów bije gwałtownie.... nie przypuszczała jednak, iżby zabrakło jej kiedykolwiek siły do stłumienia budzących się pra-

gnień i uczuć. Nie przypuszczała!... aż dziś, nagle, ogarnął ją płomień tryskający z roziskrzonych oczu królowica i rzucił ją w jego objęcia niemal bez walki, pozbawioną woli i siły oporu....

Halszka wzdrygnęła się cała... Białą dłonią przesunęła po czole, jakby odpędzić pragnęła snujące się widziadła i myśli, a powstawszy i zbliżywszy się do łoża małżonka, stanęła tuż nad niem....

Mrok już zupełny zapadł... Do komnaty wniesiono przed chwilą świeczniki, które gęstemi osłonami przyćmione, niepewne jeno blaski rzucały na postać i oblicze chorego marszałka. Halszka wpatrywała się długo w te rysy ponure a wynędzniałe straszliwie, które nawet w tem martwym uśpieniu, w jakim marszałek pogrążony się zdawał, nie wyrażały spokoju. Targały je jakieś drgania kurczowe, szarpał i krzywił ból wewnętrzny.... z ust pół otwartych dobywał się oddech ciężki, chrypliwy....

Niewypowiedziane uczucie żalu ścisnęło nagle serce Halszki. Zapomniała na chwilę o swej niedoli i o tem, że ten człowiek główną jej był przyczyną a ogarnęła ją myśl, iż on ją tak czule, tak kornie i tak wiernie przez lat tyle kochał. Dla siebie nie wymagał nic, dla niej uczynić gotów był wszystko.

W pośród tego świata, który ją otaczał zazdrością lub samolubnemi uczuciami, na opiekę i przywiązanie tego jednego człowieka, do wszelkich dla niej gotowego poświęceń, liczyć mogła zawsze i w każdym momencie.... Gdyby umarł, otoczyła by ją wielka pustka.... uczułyby się wolną, ale zarazem wielce samotną; spadłyby wprawdzie te więzy, które ją krępowały lat tyle, ale do nich nagięło się już całe życie Halszki, oswoiły się z niemi myśl i serce. Któż wie zresztą, na co by się jej teraz przydała wolność odzyskana tak późno? Kto wie, czy nie stała by się powodem nowych klęsk i nowej niedoli, do zwalczania której ona nie miałaby już dawnych sił młodzieńczych....

Jakieś przeczucie złowrogie wstrząsnęło nią nagle. Wszak nawet dziś, przed chwilą, gdy w objęciach królewica straciła tak niespodziewanie całą swą przytomność i siłę woli — nawet dziś, ten umierający człowiek mimowiednie ją ocalił. Jeden jęk jego bolesny obudził ją do rzeczywistości, przywiódł na pamięć obowiązki i godność niewieścia.... Cóżby się z nią stać mogło, gdyby umarł ten jej opiekun czuły, który odgadywał wszystkie, najmniejsze jej zachcenia, spełniał wszystkie jej myśli a w każdym wypadku byłby gorliwym obrońcą? Cóżby się z nią stać

mogło, zwłaszcza teraz, w obec uczucia dla królewna, które znowu z podwójną gwałtownością ogarniało jej serce, a kto wie, na jakie niebezpieczeństwa, klęski i udręczenia narazić miało?

Pan Kazanowski odetchnął w tej chwili z pełnej piersi, drgnął na całym ciele i oczy wielkie, zdziwione otworzył. Ujrzał pochyloną nad sobą postać ukochanej małżonki, patrzył na twarz jej wyrażającą w tym momencie rzeczywne współczucie i zdawało mu się zrazu, że to jest złudzenie senne. Patrzył długo, bezmownie na nią z coraz większem zdziwieniem: usta poruszały się jakby przemówić pragnęły, pierś wznosiła się przyspieszonym oddechem a oczy traciły wyraz martwej obojętności.... Zsuwała się z nich zwolna mgła szara omdlenia, zdawały się rozpromieniać życiem; na usta wybiegł uśmiech rzewny, smutny a miłości pełen.... Drżące ramiona wyciągnął marszałek ku pochylonej nad nim postaci.

— Ty żeś to, Halszko?... — wyszeptał.

A ona pochyliła się jeszcze bardziej, jakby w rozjaśnione oblicze małżonka spojrzeć nie śmiała; pomieszana dziwnie, zdumiona tem współczuciem, jakie ją opanowało....

— Życie mi wracasz — szeptały usta Kazanowskiego, — wzrok twój i obecność cudem przebudziły mię ze snu martwego.... przed

chwilą nie czułem nic, prócz bólu i zgnębienia... Sen był ciężki, duszący jak zmora.... A teraz mi tak dobrze, tak słodko, tak rozkosznie przy tobie!... O bo ty nie wiesz, Halszko!...

Marszałek się strzymał. Głos cichy, urywany, zaszedł łkaniem i złamał się w piersi. Ona ciągle w jednej postawie słuchała słów tych z nieopisanem uczuciem....

Tak! wiedziała ona o tem dobrze, że była panią życia i śmierci tego człowieka. Jedno jej słowo byłoby mu może niegdyś powróciło zdrowie; jedno jej słowo mogłoby i w tym momencie ocalić go od śmierci. Ale ona tego słowa wypowiedzieć nie zdołała i nie zdoła nigdy: kłamać nie umie, kłamać nie potrafi....

A Kazanowski ujmując zimną dłoń Halszki, mówił dalej głosem, który cichą, stłumioną skargą wydobywał się z piersi...

— Ty nie wiesz, Halszko — szeptał, — ile udręczeń srogich przebyłem. Cierpiałem sam i cierpiałem za ciebie, taką młodą i taką piękną a tak nieszczęśliwą.... Byłbym chętnie ostatnie lata życia mego poświęcił, aby ci wrócić wolność, którą ci niebacznie wziąłem; byłbym ochotnie sroższe jeszcze przyjął na siebie męczarnie, aby ci dać choć jedną chwilę szczęścia....

— Nie mówcie tak... nie mówcie!... — przerwała Halszka, poruszona do głębi duszy.... Nogi zatrzęśły się pod nią; zdawało się jej, że upadnie na kolana przed małżonkiem, rozplynie się we łzach i wyzna mu wszystko.... Wyzna, że sercem jej od lat dawnych porusza namiętność gwałtowna; wyzna, że myślą i uczuciem była mu stokroć niewierną, że przed chwilą jeszcze, podczas gdy on cierpiał i jęczał samotny, ona zapomniała o świecie całym w objęciu ukochanego.... Pragnęła mówić, a tą spowiedzią oczyścić się z grzechów myśli i występnych poruszeń serca — ale z piersi głosu wydobyć nie mogła.... Pochyliła głowę jeszcze bardziej.... ustami dotykała niemal wychudzonej dłoni małżonka, która w uściśnieniu serdecznem rękę jej trzymała. Teraz, w tym momencie rozrzewniona jej dusza przysięgała uroczyście, że zostanie mu wierną, bądź co bądź, i że ostatnie chwile jego życia osłodzi czułością i siostrzanem współczuciem.

Kazanowski zaś znów mówił po chwili:

— Pozwól mi, Halszko.... pozwól mi przynajmniej teraz, gdy już nie lata, ale czuję, jako dni życia mego są porachowane, wypowiedzieć to, co mi duszę przygniata. Za ofiarę twego życia, młodości twej i uczuć, nie mam, czem bym ci odpłacił.... W sobkowstwie mem, pragnąłem cię mieć przy sobie, na ciebie pa-



trzeć ciągle i przykułem cię do siebie nie star-  
ganemi więzy na tyle lat niedoli.... Miałem  
nieraz nadzieję, że to się rychlej skończy...  
w ciele mem, szarpanem chorobą, czułem tak  
mało życia, iż zdawało mi się, że ono wrychle  
uleci.... A wówczas nie zrobiłbym ci ciężkiej  
krzywdy.... zostałabyś wdową w zaraniu mło-  
dości, a najpierwszą panią w Rzeczypospolitej...  
Stało się inaczej — Bóg chciał, abym ten nę-  
dzny żywot mój ciągnął się długo, jak kajdany  
za mną i za tobą.... Przebacz mi.... jam temu  
nie winien!...

Jęk głuchy, bolesny, ozwał się w piersi  
marszałka i przerwał mu mowę.... Usta Hal-  
szki dotknęły dłoni jego i wycisnęły na niej  
pocałunek, z oczu trysnęły łzy, zlewając dłoń  
tę gorącym strumieniem....

Kazanowski drgnął cały i oczy zawarł...  
oddech przyspieszony poruszał mu pierś gwał-  
townie....

— Przebacz.... przebacz!... — szeptał.

— Ja wam przebaczyć? — wyjąkała  
Halszka — to wy mnie raczej....

Marszałek poruszył się, zbierając sił  
ostatki:

— Nie! — przerwał z mocą — ja ci nie  
do przebaczenia nie mam.... Sił mi brak....  
tchu w piersiach nie staje, a pragnąłbym  
tyle powiedzieć ci rzeczy!... chcę przede-

wszystkiem, abyś wiedziała, że ostatnią wolą moją jest, abyś ty, któraś była panią wszystkich uczuć mych i myśli, była też panią wszystkiego, co po mnie pozostanie na świecie....

Halszka podniosła głowę i przerwać chciała, ale Kazanowski błagalnie dłoń wyciągając:

— Dozwól mi to rzec!... — wyszeptał i dźwignął się nieco na łożu. — Żądałaś ode mnie, abym nigdy ani jednym słowem nie wspomniał o tem, co w sercu mam i myśli.... Milczałem przez lat tyle, — ale oto kończy się ten mój żywot mizerny.... żali i teraz jeszcze nie dozwolisz mi powiedzieć, że nie było ani jednego momentu w ciągu tego życia, w którym bym o tobie nie myślał, nie było ani jednego uderzenia serca, któreby tobie, Halszko, było obcem? Żyłem jeno tobą, bo mi nie było wolno żyć dla ciebie.... bo ja cię nad wszystko.... nad wszystko miłuję!..

Na te słowa dreszcz przerażenia przebiegł Halszkę od stóp do głowy. Podniosła głowę i wyprostowała się nagle, jak struna. Kazanowski trupio blady, otwartemi szeroko oczyma patrzył na nią sztywnie a rzucał się teraz jak w malignie. Jedną ręką cisnął gwałtownie dłoń Halszki a drugie ramię wyprężał

przed siebie, jakby stojącą przed nim postać objąć chciał.

Nieopisane uczucie ogarnęło w tym momencie serce zalęknionej niewiasty. Ten trup żyjący, który przed chwilą jeno współczucie obudzał, teraz ze słowem miłości na ustach, w tem uniesieniu namiętnem, wydał się jej ohydny. Jeszcze w jej duszy nie ścichło echo innego głosu, jeszcze nie znikło wrażenie innego objęcia i uścisku, a oto zdętwiałe usta konającego powtarzały jej te same słowa, dłoń jego zimna, koścista ścisnęła jej rękę jak obręczą żelazną, a ramię wyciągało się ku niej, jakby w ostatniemu wysileniu uciekającego życia.... I teraz słyszała uderzenia serca, — ale to serce kołatało się z głuchym chrzęstem w rozbitej piersi, za każdym tętnem wywołując z niej jęk chrypliwy.

W bezwiednem uczuciu wstrętu, Halszka cofnęła się nagle i rękę swą wyrwała gwałtownie z Kazanowskiego dłoni. Ślad wszelkiego rozrzewnienia znikł z jej twarzy zbladłej nagle, usta zacisnęły się kurczowo, oczy zapaliły ogniem. Ponad wszystkimi uczuciami, jakie walczyły z sobą w jej duszy, zapanało oburzenie. Człowiek, który całe życie wstrętem ją przejmował, považał się jeszcze teraz, gdy już konać się zdawał, považał się słowami miłości kazić w jej sercu najdroższe

wspomnienia, jakby chciał zatrzeć słodkie wrażenie ostatniej rozmowy z królewicem, i na miejscu jego smukłej, silnej, męskiej postaci, pozostawić w jej pamięci swoją, wynędzniałą, drętwiejącą w uścisku śmierci....

W jednym mgnieniu oka cała nędza jej żywota i niepowrotna utrata tylu lat pierwszej młodości, uosobiona w tej schorzałej postaci, poruszającej się w gorączkowych drganiach, stanęła jej przed oczyma.

— „To twój morderca, wróg twój najcięższy ten człowiek!“ — szeptał jej teraz głos jakiś w duszy. — „To ten, który zabrał ci najcenniejszy skarb życia: młodość pierwszą i wszystkie rozkosze uczuć młodzieńczego serca, który cię przykuł do siebie w samolubnem zachceniu, a teraz chce ci płacić skarbami swojej fortuny!...“

Wyraz twarzy Halszki musiał w tym momencie odbijać wyraźnie te uczucia duszy, bo oczy Kazanowskiego, patrzące na nią długo rozszerzoną źrenicą, gasnąć w rychłe i przymykać się poczęły. Ramiona opadły bezwładnie.... głowa zsunęła się na poduszki....

Halszka rzuciła się spiesźnie ku drzwiom, rozsunała szybko osłaniającą je kotarę, i znikła, nie widząc już, jak ręce Kazanowskiego drżące, wyciągnęły się ku niej błagalnie a oczy szukały dokoła, wśród mroków zalegających ko-

mną, tej cudownej postaci, która pierzchnęła jak senne marzenie....

Halszka nieprzytomna prawie wychodziła z komnaty, gdy stanąwszy u progu, omal nie krzyknęła.

Przed nią stał Władysław Siciński z szyderskim uśmiechem na ustach. Dostrzegł on wielkie pomieszanie na jej obliczu, dostrzegł jak ujrzawszy go wzdrygnęła się i cofnęła z trwogą i wstrętem. Cała krew uderzyła mu do głowy. O, z jakąż rozkoszą na ten objaw wstrętu z jej strony, odpowiedziałby słowem nienawiści, które mu drżało na ustach! Z jakąż rozkoszą odpowiedziałby jej na pogardę, zemstą, którą dzierżył już niemal w rękę, ale na dokonanie której, izby się zupełną stała, czekać jeszcze musiał.

Przelotny błysk gniewu wzrok mu rozjaśnił na moment, lecz w rychle Siciński skłonił głowę i rzekł niemal kornie, z cicha, jakby chcąc tłómaczyć się ze swej obecności w tem miejscu:

— Z pozwolenia królewskiego a za zezwoleniem jw. marszałka, wyjeżdżam jutro w podróż daleką.... chciałbym attencyę moją dziś jeszcze jw. marszałkowi złożyć — i oczekiwałem....

— Możesz wejść wacpan — odrzekła krótko Kazanowska, ochłonawszy już z pierwszego wrażenia. — Pan marszałek chory

mocno, ale dla waści drzwi jego pono zawždy otworem....

— Najłaskawszy to mój dobroczyńca.... — przemówił Władysław głosem, któremu umiejętnie nadać umiał brzmienie tkliwszego uczucia, — najłaskawszy to mój dobroczyńca — powtórzył, spoglądając z pod oka na Halszkę, — i to mi serce niewymownym smutkiem przenika, iż odjeżdżać muszę w momencie, gdy pan mój ciężko chory jest....

Kazanowska już odejść chciała, ale Siciński strzymał ją słowy:

— W takiej chorobie każde wzruszenie, jak mi lekarz mówił, zabójcze być może, a oto do wzruszeń nie brak powodów....

— Powodów? Jakich powodów?... — spytała Halszka a serce jej mimowolnie ścisnęło się złowrogiem przeczuciem. Siciński przemawiał dziwnym dziś głosem, spozierał na nią ukradkiem a szydersko.

— Ano — odparł spokojnie — choroba królewska, ukraiinne sprawy, to są najważniejsze przyczyny.... ale i w domu.... obok niego....

— Co? — zagadnęła znów Halszka, czując, że jej serce truchleje i obumiera w piersi. Widocznie Siciński dojrzeć lub dosłyszeć coś musiał.

— Nie śmiem mu rzec.... — kończył Władysław zawsze jednostajnie spokojnym głosem — a lękam się, aby w czasie mej nieobecności przez kogo innego do uszu jego nie doszło, jako tu w pałacu, knują się pono intrygi....

— Intrygi! — zawołała Kazanowska — co też wacpan gadasz — i jakież to mogą być intrygi?

— Przeciw panu marszałkowi, a może też przeciw Waszej Miłości — to pewna, jako są, a celem ich niezawodnie rzucenie podejrzeń krzywdzących na dom ten, w którym dotąd jeno cnota i spokój mieszkały.

Kazanowska coraz bardziej zdziwiona słuchała, pojąć zrazu nie mogąc do czego Siciński zmierza.

— Mów wacpan wyraźniej — rzekła — a cóż się tu stało, aby spokój wygnać i cnotę skazić?...

— Wiadomo już jw. pani — odparł Władysław — jako pan marszałek obyczajności na swym dworze przestrzega i jako pod tym względem surowym jest. Od pewnego zaś czasu, widzę jako niektórzy z choroby p. marszałka korzystając, nie szanują progów tego domu.... Znany z zalotności swej imép. Tyzenhauz....



Na brzmienie tego nazwiska Halszka zdrżała i zbladła a Siciński się strzymał, badawcze spojrzenie utkwivszy w jej obliczu.

— Pan Tyzenhauz — kończył zwolna — codziennie niemal tu zachodzi, o rozmaitych godzinach, zwłaszcza zaś o zmierzchu; on, i drugi królewicowski dworzanin, Sokołem zwany, wkradają się tu, trudno dociec jakim sposobem, a trudno też wiedzieć na pewno, w jakich zamiarach. Jest-li to może jaka polityczna intryga, którą przeciw panu memu, na korzyść Ossolińskiego kanclerza, knują, lub też około fraucymeru zabiegi zalotne? W każdym razie spenetrować to należy i gdyby nie choroba pana marszałka, byłbym mu to już dziś odkrył, zwłaszcza że odjeżdżać muszę...

— Nie mów waś ani słowa! — zawołała Halszka zdzierżyć się nie mogąc. — Obyczajność niewiast moich, to sprawa moja własna, do której nikt mieszać się niema, — żadnych zaś innych intryg lub knowań, które wacpan politycznemi zwiesz, być tu nie może, ile że pan kanclerz już w zgodzie z nami, a zresztą, cóżby tu wysledzić zdołał?...

— Kto wie?... — przerwał Siciński. — Zresztą obowiązkiem jest wiernego sługi...

— Obowiązek ten już spełniłeś wacpan, mówiąc mi o tem — rzekła Halszka, — będę miała na to baczne oko i zabiegi pana Tyzen-

hauza, jeśli jeno zdrożne są, powstrzymać zdolam. Wacpan zaś — dodała z mocą, głowę wznosząc do góry i gotując się do odejścia — zachowaj o tem milczenie.... obliguję o to wacpana, nie chciałabym bowiem, aby na moje niewiasty, jakiekolwiek a pewnie niesłuszne podejrzenie paść mogło....

— Podejrzenia już są — dorzucił Siciński, — wśród dworzan chodzą różne o tem wieści, które, gdybym nawet milczał, do uszu p. marszałka dojść mogą. Należałoby to co rychlej ukrócić....

— Uczynię to, bądź waść pewien! — odparła Halszka, odchodząc spiesźnie, czuła bowiem, iż oburzenia swego, jakie słowa Władysława w niej wywołały, dłużej ukryć nie potrafi. W słowach tych mimowolnie prze-czuwała złośliwą intencję. Była teraz niemal pewną, iż ten człowiek, którego lękała się zawsze, domyśla się czegoś, że ma pewne ślady i że zbliża się moment stanowczej z nim walki. Kto mógł wiedzieć, jaki on użytek ze swych podejrzeń uczynić zamierza? Jakich środków użyje, aby się pomścić za pogardę okazywaną mu przez lat tyle?...

Z szyderskim uśmiechem na ustach, patrzył Siciński za odchodzącą Halszką:

— Odjeżdżać muszę — szeptał przez zacisnięte usta — ale zostawiam ci trwogę

w sercu, obawę podejrzeń, aby cię strzegła zanim powrócę....

I wszedł do komnaty marszałka.

Tymczasem Halszka szła a raczej jakby uciekała ku swoim komnatom, w nieopisanem pomieszczeniu. Serce jej biło gwałtownie, głowa pękała z bólu, lęk jakiś niewytłómaczony ogarniał.

Weszła w długi korytarz, który wiódł do jej komnaty. Ciemno tu było zupełnie; światła jakby umyślnie pogasły.... Przerażonej Halszce zdało się nagle, że wśród ogarniających ją cieniów, dostrzega jakieś postacie, które się poruszają z cicha; zdało się jej, iż słyszy szepty stłumione....

Aby co rychlej się wydostać z tego korytarza, który ją swą ponurą ciemnością przerażał, Halszka rzuciła się spieszenie w drzwi boczne, które wiodły ku wielkiej altanie, kryształową zwanej, kędy urządzone był w porze zimowej ogród z najcudniejszych i najrzadszych krzewów, roślin a pachnących kwiatów, które woń upajającą rozaczały dokoła. Tu nieraz przychodziła Halszka wieczorem, słodkim oddawać się marzeniom; tu najdłużej przez dach szklany dochodziły dnia blaski, a kryształowe ściany dawały rozległy widok na dalekie pola i lasy i na bliższe dworki przedmieścia. Tu dochodziły odbłaski świa-

też z mieszkań sąsiednich i widać było snujących się ludzi, tu marzyć było można swobodnie a uczucie samotności nie tak gnębiło jak w murach komnaty.

Wszedłszy tu, Halszka odetchnęła wolniej. Miła woń kwiatów i rozkoszne ciepło panujące w tej altanie, oddziaływały uspokajająco na jej wzburzenie. W półzmroku rysowały się wyraźnie wyniosłe gałęzie roślin i krzewów, a w górze ponad niemi widać było niebo zasnuwane lekkimi, białymi chmurami jak mgłą przejrzystą, przez którą przebierały gdzieś gwiazdy. Było tu tak, jak gdyby w ciepły wieczór letni.

Halszka chłonąc pół otwartemi usty upajającą woń kwiatów, szła zwolna, nie podnosząc głowy. Błogie uczucie ogarnęło ją nagle.

— Tu zostanę — myślała, — tu dam spoczynek myśli wzburzonej i strudzonemu sercu.

Naraz zadrżała znowu. Znowu zdało się jej, a tym razem wyraźniej, iż słyszy szepty jakieś a wśród gałęzi krzewów dostrzega ludzkie postacie.... Strzymała się przerażona. Drżącą ręką potarła czoło, jakby odpędzić pragnęła przerażającą ułudę.... Przymknęła oczy i cisnąc obu rękami gwałtownie bijące serce, czekała....

Ciche, stłumione kroki ozwały się teraz wyraźnie. Halszka otworzyła oczy.... usta

otwarła, aby krzyknąć, ale głosu z piersi wydobyć nie zdołała; pot zimny wystąpił na czoło....

Przed nią stała wyniosła, wspaniała postać królewica, — oczy jego paliły się w ciemnościach nadzwyczajnym blaskiem....

Wyszedłszy z komnaty marszałka, Jan Kazimierz spotkał czekającego nań w anty-kamerze Tyzenhauza. Poruszony do głębi rozmową swą z Halszką, królewic ucieszył się wielce widokiem zaufanego dworzanina. Pragnął on raz jeszcze z ust jego usłyszeć relację z ostatniego poselstwa do marszałkowej, która widocznie bronić się usiłowała przeciw ogarniającemu ją uczuciu. Natychmiast też opowiadać mu kazał i każde słowo Halszki powtarzać. Nie opuszczając pałacu, weszli tedy w ciemny korytarz, a Tyzenhauz, dobrze świadom miejscowości, wprowadził królewica do owej altany. Było tu tak rozkosznie, że królewic zapragnął dłużej pozostać wpośród tej woni upajającej i ciepła. Nie słuchając już słów dworzanina, stał długo, patrząc przez kryształowe ściany na niknącą w zmierzchu wieczornym daleką okolicę i tonącą w marzeniach....

Zupełna cisza zaległa. Tyzenhauz milczał a Jan Kazimierz z okiem w dal wpatrzonem, stał nieporuszenie, przechodząc w my-

śli wszystkie przejścia dnia tego, który się kończył w szarym mroku nocy.

Nagle wstrząsł się cały. Podwoje od altany stuknęły i dał się słyszeć stłumiony odgłos kroków. Królewic zwrócił się szybko i chwytając Tyzenhauza za rękę:

— Idźmy! — szepnął.

Nie chciał, aby go tu widziano, błędzącego w altanie i korytarzach pałacu, co by mogło Bóg wie jakie podejrzenia wzniecić. Posunął się tedy spieszenie ku wyjściu, lecz wnet znów przystanął — i zaledwie okrzyk zdziwienia potłumić zdołał.

O kilka kroków od siebie ujrzał Halszkę. Rysów jej twarzy dostrzedz nie mógł, ale smukłą jej postać widział wyraźnie, widział jak wsparta o ścianę stała bez ruchu, z oczyma utkwionemi w dal, jakby w pomieszeniu lub przerażeniu wielkiem, niezdolna ani się cofnąć, ani iść naprzód.

Królewic chwilę się wahał. Serce biło mu gwałtownie, krew uderzyła do głowy. Zwrócił się ku Tyzenhauzowi, ale ten już zniknął. W chwili gdy królewic parę kroków naprzód postąpił, przebiegły a usłużny dworzanin przemknął się chyłkiem wśród gałęzi krzewów i niepostrzeżenie opuścił altanę.

Pozostali więc sami wśród mroków, upojeni wonią roślin, przesycającą ciepłe po-

wietrze, pomieszani tem nagłem, nieprzewidzianem spotkaniem, a z każdą ubiegającą chwilą, tracący siłę panowania nad sobą.

Halszce zdawało się, że wszystka krew zbiega jej do serca, to znów uderza całą siłą do głowy, napęlniając ją szumem; czuła, że siły i przytomność zupełnie ją opuszczają, że traci świadomość tego, gdzie się znajduje i co się z nią dzieje.... Przymknęła oczy, a usta wpółotwarła, jakby chciała o ratunek wołać. Ale głos wydobyć się nie mógł z uciśnionej piersi.... Dziwne, nieokreślone uczucie ogarnęło ją całą. Nogi się pod nią zachwiały i byłaby upadła — lecz w tymże momencie silne ramiona królewica pochwyciły ją w objęcia i uniosły — a półotwarte usta zamknął pocałunek....

---



## XV.

Krokiem chwiejnym, zwolna, z głową na piersi spuszczoną, drżąc za każdym szelestem, odgłosem własnych przerażając się kroków, wracała Halszka tej nocy do swojej komnaty. Otworzyła podwoje i cofnęła się z progu, bo oczy jej, nawykłe do mroków, nie mogły zrazu znieść tej światłości, jaka tam panowała.

W oddali, w wielkiem zwierciadle odbijała się cała przestrzeń wspaniałej komnaty, przedłużając się w nieskończoność. A ku tej nieskończonej w odbiciu otchłani, pełnej blasku i skarbów, zdawały się wzywać i prowadzić dwa szczorozłote posągi, dwie postacie aniołów, stojące u boków zwierciadła a dźwigające w podniesionych dłoniach olbrzymie świeczniki. Jarzące świece dopalały się już prawie a воск topniejąc padał z cichym szmerem na marmur posadzki. — Od kolumn wysokich snuły się wielkie cienie, poruszając się za każdym drgnieniem migocącego świec płomienia i niknąc w oddali,

w tajemniczym mroku, który ogarniał kąty komnaty.

Dreszcz trwogi przejął Halszkę, gdy oswoiwszy się ze światłem, które ją zrazu raziło, spojrzała przed siebie. Wydawała się jej teraz ta komnata bardzo pustą i straszną, pomimo palących się świec; chłód dziwny przejął ją całą; wszystko nagle wydało jej się tu obcem, zimnem, wrogiem. Te mury, które przez lat tyle skrywały jej tęsknotę, wśród których upłynęły najpiękniejsze lata jej życia w samotności, łzach i goryczy, te mury zdawały się teraz pogłębiać ją i przygniatać. Z podwoi, które Halszka wchodząc pozostawiła za sobą otworem, szedł podmuch lekki i poruszał obicia i złotogłowa rozwieszone na ścianach, a blaski padające od świec jarzących, chwytaly nici złote i igrały na nich swawolnie, mieniać się złudnie różnemi barwy.

Wzrok Halszki błodził z przedmiotu na przedmiot, patrząc na wszystko, nie widząc nic. Przed nią roztaczał się w całej wspaniałości przepych niesłychany; obicia drogie, dywany, mozaiki, marmury, wszystko co tylko bogactwo dać mogło, a zbytek wymyślił, wszystko tu było a przedstawiało się zadziwionemu oku w pewnej doskonałej całości: ani tu złoto zbytecznym nie raziło blaskiem, ani

obicia, ciężkie zasłony i makaty nie spochmur-  
 niały widoku; jedno łagodziło drugie a wszystko  
 zgodnością barw, blasków i cieni przyjemnie  
 kołysało serce. I musiało też rzeczywiście ko-  
 chające serce kierować urządzeniem tego  
 mieszkania, w którym było wszystko co ku  
 wygodzie lub przyjemności służyć mogło.  
 Tu rozmaite naczynia muzyczne: lutnie  
 skrzypce, wiole i harfy dwoiste; tam na  
 hebanowych stołach, otoczonych wygodnymi  
 krzesłami, różne precjoza a ciekawości, kin-  
 dzały i noże tureckie turkusami nabijane,  
 czary złote i kryształowe, połyskujące w bla-  
 skach. Na ścianach wielkie a piękne obrazy,  
 które zdawały się postaciami na nich kun-  
 sztownie przedstawionemi, zaludniać pustkę  
 tej komnaty. Wśród tych obrazów, jeden  
 olbrzymi przedstawiał pana Kazanowskiego,  
 takim, jakim go po raz pierwszy Halszka  
 ujrzała; młodym jeszcze, ale na bladej twarzy  
 noszącym ślady przedwczesnej starości. Wzrok  
 Halszki odwrócił się szybko od tego portretu  
 i znowu bezwiednie błądził od blasków, ska-  
 czących na złotogłowiach ku cieniom tajemni-  
 czym i mrokom dalszą zalegającym przestrzeń,  
 aż pochylił się ku ziemi, strwożony. Blaski  
 ją oslepiały a przerażały cienie, przerażały ją  
 zwłaszcza olbrzymie zwierciadła, powtarzające  
 w kilkakrotnych odbiciach jej żalobną postać

i twarz dziwnie zmienioną. Twarz ta, z której wszelkie rumieńce uciekły, miała wyraz osłupienia w oczach rozwartych szeroko, a zasnutych mgłą łzawą, połyskującą jak brylanty.... Z ust koralowych, wilgotnych, nie zbiegł jeszcze szept miłośny, który je rozchyłać się zdawał. Ciemne, bujne włosy, rozpuszczone w nieładzie, spadały na ramiona, i okalały twarz tę alabastrowej białości, którą od czasu do czasu dziwne przebiegały drgania.

Halszka, obie dłonie podnioswszy, zakryła niemi twarz i oczy. Nie mogła znieść widoku tej komnaty, nie chciała widzieć własnego odbicia w zwierciadłach. Wszystko dookoła zdawało się jej zmienionem, a może raczej pozostało takim jak było: martwem i zimnem, podczas gdy ona stała się nagle inną.... Byłaż to jej postać, którą odbijały zwierciadła, postać niegdyś tak harda i wyniosła, patrząca z uśmiechem szyderskim, zuchwale, przed siebie a teraz z tą twarzą białą i zamglonemi łzawo oczyma, z włosami rozpuszczonymi w nieładzie, z usty rozchyłonymi rozkosznie, jakby gnąca się miękko w uścisku, chyląca się w poczuciu słabości, ze wzrokiem wstydliwie spuszczoneym ku ziemi? Byłóż to jej własne serce, które kołatało w piersi przyspieszonym tętnem, takie nagle lękliwe a roztkliwione i jakaś nie-

zwykłą czułością przejęte? Z zamętu jaki jej duszę ogarniał, jedno tylko wydobyło się uczucie, z chaosu myśli jedno tylko jeszcze promieniało wspomnienie, wśród zgiełku i szumu, jaki głowę jej przepełniał jeden tylko głos brzmiał wyraźnie.... głos przyciszony a namiętny, który jej szeptał słowa miłosne i prośby powtarzał.

— Halszko! — mówił głos ten — ja cię miłuję tak bardzo, że o całej niedoli żywota mego zapomnę, bylebyś mię kochała! Zapomnę o przebytej niewoli, kędy słyszałem szyderstwa, urągania i obelgi, zapomnę o udręczeniach późniejszych, o samotności na obczyźnie, o tęsknocie i pustce celi klasztornej, o wszystkich nieziszczonych pragnieniach, zawiedzionych nadziejach, o wszystkich upokorzeniach, jakie mię spotkały! Ty jedna tylko możesz mi wrócić i nadzieję i wiarę w siebie i chęć do życia.... ty jedna możesz mię natchnąć odwagą i chęcią do czynu.... Nie wiem co mię czeka w przyszłości, bom zakrywał dotąd wzrok mój przed nią, bom nie chciał już myśleć o dniu jutrzejszym, znużony dzisiejszą nędzą.... Ale spojrzę w tę przyszłość zakrytą odważnie, jeśli jeno zechcesz! duszę zahartuję w stal, że wszelkie przemoże przeszkody i będę jako niegdyś, dopóki mię zawody srogie i złość ludzi nie

złamały, dążył do czynów wielkich, bohater-  
skich i zbawczych!....

A Halszka, słuchając słów tych, które  
teraz jeszcze głośnem w jej sercu odbijały się  
echem, słów pełnych rozżalenia lecz zarazem  
ognistego zapału, czuła, że ten zapal i ją  
ogarnia, że z przed jej oczu znika, maleje  
i rozplywa się w mgle szarej, cały świat jej  
dotychczasowy, że maleją i milkną wszystkie  
dotychczasowe jej uczucia, zaćmiewa się i ga-  
śnie pojęcie obowiązku, że zmysły traci i siłę  
obronną....

Aż dopiero teraz przytomność wracała  
zwolna; rzeczywistość stawiała przed oczy  
straszną; pełna grozy i wyrzutów sumienia,  
a niecofniona.

Głośne łkanie podniosło pierś Halszki....

W wielkiej klatce u okna zawieszona pa-  
puga, ocknęła się w tym momencie, zatrzepo-  
tała białemi skrzydłami, z głuchym łoskotem  
objając dziób swój o drewniane koło, na  
którem zakolysała się, patrząc zdziwionemi  
oczyma na stojącą przed nią postać. Halszka,  
obudzona tym łoskotem, wzdrygnęła się i od-  
jęła dłonie od twarzy, zalanej rzewnymi łzami.

Nawet ten ptak zdawał się jej nie po-  
znawać albo szydzić z niej tem sztywnie  
utkwionem w nią spojrzeniem.

Wzrok Halszki jakby przemocą pociągnięty, pobiegł tam, kędy widniał wielki obraz, przedstawiający jej małżonka. Przygasłemi oczyma patrzył na nią smutnie, jakby z miłośnym wyrzutem.

— Wszystko czyniłem, com jeno mógł — zdawał się mówić — aby twą miłość pozyskać, a jeśli nie miłość, to przynajmniej przywiązanie wdzięczne i wierność do końca gasnącego już mego żywota.... Jam ci był sługą posłusznym przez lat tyle, spełniając każde twoje zachcenie, gotów na ofiarę każdą a niezrażony ani pogardą twą, ani obojętnością, ani szyderstwem, ani wstrętem!....

I znowu twarz Halszki pochyliła się ku ziemi.... Ugięły się pod nią nogi i padła na kolana....

Naprzeciw, przez wielką tafłę kryształową, wprawioną w ścianie, widziała wewnątrz przyległej kaplicy, wpół oświetlone przyćmionym blaskiem lampy, gorejącej u obrazu Matki Najświętszej. Ztąd zwykle gdy była chora, Halszka Mszy św. słuchała. I teraz głowę podniosłszy, utkwiała wzrok łzami zamglony w tę świętą postać, wyciągającą ramiona jakby na przyjęcie każdej nędzy ludzkiej, jakby ku pociesze każdego serca, kającego się w skrusze....



Modlitwa nie ujęta w słowa, gorąca, pokorna, uleciała z serca Halszki do tronu Matki Bożej — byłaby może duszę jej podniosła, oczyściła łzami skruchy, wzmocniła postanowieniem silnem....

Ale oto nagle, hałas jakiś dziwny, jakby groźny ryk dzikiego zwierzęcia zabrzmiał w powietrzu....

Halszka na równe zerwała się nogi, osłupiała z przerażenia. Groźne mruczenie nie ustaowało, a ona wiedziała dobrze, z kąd pochodzić mogło.

Królewic, aby uniknąć wzroku straży lub dworzan, przechodzić miał przez ogród pałacowy i dążyć ku małej furtce, kędy go oczekiwał Tyzenhauz. W tej stronie pusto było zwykle a furta owa, obok izby ogrodniczej położona, nie była strzeżona. Jeno opodał w wielkiej klatce żelaznej legowisko swe miała niedźwiedzica z niedźwiadkami małymi, rykiem swym znać dając, gdy ktokolwiek się zbliżał ku izbie ogrodniczej, kędy rozmaite rośliny rzadkie i przysmaki w zimie hodowane były.

Okropna myśl przeniknęła na wskrós serce Halszki. Królewic dobrze miejscowości nie świadom, zbliżył się może nadto ku owemu legowisku dzikiego zwierzęcia i jego czujność obudził. A wówczas mogła nastąpić rzecz

straszliwa. Obudzony strażnik mógł podnieść wrzawę, wysłać pogoń, ująć uciekających....

Bez tchu w piersi, sama nie wiedząc co czyni, Halszka zarzuciła pospiesznie na ramiona axamitny płaszcz czarny, sobolowem futrem podszyty i przez wielkie podwoje krzyształowe, wybiegła na galeryę.

Spojrzała dokoła. Pusto było wszędy — ale wśród ciszy nocnej rozlegało się jeszcze groźne mruczenie obudzonego zwierzęcia. Powtarzało się od czasu do czasu, jak dalekie echo grzmotu, aż wreszcie ścichło.

Noc była zimna, mroźna, ale pogodna. Z chmur, z których nad wieczorem śnieg pruszył i dachy domów pobielił, nie zostało i śladu. Niebo iskrzyło się gwiazdami, xieżyc wielką kulą ognistą podnosił się ze wschodu. W ogrodzie, gałęzie drzew z liści obnażone, poruszał lekki wietrzyk z głuchym chrzęstem; w dali, o ile wzrokiem w cieniach nocy zasięgnąć było można, widniała, połyskująca odbiciem światła niebieskich wstęga Wisły a po za nią puste pola i bezlistne lasy. Wszędy cisza.... czasem jeno szczeknięcie psa stróżliwego lub plusk wody w rzece, przerwie głucho milczenie.

Halszka odetchnęła z pełnej piersi; okropna obawa opuszczała ją zwolna, ale zarazem pierzchnęły z duszy myśli, które ją

przed chwilą przed obrazem Matki Bożej ku modlitwie ugięły. Myśl jej teraz znów biegła za królewicem, któremu przed chwilą zdawało się grozić niebezpieczeństwo.

Halszka, otulona płaszczem, oparła się o marmurową poręcz krużganku i zapatrzyła się marząc w dal cichą, spokojną, uroczą, opromienioną blaskiem gwiazd i wschodzącego słońca. W oddali na białym całunie świeżego śniegu, który się brylantowo iskrzył w tym blasku, zdawało się jej, że dostrzega dwa jakby cienie, dwie postacie idące spiesźnie.... Jedna z nich, postępująca naprzód, smukła, wyniosła — to postać królewica. Jeszcze teraz była widoczna, ale wkrótce już wzrok nie dopatrzeć nie mógł, serce Halszki przeczuwało jeno, i biegło w ślad za ukochanym....

Nie bacząc na chłód, który ją przejmował, stała tam Halszka jeszcze długi moment, zatopiona w marzeniach. Było jej teraz tak dobrze jak nigdy.... pieściło ją jakieś omdlenie rozkoszne a duszę kołysało ciągle echo dźwięcznego głosu, stłumionego w szepcie miłosnym. Wszelkie obawy, wszelkie wyrzuty, jakie ją dręczyły przed chwilą, pierzchnęły w tem marzeniu jakby półsennem. Pragnęła tak zostać długo, na zawsze — gdy w tem obudził ją odgłos kroków zbliżających się ludzi i głośnej rozmowy.

Szli ztamtąd, kędy przed chwilą zniknęła w mrokach nocy postać królewna, a idąc rozmawiali wesoło. Snadź zapóźnieni dworzanie do pałacu wracali, dążąc ku owej furtce, przez którą w nocy najłatwiejszy był przystęp. Musieli być podochoceni, bo rozmawiali głośno, a śmieli się głośniej jeszcze; przechodząc jeno obok legowiska niedźwiedzi, zamilkli, aby nie obudzić zwierzęcia, które też tym razem nie ruszyło się wcale. Zbliżali się oni teraz ku owej galeryi, na której stała Halszka, bo kroki ich coraz lepiej słyszeć się dawały a nawet wyrazy rozmowy dochodziły jej uszu. Niebawem też, z boku, od strony wielkiego cekhauzu, ujrzała Halszka cienie zbliżających się kilku postaci. Szły zwolna, krokiem niepewnym; widocznie pijani dworzanie wracali z hulanki.

— A tośmy się zabawili siarczyście! — wołał jeden. — Jeno żal, że to dopiero na pożegnanie poznaliśmy w imćp. Sicińskim tak wesołego kompana.... Wszystkich przetrzymał.... głowę tęgą ma!

Na Sicińskiego nazwisko Halszka wzdrygnęła się cała i przenikliwe spojrzenie rzuciła na idące postacie.

Na czele postępował wysokiego wzrostu mężczyzna. Twarzy jego Halszka dostrzedz nie mogła, ale poznała go od razu. Był to

Władysław Siciński. On jeden wśród tej gromady, szedł krokiem pewnym a postawa jego i ruchy wesołości nie zdradzałycale. Głowę miał spuszczoną ku ziemi i milczał, nie mięszając się do rozmowy kompanów.

Pożegnawszy się z Kazanowskim, który dla Króla ostatnią czynił ofiarę, rozstając się w czas ciężkiej choroby z zaufanym dworzaninem, Władysław pobiegł był jeszcze do Ossolińskiego kanclerza, który mu instrukcyę obszerną doręczył — ztamtąd zaś udał się do pana Radziejowskiego, chcąc zbadać powody, dla których starosta łomżyński do expedycyi należeć nie chciał i zasięgnąć, jako od doświadczonego i znającego Ukrainę, bliższych informacyj.

Ale Radziejowski zbył go krótko.

— Dla wacpana — rzekł — pożądana nastrecza się okazyja. Na jakikolwiek te sprawy obróć się koniec, dobry lub zły, zawsze w obliczu królewskim waść zasługę mieć będziesz, a to na początek znaczy wiele. U nas zawsze od Króla zaczynać należy, aby się z tłumu wydostać. Potem już o łaski w powszechności starać się trzeba a przytem nie-raz nawet i z Królem zadrzeć, jako to właśnie mój casus jest. Dla wacpana wszakże, powtarzam, szczęśliwa to na początek fortuna. Pan Kazanowski lada dzień zemrze, a waść

wróciwszy z Ukrainy, odrazu na królewskim znajdziesz się dworze, a może też i co lepszego za to poselstwo uzyskasz. W powszechności zaś, jakikolwiek koniec z tego wyniknie, a choćby najgorszy, waść stracisz nie wiele albo zgoła nic, bo o poselstwie tem mało kto wiedzieć będzie, krzyczanoby zaś głośno, gdybym ja pojechał. Przeto dobrej fortuny i zdrowia życzę, takiego zaś rozumu, abyś Chmiela przekonał....

Rozumiał to dobrze sam Władysław, że poselstwo to otwierało całę inną przed nim drogę. Zdecydowany opuścić dwór p. Kazanowskiego, uważał tę podróż ukraińną za kres swego pobytu na tem stanowisku, które mu zgoła nie zapewniało przyszłości. Odtąd całą uwagę należało zwrócić na zaskarbienie łask królewskich, aby się za ich pomocą wydzwignąć, potem zaś — jak to mądrze starosta łomżyński rzekł — o łaski w powszechności się starać, choćby znów kosztem królewskiej służby.

Dobrej tedy będąc myśli, a zasięgnąwszy jeszcze u pana Radziejowskiego niektórych informacyj co do samej podróży i osób, które na Ukrainie znaczenie miały, pożegnał go Siciński i chciał już do pałacu wracać, gdy po drodze spotkał kilku wesołych kompanów, od których zwykle zdala się trzymał. Byli to

częścią dworzenie pana starosty łomżyńskiego a częścią jego towarzysze w Kazanowskiego służbie. Zamiast przejść koło nich obojętnie, jakto w zwyczaju miał, sam się teraz do nich zbliżył i projekt wspólnej zabawy chętnie przyjął. W duszy mu promieniały jakieś nadzieje, które go czyniły wesołym a ostatnie troski, jakie go jeszcze trapić mogły, należało zagłuszyć hulanką.

— Bogdajby choć ostatnią noc w tej Warszawie przeżyć wesoło! — myślał.

I jak myślał tak uczynił. Kompanowie byli eksperci w tych sprawach, toż zabawa szła rażno a Władysław, zwykle posępny i milczący, zadziwiał wszystkich swobodą swą i zapalem. Jenó, że gdy inni pijąc, tracili niemal zmysły a wszystko co w duszy mieli, bełkocącym wygadywali językiem, Siciński, jakkolwiek pił także, pamiętał ciągle o tem co mu zamilczeć wypadało; a z trunkiem obchodził się tak ostrożnie, jako z brzytwą ten, który ją pierwszy raz w rękę trzyma. Pijąc tedy, zachowywał miarę, był swobodnym w obojętnej rozmowie, niepowściągliwym nawet w żartach wesołych, ale skoro jeno przypadkiem o ważniejsze potracono sprawy, posępniał i milknął. Nie było zresztą obawy, aby go kto w tej kompanii za język chciał ciągnąć, lub penetrować jego tajniki. Trunek



szumiąc w głowach, roztkliwiał serca i jeno powszechnie żałowano, iż tak wesoły kompan jak Siciński, którego dotąd za mruka miano, odjeżdża.

— Już-to, przyznam się waszmości, — mówił jeden w służbie p. Kazanowskiego będący dworzanin — jako ja przez lat tyle na wacpana patrząc, miałem was za nieznośnego mruka, a takiego zausznika pańskiego, co to jeno na to oczy ma, aby coś podpatrzył i ku własnej korzyści doniósł...

Siciński się zaśmiał z przymusem.

— Ano, teraz widzę, — mówił dalej ów dworzanin, biorąc Władysława w objęcia, — żem się grubo mylił. Wacpan to wesoła dusza, jako i my, a żeś posepny był, to nie dziw, boć ten Kazanowskich dwór, to istny grobowiec, kędy ludzie jak mary chodzą.... Nie dziw też, że waść odjeżdżasz, aby odżyć na świecie, jeno nam żal....

— Ano, muszę.... — odparł Władysław. — Rodzic człek już bardzo sędziwy, wzywa mnie na Litwę, ile że chory jest.... W razie jego, nie daj Boże, śmierci, patrzy mi się tam na Litwie jakiś ziemi kawał i trochę dobytku. Toż trzeba o to staranie mieć, aby na marne nie poszło.... Przez ową służbę dworską, wszystko to straciłem z oka, a niemasz ktoby

mię tam zastąpił, mam bowiem jeno brata, który kaleką jest i w sprawach nieobrotny....

— Masz wacpan rozum wielki, że ztąd uciekasz! — wołali inni. — Gdyby jeno było o co gdzieindziej ręce zaczepić, tobyśmy wszyscy poszli....

Tak rozmawiając a nie szczędząc trunku, który coraz bardziej języki plątał, byliby owi dworzanie do rana się bawili, gdy wtem Si-ciński, czując jako i jemu w głowie zawracać się nieco poczyna, dał hasło do odwrotu.

— Ano, panowie bracia! — zawołał — mnie w drogę czas, rano odjeżdżam, żegnać się pora....

Nieochotnie tedy, ale ruszyli się wszyscy. Postanowiono odprowadzić gromadnie Władysława do pałacu a potem powrócić jeszcze dla dokończenia hulanki.

— Waść odjeżdżać będziesz, a my za wacpana zdrowie i za pomyślność podróży pić będziemy! — wołano.

— Zobaczysz nas z kielichami w ręku na swojej drodze, co najlepszy omen jest!... rzekł jeden wielki, gruby szlachcic, który z całej gromady najgorszym swawolnikiem był i najtęższą miał głowę.

Gdy wyszli z gospody, w której się owa odbywała hulanka, zimne powietrze owionęło Władysława i przejęło do kości. Sztucznie

obudzona wesołość pierzchała z duszy, widok pijanych kompanów, którzy śpiewali i śmieli się głośno, niesmak obudzał.

— Jeno to szczęście — myślał — żem się przed bydlętami tymi nie wygadał z niczem, owszem jeszcze utwierdziłem w przekonaniu, jako na Litwę, do rodzica jadę....

Idąc, mijali puste ulice, w których odgłos kroków, śmiechy i śpiewy, donośnem odbijały się echem: mijali ciemne dwory i dworki, z których czasem wyglądał obudzony mieszkaniec, głośnem sarkaniem karcąc pijaną zgraję — aż wreszcie zbliżyli się ku pałacowi. W mrokach nocy, na tle rozjaśnionego nieba zarysowały się mury pałacu, a widok ten jeszcze posępniejszymi myślami natchnął Władysława.

Nie darmo tyle lat spędził w tych murach.... jakaś tęsknota ogarnęła go dziwna.... Obraz Halszki stanął przed oczami.

— Może jej nie ujrzę już przed wyjazdem! — myślał. — Czyli też ona wspomni kiedykolwiek o tym, który przez lat tyle tem samem co ona oddychał powietrzem i upoił się niem gorzej niż trunkiem....

Uśmiech goryczy przebiegł przez Władysława usta i zniknął. W głowie nie nawyklej do trunku szumieć teraz poczynąło; myśli się plątały bez związku, zlatując się

ciągle jak émy ku światłu do jednego przedmiotu. Na pamięć przyszła mu niedawna z Halszką rozmowa....

— Widocznie pomieszana była — myślał dalej — gdym jej rzekł o Tyzenhauzie. Ten piękny dworzanin nie dla siebie tu zachodzi.... wiem to dobrze. Ale jak dojść tajemnicy? Gdybym ją posiadał! Wypowiedziałbym wówczas tej pogardliwej, dumnej pani wszystko co mi przez lat tyle na duszy ciążyło. I musiałaby to znieść!...

Pragnienie zemsty znowu ogarnęło mu serce. Wśród wesołych śmiechów i gwarnej rozmowy, szedł teraz ponury i milczący, nie rozumiejąc słów rozmowy, nie dając na pytania responsu. Słyszał jeno gwarliwe brzmienia, które mu dokuczały, latając jak rój pszczół w około ucha.

— Nie nawykły do trunku, senny jest — mówili towarzysze jego, widząc, że na pytania odpowiedzi nie daje. Trzeba go do dom odprowadzić, bo tak idąc zaśnie.

— Będzie mu się śniło, jako na Litwę jedzie ojcowiznę odbierać! — zaśmiał się inny.

A w Sicińskiego duszy wrzała dalej walka tłoczących się w nieładzie myśli.

Pragnienie ujżenia Halszki przed wyjazdem, chęć zbadania tajemnicy jej serca,

którą czuł a której śladów nadaremnie przez lat tyle szukał, ośwładnęła go teraz zupełnie.

— Byłem głupi, niezręczny!... — szeptał przez zaciśnięte zęby. — Lepiej należało patrzeć, bo nie może to być, aby to com dostrzegł i dosłyszał jeszcze w Wilnie w czasie godów weselnych, tak znikło bez śladu.... Zmarnowałem lat tyle na nic!

Sprzeczne uczucia miotaly jego duszą: raz pragnął wierzyć, iż podejrzenia jego są mylne, rozkoszą napawała go myśl, że Halszka jest niewinną; a wówczas były chwile, że wielbił ją jak świętą i oburzał się na siebie za posądzenia swoje. To znów dręczyła go niepewność, zrywały się w jego duszy dzikie pragnienia zemsty a wtenczas pragnął się przekonać, iż prawdą były domysły, zżymał się na siebie, iż nic odkryć nie mógł; chciał zbadać prawdę, aby się zemścić i z zemsty tej skorzystać podwójnie, w celu upokorzenia dumnej, pogardliwej niewiasty i w celu wywyższenia siebie. W wywyższeniu swoim miałby zapłatę za lat tyle udręczeń; w upokorzeniu Halszki, zemstę za znoszoną tak długo jej obojętną pogardę.

— Gdybym był lepiej patrzeć umiał — myślał — wzrok jej wzgardy pełen i dumy, byłby pełzał przedemną po ziemi; gdybym miał w ręku tajemnicę jej serca, nie potrze-

bowałbym dzisiaj ani łask królewskich, ani Kazanowskiego względów.... Ona nienawdziłaby mię jeszcze bardziej niż teraz, ale też nie odmówiłyby nie mogła; przez nią stałbym się potężnym....

Szalone myśli plątały się w oszołomionej trunkiem głowie a serce ścisłał żal głęboki za tą przeszłością, która mu zmarnowaną się zdawała.

Zbliżali się coraz bardziej ku pałacowi, gdy nagle Siciński drgnął, głowę podniósł i ucha nadstawił.

Ryk niedźwiedzicy rozległ się donośnie w powietrzu.

— Myszka się zbudziła.... zauważył jeden z dworzan — ktoś ją tam podroczyć musiał.

— Ktoś chyba obcy.... — ozwał się w zamyśleniu Siciński — to mądre zwierzę na swoich nigdy nie mruknie.... Ktoś obcy przemykać się musi....

Mruczenie groźne powtórzyło się znowu.

Przystanęli wszyscy -- ale Siciński porwał się naraz i pędem biedz począł ku ogrodowej furtce. Za nim ruszyli inni, ale wszystkim trunek nogi plątał; po nierównej drodze gonitwy szły nie sporo; nie jeden potknął się i upadł a i Siciński niebawem przystanął zdyszany, wyteżając wzrok w dal mroczną.

I ujrzał w księżycowym blasku dwie idące postacie. Oddalały się zwolna, a Siciński poznał je od razu.... Krew mu w żyłach nagle zastygła.... Nie było wątpliwości! Tym razem, owa tajemnica, za którą ubiegał się lat tyle, stanęła jasno przed jego oczyma. Królewic o tej porze wracający z pałacu, w towarzystwie jednego najbardziej zaufanego dworzanina, przemykający się potajemnie przez furtkę ogrodową — wszak to było aż do rozpaczki wyraźnem!...

Nieopisany zamęt ogarnął myśl jego i duszę. Stał chwilę bezprzytomny niemal, wpatrzony sztywnie w przestrzeń, kędy owe postacie już nikły. Dziwny dreszcz przechodził mu po ciele, że aż zęby, objając się o siebie, zgrzytały....

— Ho! ho! — zawołał jeden z obok stojących kompanów — nocni jacyś goście byli w pałacu.... a możeby im w oczy zaglądnąć i zapytać o nowiny z fraucymeru pani marszałkowej....

— Cicho! — szepnął drugi — nie do widzam ja dobrze w tem złudnem księżycowem świetle — ale tak mi się zda, iż niebezpieczno byłoby gonić.... Jeden z tych ichmościów, ów wyższy, to dalipan taka wspaniała persona, że gdybym się pomylić nie lękał, tobym rzekł, iż do królewica Kazimierza podobny....



— Dalipan, prawda! — zawołał drugi.

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się prze-  
rażliwie Siciński, którego te słowa oprzy-  
tomniły nagle. — A to wacpanu trunek nie  
tylko język splątał, ale i oczy tak dziwnem  
kalectwem dotknął, że się waści wszystko  
większem i wspanialszem być zdaje. Ów kró-  
lewic, to mój własny pacholik, którego  
jutro w podróż zabieram, a który snadź do  
miasta z drugim się wykradł, aby na poże-  
gnanie pohulać... Poznałem go dobrze i spra-  
wię za to łaźnię temu królewicowi...

A na to inni śmiać się poczęli, prosząc,  
aby swemu pacholikowi Siciński nie złego  
nie czynił. Przecież to zbrodnią nie było  
ostatniej nocy przed wyjazdem poswawolić  
trochę...

Ale Władysław, któremu na tem zale-  
żało, aby wszelkie podejrzenia od królewica  
odwrócić i pozostać samemu w posiadaniu  
tajemnicy, udawał gniew wielki.

— Niechno mi — wołał — wszystko na-  
leżycie do drogi przygotowanem nie będzie —  
to łeb szelmie urwę!...

I długą jeszcze chwilę gadano o tem,  
aż wreszcie jedni się pożegnali i odeszli, dru-  
dzy zaś, którzy ze dworu pana Kazanowskiego  
byli, wraz z Sicińskim weszli przez furkę  
ogrodową i dopiero na dziedzińcu pałaco-

wym, opodal tej galeryi, na której stała Halszka, każdy w swoją zwrócił się stronę. Niektórzy, wedle obietnicy, powrócili jeszcze do miasta dla dokończenia hulanki.

Władysław nareszcie pozostał sam i z pełnej piersi odetchnął. Nie wracał jeszcze do pałacu, potrzebował powietrza, ruchu, potrzebował wprzódyspokoić się nieco i uporządkować wzburzone myśli, które jak ptaki, nagłą zaskoczone burzą, plątały się bezładnie.

Przed chwilą pragnął odkrycia tajemnicy, którą przeczuwał, a teraz gdy ją niespodziewanie odkrył, rozpacz opanowała go dzika; usiłował jeszcze wmówić w siebie, że ta postać, którą dojrzał umykającą z pałacu, to nie był królewic. Ale nie! łudzenie się było niepodobnem.... poznał on dokładnie Jana Kazimierza i jego zaufanego dworzanina Tyzenhauza....

Jak oszalały kroczył wśród ogrodowych alei, usiłując napróżno uspokoić wzburzone serce. To szczęście jeszcze, że uwagę i podejrzenia kompanów zdołał odwrócić, bo przynajmniej teraz pozostawał sam w posiadaniu tajemnicy i mógł ją na swoją własną zemstę i korzyść obrócić. Ale w jaki sposób? Nawet ta zemsta zdawała mu się z rąk wysuwać; wszak za godzin kilka zmuszony jest opuścić Warszawę na długo, może na zawsze?

Kto wie, co się stać może w czasie nieobecności jego? Kazanowski pewnie zemrze, a Halszka będzie mogła wtedy odgrodzić się od niego tysiącem nieprzebytych przeszkód...

Może on jej nie ujrzy więcej w życiu? A na pewno z odjazdem jego skończy się stanowczo to życie wspólne, pod jednym dachem, które tyle przynosiło udręczeń, ale zarazem dozwalało pieścić wzrok cudowną jej postacią....

Bezmierna tęsknota opanowała duszę Władysława. Zrywał się on nieraz do wyjazdu, ale nigdy jeszcze nie był tak blizkim rozstania się z tem, do czego serce przez lat tyle nawykło. Za godzin kilka zmieni się wszystko.... on pójdzie w świat na nowe a niepewne walki, nie unosząc z sobą nic z tej przeszłości, którą za sobą zostawiał, — nie, prócz ciężkich udręczeń. Ani jedno łaskawsze spojrzenie Halszki, ani jedno jej słowo uprzejme, nie zostanie mu w duszy.... Postać jej zniknie mu wkrótce z przed oczu, inni ludzie i świat inny otoczą go niebawem, a on jeden tylko wpośród zmian tych, zostanie z zawsze jednaką namiętnością, z dawną gorączką w duszy....

Teraz dopiero czuł Władysław w całej pełni, czem ta niewiasta była dla niego. Wszelkie dawne pożądanja zemsty na moment

znikły — a opanowało go pragnienie, aby ją widzieć, pożegnać, uzyskać choć jedno słowo łaskawe....

Och, gdyby ona była inną! — myślał — lepszą dla niego, gdyby go tak ciągle nie odpychała swoją pogardą i dumą, jakżeby on był dobrym, jak wiernym, jak przywiązanym, gotowym do poświęceń wszelkich!...

Wyszedł z ogrodu i stanął na małym wzgórku, naprzeciw owej galeryi, kędy była Halszka. Ona stała tam ciągle. Od kiedy usłyszała Sicińskiego nazwisko i ujrzała go idącego w gronie towarzyszy pijanych, jakiś lęk nieprzemierzony przykuł ją do miejsca. Oparła się o kolumnę krużganku i okiem wpatrzonem sztywnie, śledziła każde poruszenie Władysława, chwytając chciwie słowa urywanej rozmowy. Słyszała śmiech jego przymuszony, nieszczerzy, dochodziły jej uszu wyrazy, z których domyślać się mogła, jako uchodzący z pałacu królewic i Tyzenhauz dostrzeżeni zostali, zdało się jej nawet, że słyszy wymawiane swoje nazwisko. Pot zimny wystąpił jej na czoło, — pragnęła uciec, skryć się, ale sił jej zbrakło.... Złowrogie przeczucie jakiegoś nieszczęścia, nieubłaganej kary za chwilę upojenia, przeniknęło jej duszę....

Bez ruchu, o zimny marmur kolumny oparta, sama jakby w kamień zaklęta, stała

patrząc, jak Siciński pożegnawszy kompanów swoich, chodził w zamyśleniu czas dłuższy po ogrodowych alejach. To znikał, to znów się ukazywał jej oczom w pośród drzew gałęzi, aż wreszcie wyszedł i naprzeciw niej się zatrzymał, patrząc przenikliwie w jej okna.

Przez rozsunięte zasłony i drzwi wpół-otwarte padało światło z komnaty na galeryę, tworząc tło promienne, na którem rysowała się wyraźnie wyniosła postać Halszki, w czarny płaszcz owinięta, niby posąg żałobny pośród kolumn krużganku.

Okrzyk stłumiony wyszedł z piersi Władysława. Nie wierzył oczom własnym, a przecież to być nie mogło złudzeniem? Widział ją raz jeszcze, a zdawała mu się smutną, zgnębioną, spokorniałą w tym smutku....

Wszystka krew uderzyła mu do głowy, oszołomionej jeszcze hulanką; w duszy poruszonej gwałtownem, przed chwilą odniesionem wrażeniem, zrywały się szalone myśli, przyspieszając bicie serca, które młotem uderzało w piersi.... Jednym skokiem był u głównego wejścia, otworzył bramę i znalazł się wśród ponurych ciemności.... Na drugim końcu długiego korytarza, padała jeno wązka smuga światła z drzwi od komnaty Halszki, które ona wchodząc pozostawiła otworem....

Gdy Siciński zniknął, Halszka odetchnęła swobodniej.... Może jej nie dostrzegł?... Dopóki stał naprzeciw niej, ze wzrokiem wprost na nią skierowanym, lękała się poruszyć, aby nie zdradzić obecności swojej.... Zdawało się jej, iż ją osłania marmurowa kolumna, o którą była oparta.... Ale co znaczył ten okrzyk stłumiony, który wyrwał mu się z piersi, co znaczyło, że tak nagle poskoczył ku wejściu i zniknął?

W tym momencie przypomniała sobie Halszka, że podwoje od jej komnaty zostały otwarte, że Siciński może pijany jak i kompanowie jego.... Lęk jakiś niewytłómaczony, który ją zawsze na widok Władysława przejmował i teraz przeniknął ją do głębi; zdało się jej, iż dostrzega wśród cieniów wzrok jego przenikliwy, szydzący, iskrzący się chwilami tłumionym ogniem namiętności....

Szybko, ulegając mimowolnemu przeczuć, zwróciła się Halszka i wbiegła do komnaty.... W oddaleniu, wśród mroków zalegających dalszą jej przestrzeń, nie prawie dostrzedz nie można było. Halszka, czując się samotną i bezbronną, wśród tych cieniów i pustki, biegła ku drzwiom wchodowym, aby je zamknąć, przerażona, bezprzytomna niemal, nie starając się nawet walczyć z tą dziecinną trwogą, jaka ją przejmowała. Płaszcz, którym

była okryta zsunął się z jej ramion, a włosy bujne, ciemne rozsypały się już zupełnie, odbijając swą barwą od białości alabastrowej jej twarzy i szyi obnażonej...

Doszła tak do środka komnaty. Nagle szmer jakiś przejął ją dreszczem. Spojrzała — i serce z lęku zamarło w jej piersi.... Rozszerzoną źrenicą patrzyła sztywnie przed siebie i cofnęła się, jakby widmo w dali ujrzała....

W głębi komnaty, w cieniu, stał Władysław Siciński. Blady jak trup, z rozburzonymi włosami, stał wsparty o kolumnę i patrzył na nią wzrokiem, który od czasu do czasu rzucał mieniające się zielonawe błyski. Usta mu drżały jak w zimnicy; chciał mówić, ale głosu z piersi wydobyć nie mógł. Miał tyle rzeczy powiedzieć Halszce, czekał tak długo na sposobność, aby sam z nią pozostać i wypowiedzieć wszystko, śmiało, co mu na sercu ciążyło — a oto słowa zamierały mu na ustach, myśli plątały się dziwacznie. W tym momencie, gdy ujrzał Halszkę przed sobą, taką lęku pełną, niezdolną słowa przemówić, cofającą się przed nim, jak przed okropnem widziadłem — w tym momencie ujrzał on zarazem wszystkie następstwa czynu, jaki popełnił.

Ta dumna niewiasta nie przebaczy mu nigdy zuchwałego wkroczenia do jej komnaty,



którego on niczem usprawiedliwić nie zdoła. Od tej chwili pomiędzy nim a tym pałacem, z którego spodziewał się poparcia, roztworzy się przepaść. Teraz Halszka mścić się na nim będzie a odstąpi go nawet sam Kazanowski, skoro się dowie o jego zuchwalstwie. A on, czymże się bronić będzie?... Czyliż to, co podejrzewał a na co niezbitych nie miał dowodów, mogło mu służyć za wymówkę? Halszka wszystkiemu zaprzeczyć może a królewic stanie się wrogiem.... i zgniecie go jak nikczemnego szpiega!...

W jednym mgnieniu oka to wszystko zarysowało się w jego myśli wyraźnie. Nienawykły do trunku, oszołomiony nocną hulanką, uniesiony niespodziewanym widokiem Halszki, pod wpływem żalu, że wyjeżdżać musi, uczynił krok, który go wszystkich owoców tyloletnich zabiegów mógł pozbawić. Ale jak się cofnąć?...

Nieśmiały, lękliwy wzrok podniósł na Halszkę i ogarnął ją całą tem spojrzeniem.

Stała ona jeszcze na tem samem miejscu jak posąg nieruchomy. Wydała mu się piękniejszą niżli kiedykolwiek z wyrazem tego przerażenia na bladym obliczu. On ją zawsze widział taką nieprzystępną i dumną, a teraz patrzył na zaleknioną, słabą, jakby omdlenia blizką.... Należało ją uspokoić, należało po-

wiedzieć jej, że on nie przychodzi jako wróg lub mściciel, lecz gotów służyć wiernie jak pies, za jedno słowo łaskawsze, za jedno spojrzenie życzliwe...

I postąpił parę kroków naprzód.

— Pani marszałkovo.... — zaczął stłumionym głosem.

Ale w tymże momencie, jakby na brzmienie głosu tego, twarz Halszki zmieniać się poczęła. Wyraz załęknienia znikał... na lica wybiegł rumieniec gniewu, oczy płomienie ciskać poczęły. Podniosła dumnie głowę.

— Jak waść śmiesz!... — zawołała.

Władysław widział ją znowu teraz taką jak dawniej: dumną, wzgardy pełną, nieprzyzłą. Oburzenie, jakie brzmiało w jej głosie, odbiło się echem w jego duszy, budząc w niej zaledwie uciszoną burzę namiętności. Usiłował się wszakże miarkować.

— Pani marszałkovo — zaczął znowu — za godzin kilka odjeżdżam....

Ale Halszka nie dozwoliła mu mówić.

Wyciągając rękę przed siebie i drzwi wskazując:

— Precz ztąd! — krzyknęła.

Na te wyrazy wszystka krew uderzyła Władysławowi do głowy. Czuł, że przytomność i moc władania sobą traci. Przed jego oczyma jakieś krwawe snuły się błyski, nie-

wymowny ból czaszkę rozsadzał, wszystko dookoła niego krążyć się zdawało i tańczyć w szalonych podskokach. Ona jedna tylko — Halszka — stała przed nim nieruchomo, z roziskrzonym wzrokiem, piękna jak bóstwo, ręką wyprężoną sztywnie wskazując mu drzwi ze wzgardą....

— Precz ztąd!

Okrzyk ten odbił mu się w duszy tysiąc-krotnem echem.

— Nie pójdę precz! — odkrzyknął gwałtownie, zbliżając się ku Halszce — nie pójdę!... zanim ci nie powiem, że się ani gniewu twego, ani wzgardy nie lękam.... że wiem i widziałem wszystko.... że znam tajniki twego serca i wiem, kto przed chwilą, jak złoczyńca, wymykał się z tego pałacu, zostawiając piętno wstydu na twem dumnem czole!....

Głos mu złamał się w piersi i rozbrzmiał na końcu jakimś szyderczym śmiechem, który zsiniałe usta wykrzywił.

Ona bez tchu w piersi słuchała słów tych w nieopisanem przerażeniu.

Szalony czy pijany był ten służalec, który stawał przed nią straszny jak szatan, zwiastując jej pomstę i karę?..

A on po chwili mówił dalej, głosem stłumionym, który czasem jak syk gadziny wy-

dobywał mu się z piersi, a czasem miękł dziwnie i niemal rzewnym się stawał:

— Byłbym milczał jak grób.... pragnąłem jeno dobrego słowa twego jako zapłaty za tyle lat służby wiernej.... Twoja piękność zabrała mi duszę, twoja wzgarda napoiła goryczą, gniew twój na wskrósł ją przepalił i uczynił ze mnie szatana zemsty....

Halszka przymknęła oczy.... Czuła, że słabnie, że po tylu wrażeniach, odniesionych dnia tego, opuszczają ją siły a bądź co bądź należało natychmiast oddalić tego pijanego słuźalca, który raz groził, to znów poważał się mówić do niej tak rzewnym, przejmującym głosem.

On zamilkł, i patrzył chwilę na nią, na jej oblicze powleczone znów bladością omdlenia i znowu, jak wprzód, wielkie współczucie ogarnęło go nagle.... Niezdolny zapanować nad sobą, rzucił się do jej stóp, na kolana....

— Przebacz, pani! — zawołał — jam szalony był i pijany.... i teraz milczeć będę i wiernie do ostatniego tchu będę ci służyć.... jeno mię nie odpychaj!... jeno ulituj się nademną!... nie szydź, nie wypędzaj! i nie patrz na mnie tym dumnym, zimnym wzrokiem, który mrozi krew w żyłach i każe nienawidzieć sercu, co miłością goreje!...

Zamilkł Siciński a nie podnosząc się z kolan, błagalny wzrok skierował ku Halszce; drżącemi rękami chwycił kraj jej sukni i do ust poniósł....

A ona, widząc go takim upokorzonym, takim słabym, rozplakany prawie, uspokajała się widocznie. Nie zwracając całej uwagi na słowa, które obijały się o jej serce bez echa, czuła wszakże, iż jest panią woli tego człowieka, który przed chwilą wydawał się jej groźnym i silnym. Uniesienie jego miłośne napawało ją wstrętem i gniewem, ale prze-zorność nakazywała nie drażnić namiętności tego pół szalonego czy nieprzytomnego człowieka. Hamując tedy oburzenie wewnętrzne, rzekła głosem pewnym i stanowczym:

— Wstań wacpan!... a bezładnemi słowami nie pomnażaj szaleństwa twego. Jestem gotowa zapomnieć o zuchwałych pogroźkach, których nie pojmuję celu ani znaczenia.... zapomnę ochotnie, przez wzgląd na dawne wacpana dla małżonka mego usługi, o wyrazach nieprzystojnych a śmiałych, — zdołam przebaczyć i zapomnieć, powtarzam, jeśli natychmiast opuścisz spokojnie moją komnatę....

Na rozplamioną duszę Władysława spadały lodem te wyrazy dumne a zimne. Samo ich brzmienie przejinowało go dreszczem.... Porwał się z ziemi jak szalony.

— Zapomnieć.... przebaczyć.... — powtórzył — i zaśmiał się dziko.

Halszka snadź w obawie nowego wybuchu rzuciła się w tej chwili ku drzwiom, jakby uciekać lub o pomoc wołać chciała. Ale Siciński gwałtownym ruchem ujął ją za rękę, i strzymał. Drżał na całym ciele jak w zimnicy a kurczowe drgania przebiegały mu po twarzy, szydersko wykrzywiając usta.

— Zostań pani!... — wyszeptał przez zaciśnięte zęby — ja wyjdę, jak chciałaś, spokojnie. Ale nie zapomnę nic! ani tego, żem się u stóp twych tarzał daremno, ani tego, żeś mię twą dumą i wzgardą odepchnęła na zawsze.... Wypędzasz mię pani — pójdę!... ale pomnij, żem odtąd ja twój wróg.... Godzina pomsty przyjdzie.... ja czekać umiem i czekać będę!....

To rzekłszy, puścił dłoń jej, popatrzył raz jeszcze na nią, objął całą jej postać płomienistym wzrokiem i z wolna, krokiem chwiejnym, wyszedł z komnaty...

Halszka gorączkowym ruchem zamknęła podwoje, jakby lękając się powrotu szaleńca, poczem wyszedłszy na środek komnaty obejrzała się dokoła....

Mrok otaczał ją prawie zupełny.... w świecznikach dopalały się świece i kolejno gasły.... z niektórych wybuchały chwilami migo-

tliwe błyski, jak błędne ogniki na polach. A wśród tych mroków dobywało się tem wyraźniej przez szybę kryształową światło, palące się w kaplicy przed ołtarzem Matki Najświętszej....

Halszka pochyliła głowę przed tym obrazem, stała chwilę nieruchomo, niezdolna zebrać myśli po tylu wrażeniach.... Wszystko mąciło się w jej umyśle i sercu: to raz brzmiały w jej uszach dźwięczne słowa królewica, to przerażał ją szept szyderski i złowróżbny śmiech Sicińskiego — a zagłuszał to wszystko głos własnego sumienia.... Słowa modlitwy wybiegały na usta, ale niedokończone milkły.... myśl pobożną wikłały i płoszyły inne uczucia.... Wreszcie wszystko pomieszało się w jakimś nieokreślonym zamęcie.... serce bić przestawało — przestawało czuć i cierpieć — otwarte oczy nie rozeznawały nic przed sobą.... jakieś tylko snujące się cienie a czasem błyski jaskrawe.... I to nareszcie znikło w nieprzebitych ciemnościach.... Nie widziała i nie słyszała nic.... Jeno szum gwałtowny, jakby borów litewskich w czas burzy, otaczał ją dokoła....

Halszka wyciągnęła przed siebie ręce, chwytając powietrze, i bez jęku, osunęła się na ziemię w omdleniu, na tem samem miejscu, gdzie klęczał przed chwilą Siciński....



Gdy przyszła do siebie, już brzaski dzieńne przedzierały się do wnętrza komnaty, przez nieosłonięte okna.... Na taflach kryształowych mróz rysował dziwaczne liście i kwiaty i słychać było głośny świegot ptactwa, spłoszonego zimnem i garnącego się ku ludzkim mieszkaniom....

Wszystkie przejścia minionej nocy, jak straszliwe widziadła senne stanęły przed oczyma Halszki. Mogłoż to być prawdą?... Niecofniona rzeczywistość przy tym brzasku dziennym wydawała się jej jeszcze stokroć okropniejszą....

Wszystko przedstawiało się jej teraz w jakimś dziwnym nieładzie.... Dokoła świeczników воск stopiony szpecił marmur posadzki, uszkodził dywany; kosztowne obicia murów, świecidła i precyzoza porozrzucane na stołach, były pokryte jakby warstwą pyłu, straciły blask swój i urok.... Na środku komnaty jak czarna wielka plama rozciągał się płaszcz jej, który wczoraj spadł z ramion.... Światło, palące się przed obrazem Matki Najświętszej, przy świetle dziennem stało się bladym, bez promieni.... oblicze Matki Bożej znikło w półcieniu.... A to odbicie w zwierciadle — żaliż to była jej postać?

Siedziała na posadzce, wsparta na prawem ramieniu.... Włosy splecione, w nieładzie,

spadały jej na twarz i czoło; oczy bez blasku, przygasłe, siną otoczone obwódka, patrzyły przed siebie sztywnie, bez wyrazu; usta zsińnięte, zacisnęły się u kątów jakimś boleśnem skrzywieniem.... cała twarz blada, zmęczona, straciła świeżość młodości....

Odwróciła się od zwierciadła, nie chcąc patrzeć na to odbicie; z trudem podnosząc się z ziemi, chwiejnym krokiem zawlekła się do łoża i padłszy na nie, usiłowała usnąć. Ale usiłowania były daremne. Groźba Sicińskiego i jego słowa ostatnie brzmiały jej ciągle w duszy złowrogiem echem i sen płoszyły z powiek.

Nareszcie ruch zrobił się już na korytarzach pałacu; słychać było przyciszone głosy służby dworskiej a załęcznionej Halszce wydało się, że głosy te zwiastują jej nowe jakieś nieszczęście. Przyszło jej na myśl, że może Siciński spełnił swą zemstę i może domysły swoje i spostrzeżenia objawił już p. Kazanowskiemu, który w rozpacz, z przekleństwem na ustach kona....

Nową trwogą przejęta, porwała się z łoża. Zdjęła płaszcz z ziemi, zarzuciła na siebie, aby ukryć nieład stroju, otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz. Snuło się tam kilku dworzan, którzy z podziwieniem ujrzeni przed sobą Halszkę, o tak ранней godzinie i do-

strzegli niezwykłą bladość i pomieszenie na jej obliczu.

— Pan marszałek?... — zaczęła Halszka i niedokończyła pytania, aby głosem, którego drżenia powstrzymać nie mogła, nie zdradzić wewnętrznej obawy.

— Właśnie przechodził tedy pokojowiec jw. marszałka — odparł jeden z dworzan z niskim ukłonem — i zwiastował ku wielkiemu pocieszeniu naszemu, jako jw. marszałek noc spędził spokojnie a obudziwszy się przed momentem, oświadczył, iż czuje się po-krzepionym i zdrowym....

Pierś Halszki odetchnęła wolniej. Ale jeszcze jedno pytanie wyrywało się z jej duszy. Wahala się chwilę a potem nagle, już pewniejszym głosem:

— Żali imép. Siciński — rzekła — jest u pana marszałka?

— Imép. Siciński — odparł dworzanin — przed godziną może opuścił dwór i Warszawę. Całą noc przygotowywał się do podróży a za- ledwie dzień poczęło, z jednym pacholikiem swoim wyjechał.

Ciężki kamień frasunku stoczył się z duszy Halszki. Więc nie dokonał zemsty? A może ją tylko odwlókł? Wszak sam rzekł, jako czekać umie i czekać będzie....

Uspokojona przynajmniej na chwilę obecną, chociaż z myślą pełną obaw na przyszłość, wróciła Halszka do swojej komnaty i chwilę jeszcze dumiała ułożywszy się na łożu; zwolna jakaś otucha wstępowała do serca.... przedstawiała czuć i myśleć, znużone powieki się zamknęły, a sen twardy, bez marzeń, ogarnął ją całą, przynosząc pokrzepienie zwątlonym wrażeniami siłom.

Władysław był już dawno po za murami stolicy. Jeszcze noc była, gdy zbudziwszy pacholika swego, rozkazał mu natychmiast zbierać się do drogi.

Ułożonem tak było, jako dla niezwrócenia niczyjej uwagi, Władysław z jednym tylko pacholikiem opuści Warszawę, a dopiero wśród drogi, gdyby się potrzeba okazała, zwerbujecie sobie z ludzi pewnych a śmiałych kompanię zbrojną, aby na Ukrainę jechać. Nie mogło w tem być nic nadzwyczajnego, ile że podówczas częstokroć takie ekspedycje czyniono dla szukania fortuny na ukraińskich kresach. Tedy Władysław miał to wszystko tak uczynić, jakoby dla siebie tylko i w swoich własnych zamiarach ową wyprawę przedsiębrał.

Nie myślał on wszakże o tej wyprawie zgola, gdy wśród brzasków porannych, zwolna, krok za krokiem, z opuszczoną na piersi głową, przejeżdżał przez puste, wyludnione ulice.

Koń jego, wolną ręką trzymany, głową rzucił i parsknął — a o parę kroków za nim jechał młody pacholik, od czasu do czasu zaspane przecierając oczy i wydziwić się nie mogąc, iż ze dworu pana Kazanowskiego uciekali nieledwie pokryjomu, bez pożegnań żadnych, jak złoczyńcy.

Jechali milcząc wśród ciszy. Mroźne powietrze poranku studziło rozpalone skronie Władysława i powracało równowagę myślom. Nagle koń jego zachnął się i w bok odskoczył a równocześnie wielka wrzawa podniosła się dokoła.

Z obszernego dworzyska, które mijali a w którym mieściła się gospoda, wyskoczyło kilka dziwacznych postaci. Oblicza ich, czerwone, gdzieśsinie sinemi znaczone plamami, nosiły widoczne ślady nocnej hulanki, o czem też świadczył strój pomięty i zwałany. Na czele szedł wysoki, barczysty szlachcic, który w nocy odprowadzał Władysława do pałacu; żupan, pomimo chłodu, miał rozpięty; od rozpuszczonego prawie zupełnie pasa, którego końce niemal po ziemi się wlokły, zwisała na starych rzemieniach szabla wielka, stukając z hałasem o wysterczające na drodze kamienie. Twarz jego szkarłatna a miejscami sina, patrzyła oczyma wielkimi, krwią nabiegłymi, które na wierzch wylażyły.

Czapki nie miał na głowie a podgoloną czuprynę, dobrze już siwiejącą, szarpał wiatr mroźny, odkrywając na środku przeblyskującą łysinę.

Przypomniała się Władysławowi wczorajsza hulanka. Ten szlachcic był jednym z dworzan p. starosty łomżyńskiego, który wróciwszy z częścią kompanii do gospody, wesoło się zabawiał do rana i wedle przyrzeczenia stawił się na Władysława drodze z pełnym kielichem w rękę. Za nim szło kilku innych dworzan również z kielichami w prawicach.

— Vivat marszałkowie upitski! — wołał ochryplym głosem idący przodem szlachcic, podnosząc kielich tak pełny, że wino wylewało się dokoła.

— Niech żyje! — wołali inni — dotrzyaliśmy przyrzeczenia! Vivat!

— Najlepszy to omen, mości Siciński.... — bełkotał przywódzca.

Ale Władysław ściągnął uzdę koniowi i cofnął się, jakby ze wstrętem. Nie odpowiadał nic.... z pogardą, ze złością niemal spoglądał na tę gromadę pijaną, która mu przyszła życzyć fortunnej podróży.... Zdawało mu się, że ten gruby, rozpasany szlachcic uragać zeń zamierza.

— Z drogi! — krzyknął, a równocześnie spał silnie konia i puścił się pędem, roztrącając pijaną gromadę.

Opasły szlachcic gębę rozwarł szeroko, chciał coś przemówić, ale Władysław mijając potracił go tak silnie, że kielich, do ust niesiony, wypadł mu z ręki, a on sam zatoczył się i całym ciężarem zwałił na ziemię.

Siciński popędził dalej a za nim pacholik, nie oglądając się na zdziwionych dworzan, którzy tego co się stało pojąć nie mogli. Wielkimi oczyma patrzyli za umykającymi. Gruby szlachcic z trudem podnosił się z ziemi i znów upadał, ocierając ręką zranioną w upadku twarz, z której krew ciekła strumieniem.... Chwilę nie mówił nic, bo go upadek oszołomił zupełnie; gębę jeno roztwierał, i oczy wytrzeszczał. —

— A to zdrajca... niepoń! — mruknął wreszcie niewyraźnie.

— Zakpił z nas syn jakiś!... — zawołali inni.

— A myśmy mu vivat krzyczeli — dodawali drudzy.

— Krzyczcie: pereat! — wrzasnął nagle gruby szlachcic, dźwignąwszy się już całkiem i twarz zwalaną krwią i prochem ukazując kompanom. — A to mię zdmuchnął jak świecę, ten wygładzony zausznik pański.... Pereat! krzyczcie mości panowie!... Krew moja, nie-



winnie przelana, niech spadnie na niego i jego potomstwo!

— Pereat! — zawołano chórem.

Krzyk ten doszedł uszu Sicińskiego, który mimowolnie zadrżał.... Zaciął konia i bez pamięci leciał dalej.

— Bodajesz przepadł!... — brzmiały zdaleka głosy.

— Dobry omen! — mruknął Władysław przez zaciśnięte zęby — przekleństwo biore na drogę....

I pędził dalej, coraz szybciej, jakby go co gnało.

Wyjechali za miasto. Siciński przystanął na wzgórku i spojrzał na niknącą w oddaleniu stolicę....

Szereg murów i dachów w dziwaczne połamanych kształty, zdawał się olbrzymią jakąś ruiną, okrytą poranną mgłą białą, z której wysterczały jeno kominy i wieżycy a którą pierwsze promienie wschodzącego słońca rumieniły nieco i rozpraszały zwolna. Na złotych krzyżach wieżyc kościelnych odbijały się jaskrawo te promienie i całą siłą rzucały się na wspaniałą kolumnę Zygmunta, którą pobożność synowska króla Władysława pamięci rodzica wzniosła. Do połowy mgłą jeszcze zasnuta, kolumna owa, niewidzialna od dołu, zdawała się wierzchołkiem swym wi-

sieć w powietrzu, a na tym wierzchołku powstać królewska z mieczem w prawicy i wielkim krzyżem w lewej dłoni, zarysowywała się na bladym błękicie nieba, jak zjawisko nadziemskie, wpośród mgły białej, wijącej się u podnóża i słonecznych blasków, padających z góry....

Siciński stał i patrzył w zamyśleniu na tę kolumnę i to miasto, w którym tyle lat życia mu zbiegło.... Koń jego, rozgrzany biegiem, parskał i niecierpliwie grzebał ziemię kopytem. Z dalszych okolic szli ku miastu zarobnicy i niewiasty wiejskie a mijając pięknego rycerza, pozdrawiali Imię Pańskie.

Władysław nie odpowiadał nic, jeno patrzył przed siebie nieruchomo. Wśród ciszy tego poranka dochodziła uszu jego stłumiona wrzawa tętentu koni, turkotu wozów i głosów ludzkich, podnosząca się z obudzonej do życia stolicy. W życiu tem, tak długo, a jeszcze przed chwilą i on brał udział; zdawać mu się mogło, że jest na coś przydatnym w tym powszechnym ruchu. A oto go nie stało, życie zaś to, jak fala rzeki spieniona, unosząca z sobą i wyrzucająca na brzeg kamienie, biegło dalej niewstrzymanym pędem. A któż na dnie rzeki ślad znajdzie, gdzie zabrakło jednego kamyczka? Któż w tem życiu gorączkowem o nim wspomni?... Chyba obumie-

rający Kazanowski obejrzy się za jego wierną usługą.... Halszka jak zmoreę odpędzać będzie wszelkie o nim wspomnienie; — w gwarze i wrzawie powszechnej ślad jego zaginie....

— Jeszcze ja im się przypomnę! — mruknął Siciński przez zaciśnięte zęby — jeszcze cała ta stolica imię moje powtarzać będzie jak hasło!...

Podniósł zuchwale głowę, zwrócił konia i spiąwszy go silnie ostrogą, dalej jak wicher popędził....

---

## XVI.

Na Ukrainie była cisza, jak przed burzą. Ostrowy dniewprowe zdawały się puste, kozactwo rozpierzchłe spało jeszcze, a Chmielnicki czy się krył, czy też, jak mówili niektórzy, do Krymu zbiegł, znaku życia nie dawał. Nadaremnie Siciński, przybywszy do Czerkas, rozsyłał za nim gońców na wszystkie strony — Bohdana nigdzie nie było.

Pan Kazanowski, starosta czerkaski, zle bardzo wyciągał ztąd wróżby.

— Chmiel knuje spiski — mówił — jak to niejednokrotnie sam Barabasz twierdził. Niema innej rady, jeno bez Chmielnickiego się układać, rejestrowych i tych co są wierni, kozaków, zebrać i z nimi w porozumienie wejść, aby z nich siłę przeciw Bohdanowi uzyskać.

Tak też uczyniono. Wezwano Barabasza i innych wiernych asawułów i sotników i z nimi rozpoczęto układy. Rokowania te wszakże do żadnego rezultatu doprowadzić

nie mogły. Imię Chmielnickiego rzucało postrach na całą Ukrainę, nikt bez niego stanowczych przyrzeczeń czynić nie chciał. Obiecywano wprawdzie wierność Królowi, przyjmowano chętnie przyrzeczenie naprawy krzywd, podnoszono skwapliwie żale i skargi, ale gdy p. Kazanowski i Siciński, okazując polecenia królewskie, chcieli do stanowczych przystąpić układów, każdy się wahał, zasłaniając się, jako Chmielnickiego niema a bez niego żaden układ mocy mieć nie może.

Nawet stary ataman Barabasz, o ile dawniej stanowczym się okazywał i zdawał się Chmielnickiego nie lękać, o tyle od czasu swojej na ostrowie bytności, kiedy go Bohdan do niepamięci spoił, stał się chwiejnym, niepewnym i jakby zastraszonym.

Niezbadana troska padła od tego momentu na duszę wiernego atamana, że się postarzał z tego frasunku i zdawał się własnego obawiać cienia. Przyzwany do Czerkas, kiedy go Siciński naglił, aby szczerze wyznał, żali na wierność kozaków liczyć było można i żali Chmielnickiego knowania nie ogarnęły ich wszystkich — Barabasz milczał długo, smutnie pochyliwszy siwowłosą głowę na piersi, a potem głosem stłumionym, jakby lękając się, aby słyszonym nie był, rzekł:

— Ano, co ja wiem! Czuję jeno, że i mnie wkrótce nędzną moją głowę położyć tu przyjdzie.... dokoła zdrada, szept, spiski.... Ostrowy dniewprowe puste.... mówicie! Ale niech-no słońce wiosenne przygrzeje, lody i śniegi stopnieją!... I teraz w noc pogodną, wyjdźcie-no na stepy i pustynie, w uroczyska i jary.... Jak mrowia tam buntowników....

— Ale skoro to wiecie, mości atamanie — przerwał Siciński, którego tajemnicza mowa Barabasa niepomalu przelekła — skoro wiecie o zdrajcach, to czemuż ich nam nie wydacie, jeśliście sami wierni?...

— Jam wierny! — zawołał stary ataman, pięścią uderzając się w piersi — tyle lat byłem wierny Królowi i Rzpltej i takim zgine.... Dlatego to za mną chodzą szpiegi, jak cienie.... Może dziś, jak ztąd wyjdę, zabiją.... Mówicie, wydać wam zdrajców? A któż ich przeliczy? Może wszyscy.... a teraz jeszcze nikt. Czekają znaku....

— A rejestrowcy? — zagadnął Władysław.

Barabasz ręką machnął.

— Teraz są wierni — a kiedy Chmielnicki raz okaże się zwycięzcą, pójdą za nim.... za siłą!...

— Więc jakaż rada wasza?.... — spytał jeszcze Siciński.

Barabasz wstał. Jego twarz znędzniała i zmarszczkami starości okryta, miała wyraz głębokiego smutku.... Na zapytanie Władysława od razu odpowiedzi nie dał; gładził ręką brodę siwą i patrzył długo chmurnemi oczyma.

— Jaka rada? — powtórzył — jaka rada?...

I znów milczał. W jego duszy widoczna toczyła się walka. On jeden niezawodnie, znający dobrze kozactwo i kraj cały, domyślający się spisków i jaką szły drogą, domyślający się planów i nadziei Bohdana, on jeden, mógł dać może radę skuteczną. Ale rada ta, miała wydać całą Ukrainę na pomstę, przeciw zbuntowanemu kozactwu postawić całą potęgę Rzeczypospolitej, zniszczyć kozaczyznę, skazać na śmierć pewną tysiące tych, z którymi stary ataman duszą i krwią był zrosły.

— Zatem mówcie! — naglił Siciński — Jaka rada?

Barabasz wstrząsnął się całym ciałem. Szeroką dłonią potarł czoło — w jego oczach smętnych, znużonych, przelotne zapalały się błyski i wnet gasły.... Zbliżył się do Władysława i szepnął:

— Wasz trud daremny.... Nie zrobicie teraz nic bez Chmielnickiego, a jego niema....

— Gdzież jest?.... żali prawda, że w Krymie?



— Tak! — potwierdził Barabasza. — Z Tatarami układy zawiera. Moc niezliczoną ordy tu sprowadza.... A wyście nie gotowi!... Cóż znaczy garstka choćby wiernych rejestrowców przeciw takiej potędze?...

I mówił dalej głosem coraz bardziej stłumionym, chrypliwym, który mu z trudnością wydobywał się z piersi....

— Wszyscy pójdą za nim!... za Bohdanem... oprócz tych, których za wierność wam, wymordować każe.... Dajcie znać Najjaśniejszemu Królowi.... niech wielką armię gotuje co rychlej... natychmiast!

— Przecież — przerwał Władysław, pragnąc uspokoić obawy, które głos Barabasz w nim mimowolnie wzniecał — przecież hetmanowie Potocki, Kalinowski, gotowi są.... mają wojsko....

Barabasza się zaśmiał.

— Garstka to jest nikczemna, — odparł. — Z nią niech nie rozpoczynają, bo zginą marnie wszyscy.... Wiem, że hetman Potocki skory jest, aby z tą garstką uderzyć — niech tego nie czyni, bo śmierć pewna.... klęska okropna! Jedźcie panie! — dodał niemal błagalnie, zwracając się ku Władysławowi — jedźcie natychmiast na Umań, do Kalinowskiego.... Powiedzcie jemu i Potockiemu, coście odemnie słyszeli.... Niech się nie wazą wojny zaczynać,

sami, bez siły wielkiej.... Niech próbują raz jeszcze układów gdy Chmielnicki wróci.... niech przyrzekną wiele i dotrzymają, a niech przynajmniej zwłóczą tak, aby wojsko całej Rzeczypospolitej miało czas tu przybyć.... Chmielnicki posiadał potężne hasło.... które....

Nagle urwał i głowę pochylił na piersi, a potem zbliżając się ku Kazanowskiemu, rzekł z pośpiechem:

— Żegnajcie panie! a nie zniewalajcie, abym mówił jeszcze. Ciężko na swoich śmierci przyzywać.... Dusza się rwie.... ano jam wierny.... musiałem rzec i powiedziałem wszystko!... Żegnajcie, panie....

To rzekłszy, zwrócił się spieszenie ku drzwiom i chciał już wychodzić, lecz go Władysław wstrzymał jeszcze.

— Jakież to jest hasło o którym mówicie, że je Chmielnicki posiadał?

Ataman spojrzał nań mętnemi oczyma.

— Hasło.... hasło.... — powtórzył. — Gdy Chmielnicki wróci, starajcie się go schwytać.... koniecznie — choćby podstępem. On ma w rękę listy ważne, które mu do zbuntowania innych służą....

— A kiedyż on wróci? — zagadnął Władysław.

— Może dziś.... może jutro.... lada dzień — odrzekł ataman. — Wiosna niedaleko... spie-

sście się, bo może być zapóźno.... Jedźcie niezwłocznie na Umań i powiedzcie hetmanom, aby się na baczości mieli a nie poczynali nic teraz.... niech próbują jeszcze rokowań.... Przyszłą wam wiernego kozaka, który zna pewne drogi.... on was zawiedzie.

Z temi słowy ataman wyszedł, a raczej wybiegł, jakby chciał co rychlej skończyć tę rozmowę. Kazanowski i Siciński pozostawszy sami, długą chwilę milczeli, spoglądając na siebie w niemem przerażeniu.

Pierwszy Władysław przemówił:

— Ten ataman stary jest, zniedołężniały, a tak zalękniony, iż snadnie przesadza niebezpieczeństwo.... O jakichś listach mówi.... o jakimś haśle — zgoła oszalał.

Starosta czerkaski patrzył w zamyśleniu przed siebie.

— Być może.... — odparł. — Ale to wiem, iż słowa jego potwierdzają jeno to, co moja dusza dawno przeczuwa. Tu jest teraz takie powietrze, które dusi.... nie ma chmur jeszcze, a czujesz, że lada moment grom padnie i burza rozszałeje. Hetmanowie tylko tego nie widzą. Oto szlą mi rozkazy, abym się gotował; — także polecenia otrzymali pewno wszyscy starostowie ukraińscy; z wiosną chcą wszczynać robotę.... a tymczasem Chmiel orędy przyzywa.... Mnie się widzi, jako najlepiej

jest słuchać consilium Barabasza.... Jedź wacpan do hetmanów i odnieś im jego słowa, a potem relację zdać trzeba Królowi, który teraz na Litwie jest....

Gdy tych słów pan Kazanowski domawiał, do komnaty wszedł kozak, kłaniając się kornie.

Dziwna to była postać. Ubiór prosty, wyszarzany, kozacki, zwisał na nim niekształtnie, tak człek ów był chudy; oblicze poryte zmarszczkami, wymizerowane było, zczerniałe, jeno oczy błyszczące, w głąb zapadnięte, ożywiały je, rzucając przenikliwe spojrzenia, które teraz w twarzy Sicińskiego upornie utkwiły.

— Ataman Barabasz przysłał mnie do Waszej Miłości — rzekł kozak po polsku — mam pono do Umania iść, czy też kogo prowadzić....

— Dobrze zrobił ataman — odparł Kazanowski — że ciebie przeznaczył; możesz być pewien, mości Siciński, iż cię ten kozak bezpiecznie zawiedzie.

Na nazwisko Sicińskiego, kozak ów drgnął i cofnął się ku drzwiom ale wnet miarkując się:

— Wolalbym, panie starosto — rzekł spokojnym ale głucho brzmiącym głosem — tu zostać i śledzić Chmielnickiego powrotu....

wszakże i inni rejestrowcy do Umania trafiają....  
droga niedaleka....

Kazanowski z pewnem zdziwieniem spoj-  
rzał na kozaka, nie było bowiem wypadku, aby  
on kiedykolwiek jakie obserwacye czynił przy  
spełnianiu rozkazów.

— Chmielnicki — odparł — pono nie tak  
rychło wróci.... a potrzeba koniecznie, aby pan  
Siciński co rychlej do Umania, najkrótszą i naj-  
bezpieczniejszą drogą do hetmanów dotarł....  
Drogi nie zbyt teraz pewne, bihunów i bur-  
łaków włości się co niemiara.... ty Fedorze  
wszystkie ścieżki znasz dobrze, najlepiej ze  
wszystkich..... Jutro rano wyruszyście a trzeba  
żebyście wzięli pachołków kilku dobrze uzbro-  
jonych.

— Nie trzeba — przerwał żywo kozak. —  
Spokój wszędzie, doprowadzę pana Sicińskiego  
bezpiecznie....

Nazwisko to wymówił kozak z naciskiem,  
zwolna, jakby z trudnością przechodziło mu  
przez gardło.

— Jutro rano, na świtaniu, wszystko bę-  
dzie gotowe.... Ostańcie z Bogiem!

To rzekłszy skłonił się i wyszedł, rzuciwszy  
raz jeszcze przenikliwe na Władysława spojrze-  
nie, które go do żywego tknęło.

— Jakaś niepewna persona, ten kozak — rzekł do Kazanowskiego po wyjściu Fedora — źle mu z oczu patrzy...

— Co też waść gadasz! — zawołał Kazanowski. — Jest to człek dziwny ale poświęcenia i wierności niewzruszonej. Nie jest on wcale z urodzenia kozakiem, przybył przed kilku laty jako pielgrzym. Przebiegł całą Ukrainę wzdłuż i wszerz z sakwą żebraczą na plecach a słowem pobożnem na uściech. Wiele on dobrego uczynił, wiele niesprawiedliwości i gwałtów powstrzymał i przez kozaków nawet był szanowany.... Ale kiedy zaczęły się niepokoje z Chmielnickim i gdy ten na ostrowy zbiegł dniewprowe a spiski począł knować, pielgrzym ów poświęcił się, aby te spiski odkrywać i tamować.... Był on też nam wielce pomocnym, ale kozacy już go podejrzywać zaczęli i raz złowiwszy omal nie zamordowali, że istnym cudem ocalał. Przywiedzony bowiem do Chmielnickiego tak wzruszył jego serce swoją wymową, że ten dziki człek sam uwolnić go kazał.

— A jakże się ów pielgrzym w kozaka przedzierzgnął? — spytał Władysław.

— Z własnej woli i na instancję Barabasza — odrzekł Kazanowski — któremu życie salwował, gdy jeden mściwy pół-kozak, pół-tatar, podstępnie zamordować go chciał....

Już się podówczas zaczęły i między rejestrowymi ukazywać zdrady. Pielgrzyma długi czas na Ukrainie nie było, aż raz pojawił się u mnie i rzekł:

— Potrzeba rejestrowcom takiego towarzysza, któryby ich życie znał, ich językiem mówić umiał, grube obyczaje dzielił a serce miał w piersi wierne i zapal w duszy szczery, aby ich zagrzać, gdyby bunt Chmiela i do nich dochodziły.... Czuję, jako w kozackiej burce lepiej się teraz przydam niżli z sakwą pielgrzymią. Zapiszcie mnie do rejestru: będę wiernym kozakiem a łatwiej mi będzie z blizka wszystko dojrzeć i w czas złemu zapobiedz. Uczyniłem jak żądał a nie było to wcale rzeczą trudną, ile że między rejestrowcami nie mało jest szlachty polskiej i litewskiej.

— Więc ten kozak szlachcicem jest?... — zagadnął Władysław.

— Z Litwy pochodzi -- odrzekł starosta — i nazwisko nosi dobre, szlacheckie, ale gdym je zapisać chciał do rejestru, on ze łzami niemal mię błagał, abym je pominął lub raczej zmienił na inne o prawdziwym zapomniawszy. Nazwał się Fedor Bezimia, jakby tem zaznaczyć chciał, iż właściwego nazwiska się wyrzekł....

— Nie piękne historye musiał on za sobą w Litwie zostawić, skoro tak się własne-



go nazwiska lęka.... — zauważył Siciński. A powiedzieź mi, mości starosto, jak się nazywa?

— Uczynić tego nie mogę — stanowczo odparł Kazanowski — przysiągłem mu, jako go nie zdradzę.... zresztą co wam po tem nazwisku, skoro go nie znacie.

Siciński zamyślił się chmurno.

— Kto wie.... — ozwał się po chwili — żali go nie znam? Patrzył na mnie ten dziwny kozak tak przenikliwie, jakby mię na wskrós przejrzeć chciał....

— Temu się nie dziwujcie — przerwał starosta. — Żywot, jaki ten człowiek od lat wielu prowadzi, uczynił go nieufnym, podejrzliwym a zagłębionym w siebie, że czasem szaleńcem się zdaje. Są takie dni, w których Fedor Bezimia nie przemówi ani słowa, jeno klęczy, modli się i w piersi się bije, jak pokutnik. To znów zrywa się i w świat idzie, na Niż, na ostrowy, na stepy....

— A jakąż on służbę pełni?

— Ataman Barabasz ma go pod swemi rozkazami a Fedor spełnia je wszystkie najwierniej. Wśród rejestrowców i w ogóle na Zaporozu wielki wpływ uzyskał, czasem jedno jego słowo uśmierzało bunt.... jedni mają go za szaleńca, drudzy za czarodzieja, inni za świętego, który z niebios natchnienie ma....

a wszyscy go słuchają.... Za jego usługi, chcieliśmy mu wyższy stopień w wojsku zaporozkiem dać — ale nie chciał: Zostanę prostym kozakiem, — rzekł, tak mi jest najlepiej....

— To jakiś zbrodzień być musi.... — ozwał się Siciński — którego sumienie gryzie, więc się niby poświeca i pokutuje, dopóki go złość znów kiedyś nie porwie ku nowej zbrodni.... W oczach ma szkaradne błyski....

Kazanowski się zaśmiał.

— Takby się zdawało, — rzekł — jakbyście się lękali z nim jechać.... Ano, zaręczyć wam mogę, iż Fedor Bezimia sam raczej zginie, niżby wam zginąć dał, skoro polecenie ma bezpiecznie was doprowadzić.

— Wyznam prawdę — odrzekł Władysław — iż nie chciałbym tu marnie zginąć z ręki jakiego opryszka i dlatego swoją kompanię wezmę....

— Czyńcie jak chcecie — odparł Kazanowski — ale mi się to widzi rzeczą wcale zbytęzną.... za Fedora ręczę....

I na tem się ta rozmowa skończyła, a nazajutrz skoro świtać zaczęło, Władysław wyjeżdżał z Czerkas z Fedorem Bezimia i całą kompanią swoją z kilkunastu jeźdźców złożoną.

Fedor z wielką niechęcią patrzył na ten orszak.

— A na co Waszej Miłości — rzekł zbliżając się do Władysława — taka kompania liczna?

— Zawždy bezpieczniejsze.... — odparł Władysław, nieco zmieszany, unikając spojrzenia kozaka, które go nawskróś przenikało.

Po zmarszczonej twarzy kozaka przebiegł jakiś niewyraźny uśmiech.

— Bez potrzeby się lękacie — rzekł zwolna. — Teraz wszędy spokój.... Chmiel nakazał, aby cicho było na stepach, ostrowach i wodach dniewprowych.... A z taką liczną kompanią ciężko jest przez stepowe pustynie się przedzierać, bo to ludzie nie nawykli do takich podróży i obyczajów nieświadomi.... Lada czego się zląkną lub obruszą, czem najłatwiej i do nieszczęścia przyjść, gdybyśmy jaką kozacką kompanię spotkali, z którą towarzysze Waszej Miłości gadać nie potrafią.... Ale czyńcie, jak uważacie....

I pojechali. Kozak prowadził znanymi sobie ubocznymi drogami, które były dalsze niż zwykła droga do Umania wiodąca, ale za to, jak twierdził Fedor, pewniejsza. Podróż jakkolwiek niezbyt daleka, była uciążliwą, bo na stepach śniegi jeszcze leżały wielkie; jak okiem zasięgnąć, rozścielało się jedno olbrzymie morze tego śniegu, w który konie nieraz głęboko zapadały. Powierzchnia jego pokryta

cienką warstwą lodową, szklila się i tajała w słońca promieniach, z głuchym łoskotem łamiąc się pod kopytami końskimi. A na tej równej, białej powierzchni, wygładzonej i poły-skującej, daremnie oko szukało jakiego przedmiotu, na którymby spocząć mogło. Gdzienie-gdzie tylko mogiła nie wielka wyrastała z pod śniegu, a w oddali ciemniały lasy w okolicach Umania.

— Pusty, smutny kraj! — ozwał się Władysław, gdy już czas długi jechali w milczeniu.

— Ale do niego, — odparł kozak — serce tak nawyka, że potem wiecześnie tęskni po nim. Gdybyście wy, panie, widzieli ten step na wiosnę! gdy ta niezmierna pustynia trawą bujną a różno-kolorowemi burzany zarośnie, gdy w blaskach rannego słońca, brylantami roziskrzy się na nich rosa, gdy wieher gdzieś od dniewnych porohów jęcząc i szumiąc pójdzie po tym stepie, po wysokich kurhanach a trawach, ku mogiłom a kureniom kozackim, gdy miliony ptactwa i owadów skrzydlatych napęlnią powietrze świegotem — to się wówczas patrząc na to a słuchając, dusza podnosi ku niebiosom, które zdają się bliższe tej cudownej ziemi!... Tu nieba ani słońca nie zasłania góra, nie zaciemnia las, jeno czasem chmury groźne je pokryją, a wówczas wśród

gromów, które nieskończonem toczą się echem po stepie, niebiosą rozdzierają się z krańca w kraniec, ziejąc ogniem, jak czeluście piekielne.... A w nocy! Na stepie tym zrywają się jakieś dziwne odgłosy, których ucho ludzkie nigdzie nie usłyszy; błędzą cienie jakieś, lub przezroczyste mgły białe jak duchy, to znów ogniki to błękitne, to czerwone, skaczą, nikną i znów pobłyskują wśród cieniów... Tu inaczej niż gdzieindziej, jaśniej, promienniej świeci słońce, inaczej xiężyc i gwiazdy się iskrzą, tu inaczej ptactwo śpiewa, swobodne, rozkoszne — tu powietrze inne, które upaja, woda czystsza, która orzeźwia — inaczej też czuje pierś człowieka, szerzej oddychając, serce czuje się wolnem, myśli bujne rosną, jak kwiaty na stepach....

Władysław z najwyższym podziwem patrzył na twarz kozaka, która niezwykłym promieniała zachwytem. Jechał ze wzrokiem utkwionym przed siebie; oblicze jego, które przed chwilą wydawało się Sicińskiemu zmizerowaniem i starem, teraz odmłodziła zachwytem; nozdrza mu się rozszerzały, pierś oddychała głęboko; pochylony naprzód, kozak zdawał się lecieć w przestrzeń, unoszony ową myślą bujną, która mu duszę napełniała.... Zamilkł i pół otwartemi usty pił czyste powietrze stepowe. Z pod wysokiej czapki ko-

zackiej wymykały się długie, siwiejące już włosy, które wiatr szarpał.

Więcej niż kiedykolwiek wydał się Sicińskiemu szalonym ten człowiek, a zarazem zdjął go ciekawość zbadania jego przeszłości. W wyrazie twarzy i głosie tego kozaka, było coś, co mu jakieś dalekie, bardzo dalekie wspomnienie obudzało w duszy. Chwilami zdawało mu się, że on ten głos stłumiony kędyś słyszał i widział podobne rysy, chude, zmizerowane, ponure....

— To dziwna — ozwał się po chwili Siciński — żeście wy tak ten kraj pustynny umiłowali.... Mówił mi p. Kazanowski, że pochodzicie z Litwy i że burkę kozacką od niedawna nosicie.... jeno waszego dawnego nazwiska powiedzieć nie chciał.

Kozak zachnął się i konia ściągnął niecierpliwą ręką, bystre rzucając na Władysława spojrzenie.

— Pan Kazanowski wam to mówił — ozwał się głucho. — A na co? Zwę się teraz Fedor Bezimia i jestem kozakiem....

— A do Litwy wam nie tęskno?... — zagadnął Władysław.

— Do Litwy.... — powtórzył Fedor z dziwnem brzmieniem w głosie. — Do macierzy to człek tęskni wiek swój cały — ale ta Ukraina to jest kochanka, przy której zapomina się

o wszystkim.... Zresztą, co to o tem gadać.... —  
Ręką machnął i zamilkł.

Podróż była nużąca i trwała długo. Konie zmęczone szły noga za nogą, kopiąc się w śniegu wilgotnym. Powietrze było niemal ciepłe, miało chwilami powiewy wiosenne. Słońce zniżało się już ku zachodowi; niebo bez chmur, przejrzyste, rozścielało się po nad stepem jak namiot jasno-błękitny i łączyło z nim u krańców, kędy oko dostrzegało jakby plamy ciemne, gęsto rozsiane na białym całunie śniegu.

— Już widmo Uman.... — rzekł Fedor. —  
Przed pięćdziesięciu niespełna laty nie było tu nic.... step pustynny. Teraz powstało wielkie miasto, założone przez Kalinowskiego, rodzica pana hetmana polnego. Dokoła osady, kurenie kozackie.... W mieście handlują grecy, żydzi, ormianie, a w kureniach żyje lud bitny, rycerski, przez pana hetmana pięknie wyćwiczony.... Widzicie panie te czarne, niby chmury wielkie na niebie, rysujące się kształty, to baszty hetmańskiego zamku. Zamek mocny i strzeżony dobrze. A teraz widzicie jak w promieniach słońca, bliżej nas, połyskuje rzeka Uman-ka, a tam dalej Konełka, Siniucha, Jatrań.... Opływają żyzne łąny, bujne stepy i biegną aż do Bohu....



— To już niedaleko Umań? — zapytał Siciński.

— Niedaleko widać a daleko dybać.... — odparł Fedor. — Tu coraz częściej spotykając będziemy kurenie, nowe osady kozackie.... Ot, tu widzicie na prawo i na lewo — ciemnieją na śniegu.... widać drzewa bezlistne i ogrodzenia i wały a wśród nich jak mogiły wystrzelają kurenie.

Nagle urwał i podniósł się na koniu, nasłuchując....

Zdała dało się słyszeć przeciągłe, przenikliwe gwizdanie, zrazu jedno, potem bliżej drugie i trzecie.... Na to odpowiedziało inne gwizdanie z przeciwnej strony, a wreszcie ze stron wszystkich ozwały się takie same głosy, wydobywające się jakby z pod ziemi, przenikliwe, świdrujące w uszach. Po całym stepie szło jedno brzmienie, a czasem okrzyk długi, posępny:

— Hej!... hej!... hej!...

Siciński mimowolnie zalekniony, oglądał się dokoła, a Fedor słuchał z pół otwartymi ustami, z wyraźnem zdziwieniem na twarzy....

Gwizdania umilkły, ale jakby obudzony niemi zerwał się szum gwałtownego wichru. Zrazu daleki, stłumiony, potem coraz silniejszy, zdawał się grzmotem, który ziemię poruszał, bo drżała. Wreszcie najwyraźniej dał

się słyszeć tętent tak mocny, jakby cała armia jezdna biegła.

— Stójmy! — zawołał Fedor — spłoszone gwizdaniem tabuny pędzą....

Przystanęli tedy, skierowując wzrok w tę stronę, z kąd ów tętent pochodził i kędy podnosiły się teraz tumany śniegu, rwane kopytami, jak mgłą okrywając biegnące w dzikim pośpiechu stado koni stepowych. W oddali, w szalonym pędzie, zdawały się one jedną olbrzymią bestyą o głów niezliczonem mnóstwie, grzywach rozwianych, tysiącu rozpłomienionych oczach i nozdrzach rozdętych, które wraz z gwałtownym oddechem, jakby iskry wyrzucały ogniste. Przeleciało stado spłoszone, jak burza, poprzędzane i gonione wichrem gwałtownym, wśród szumu, tętentu i huku, który cichł zwolna. Jeszcze długo słychać było parskanie i miarowy oddech zaleknionego stada, który poruszał powietrze, jeszcze długo ziemia drżała od nacisku kopyt — aż wreszcie ucichło wszystko....

Siciński zalekniony stał ciągle w miejscu; koń jego niespokojny rwał się i parzał głośno.... Fedor się zaśmiał.

— Ano — rzekł, — jedźmy dalej.... Przeleciały tabuny, — spłoszyły się gwizdaniem a i wicher ich nie dogoni.... piękne bestye!

— Ja tam nie wiem, czy piękne — odparł Władysław, — ale dzikie i straszne... a cóż to gwizdanie znaczy?

— Co znaczy? — powtórzył Fedor nagle zamysłony. — Hasła jakieś idą od kurenia do kurenia.... jeno jakie, nie wiem.... może Chmiel wrócił....

Pojechali dalej w posępnem milczeniu. Cisza zupełna zaległa; step ożywiony na chwilę, opustoszał znowu, jeno czarne dymy podnoszące się z kurenia, szły w górę i rozpływały się w powietrzu smugami, świadcząc o ludzkich mieszkaniach.

Zbliżano się do osad kozackich. Wśród drzew widniały chaty nędzne, kurenie i szalasy ziemią z wierzchu narzucone. Słońce już zaszło i zmierzch zapadał zwolna.... widoczne przed chwilą baszty umańskiego zamku znikły w ciemnościach, a jeno zdala, jak żałobna wstęga u krańców widnokregu, czerniał Umań, ku któremu z upragnieniem dążył Siciński, bo mu na tym stepie pustynnym, wśród tych kurenia, które jak mogiły wyglądały, coraz zdawało się straszniej. Brzmiał mu jeszcze w uszach tętent dzikiego stada i owe przeciągłe gwizdania i ponure okrzyki, jak hasła tajemniczo wydawane.... Zdawało mu się, że lada moment zerwie się z ziemi, z za

tych mogił, cała armia dzikich opryszków — i trwożnie oglądał się za siebie....

Fedor jechał obok niego milczący i zamyślony ponuro.

— Wiecie co? panie — ozwał się nagle. — Ja was do Umania nie doprowadzę, jeno do futoru pana Sołłohuba, który tu blisko. Ztamtąd to was sam p. Sołłohub chętnie do umańskiego zamku zawiedzie.... a mnie wracać pora.... Owe gwizdania i krzyki na stepach dziwne są.... muszę zbadać co znaczą, a może niebawem ważne nowiny i wam przyniosę....

Nazwisko wymówione przez kozaka, niepomalu zdziwiło Władysława.

— Sołłohub? — powtórzył. — Z Litwy może?

— A z Litwy — odrzekł Fedor, — brat rodzony tego, który pod Upitą mieszka....

— Jakimże sposobem on aż tu zawędrował? — spytał Siciński.

— Ano, rozkosz nie zapędziła go tutaj, to pewnie, o przyczynach zaś, on sam Waszej Miłości rozpowie, bo człek jest szczery a do zwierzeń skłonny. Zakupił tu on wielkie obszary i mówią jako znaczną fortunę ma, chociaż żyje skromnie i samotnie, przyjąwszy obyczaj kozacki. Miłują go tu wszyscy, bo dobry jest, jeno go teraz jakaś zaduma napa-

dła, snadź do Litwy tęsknota, iż pono panu Kalinowskiemu wszystką posiadłość swoją odprzedać chce, aby na rodzinną ziemię wrócić....

Zbliżali się teraz do jakiejś snadź ludnej osady, bo chat tu było wiele, znacznie porządniejszych niż owe szałas i kurenie wśród stepu. Każda z nich otoczona drzewami i ogrodzeniem porządnem świadczyła o za-  
możności mieszkańców. Spotykali też na drodze włościan schludnie odzianych, w sukmanach długich i wysokich czapkach kozackich, którzy kłaniali się jadącym, uprzejmie pozdrawiając.

Fedor zbliżył się nagle do Władysława.

— To — rzekł — włość pana Sollohuba. Mieszka tu od lat wielu, z ludem tym się zbratał, dzieli ich dołę i niedołę, toż go wszyscy kochają jak ojca.... Gdyby ci co tu przychodzą, wszyscy byli tacy! gdyby nie Czaplińscy i podstarościowie pańscy, którzy jeno swego dobra patrzą.... nie zrobiłby nie Chmiel nawet z Tatarami.... Ano, przychodzą tu ludzie chciwi zdobyczy, bez sumienia i wiary, wywołańce a zbiegi, żyją krzywdą a grabieżą — a wszystko co czynią, spada na całą powszechność.... Prosty człek jestem, ale tak mi się zda, że gdyby nie Czapliński, nie byłoby Chmiela, gdyby nie owi wywołańce,

którzy tu zewsząd zbiegają, fortuny szukając, nie byłoby wierniejszego ludu, jak ten ukraiński, nie byłoby lepszej armii jak kozacka.... Ano, teraz zapóźno. Przypatrzcie się tu dobrze wszystkiemu, mości Siciński, a powiedzcie sumienną prawdę panom hetmanom. Powiedźcie im, żeście wśród stepu, koło Sinej wody i mogiły Soroki słyszeli hasła, gwizdania i okrzyki, którymi kozactwo się zwołuje.

Zamilkł a potem nagle przysuwając się z koniem jeszcze bliżej do Władysława, dorzucił szeptem:

— Wyście tu przybyli jako poseł królewski.... nie znający ani sprawy, ani ludzi — toż wam powiem krótko: sprawa jest trudna a ludzie, którzy na czele stoją, widzieć tego nie chcą.... Kasztelan krakowski, hetman koronny Potocki, nadto wielki pan, aby do niego doszły owe gwizdania i hasła, odzywające się po stepach.... On sądzi, jako zniszczył kozaków, wolność im biorąc, on myśli, jako z małą garstką wojska poradzi im, choćby się i zerwali do buntu, ano, to powiedźcie mu, panie, niech się nie porywa, bo zginie....

Siciński z podziwem spojrzał na twarz Fedora, który mówił to głosem przejmującym, w uniesieniu, a takimi słowy, które w ustach prostego kozaka brzmiały dziwnie.

— Barabasz mu tak mówić kazał.... — pomyślał.

— A zkadże ty to wiesz? — zapytał głośno, z nieufnością nań spoglądając.

— Zkąd wiem? — powtórzył Fedor. — Wiem ja wiele rzeczy, bo chodzę po świecie nie od wczora.... Wiem ja i o was, mości Si-ciński, bardzo dużo....

I nie dając przerwać Władysławowi, który się niecierpliwie zachnął, mówił dalej pośpiesznie, urywanymi wyrazy:

— Jeżeli jeno chcecie spełnić dobrze poselstwo, to należy wam nie myśleć o sobie, o własnej korzyści a działać dla powszechnego pożytku.... Hetman Potocki będzie od was żądał, byście to do Króla pisali, co on jeno zechce, byście żadnem słowem jego nie przeszkadzali zamiarom. A Barabasz to już wam rzekł i ja powtarzam: Potocki niech się cofnie z Ukrainy, bo małą swą siłą rozdrażni jeno kozactwo i przyspieszy bunt.... więc niech się cofnie, stanie u granic i albo wszelkiego działania zaniecha, kozactwu dawne wolności wracając — albo niech czeka od Króla posiłków i z całą potęgą niech uderzy, by Chmielnickiego całkowicie zgnieść.... Te są dwie drogi, aby klęski uniknąć.... ta, którą Potocki chce iść, do zguby prowadzi.... Więc wam potrzeba przeciw niemu powstać i Kró-

lowi otworzyć oczy, jako na tych stepach zbiera się burza ogromna.... Z hetmanem nie łatwa walka, to pewna, a czyniąc tak, jako wam powiadam, narazicie się mu srodze, lecz spełnicie powinność świętą, odkupicie wszystkie dawne winy i grzechy!...

Siciński gniewną ręką szarpnął konia, który przystanął. O jakich winach dawnych mówił ten kozak, którego twarz pochmurna, groźna, patrzyła nań przenikliwemi oczyma, palącemi się ogniem wewnętrznego zapалу?

— Ktoś ty jest? — spytał mimowoli.

— Ktom ja jest?... — powtórzył kozak głucho. — A na co wam to wiedzieć?... Żali widząc liść zeschły, walający się w kurzawie, pyta kto, na jakim on drzewie wyrósł?... Pomnijcie jeno o tych słowach, które wam mówię.... pomnijcie, że nie o żywot jednego człowieka tu idzie, jeno o setki, tysiące ofiar.... Więc się nie wahajcie przeciw Potockiemu stanąć, nie wahajcie się mówić i jemu i Królowi prawdy, choćby was to narazić miało — a spełnicie dobrze wasze poselstwo, które wam zatrata lub odkupieniem być może....

W coraz większem pomieszaniu słuchał Władysław słów tych, które mimowolnym lękiem go przejmowały.... Spojrzał na twarz Fedora i zadrżał. Te oczy zapadłe a świejące



się dziko, ta twarz zczerniała a chuda, głos, wydobywający się głucho z głębi piersi, przypomniwały mu nagle inne oblicze, zasnute już mgłą dalekiej przeszłości, które wszakże ukazywało mu się czasem w snach gorączkowych. Zwłaszcza głos Fedora odbił się w duszy okropnem echem....

I nagle, jak błyskawica, przemknęła mu przed okiem ta chwila, gdy stary Wodźbun, do więzień prowadzony, rzekł mu niemal to samo, co teraz ów kozak:

— Za mało ci będzie jednego człowieka.... Wydasz całe mnóstwo, cały naród na pastwę!...

— Jedźmy!... — ozwał się Fedor, wysuwając się naprzód, — już późno, a ja muszę na-  
zad do Czerkas....

Jechali dalej w milczeniu, aż ukazało się przed nimi duże wśród drzew dworzysko, ogrodzeniem zamknięte. U kołowrotu stał średniego wzrostu starzec, z długą siwą brodą, w prostą wieśniaczą sukmanę odziany, w baraniej czapce na głowie, z pod której białe jak mleko włosy na ramiona mu spadały. Wyglądał poważnie jak patriarcha, a małemi, żywemi oczyma patrzył przenikliwie, z pod brwi gęstych i siwych na zbliżającą się kompanię.

Fedor jeszcze raz przysunął się ku Władysławowi.

— Pomnijcie — szepnął, — com wam rzekł. — Mówić wam tu będą inaczej, alem ja najbliższy tych spraw, więc znam je najlepiej.... Niebawem znów tu przybędę, a powiem wam może więcej, byście Królowi donieśli.... Jeno zachowajcie o tem milczenie, by hetman nie wiedział. Powiem wam wszystko, a gdybyście mnie wydali, to nie mnie jednego zdradzicie....

Urwał i nie dając Sicińskiemu czasu do odpowiedzi, poskoczył ku stojącemu u kołowrotu starcowi.

— Sława Bohu, bat'ku! — zawołał.

— Na wiki sława! — odparł starzec i wpatrując się w twarz kozaka:

— A, to ty, Fedor — rzekł, — a zwidki?

— Od Czerkas, bat'ku.... gości wam prowadzę od p. Kazanowskiego — i nachylając się do ucha starca, dodał z cicha:

— Jestto goniec królewski imćp. Siciński z Litwy.... dąży do hetmanów, przywiózł zgodę, obietnice różne, ano, zda się wszystko zapóźno....

Starzec słuchał i wciąż upornie patrzył w twarz Władysława, której wśród zmierzchu dobrze dostrzedz nie mógł.

— Siciński — szeptał, — Siciński.... znam to nazwisko!

I wnet rzucił się skwapliwie, kołowrot otworzył a wyszedłszy na drogę, kędy Władysław czekał z kompanią swoją, powitał go uprzejmie, prosząc, aby wszedł do dworzyska i przedstawiając mu się jako pan tej włości, Paweł Sołłohub.

Dworzysko było duże ale wewnętrznem urządzeniem prawie niczem nie różniące się od zwykłych chat lub kureni kozackich. Podzielone było na dwie części wielką sienią; po prawej stronie izba czeladna i piec wielki do pieczenia chleba, po lewej obszerna komnata o ścianach bielonych, kędy innych sprzętów nie było prócz stołów i ław drewnianych. Na przeciwległej od wejścia ścianie, wisiały obrazy świętych a przed niemi duży świecznik i lampa niewielka takiego kształtu jak lampy kościelne lub cerkiewne, w których się wieczyste światło pali. I w niej też tlił migocący płomyczek, rzucając cały blask swój na oblicze Matki Bożej w dużym obrazie, umieszczonym pośrodku. Zresztą żadnych ozdób — jeno pod owym obrazem, widniała duża szabla, jakby tam na ofiarę zawieszona, w pochwie pięknej, bardzo sztucznie wyrobionej i wysadzanej drogimi kamieniami, które mieniły się i połyskiwały przy owym tlejącym płomyczku.

Z ogromną serdecznością zakrzętnął się pan Sołłohub około przyjęcia gościa. Całą swą czeladź zwołał ku pomocy a sam biegał na wszystkie strony, rozkazy wydając a kłopotując się, jako tak hojnie jakby pragnął przyjąć nie może. Pojawiła się tedy wnet na stole wieczerza obfita choć z prostych potraw złożona, pojawiło się nawet wino i miód stary, który pan Sołłohub od lat wielu przechowywał w piwnicy.

Kozak Fedor znać musiał dobrze pana Sołłohuba, skoro mówił o nim, iż jestto człek szczerzy. Szczerłość ta od razu chwytła za serce, tak, że nawet Władysław, zwykle nieufny a do obcych nie łącno się zbliżający, czuł się mimowoli pociągniętym ku temu starcowi, który z taką otwartą uprzejmością witał go i gościł, jakby najbliższego sobie.

— A to dziś dla mnie prawdziwe święto! — wołał, gdy napoiwszy i nakarmiwszy Sicińskiego i całą jego kompanię, usiadł wreszcie zdyszany, naprzeciw Władysława i niemal z czułością wpatrywał się w jego oklicze. — Święto prawdziwe — powtarzał, — iż takiego gościa, z Litwy mej rodzonej przybysza, witać mogę w mojej chacie. Schłopiałem ja tu na tej kochanej Ukrainie, a stałem się takim odludkiem, że prawie nikogo nie widzę przez rok cały, bo zamku umańskiego progi

za wysokie dla mnie, a to co w około, za serce nie chwyta.... Iżem gadać jeszcze nie zapomniał, to istny cud Boży!

I byłby się pan Solłohub za wszystkie czasy rozgadał a wszystko co na sercu leżało wypowiedział chętnie, ale Władysław, przerażony słowami Fedora, o niczem dziś innem rozmawiać nie chciał, jeno o sprawach ukraińnych i buncie kozackim. W tych sprawach wszakże pan Solłohub miał całę inne niż Fedor pojęcia. Gdy Fedor zarówno jak ataman Barabasz, przeczuwał gotującą się wielką klęskę, widział powszechną zdradę i Chmielnickiego groźne knowania, pan Solłohub, siedząc zamknięty w swoim futorze, otoczony ludem doń przywiązanym i wdzięcznym, nie wierzył owym gadaniom a odgrażania się kozaków lekceważył.

— Są to chwilowe porywy — mówił, — które żadnego nie mogą mieć większego znaczenia. A niech się podstarościovie pańscy trochę przelekną, to może swawolić przestaną.... Żeby zaś ztąd jaka ogólna wojna na Ukrainie wybuchnąć miała, w to ja nie wierzę. Przecież bywały już nieraz i gorsze bunty a łatwo je uśmierzone.

Siciński opowiadał mu tedy o owych gwizdaniach, które na stepach słyszał, a które od kurenia do kurenia szły jak hasła; o owych

tabunach spłoszonych, które pędziły po stepie, i zaleknieniu Fedora, który ztąd niedobre wysnuwał wróżby.

Sołłohub ręką machnął.

— Fedor nie jest kozakiem.... jemu tu wszystko dziwnem i strasznem się zdaje, a zresztą, to już jest taka dusza do urojeń skłonna. On jak czasem mówić zacznie, to mnie samego przestraszy. A dziś zdał mi się szczególnie poruszonym; pozostać tu nie chciał i dawszy jeno koniowi nieco spoczynku, popędził dalej....

— Owe gwizdania na stepie — wtrącił Siciński — tak go poruszyły. Mówił, jako to hasła są, którei zbuntowani kozacy się zwołują.

Pan Sołłohub się zaśmiał.

— Hasła to są — odparł, — ale takie, które jeno do chwytania koni stepowych służą; dlatego to owe tabuny tak pędziły spłoszone; zresztą pan kasztelan Potocki najlepiej wam tę sprawę wyłoży.

I na tem się ta rozmowa dnia tego skończyła.

## XVII.

Ataman Barabasz, przekonawszy się o podstępie Chmielnickiego i pochwyceniu listów królewskich, omal nie oszalał z rozpaczy; skoro się zaś dowiedział, iż to Filon spełniał chytre poselstwo do żony jego, chciał zabić zdradzieckiego kozaka, ale ten corychlej umknął do Bohdana, a mszcząc się, zasadzkę na życie Barabasza urządził, z której go jednak Fedor przytomnością umysłu i niezwykłą odwagą ocalił.

O tem wszakże co się stało, nie mówił ataman nikomu, nawet Fedorowi, jakby się wstydził, iż tak nędznym podstępem dał się uwikłać i lękał się rozgłosu tej sprawy. A im dłużej o Chmielnickim wieści nie było, tem Barabasz niespokojniejszym się stawał. Były dni takie, że w ponurem pogrążony milczeniu, zdawał się nie widzieć i nie słyszeć co się w około niego działo. Nasłuchiwał jeno ciągle i wyglądał, jakby się czyjegoś przybycia spodziewał a czasem ręce załamywał,

to siwą brodę w uniesieniu szarpał, lub z domu uciekał i błdził po stepach. Czasem znów gniewem gwałtownym się unosił, a wówczas żonę i dzieci rodzone przeklinał a przyzywał śmierci. Tak go gryzła myśl, że jego słabość do trunku stać się mogła przyczyną wielkiego nieszczęścia, ani chwili bowiem wątpić nie mógł, że w celach zbrodniczych Chmielnicki owe listy pochwycił. Przychodziło mu też na myśl, że Król posadzić go może o haniebną zdradę, uknutą w spółce z Bohdanem, któż bowiem uwierzy, gdyby opowiedział, jak się to rzeczywiście stało? A zresztą w każdym razie był winnym srodze — ciężko zaś było przyznać się do winy takiej atamanowi, osiwiiałemu w wierności dla Rzpltej, którego Król zupełnem darzył zaufaniem....

— Hańba na siwą głowę moją! — szeptał starzec i w piersi się bił a ledwie nie płakał. — Co on z tymi listami uczyni?... — powtarzał i najdziksze myśli przychodziły mu do głowy. — Czasem wszakże otucha jakaś wstępowała mu do serca. Chmielnicki za długo siedział w Krymie — wiosna była nie daleka, stepy i wody dniewprowe zdawały się spokojne. I pocieszał się stary ataman nadzieją, że może Bohdan spodziewanej pomocy od Tatarów nie otrzymał i nie będzie mógł tak rychło buntowniczych swych planów przyprowadzić



do skutku; zresztą bez tatarskich posiłków, sam Chmielnicki z garstką zbuntowanych kozaków i zwerbowanych burlaków nie mógł być tak strasznym.

Aż nagle, Fedor, powróciwszy pospiesznie z owej wyprawy do Umania, opowiedział mu o owych gwizdaniach, jakie słyszał u mogiły Soroki na stepach.

Barabasz ręce w przerażeniu załamał.

— Hasła to są, jak za Kosińskiego! — zawołał — Chmiel powrócić musiał z Krymu i zwołuje swoich.... snadź uzyskał pomoc tatarską!...

Myślał chwilę a potem głowę podnosząc, rzekł stanowczym głosem:

— Rady nie ma.... trzeba zginąć.... a czemużem pierwszej od wrażej ręki nie zginął! Ty Fedor pojedziesz natychmiast na Litwę, do Króla i powiesz mu tak: Barabasz do śmierci był wierny i nie zdradził Ciebie Królu Najjaśniejszy ani myślą, ani słowem, — jeno bydlęca w nim była natura, do trunku lgnąca, z czego skorzystał Chmiel, a zabrał podstępem listy królewskie.... ważne, poufne.... których ja publikować nie chciałem, lękając się swawoli kozackiego pospólstwa....

— A cóż było w tych listach? — zagadnął Fedor, przerażony widokiem starego atamana, który mówił jakby zdyszany, urywanymi wy-

razy, a drżał na całym ciele i słańał się na nogach.

— Co było!... co było! — powtórzył ataman — Król chciał najlepiej.... Miał wolność dać kozakom byle przeciw Tatarom szli, i wojnę z Turcyą wywołali; nadawał władzę hetmańską Chmielnickiemu, byleby wiernym był Rzpltej.... a on co z tem uczyni? okaże kozakom listy i pieczęć królewską a powie: oto Król Najjaśniejszy panem Zaporozża mnie uczynił, tedy mnie słuchać macie a pod moją wodzą mścić się krzywd waszych. Zaś do Krymu poszedł i tam rzekł: oto listy i pieczęci królewskie, wydane na to, iżbyśmy wojnę wam wypowiedzieli, złączcie się z nami przeciw Rzpltej albo z nią na was pójdziemy....

Fedor twarz rękami zasłonił.

— Zginęliśmy! — zawołał — jeśli on to uczynił.

— Uczynił! uczynił! — potwierdził ataman z rozpaczą. — Niedarmo ukradł mi on te listy, gdym pijany był.... niedarmo do Krymu z nimi szedł i niedarmo po stepach od kurenia do kurenia idą teraz owe hasła, któreś słyszał.... Gdy pierwsza trawa zazieleni się na stepach — wybuchnie pożar!

— Co począć? — zagadnął znów Fedor, przerywając głucho milczenie, jakie po tych słowach starego atamana zaległo.

— Ani momentu do stracenia nie ma! — odparł Barabasza — jedź do Króla i wyznaj mu wszystko — niech się gotują.... niech armię wielką przyszlą hetmanom na pomoc, ja zaś do Chmielnickiego pójde....

— Zamorduje was.... — przerwał Fedor.

— A co moje życie warte! — zawołał w uniesieniu ataman — nie godzienem żyć po tem co się stało! Sam oddam mu głowę moją.... Po moim trupie niech idzie dalej, jeśli chce.... aby się tem jeno zasłaniać nie mógł, jako z nieprzyjacioły walczyć idzie i że słuszną pomstę bierze, bo jawnem się stanie, iż w lidze z Tatarami kozacką krew najpierw przelewa.... A może się zawaha i opamięta....

Nadaremnie Fedor usiłował odwieść atamana od powziętego postanowienia; Barabasza był nieugiętym.

— Niech mi życie weźmie! — wołał — niech krwią moją pokala ręce i duszę — a może się też inni tego przełkną i odstąpią zdrajcę.... Zdradził on mię, zdradził Króla, z Tatarem się łączy, którego wczoraj był wrogiem, zdradzi też i kozactwo, gdy czas przyjdzie....

Na usilne wszakże nalegania, ataman przyrzekł, że czas jakiś czekać będzie.

— Niedługo — mówił — ale się jeszcze wstrzymam. Będę czekał na ciebie, aby wiedzieć co Król powie, — jeśli zaś wrychle się nie doczekam, a otrzymam pewność, jako Chmielnicki z Tatarami ligę już zawarł i skoro on się poruszy, ja pójdę.... Zbiorę garstkę takich, którzy wierni są, i pójdziem pierwsi na śmierć!...

— Możeby — zauważył jeszcze Fedor — dać znać pierwaj hetmanowi Potockiemu, on lada dzień przeciw Bohdanowi wyruszyć chce z nieznaczną siłą, która na zniszczenie pójdzie, a jeno wybuch powszechnego buntu przyspieszyć może....

— Przed wiosną nie ruszy się ani Potocki, ani Chmiel — odparł ataman. — Mówić zaś hetmanowi nie przyda się na nic, nie usłucha. Mówiłem już sam kilkakrotnie.... jeszcze się na mnie rozsierdził. Więc do samego Króla idź, a powiedz, że tu nikt woli jego nie uznaje. Żołd zaległy wojsku kozackiemu wypłacony nie został, trzeba go co rychlej zapłacić, aby nieukontentowanie ustało; niech Król Najjaśniejszy stanowczy zakaz hetmanom wyda, aby wojska z głębi Ukrainy cofnęły, bo słabe są, a Chmiel sam je niebawem pospędza. — Może też w ten sposób niebezpieczeństwo się jeszcze odwróci lub przynajmniej przewlecze, byle czas uzy-

skąć do zebrania potężniejszej armii przeciw buntownikom i Tatarom....

Z temi słowy wyprawiał stary ataman Fedora w podróż na Litwę, sam zaś z wielkiego niepokoju, nie mogąc usiedzieć w Czehrynie, do Umania się udał, aby powstrzymać hetmana od wszelkiego zbyt pospiesznego a nieogłędnego działania.

Na zamku umańskim nie znalazł Barabasz dobrego przyjęcia. Ani hetman koronny Potocki, ani polny hetman Kalinowski nie przypuszczali żadnych groźnych niebezpieczeństw; wydali jeno uniwersały, aby wszyscy zbiegli z Chmielnickim lub później do niego przybyli, odstąpili od niego i wrócili się, ile że za nieposłuszeństwo, na żonach, dzieciach i majątkach pozostawionych, karani będą....

— Zostaw nam o to staranie, — rzekł Potocki do Barabasza — a pilnuj jeno rejestrowych, by w porządku byli, gdy znak dam.... Uspokoimy Chmielnickiego wrychle....

I z tem go odprawił.

Kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, Potocki Mikołaj, pan rodem, mieniem i dostojęstwem na najwyższym szczeblu w Rzpltej stojący, na Ukrainie władzę miał monarszą. Wszystko tu w okół od lat wielu, gięło się w niskich pokłonach, nikt w jego obecności głosu podnieść się nie ośmielał

a pan krakowski — jak go nazywano — nie dostrzegał zgoła, że podczas gdy głowy schylały się przed nim pokornie, zaciskały groźnie pięście a szmer nienawiści rozchodził się po całej Ukrainie. Nieugiętej woli, nieznoszący oporu, Potocki o ile był wspaniałomyślnym i hojnym dla tych, którzy mu wiernie służyli, o tyle karmił bezlitośnie wszelkie krnąbrne zachcianki, o tyle był bezwzględny dla tych, którzy choćby Króla lecz nie jego słuchali. Mówiono też o nim, że Króla nie znał, o rady nie dbał a sam sobie sejmował. — Pan krakowski był już podówczas w dość podeszłych latach, wszakże krzepki i silny a postawy wspaniałej i pięknego oblicza, które niechętnie zasępiało się troską lub gniewem. Lubił wesołość i otaczał się takimi ludźmi, którzy mu posępnych nie naprowadzali myśli a przy ucztach, jakie często z wielkim przepychem urządzał, miłymi towarzyszami byli. Lubił też pan hetman wystawność, stroje i zbytek wszelki a nawet na wyprawy wojenne wyruszał z takim taborem i przyborami, że i w obozie niczego zabraknąć nie mogło. Za karocą hetmańską — bo dla lat podeszłych i znacznej otyłości, pan hetman konno nie zwykł był jeździć — ciągnął się niezliczony szereg wozów ze służbą dworską i beczkami najprzedniejszego wina. Zawsze strojnie ubrany, uśmie-

chnięty pogodnie, spoglądał on z wysoka, łagodnie, bez wzruszenia, mówił zwolna a takim głosem, który zaprzeczenia nie znosił i nie przypuszczał. Gdy mu kto — co się rzadko zdarzało — zaprzeczył, natenczas pan kasztelan miał takie spojrzenie zadziwione a pogardliwe zarazem, którem oponenta w niwec obracał. Rzadko też na opozycję odpowiadał, odwracał się najczęściej i milczał, zacinając usta, — jeśli zaś dał respons, to krótki, lecz tak dotkliwy, że go zuchwalec długo pomnieć musiał.... Gniewem wybuchał rzadko; najsroższe rozkazy wydawał tonem na pozór spokojnym, jeno wówczas mówił jeszcze wolniej niż zwykle, każdy wyraz oddzielając dobitnie, a wargi mu drżały i stawały się zupełnie blade, aż sine. Działo się to zwłaszcza wówczas, gdy jakie rozkazy królewskie otrzymał, które się jego woli sprzeciwiały. A wolą jego było, zamienić Ukrainę w kraj sobie zupełnie poddany.

Przeprowadziwszy w r. 1638 zupełne zniesienie przywilejów kozaczyzny, wzdrygał się na samą myśl zwrócenia choćby ich części, a wierząc w to, czego gorąco pragnął, lekceważył wszelkie bunty, wszelkie porywy obroconego w pospólstwo kozackiego rycerstwa, sądząc, że je jednym zamachem poskromi.

To też Siciński, gdy z panem Solłohubem stanął na zamku umańskim, przywożąc rozkazy królewskie, aby z kozakami w nowe wchodzić układy, nie znalazł zbyt gorącego przyjęcia. Z lekceważącym na ustach uśmiechem słuchał pan krakowski spokojnie relacyi Władysława a wreszcie patrząc nań z góry, rzekł zwolna:

— Król Jegomość sądzi, że układami coś zyska. Ano, próbuj waść, mości Siciński, próbuj tego, co ani mnie, ani panu Ossolińskiemu się nie udało....

— Jeśli Wasza Miłość — ozwał się Siciński, nieco takim przyjęciem zmieszany — raczysz wziąć sprawę we własne ręce....

— Jam jest hetman — odparł pan krakowski — i w ręku mam miecz, nie pióro do spisywania traktatów, zwłaszcza z chłopstwem niesforem. Chmielnickiemu jeno żelazo pomódz może i tego mu szczedzić nie będę.... Podzieliłem wojska moje na dwa działy i z pierwszą partią pójdzie mój syn Stefan, na wiosnę....

Syn ów był ulubieńcem pana hetmana. Na nim jedynie wyniosłe jego spojrzenie zatrzymywało się dłużej a nieraz z wielką czułością; w nim widział rodzic wszystkie najpiękniejsze przymioty i w tem nie mylił się wcale. Młody Potocki biorąc z rodzica pię-



kność i szlachetność postawy, wspaniałomyślność i hojność, umysł otwarty i jasny, odznaczał się też rycerskimi przymioty, zacnością serca, nieustraszoną odwagą. Jego też przeznaczal rodzic na pogromcę Chmielnickiego, ciesząc się zawczasu tryumfem i sławą syna, gdyby ten niewielkimi siłami zdołał pokonać buntownika, którego wszyscy lękać się zdawali.

To też zaśmiał się jeno, gdy Siciński, przypomniawszy sobie przestrogi Fedora, wspomniął o Chmielnickiego siłach i prawdopodobnym sojuszu z Tatarami.

— Wacpan tu — rzekł — jesteś od wczora, a chcesz lepiej wiedzieć od nas. Ja mam w kwarcianych i zacieężnych chorągwiach siedm tysięcy wojska, w pocztach panięcych będę miał drugie tyle, w sześciu pułkach rejestrowych sześć tysięcy kozaków.... razem kilkanaście tysięcy doborowej armii — a Chmiel ma tysiąc pięćset burlaków nędznych!...

— A orda? — wtrącił Siciński.

P. Potocki ramionami dźwignął.

— Naród tatarski — rzekł — nadto przebiegły, chociaż gruby i dziki, aby się dał Chmielnickiemu uwieść. Wiedzą dobrze w Krymie co znaczy Chmielnicki a co Król i Rzplta, z którą niedawno odnowione są traktaty.

I pan krakowski nawet w dłuższą dyskusję w tej sprawie z Sicińskim wdawać się nie chciał a gdy ten odjeżdżał, rzekł mu jeszcze wyniośle:

— Jeśli wacpan sprawiedliwie na sprawy tutejsze popatrzysz, to się przekonasz, jako owi gońce królewscy, którzy tu bez experyencyi a jeno z językiem przybywali i Królowi niepotrzebne posyłali relacye, są przyczyną wszystkiego nieszczęścia. Króla bezskutecznie trwożyli a psując jego zaufanie do mnie, wywoływali różne sprzeczne rozkazy. Gdyby Król od czasu zniesienia wolności kozaków, nie był ich psuł ustawicznie obietnicami, jako to co im odebrano, zwróconem będzie, jużby dziś cała Ukraina w zupełnym była spokoju.... Niech to wacpanu będzie przestroga....

I przenikliwie patrząc na Władysława dodał:

— Był tu nie jeden taki, który myślał, jako nieprzychylnemi o mnie relacyami do Króla mnie zaszkodzi.... Ano, w rezultacie pokazało się, jako to nie mnie lecz jemu zaszkodziło....

Z temi słowy pożegnał pan krakowski Sicińskiego, który odjeżdżając z zamku umańskiego do slobody pana Solłohuba i myśląc nad tem co widział i usłyszał, przekonywał

się sam, jako to poselstwo, o którem mniemał, iż mu sławę i rozgłos przyniesie a zasług w obliczu królewskiem przysporzy, wcale niebezpiecznem było. Powracać bez rezultatu ani chciał, ani myślał, widział zaś, iż tu jakikolwiek rezultat uzyskać będzie trudno wbrew woli hetmana, którego słowo znaczyło tu stokroć więcej, niż rozkazy królewskie.

Frasunku swego utaić nawet nie mógł przed p. Sołłohubem.

— Król — mówił — rozkazał mi, w układy z dowódcami kozackimi wchodzić, obiecać im powrót przywilejów dawnych i wynagrodzenie krzywd — a pan hetman nie chce widocznie tego dopuścić.... Chmielnickiego nie ma a gdyby i był, jakże trafię do niego, skoro pan Potocki, wszystkiemu co bym rzekł, zaprzeczy.... Do Króla o tem pisać, na hetmana się skarżyć, to jedno co do walki go wyzywać — a mogeż ja z takim panem się mierzyć?...

Pan Sołłohub wielkie okazywał współczucie i widząc szczery Władysława frasunek pocieszyć go usiłował.

— Poczekaj nieco wacpan — mówił — niech jakiś czas przeminie; do wiosny jeszcze daleko. A może też pan krakowski zmięknie i dopełnienie waszego poselstwa ułatwi.

Nie było też innej rady jeno cierpliwe czekanie. Siciński pomimo swej niechęci do owego kozaka, który w drodze do Umania był mu przewodnikiem, myślał teraz coraz częściej o nim a wyglądał jego zapowiedzianego przybycia. Spodziewał się, iż Fedor przyniesie mu może jakieś wieści ważne, któreby i pana hetmana skłonić mogły do zgodnego z wolą królewską działania. Dzień za dniem wszakże mijał a Fedor nie przybywał pomimo obietnicy, Siciński zaś posyłał, wedle rozkazu, relacye do Króla, w których przedstawiał wymijająco stan rzeczy, mówiąc, jako obecnie wszelkie stanowcze układy z kozakami dla nieobecności Chmielnickiego, były niemożliwe. Zapewniał zresztą, iż wszystko było w spokoju.

Tak przeminał cały miesiąc Styczeń, i Luty się rozpoczął a był śnieżny i mroźny w tym roku 1648, gdy Władysław otrzymał nagle przez umyślnego gońca pismo od Ossolińskiego kanclerza, w którem ten wyrażał mu w słowach ostrych nieukontentowanie i swoje i Króla, jako tyle czasu poszło marnie bez żadnego rezultatu. „I relacye wacpana — pisał pan kanclerz — nie są zbyt wiarygodne, ile że od wiernych sług i przyjaciół naszych mamy doniesienia wcale sprzeczne a niepomysłne“.

Pismo to do reszty Władysława zgnębiło. Widział on teraz, jako zadanie było nad jego siły, bo cóż mógł uczynić w obec nieograniczonej władzy hetmańskiej i jakimi środkami działać przeciw woli tak potężnego jak Potocki, pana, który wspaniałością swą i wyniosłością prawdziwym przejął go lękiem? Przeraziło go i to, iż w piśmie kanclerskiem wyraźna była wzmianka o innych jeszcze doniesieniach, które jako sprawdzenie jego relacyj służyły.

— Nie ufają mi — myślał — a mają innych jeszcze sług i przyjaciół, których relacyom więcej wierzą niż moim...

To go zniechęciło do reszty, że już coraz częściej myśleć począł o porzuceniu tej misyi niewdzięcznej i powrocie na Litwę. Przychodziły mu teraz na myśl mądre pana Radziejowskiego consilia, w czem go też niemało umacniał pan Sołłohub, który z wielkiem współczuciem dzielając jego frasunek, coraz serdeczniej się doń zbliżał a nie taił się z tem wcale, jako szczególniejszą doń ma skłonność.

— Dziwna rzecz — mówił — od pierwszego wejrzenia umiłowałem wacpana serdecznie, a teraz tak mi się nieraz zdaje, jakbyś mi najbliższym był.

Siciński z dniem każdym upływającym daremnie, bladł i mizerniał; w nocy trapiły go sny gorączkowe, w których widział pana Kazanowskiego umierającym a Halszkę rozpłomienioną gniewem, jak mu pomstą groziła. Na jawie często też zamyślał się posępnie nad tem co się w Warszawie dzieć mogło, z kądzadnej wieści nie miał. Żali żył jeszcze pan Kazanowski? Co się stało z Halszką, którą ostawił w takim gniewie srogim a do której rwało się zawsze jego stęsknione serce, zwłaszcza teraz, gdy jej nie widział, gdy go nie drażniła jej obojętność ani spojrzenie wzgardy pełne?... Żali mu wolno będzie kiedykolwiek przebłagać ją za zuchwalstwo, jakiego stał się winnym?

Myśli te przepelniały tak jego duszę i tak zajmowały, iż Władysław nie słyszał nawet jak pan Sołłohub czułymi wyrazy usiłował go uspokoić, przedstawiając rozkosz cichego żywota i nakłaniając, aby służbę dworską porzucił.

— Niema szczęścia, jeno wśród swoich — mówił starzec. — Jam wiek cały zmarnował w samotności, pomiędzy obcymi, a nawyknać do tego nie mogłem. I teraz coraz mi tęskniej do ziemi rodzinnej a chociaż tu cały niemal żywot spędziłem, wszakże wrócić pragnę.... byle oczy zawrzeć wśród swoich....

— A.... — ozwał się Władysław w roztrągnienu — wracać myślicie na Litwę?

— Mam jedyne go tam brata — odparł Sołłohub — którego znacie — do niego chcę wrócić. Sprzedałem już moje tutejsze posiadłości panu Kalinowskiemu hetmanowi polnemu i jeno wiosny czekam, aby wyruszyć do Tronik....

Zajętego własnym frasunkiem Władysława, obchodziło to zbyt mało, odrzekł więc tylko:

— Zapewne pojedziem razem, bo i ja ztąd co rychlej uchodzić myślę.... trzeba mi tylko jeszcze na zamek umański iść, aby się z panem hetmanem porozumieć i wiedzieć co Królowi mam rzec....

Pojechał tedy Władysław do Umania i nadspodziewanie zastał tam wzburzenie wielkie. Cały zamek był jakby w oblężeniu; z dalszej i bliższej okolicy przybywali sąsiedzi z żonami i dziećmi, przynosząc trwożne wieści, które niewiadomo z kąd pochodziły a szerzyły się z niesłychaną szybkością.

Mówiono, jako Chmielnicki powrócił już z Krymu, zawarłszy z Tatarami stanowcze umowy, jako nawet, aby pewność posiłków tatarskich mieć, mahometańską wiarę przyjął, szablę hana Islam Gireja w znak poddaństwa ucałował a teraz siedzi na Bucku, skalistym

ostrowie dniewowym i ztamtąd ostatnie wydaje rozkazy do powszechnego buntu.... Z drugiej strony wiadano, jako Król z kozakami walki nie chce i najwyraźniejsze rozkazy przysłał hetmanom, aby wszystkie wojska z głębi Ukrainy cofnęli, dając zupełną kozakom swobodę.

— Wydają nas na pastwę zbuntowanego chłopstwa! — wołała szlachta, i szedł strach wielkooki przez całą Ukrainę, szerząc popłoch okrutny.

Nawet na twarzy zwykle pogodnej pana Potockiego odbiło się pomieszanie. Nie żeby owym wieściom trwożnym zupełnie dowierzał, ale że gniewał go ów popłoch niewczesny, z drugiej zaś strony oburzały niemało rozkazy królewskie.

Przyjął Sicińskiego jeszcze niechętniej niż przedtem.

— Patrz wacpan — rzekł — to są owoce waszego działania! Gadaliście o zmowach z Tatarami i szlachta się zalekła; podnosi wrzawę, opuszcza domy i do mnie tu zbiega.... A głupieby były ukraińskie chłopcy, gdyby tej przestraszonej trzody nie wysiękły.... Przed Królem znowu gadaliście, jako sobie rady nie damy, jako wielkiej armii potrzeba, aby Chmiela zgnieść.... toż Król bardziej wierząc waszym gadaniom, niż relacyom



moim, przysyła mi tu rozkazy, abym się cofał, pułki królewskie pościagał z Ukrainy, dał wolność kozactwu! A toby srom był i hańba!... Już i tak Chmielnicki, dufając swojej potędze a widząc, jako szlachta się trwoży i król się lęka, przysyła mi tu posłów swoich i pisma zuchwałe. A wiesz wacpan czego Chmiel żąda? Abym z całym wojskiem z Ukrainy ustąpił, abym pułkownicy królewskie i całe ich assystencye od pułków oddalił, abym dawne ordynacye Rzpltej z r. 1638 zniósł, to jest wszystkie kozackie wolności powrócił — na to jeno, aby to rozpasane chłopstwo z postronnymi nas wadziło i jak przedtem tak i teraz na majestat królewski i całość Rzpltej zuchwałą podnosiło rękę... A zanieś te żądania, mości Siciński, królowi — dodał pan hetman z szyderskim uśmiechem — może i na to przy stanie a waść w ten sposób spełnisz godnie swoje poselstwo i lepiej niż owemi relacyami, ztąd wysyłanemi, które nieprawdziwe są a mnie szkodzą...

Hetman był rozsierdzony okrutnie i nie chciał nawet słuchać Sicińskiego, gdy ten mu przedstawiał a zaklinał się, jako żadnych sprzecznych z jego wolą relacyj Królowi nie posyłał.

— A przecież — przerwał pan krakowski — Król najwyraźniej mi pisze: otrzy-

małem pewne doniesienia... — w drugim zaś miejscu: czynią mi relacyę... Któż to jest, który owe wieści przysyła, jeśli nie wacpan?...

Nie uspokoiło i to pana hetmana, gdy mu Siciński okazał list Ossolińskiego kancle-rza, w którym była także wzmianka o jakichś pokątnych relacyach wiernych sług i przyja-ciół...

Pan Potocki zaśmiał się jeno.

— Jeden goniec drugiego szpieguje! — zawołał — a wszyscy przeciw mnie spiski kno-wacie. Ale ja potrafię zgnębić owe intrygi.

Słuchając tych słów hetmana, Siciński mi-mowolnie drżał z trwogi. Bardzo łatwo mógł go zgnębić taki pan potężny, zwłaszcza teraz, gdy się nikt za nim pewnoby nie ujął.

— Chybione poselstwo — myślał — nie zaskarbi mi łask królewskich, pan Kazanowski za mną już nie stanie, choćby i żyw był, bo go przez ten czas małżonka inaczej przekonać potrafi, — Halszka zaś każdą sposobność uchwyci skwapliwie, aby się pomścić... Jestem przeto zgubiony!

Rozpaczliwe napadały go myśli; ale jako był dworak doświadczony i sprawny, tedy nie od razu własnego zniechęcenia słuchał, owszem postanowił pomimo okazywanej mu jawnie ze strony hetmana nieprzyjaźni, po-zostać dłużej na zamku umańskim i dolożyć

starań, aby ową nieprzyjaźń przynajmniej złagodzić.

— Głupstwo jest — myślał — przeciw takiemu panu walczyć... Gdybym jego łaski zaskarbić zdołał, toby owo ukraińskie poselstwo nie było całe straconem. Król daleko a pan Potocki bliżej.

Nie wdając się już przeto w żadne z panem hetmanem dyskusyje, począł zgrabnie między ową wzburzoną szlachtą, która się do zamku umańskiego zbiegła, chodzić, a stosownie do tego, co mu pan krakowski mówił, uspokajać ją i uśmierzać. Że zaś wymownym był a zręcznym, tedy niebawem udało mu się wielu skonwinkować i do spokojniejszych przyprowadzić myśli.

Pan krakowski zdawał się na niego nie zwracać uwagi — widział wszakże wszystko i to go mocno zastanowiło. A jako długo chmurnym być nie lubił, tedy widząc, jako ów popłoch uśmierzać się poczyną, rad był tej influencyi Sicińskiego i łagodniej nań spoglądał.

— Widzisz wacpan — rzekł raz do niego, — jak to jest dobrze doświadczonych słuchać... Gdyby mię tylko ostawiono w spokoju a dano działać jako chcę, byłoby tu niebawem inaczej... Wysłałem teraz do Chmielnickiego posła a wezwałem go, by tu przy-

był, przyrzekając miłosierdzie i przeszłych postępków indulgencję, assekurując zaś słowem hetmańskim, jako mu włos z głowy nie spadnie, jeśli Zaporozże opuści...

Nie wydało się Sicińskiemu to poselstwo trafne i prawie mimowolnie rzekł:

— Nie usłucha on tego!...

Potocki groźnie nań spojrzał.

— Nie usłucha — powtórzył, — to go żelazem nauczym posłuszeństwa. Syn mój Stefan gotów jest z dzielną partyą swoją każdego momentu wyruszyć...

Władysław zmilczał — wiedział już bowiem, jako pan krakowski opozycyi nie znośił a skoro o synu Stefanie mowa była, żadnego słowa nie przepuścił, któreby wątpliwość o zwycięztwie jego wyrażać mogło.

Pan hetman ozwał się po chwili:

— Do Króla Jegomości pisałem również, przedstawiając, jako tych chłopów nie może nic innego do posłuszeństwa przywieść i od buntu odwabić, jeno szabla... Przeto niech Król zostawi mi tu wolność działania... A mówię to waszmości dla tego, iżbyś znów jakich potajemnych relacyj Królowi nie słał, któreby moje plany pokrzyżować miały.

Ostatnie te słowa były dla Sicińskiego dowodem, jako pan hetman cale się podejrzeń swych nie pozbył... Należało co rychlej

i stanowczo je usunąć, inaczej bowiem zdobycie łask hetmańskich stawało się niepodobnem. Ale jak odkryć źródło owych doniesień? Kto byli owi wierni słudzy i przyjaciele, o których pisał pan kanclerz? Może pan Kazanowski starosta czerkaski a może ataman Barabasza?... I nagle przyszedł Sicińskiemu na myśl ów kozak tajemniczy, który go wyraźnie przeciw hetmanowi podjudzał i obiecywał ważne przynosić wieści w tajemnicy przed nim... To niewątpliwie musiał być zaufany goniec, którego pan Kazanowski lub Barabasz używali do różnych misyj tajnych do Króla... Gdyby go schwytać i wydać hetmanowi a mieć pewne w rękę dowody, jako to on owych wieści zanoszonych Królowi jest sprawcą, wówczas możnaby było mieć pewność zdobycia łask hetmańskich i jeszcze całę inaczej wszystko obrócić.

Im bardziej myślał nad tem Władysław, tem silniej przekonany był o słuszności swoich podejrzeń i tem silniejsze powziął postanowienie przechylić się całkowicie na stronę hetmana i jego zaufanie sobie zaskarbić. W tym celu należało koniecznie wyszukać owego Fedora, wybadać go sztucznie a wybadawszy, Potockiemu wydać.

Niebawem przybyli na zamek niektórzy dowódcy rejestrowych kozaków, aby przy-

sięgę wierności złożyć, na żądanie hetmana, który już się z tem nie taił, iż jeżeli poselstwo jego do Chmielnickiego nie odniesie skutku, z pierwszych dni wiosennych skorzysta, aby przeciw niemu syna swego Stefana z częścią wojska wyprowadzić. Przysięgą tą chciał więc pan hetman serca rejestrowców w wierności umocnić a zarazem dać dowód zatrwożonym umysłom, iż kozacy w znacznej liczbie ani myśla o buncie.

Odbyło się to przeto z paradą wielką na zamku umańskim. Szeregi rejestrowych przystępowały po kolei do przysięgi a salwy moździerzone zwiastowały całej okolicy, jako może być spokojną, wojsko bowiem kozackie przysięgało na wiarę i sumienie, na Ewangelią świętą i krzyż Chrystusowy, iż w wierności dla Króla i Rzpltej zostaje.

Jeden tylko ze starych rejestrowych od przysięgi się usunął — ale w tłumie nie zrobiło to żadnego wrażenia, bo cóż jeden mógł znaczyć, skoro wszyscy inni przysięgli? Zresztą, jak mówiono, wytłómaczył on samemu hetmanowi rację swego oporu.

Wspaniała uczta kończyła tę uroczystość a do późnej nocy okrzyki pijanego żołdactwa rozlegały się dokoła.

W liczbie innych dowódców przybył i ataman Barabasz. Pochmurniejszy był je-

szcze niż zwykle, przysięgę najpierwszy złożył głosem od wzruszenia drżącym, ale do ucztę zasiąść nie chciał. Siciński zoczywszy go a pragnąc o Fedorze pewną mieć wiadomość, natychmiast do niego się przysunął. Stary ataman tak był zadumany, że zaledwie Władysława poznał, lecz przypomniawszy sobie jako to jest poseł królewski, zaraz na stronę go odciągnął i głosem tajemniczym szepnął:

— Uważaliście jako Krzyczewski z Chyryna przysięgi składać nie chciał?...

— A... zowie się Krzyczewski?... — rzekł Siciński takim głosem, jakby co rychlej o czem innem chciał mówić.

— Nie złożył — powtórzył Barabasz, — rzekł bowiem, jako kozakiem nie jest, jeno polskim szlachcicem a przeto taka przysięga jeno mu ubliżać może...

— Miał słuszość — zauważył Władysław obojętnie.

Barabasz z zadziwieniem spojrzał na niego; nie uszedł jego uwagi obojętny ton mowy Władysława.

— Żali nie wiadomo wam — rzekł z naciskiem — kto jest Krzyczewski?... Jest to najbliższy Chmielnickiego przyjaciel a jeśli przysięgi składać nie chciał, to znak najlepszy, jako niebawem zamyślają o zdradzie...

Siciński z niecierpliwością ramionami dźwignął. Przejawszy się raz intencjami i przekonaniami hetmana, niecierpliwić go już poczynały owe ustawiczne przestrogi i słowa złowróżbne. Przerwał tedy Barabaszowi, jakby od niechcenia pytając:

— Nie widziałem też w dzisiejszym tłumie owego kozaka, który u was służbę pełni a bardzo dla wierności swej przez pana Kazanowskiego był chwalony i który do Umania po raz pierwszy mię prowadził? Nie wiecie, co się z nim stało?...

Stary ataman ponowne, przenikliwe spojrzenie na Sicińskiego rzucił. Jakaś nieufność opanowała go mimowolnie. Zadziwiło go to, iż Władysław nie pytał go ani o Chmielnickiego, ani o sprawy kozackie, ani o Krzyczewskim mówić nie chciał, jeno o Fedora zagadnął. Wymijająco tedy odrzekł pytaniem:

— Potrzebny wam jest Fedor?

— Przyrzekł, jako do mnie przybędzie i ważne wiadomości przyniesie — odparł Władysław i skierowując wzrok na oblicze atamana, dodał:

— Dotychczas wszakże tu nie był, a słyszałem jako w Wilnie, u Króla jest...



Słowa te widoczne wrażenie wywarły; Barabasz zbladł i zachwiał się na nogach a chwytając Władysława za rękę:

— I cóż? i cóż? — zapytał głosem z niepokojem drżącym. — Czy macie jaką wiadomość? Co Król postanowił?...

Od czasu pochwycenia owych listów królewskich przez Chmielnickiego, Barabasz w wieczystej, jak wiadomo, żył twodze, aby to nie ściągnęło nań podejrzenia zмовy z Bohdanem a w każdym razie kary surowej. Gdy więc Siciński z taką pewnością mówił, iż Fedor w Wilnie, u Króla jest, a Barabasz sądził, iż tajemnica jemu tylko jest wiadomą, przyszło mu na myśl, iż już może przyszły na ręce Władysława jako królewskiego posła, jakie rozkazy, że może Król rozsierdzony wieścią przez Fedora przyniesioną o wydaniu listów poufnych, atamana, który bądź co bądź wiernym był, haniebnie ukarać polecił... Przyszło mu na myśl, jako to zapewne dla tego Siciński taką obojętność zdradzał, słuchać go nie chciał, a jeno o Fedora pytał.

Dla Władysława widoczny niepokój i owe gwałtowne zapytania Barabasza były dostatecznem wyjaśnieniem. A więc Fedor rzeczywiście był w Wilnie i za jego to pośrednictwem dochodziły uszu Króla wieści, które tak hetmana gniewały, a i jemu, jak

pismo kanclerza świadczyło, na pożytek nie wyszły...

Tyle tylko wiedzieć pragnął, teraz jeno szło o to, aby Fedora ująć i dowodnie przekonać hetmana, jako nie on, lecz ów kozak składał Królowi relacye, znajdujące posłuch i wiarę. Na zapytanie przeto atamana odparł, tłumiąc uśmiech zadowolenia, z udaną powagą:

— O żadnych postanowieniach królewskich nie wiem, a mniemam, jako wy, mości atamanie, lepszą o tem wiadomość mieć powinniście, skoro osobnych gońców do Króla z pominięciem hetmana wyprawiacie... A kiedyż Fedor wróci? — zagadnął.

Barabas z głowę opuścił na piersi... Słowa Sicińskiego, zawierające jakby wymówkę, iż bez wiedzy hetmana z Królem bezpośrednio się znosił, uderzyły go i dotknęły niemile.

— Kiedy Fedor wróci?... — powtórzył z roztargnieniem — ja nie wiem... lada dzień...

Siciński odszedł spiesźnie a stary ataman pozostał na miejscu, pogrążony w myślach ponurych, patrząc nieprzytomnym wzrokiem przed siebie...

— Oni wiedzieć muszą... — szeptał — wiedzą już o wydaniu listów królewskich i pomawiają o zdradę... i potępiają! Hańba na moją siwą głowę!...

A dokoła tymczasem wrzała uciecha. W przedniejszych zamku komnatach zabawiała się przy stołach suto zastawionych starszyna, żołdactwo zaś proste niemniej suto w izbach czeladnych podejmowane było. Rozwiązywały się przeto języki a od czasu do czasu okrzyki głośne podnosiły się na cześć hetmana i dowódców. A wśród tej wrzawy szły szepty różne i obiegały wieści, które niewiedzieć z kąd się brały a szybko przechodziły od ucha do ucha.

Mówiono, że Król przez umyślnego gońca przysłał hetmanowi koronnemu żołd dla kozactwa od lat kilku zaległy, ale hetman nie wypłacił go rejestrowym, jeno rozdał kwarcianemu wojsku. Wieść ta tłumiła wesołość i okrzyki; gdzie jeno doszła, tam wnet zalegała cisza lub podnosiło się szemranie tłumione ale groźne. I zanim uczta dobiegła do kresu, nie było jednego kozaka, z tych co z rana na wierność przysięgę składali, któryby o tem nie wiedział, jako nowa krzywda stała się kozackiemu wojsku. W nie-trzeźwych głowach krzywda ta przybierała olbrzymie rozmiary, budząc w duszy zawiść srogą i chęć zemsty. I podnosiły się znowu okrzyki z piersi rozbiegających się z zamku na wsze strony kozaków, ale nie były to już okrzyki radości i nie brzmiały jak pier-

wsze, na cześć hetmana wznoszone. Wśród nocnej, głuchej ciszy rozchodziły się one głośnem echem po dalekich stepach, łącząc z szyderskimi śmiechami i przeciągłym, przeraźliwym gwizdaniem.

— A jakąż wagę mieć mogą nasze przysięgi — mówił Krzyczewski, jadąc obok kilku starszych sotników — skoro nam żadnych nie dotrzymują przyrzeczeń?...

— My składamy przysięgi — a oni je łamią sami... — dorzucił inny.

— Krzywoprzysięstwo nasze na głowy ich! — zawołano chórem.

Nazajutrz Siciński odjechał do p. Sołłohuba; miał bowiem nadzieję, że nie gdzieinziej jeno tam szukać go będzie Fedor, gdy z Litwy powróci, więcej zaś niż kiedykolwiek pragnął go ujrzeć. Miał on już pewność jako Fedor był owym gońcem, który tajne wieści z Ukrainy Królowi nosił, ale nie rzekł o tem jeszcze nic Potockiemu, pragnął bowiem mieć w ręku dowody i własne przyznanie się kozaka, aby w umyśle hetmana żadnej nie zostawić wątpliwości. Zdawało mu się to rzeczą tembardziej teraz konieczną, ile że p. Potocki pomimo uczty, która go na moment rozweseliła, był ciągle mocno zafrasowany i cale nieżyczliwie Sicińskiego pożegnał.

— Nowe wieści od Króla — rzekł mu na odjeźdźnym, — nowe jakieś pokątne doniesienia i nowe rozkazy, abym się cofnął... Ktoś tu na Ukrainie język ma długi, że aż do Wilna sięga — ale ja mu go skrócę... Powiedz mu to, mości Siciński, żeby się na baczności miał...

Siciński chciał odrzec, ale się strzymał, wiedząc już z doświadczenia, jako same słowa nie wystarczą i że korne milczenie było w tym wypadku, gdy dowodów niezbitych nie miał, najbezpieczniejszym środkiem do uśmierzania gniewu hetmana.

Wróciwszy wszakże do słobody pana Sołłohuba, ciężki opanował go smutek. Czuł się tak zniechęconym, iż widząc jako Sołłohub do wyjazdu z Ukrainy czynił przygotowania, pokusa go brała, aby z nim razem na Litwę powrócić, wyrzekłszy się niefortunnej misyi, która żadnego nie obiecywała skutku.

— Z hetmanem walczyć nie mogę — myślał, — przeto Królowi nie dogodzę, ile że pan Potocki wbrew woli jego działa i działać będzie. Z drugiej strony, hetmana nie przejednam i łask jego nie zdobędę, gdyż aby tego dokonać, trzeba mu Fedora wydać i udowodnić, jako to nie przezemnie szły owe relacye do Króla... Fedor zaś nie wraca

a gdyby i wrócił, kto wie, żali go pochwycić zdołam... Wszystkie zatem drogi zamknięte, tylko jedna otwarta — wyrzec się wszystkiego, wrócić do rodzica, osiąść i zamknąć się w Upicie...

W tem postanowieniu umacniał go ciągle pan Sołłohub, który z coraz większą serdecznością zbliżał się ku niemu i troski jego łagodnymi słowy rozproszyć się starał.

— Wacpanu nie w smak Ukraina głucha — mówił. — Nawykliście do wrzawy stołecznej, do dworskiego żywota; toż się wam tu pusto i smutno wydaje.

Władysław gorzko się uśmiechał. Myśli jego często rzeczywiście biegły do Warszawy, ale po to jeno, aby goryczą i niepokojem zatrwać serce. Postać Halszki coraz wyraźniej stawiała mu przed oczyma duszy, coraz gwałtowniejszą obudzając tęsknotę. Przypominał sobie pierwsze lata w pałacu Kazanowskich spędzone, pierwsze swoje nadzieje i plany.

— Otóż to jest służba dworska! — myślał. — Najpiękniejsze lata życia poszły na marne... Dziś znacę to samo, co wówczas, gdym ową służbę zaczynał, jeno że mi brak owego zapału, złudzeń i cierpliwości...

Myśli te jakby przeczuwał pan Sołłohub, raz bowiem rozgadawszy się o czasach dawnych, rzekł mu:

— Najgorsza to jest kondycya owa służba dworska, choćby nawet u Króla. Czasem wprawdzie dojść można tą drogą do wszelakich zaszczytów, ale pono nigdy nie posiędzie się ich tak wiele, aby nasycić owo pożądanie, które wśród zbytku, przepychu a różnych pokuszeń życia dworskiego, wzrasta... Toż stokróć jest lepiej zamiast się na pokuszenia narażać, uczynić tak, jak ja uczyniłem — pójść na pustynię...

— A przecie i wy z niej uciekacie! — przerwał Władysław.

Pan Solłohub ręką skinął.

— Nie uciekam, jeno wśród swoich znużoną głowę złożyć chcę. Długie lata żyłem samotny — dodał ze wzruszeniem, — przez długie lata zamykałem i serce i usta — lecz teraz czuję, jako duszę mam pełną miłości ku swoim... Wyście mi najbardziej, mości Siciński, przypomnieli kraj własny i rodzinę... Kiedym was ujrzał, to stało mi się tak, jakbym ujrzał nagle siebie samego przed laty, i zatęskniłem do tej młodości, która minęła, i do ludzi, których rzuciłem... i do wspomnień, które przemocą zatarłem w sercu...

Niezwykłe wzruszenie odbiło się przy tych słowach na sędziwem obliczu pana Solłohuba. Zbliżył się po chwili do Sicińskiego i kładąc mu rękę na ramieniu:

— Władysławie — rzekł, — siłą tych wspomnień, które obecnością swoją, poruszyliście w mem sercu, umiłowałem was nad wyraz; toż boli mię wasz frasunek, jakby mój własny... Jam także jak wy, wiele pragnął i spodziewał się za młodu... zdawało mi się wszystko do zdobycia łatwem — jeno ręką sięgnąć.... A wiecie dlaczego nie osiągnąłem nic?...

— Dlaczego? — spytał w roztargnieniu Siciński, myśląc o czem innem. Nie wzruszały go wcale słowa starca, on bowiem w tym momencie miał przed oczyma wszystkie swoje troski — a cóż go mogły obchodzić dzieje obojętnego człowieka?

— Dlaczego? — powtórzył mimowolnie, widząc jako pan Sołłohub przechadzał się teraz po izbie w wzburzeniu widocznem, zamilkłszy nagle.

Na powtórzone zapytanie pan Sołłohub się strzymał, jeszcze chwilę podumał, a potem ręką przechodząc po zamysłonem czole i zbliżywszy się do Władysława:

— Powiem to wam — rzekł, — ile że to młodemu waszemu, a jak moje niegdyś pełnemu pragnień sercu, pożytek przynieść może. Wyznałem już wam, jakoście mi dziwnie poruszyli duszę; miłuję was, jakby rozonego syna, a czuję, iż idziecie w życie



z dziwną chmurą na czole.... Zda mi się, iż pragniecie tak wiele, że to co życie dać wam może, pragnień tych nie zadowoli nigdy — ztąd gorycz, która zalewa wam serce i w posępnym uśmiechu wybiega na usta.... Ale zda mi się także, jako to nie jest jedyna przyczyna waszego frasunku.... Wczoraj, słyszałem, jako przez sen rzucaliście się niespokojnie, wymawiając ciągle imię niewiasty i jakby o przebaczenie ją prosząc....

Władysław porwał się z miejsca.

— Przez sen mówiłem! — zawołał w widocznym niepokoju. — Słyszałeś waszmość to imię?...

— Słyszałem — odrzekł poważnie p. Sołłohub — a z tego co wiem o was i coście mi sami mówili, domyślał się, kto jest owa przez was przez sen przyzywana Halszka....

Na imię to wymówione tak niespodziewanie, Władysław wzdrygnął się cały.

— Nie! — zawołał gwałtownie — źle się domyślacie.... ja nienawidzę tej niewiasty!...

— Nienawidzisz jej — powtórzył spokojnie starzec — bo nie możesz miłować tak jakbyś pragnął, bo cię ona może odepchnęła lub affektem twym wzgardziła. Ale namiętność masz w sercu, która je przepala.... Z jednej strony chciałbyś się podnieść, być znacznym i głośnym, z drugiej owa namię-

tność własne twoje plany krzyżuje i spycha z tej drogi, na której jeżeli nie wszystko czegośbyś pragnął, to może ukontentowanie swej ambicyi byś znalazł.... Ano, posłuchaj słów starca, który cię miłuje, potłum w sercu namiętność a przejrzyj jasno....

Władysław z niecierpliwością ramionami dźwignął. Już to rad dobrych nie brakowało mu w życiu.... Dawał mu rady stary Wodźbun i dworzanin Godziemba i ów kozak, który mu w dziwny sposób Wodźbuna przypomniał i teraz ten Sołłohub.... Wszystkie one przeszły bez wrażenia, jeno nauki Godziemby wydawały się mu praktyczne, toż je nieraz stosował.

Niemal z gniewem spojrział na starca, który nie zważając na to, mówił dalej głosem coraz bardziej wzruszonym:

— Nie otwierałem ja ust moich nigdy i przed nikim przez lat wiele — ale tobie Władysławie, powiem co mię tu przywiodło, iżem się zamknął na tej pustyni, zdala od swoich, wyrzekł się wszystkiego, aby iść szukać tu zapomnienia i spokoju.... Powiem, iżby ci to za przestrożę służyło — powiem, boś ty mi nie obey.... Rodzica twego pomnę w dniach młodości jako rycerz był dzielny — matka twoja była mi powinowatą.... Więc ci powiem, a ztąd ujrysz jako niebezpieczne

są żądze wszelkie, zwłaszcza zaś namiętność dla niewiasty.... Byłem wówczas młody, życia pełen i pragnień a szukałem ich zadowolenia tak samo jak waść, mości Siciński, w służbie dworskiej, mniemając, iż na tej drodze, najłatwiej zdobyć wszystko. Fortuny po rodzicach zostało nie wiele a i o to spór wiodłem z młodszym bratem Mikołajem, którego znasz, z Tronik. Chciałem mieć wielką fortunę, bo życie śmiało się do mnie i jego rozkosze.... Nie będę ci rozpowiadał wszystkich kolei jakie przebyłem, powiem krótko: podczas gdy brat mój hartował ciało i ducha w wyprawach rycerskich, jam marniał na dworskiej służbie; podczas gdy on resztki ojcowizny procesem ze mną uszczuplonej, ratował, siedząc w czas pokoju na ojczystej glebie, jam żył wśród cudzego przepychu, nawykał do zbytku i rozpieszczał się nim a zżymał w duchu, jako to wszystko na com patrzył, mojem nie było....

Władysław słuchał teraz uważniej.... Wszak to co ten starzec o swojej młodości i uczuciach mówił, było wiernem odbiciem tych żądz, jakich on doświadczał, żyjąc wśród cudzego przepychu na Kazanowskich dworze.... Wszak i on miał brata, o którym zapomniał, a który siedział na miejscu, podczas gdy on uganiał światami, szukając for-

tuny. Postać biednego kaleki stanęła mu przed oczyma.... tyle lat go nie widział, pożegnał niemal dzieckiem, a dziś Kazimierz musiał być już dorosłym mężem — może pomimo kalectwa szczęśliwszym od niego....

Pan Sołłohub mówił dalej:

— Po latach kilku, musiałem porzucić dworską służbę.... Wróciłem pod ojczystą strzechę uboższy niż kiedykolwiek, z sercem rozdartem, z goryczą w duszy a szyderstwem na uśmiech. Było znów ze mną tak, jak z tobą,... Rozmawiałem się w takiej niewieście, na którą oczu nie powinienem był podnieść, w małżonce tego, który dobroczyńcą był moim, a który przekonawszy się o zdradzie, nie zamordował mię, jeno uczynił gorzej, bo wygnał jak służalca, mszcząc się na mnie rozmaitymi sposoby. Nie ujął się za mną nikt, bom przyjaciół nie miał, ile że wszystkich zrażałem do siebie dumą i wyniosłością, mniemając, jako zdobywszy łaski możnego pana, bez przyjaźni równych i niższych obejść się snadnie. Wróciłem przeto pod strzechę ojcowską nędzarzem — a brat mój domysławiając się, czy też może wiedząc o wszystkim, przyjął mię z otwartymi ramiony i ani słówkiem nie poruszał przeszłości.... Ale ona sama stawiała ciągle przed memi oczyma, jak zmora, na jawie i we śnie. I tak samo

jak ty Władysławie, przez sen przyzywałem tej niewiasty, którą miłowałem namiętnie, lubo zdawało mi się czasem jak tobie, iż jej nie-nawidzę.... Wreszcie ta burza zdawała się uci-szać — aliści zerwała się niebawem inna, stra-szliwsza jeszcze. Przy tej rozpacz, jaką czułem w mej duszy odbijały tem jaskrawiej spokój i szczęście brata mego. Zrazu dziwiło mię to, jak on mógł się obchodzić tak małym, żyć tak nędznie — a w końcu zacząłem mu tego życia zazdrościć.... Słyszałem wszędy jak chwalono jego zacność, prawość, rozum a stateczność, każda zaś taka pochwała przeszywała mi serce zatrutą strzałą. Próbowałem, jako w sztuce intryg dworskich biegły, tu i owdzie rzuconem od niechcenia słówkiem, niszczyć. zwolna to uwielbienie powszechne, sam w sobie wmówić chciałem przekonanie, jako brat mój nie może być ani taki zacny, ani tak stateczny, nie chciałem przypuścić, aby serce jego wolne było od myśli ukrytych, jakie mą duszę szarpały i podejrywałem na każdym kroku jego intencye.... Ale i to nie zdało mi się na nic.... podejrzenia moje on odpierał czynami a ludzie słów moich niechętnych, nieszczerých słu-chać nie chcieli — niektórzy odwrócili się ze wzgardą....

Strzymał się chwilę pan Solłohub, ode-  
technął głęboko a spojrzawszy na twarz Włady-

sława, przekonał się z pociechą, jako słowa jego widoczne na nim czynią wrażenie. Siedział z pochyloną głową, patrząc posepnie przed siebie.

— Cóż dalej? — spytał dziwnie zmienionym głosem.

— Przychodzę, — odparł starzec — do najważniejszego w mojem życiu momentu, a darujcie, że krótko i bezładnie mówić będę, bo jeszcze dziś na to wspomnienie, serce uderza mi jak młotem w piersi a myśl się mąci.... Rosła tak z dnia na dzień zawiść moja ku bratu. Zawidziałem mu poważana u ludzi, zawidziałem swobody myśli i serca a wreszcie zazdrościć począłem.... miłości niewiasty. W sąsiedztwie naszym mieszkali pp. Puzynowie, podczaszowstwo upitscy. Jak wacpanu wiadomo, ród to zacny i starodawny, powszechnem zaś poważaniem otaczany na Litwie. Państwo podczaszowstwo mieli córkę jedynaczkę, Oleńkę imieniem, tak cudnej urody, że jakkolwiek wiano jej nie było zbyt znacznem, ubiegało się o jej rękę kilku znakomitych młodzieńców, między innymi zaś brat mój, który też przyrzeczenie rodziców i zgodę panny uzyskał.... Z początku było mi to obojętnem, ile że ogarnięty namiętnością występna, na inne niewiasty nie dawałem baczenia a na inne uczucia godziwe nie było

miejsca w mem sercu. W końcu jednak, widząc szczęście niewymowne brata mego, który się cały w tym affekcie rozpływał, począłem mu tego zazdrościć, a ta zazdrość zbrodnicza pchnęła mię do tego, iżem coraz wyraźniej o względy panny podczaszanki ubiegać się zaczął. Czyniłem to chytrze, podstępnie a całą umiejętność dworską wyteżyłem, aby spokój serca tej niewinnej istoty zamącić....

Strzymał się znowu pan Sołłohub, jakby się namyślał co dalej ma rzec, a widząc jako Siciński z widocznem zajęciem słucha, tak kończył:

— Serce ludzkie to niezbadana nigdy tajemnica. Sądziłem, że serce moje na zawsze do jednej tylko niewiasty należeć będzie, że ta występna namiętność, która mię ogarnęła, a która wszystkich nieszczęść moich stała się powodem, nigdy nie wygaśnie. Do Oleńki zbliżałem się zrazu zimny, pewny siebie, w tym jedynie celu, aby uczynić zadość zazdrości mej ku bratu i zemścić się na nim za dobroć jego stale mi, pomimo wszystkiego, okazywaną, która mię upokarzała. Ale wnet poznałem, jaka jest różnica między namiętnością występną a tem czystem i niewinnem uczuciem, które w dziewiczem sercu się mieści.... Gdym po raz pierwszy uczuł, że za-

biegi moje nie były daremne, gdym ujrzał, jako dworskością obyczajów moich, gładką wymową i obejściem, snadnie zwycięztwo nad bratem, w domu i prostocie chowanym, odnieść zdołam, gdym ujrzał jak na mój widok oko Oleńki zapalało się niezwykłą radością, a potem gdym widział, jako związana słowem, poczęła trapić się i smucić a blednąć — to stało mi się tak, jakbym się ze snu obudził i dopiero poznał, gdzie prawdziwa miłość i szczęście. Działiałem dotychczas tak przezornie, że rodzice Oleńki — jakkolwiek nie lubili mnie i podejrzliwie spozierali na mnie, — nie domyślali się i nie dostrzegali nic zgoła; ale pierwszy ujrzał to i zrozumiał brat mój, a jako zawždy był szczery i uczuć swych tać nie mógł, tedy raz wróciwszy od niej, przyszedł do mnie zafrasowany niemało i rzekł:

— Oleńka chora jest... zmieniona — a byłbym chyba ślepy gdybym powodu nie widział...

I zbliżając się do mnie a chwytając za rękę, spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakiego nigdy nie zapomnę: była w nim rozpacz bezgraniczna, niepokój, gniew, zazdrość i żal okropny.

— Miłujesz-że ty ją — zapytał, — tak silnie, aby jej dać szczęście? Żali ją miłujesz tak, jak ja, całą duszą i sercem całym?...



A mnie na to pytanie znowu dzika ogarnęła zawisać. A cóż to on — pomyślałem — mniema, jako jeden miłować umie i szczęście zapewnić może? Będzież-że on mnie zarówno jak inni, a w pierwszym rzędzie rodzice Oleńki, pomawiał zawsze o złe intencje i nieszczęrość?...

Tedy na pytanie nie dałem responsu, jeno zaśmiałem się szydersko, a na to brat mój pohamować się już nie zdołał.... Co miał na sercu żalu, to wypowiedział w słowach gorzkich, obelżywych niemal. Staliśmy wówczas naprzeciwko siebie nie jako bracia, ale jak zapaśnicy do walki gotowi. A wreszcie on przez zaciśnięte zęby rzekł mi:

— Gdybyśmy obcy byli sobie, dawnoby między nami rozstrzygnęła szabla.... dawnobym ci rzekł: ty albo ja, trup, ty albo ja, jej mężem.... Ano, nie sposób, aby krew bratnia nastawała na siebie.... więc niech rozstrzygnie los, niech rozstrzygnie szabla czy kula nieprzyjacielska.... każdy z nas powie sobie i na sumienie przysięgnie, jako życia oszczędzać nie będzie, że w największe niebezpieczeństwo poleci, — a który z nas dwóch ocaleje, ten będzie małżonkiem Oleńki....

Zaśmiałem się znowu.

— A po co? — odparłem szydersko — skoro ona nie ciebie, jeno mnie miłuje....

Przyskoczył do mnie jak zwierz dziki po tych słowach. Z wściekłością szarpał mnie za ręce, za odzież targał a lżył i bezcześcił.

— Kłamiesz! — wołał — to nie miłość, jeno opętanie szatańskie, które przeminie, skoro ty znikniesz jej z oczu....

A ja wówczas już zdzierzyć się nie mogąc, odepchnąłem go od siebie i rzekłem krótko:

— Dobrze! chodźmy na Szweda!

A było to podczas nowej wojny szwedzkiej za panowania Zygmunta III, kiedy Gustavus Adolphus przerzucił był wojnę do Prus, gdy zajmąwszy Malborg, Tczew i inne grody, oprócz Gdańska i Torunia, całych Prus królewskich stał się panem. Pobiegliśmy tedy pod Toruń, kędy król z wojskiem już był nadciągnął....

Pan Sołłohub chmurnie spojrzał przed siebie i zamilkł.... Chciał mówić, jakby to wyznanie po tylu latach milczenia było potrzebą duszy, a jednak słowa zamierały na ustach, głos w piersi się łamał a oczy łzą zachodziły.... Urywaniem słowa mówił dalej, już na Sicińskiego nie patrząc:

— Nie byłem ja wówczas nawykły do niebezpieczeństw wojennych; postanowienie też to zdawało się mi nieroztropnem i niesprawiedliwem, a walka nierówną, brat mój

bowiem był sprawnym bardzo i odważnym żołnierzem a w trudach obozowych zahartowanym. Ujechaliśmy z Tronik nie nikomu nie mówiąc, każdy w inną stronę a spotkaliśmy się dopiero w pierwszej bitwie pod Gniewem. Widzę go, widzę brata mego w ogniu największym.... Starły się wojska królewskie z nieprzyjacielskimi z olbrzymią siłą.... a wśród zamętu tego natarcia, ja mimowolnie strwożony, oszołomiony wrzawą tej bitwy, pozostałem nieco w tyle.... Lecz ciągle widzę przed sobą, jak on z mieczem podniesionym, leci wprost na szeregi szwedzkie, wysunawszy się naprzód, jakby zginąć chciał.... Dym i kurzawa zakrywały chwilami wszystko przed memi oczyma — to znów na moment widziałem go, jak siekł na prawo i lewo szablą, cały krwią zbryzgany, stojąc jak mur wśród kul nieprzyjacielskich, które go się nie imaly. Serce mi biło w piersiach gwałtownie.... Zginie.... myślałem... zginie niechybnie!.... I w tymże momencie cudna postać Oleńki Puzynianki stanęła mi przed oczyma.... Smutna i blada, zdawała się mnie pytać serdecznemi łzami: gdzie brat twój?... tyś go zamordował!... Nie mogłem znieść tego widoku, ani tych myśli.... Zakipiało we mnie wszystko.... zamknąłem oczy i pędem rzuciłem się w tę stronę, kędy brat mój walczył.... Stałem obok niego

i póki żyw będę, nie zapomnę jego wzroku, jakim spojrzał na mnie.... Snadź zdało mu się, iż ja go zdradzić chcę, bo zdyszany, nie ustając w walce, szepnął:

— Ze Szwedami przeciwko mnie, czy też ze mną przeciw nim?...

A mnie się na to pytanie zawróciła głowa.... Nieprzytomny podniosłem miecz — oto ten sam, który tam widzisz pod obrazem Matki Bożej, na ofiarę zawieszony.... Podniosłem bratobójczą rękę i słyszałem jeszcze okrzyk brata: zdrajco!... a potem już nie wiem co się stało.... trzy kule nieprzyjacielskie utkwily we mnie.... omdlałem.

Pot kroplisty wystąpił na czoło p. Sołłohuba, oddychał spieszenie i z trudnością — mówić dalej nie mógł.

— Jesteś-że wacpan pewien — zagadnął Siciński — iż owe kule, które wacpana zraniły, pochodziły od Szwedów?

Sołłohub obiema rękami zatrzęsł w powietrzu.

— Oby mi Najwyższy Sędzia przebaczył! — zawołał z uniesieniem — iż w pierwszej chwili brata mego o te kule oskarżać śmiałem! Zakrwawiłem mu do reszty serce posądzeniem tem, które zgoła fałszywem się okazało. Kule były szwedzkie a utkwily we mnie w tymże momencie, gdym ja szatańską

siłą poduszczon, rękę na brata podniosłem. On widząc jako upadam ranny, ocalił mnie, bo już zgoła o sobie zapomniawszy, porwał w ramiona i uniósł z pola bitwy. Pielęgnował mię też jak matka, tak czule — bom chorowałem długo i ciężko w Toruniu, a w malignie, w jakiej byłem, tom brata o zbrodnię oskarżał, to znów gryzła mię myśl, iżem sam bratobójcą jest.... Raz w nocy, obudziwszy się przytomniejszym, ujrzałem brata jak klęczał przy łożu mojem, odwrócony nieco odemnie.... Klęczał, modlił się i — płakał.... Miał on bowiem serce rycerskie, mężne, odważne, ale zarazem tak miękkie jak u dziecka, albo u niewiasty.... Wiedziałem, że on Oleńkę Puzyniankę miłuje nad życie, ale w tym momencie, gdym ujrzał go płaczącym tak rzewnie, powziąłem pewność, że gdybym mu ją zabrał, on nie przeżyłby tej straty.... Jakaś mię dziwna ogarnęła tkliwość.... widok też tego brata, który zawsze przedtem umysł miał wesoły i swobodny a którego szczęście jam złośliwie zamącił, widok jego boleści, poruszył mię do głębi. I wtedy w sercu swem przysiągłem, jako mu na drodze nie stanę i zrzeczeniem się Oleńki odpokutuję zbrodniczą intencję, jaka rękę mą w tumultie wojennym przeciw bratu podniosła. — Pójdę w świat — myślałem — i zapomnę.... I uczyniłem tak.... Skoro tylko

poczułem się zdrowszym, umknąłem z Torunia. Wałęsałem się długo po świecie aż wreszcie oparłem się na tej ukraińskiej pustyni....

— I przez lat tyle nie widzieliście brata, ani owej Oleńki?... — spytał Siciński wielce zainteresowany tą opowieścią.

Sołłohub podniósł na niego wzrok łzami zamglony.

— Nie widziałem — odparł głucho. — Poszedłem w świat jakem postanowił sobie, lecz nie zdołałem zapomnieć.... Wspomnień młodzińczych nie zagłuszył w sercu ani czas, ani oddalenie, ani ten wichler stepowy, który przez lat tyle szumi w około mnie.... Nie zapomniałem! a kiedy oni tam — na Litwie, szukali mię wszędy napróżno, jam wiedział o nich wszystko. Wiedziałem, że po roku napróżnych poszukiwań za mną, kiedy może już sądzono, żem umarł i opłakano mię, Oleńka została małżonką brata mego.... Lat kilka, nie długo, byli szczęśliwi.... Ona umarła, pozostawiwszy małżonkowi małą sierotkę w kolebce.... także Oleńkę....

Zamilkł znów p. Sołłohub i przechadzać się począł po komnacie w widocznem wzburzeniu. Po chwili zatrzymał się przed Władysławem i kładąc mu rękę na ramieniu, a obejmując całą jego postać spojrzeniem serdecz-

nem, drżącym ze wzruszenia głosem przemówił:

— Historyi tej, nie słyszał nikt, prócz ciebie.... a nie daremno tom ci rzekł.... Kiedym cię ujrzał takim młodym, takim pięknym, a nadziei różnych pełnym — żywo przypomniła mi się młodość moja, zdało mi się, iżem to ja odmłodził w tobie.... Chwyciłeś mię wacpan za serce a może Bóg to umyślnie tak zdziałał, abym na starość doznał choć trochę rozkoszy....

Siciński z pewnem zdziwieniem patrzył na Sołłohubę, który mówił dalej:

— Widzę ja, jako walczysz i dobijasz się fortuny.... z tego coś mi rzekł i co na twem obliczu czytam, domyślam się, jako nie jedna troska cię gnębi.... pragnąłbyś wiele i rychło, a życie wlecze się powoli i zawody jeno przynosi. Więc ja ci powiem tak:.... Stary już jestem.... pora wracać między swoich i tam wśród nich zamknąć oczy na wieki.... Wiedzą oni już o mnie oddawna, wiedzą, iż żyję jeno myślą o nich.... o tym bracie jedynym i tej Oleńce jego, która ma być żywym wizerunkiem matki.... Jam tu na Ukrainie zebrał fortuny niemało.... nie dla siebie, jeno dla niej, dla Oleńki.... Bogatą będzie dziedziczką, jakkolwiek rodzic jej na Tronikach swych nie zebrał wiele, a jeśli zbierał, to

aby rozdać uboższym.... Ja za to zbierałem skrzętnie, bom sobie myślał, że to czynię dla tej, której pamięć nie opuściła mię ani na moment, że to czynię dla jej dzieciny, którą miłuję jakby moją rodzoną była, że czynię to dla brata, który mi życie ocalił, a przeciw któremu rękę bratobójczą podniosłem.... Ano, dziś już dosyć tego zbierania... fortuny dosyć mam — posiadłości te moje panu Kalinowskiemu odprzedaję i na Litwę, do nich, wracam....

— A nie będzież wam żal rzucać tej ziemi i tej siedziby, w której lat tyle przebyliście?.... przerwał Siciński, nie rozumiejąc jeszcze zgoła, do czego pan Sołłohub zmierza.

— Czy mi żal będzie?... powtórzył starzec zwolna. — Ano, w żywocie ludzkim to zawždy tak.... z jednym się witasz, a drugie żegnasz, z jednymi się radujesz a do drugich tęsknisz.... na to rady nie ma.... Żal mi będzie tej ziemi i ludzi tych, z którymi żyłem w spokoju i tego powietrza, którem się lat tyle poilem.... Ale umrzeć chcę między swoimi i serce moje rwie się ku nim z niewymowną tęsknotą. Więc wracam na Litwę — a ty wracaj ze mną!...

Siciński wzrok zdziwiony podniósł na starca.



— Ja, wracać?... — rzekł z roztargnieniem — a po co?

Sołłohub na to pytanie bezpośredniej odpowiedzi nie dając, mówił po chwili jakby w uniesieniu:

— Wierzaj mi, waszmość, te wszystkie nadzieje, widoki, plany a marzenia, przez młodzieńczą ambicję podsuwane, to wszystko dym marny, który wicher rozwiewa... Szczęście jeno w zagrodzie własnej... wśród swoich... Ty szukasz po dworach, na usługach pańskich, fortuny — a kto wie, żali ją znajdziesz? Żali szukając, nie strujesz serca gorączką a sumienia nie skazisz... Słuchaj, ja ci mówię: szczęście jest bliżej — a tyś się za niem na manowce zapędził... Wracaj ze mną!

Słowa starca, wypowiedane z dziwnem wzruszeniem, mimowolnie przejmowały Władysława. Czuł on, że powrót jego na Litwę w tym momencie był niemożliwym, ale od dawna doznawał znużenia w tem życiu, jakie prowadził i nieraz w rozmyślaniach samotnych widział jako marzenia jego wicher iście rozwiewał jako dym marny.

— Nie rzekłeś mi nic — mówił dalej p. Sołłohub, — alem ja z oczu twych wyczytał, a z twoich sennych słów bezładnych wiem, jako masz w sercu namiętność grzeszną...

Ciężka to jest choroba, z której człek, jeśli przemocą sam się nie wydźwignie — zginał... Więc ja ci powtarzam: Wracaj ze mną a ocalejesz... Obaczysz Oleńkę, która do matki jest podobna, a przeto piękną być musi nad wyraz; dziewucha to już teraz dorosła, a gdyby ci do serca przypadła, to za zezwoleniem rodzica, o którym nie wątpię, dałbym ci ją, wraz z całą fortuną moją, która tak znaczna jest, że darmobys takiej szukał wśród dworskich zabiegów...

Na słowa te, pełne uczucia a chwytające za serce prostotą, Władysław zrazu oniemiał. Dotychczas widział w okół siebie niechętnych jeno lub zawistnych; po raz pierwszy spotykał człowieka, który od pierwszego wejrzenia był dlań najczulszym a nie zrażał się doń nawet tem, czego się sprawiedliwie domyślał. Widział w jego duszy dumę wielką i myśli ambitne, przeczuwał w sercu namiętność grzeszną i mówił, jako na to wszystko jedynem lekarstwem miłość zacna a czysta, oderwanie się od dotychczasowego życia, powrót do swoich, do rodzica, który go przez lat tyle napróżno do siebie wzywał.

Na ostatnie przeto słowa panna Sołłohuba żadnej odpowiedzi znaleźć nie mógł. W pomieszaniu wielkiem czuł, że go dawno nie

doznawane a miłe i słodkie ogarnia wzruszenie. Podaną sobie dłoń starca uściśnął mocno, wyjąkał niewyraźne podziękowanie i jakby lękając się zdradzić z uczuciem, którego niemal się wstydził, z pośpiechem wybiegł z komnaty.

Wieczór był późny. Ciepłe, wiosenne podmuchy szły od stepów, przenikając i topiąc resztę śniegów, leżących jeszcze na dolinach i jarach. Xiężyc podnosił się zwolna na niebie wśród chmur lekkich, białych i mgieł przejrzystych, gnanych wichrem. Władysław błąkał się długo samotnie po stepach, szukając uspokojenia wzburzonych myśli i uczuć. Wreszcie znużony powracał już zwolna ku dworzysku, gdy wtem wśród ciszy nocnej doszedł uszu jego tętent konia.

Obejrzał się i przystanął. W oddali, dostrzegł w niepewnym blasku xiężycowym postać jeźdźca, pędzącego ku niemu co sił koniowi starczyło. Za chwilę był tuż przy nim, konia ściągnął, pochylił się nieco ku Sicińskiemu i spojrzał mu w twarz z blizka.

Siciński cofnął się nieco, ale wnet poznawszy jeźdźca, nie mógł strzymać okrzyku:

— Fedor! — zawołał.

— Do was spieszę — odparł zdyszany głosem kozak — a to prawdziwe szczęście

jako was tu spotykam, bo dziś jeszcze muszę dalej... strzymywać się nie mogę...

I zeskoczywszy z konia, który zmęczony gwałtownym biegiem wstrząsał się i parskał, — mówił coraz spieszniej, idąc obok Władysława:

— Żle, coraz gorzej się dzieje... Za dni kilkanaście spłynie ta ziemia krwią... Jeżeli macie posłuch u hetmana, to nie tracąc czasu jedźcie do niego i powiedzcie mu tak: wśród rejestrowców już nawet podnoszą się bunty... ktoś szerzy wieść, jako żołd przez Króla na ręce hetmana przysłany, wypłacony im nie został... Wzburzenie jest wielkie. Niech przeto hetman co rychlej ów żołd zaległy, albo część jego zapłaci a niech się nie rusza z swą garstką i okazji nie daje...

Siciński z niecierpliwością przerwał:

— Przecież wszyscy rejestrowcy przysięgę wierności złożyli... pewni są!

— A teraz mówią — wtrącił kozak, — jako ich przysięgi żadnej wagi nie mają, bo czynione im przyrzeczenia pierwszej złamane zostały...

— To jedź sam — rzekł Siciński — do Umania i powiedz to hetmanowi...

— Żali mego głosu usłucha? — przerwał Fedor. — Wy co innego, wy poseł królewski, wy macie prawo i obowiązek mówić. Zre-

sztą mam list królewski do hetmana, który wy mu doreczyć macie... Król tak kazał.

To mówiąc, wyjął z zanadrza pismo wielkie, opatrzone szeroką pieczęcią królewską.

— A więc byłeś w Wilnie?... u Króla?... — zagadnął Siciński, głos zniżając i biorąc owe pismo z rąk Fedora.

— Byłem — odparł śmiało kozak. — Król mocno chory jest a sprawy ukraińskie go trapią... Hetman rozkazów nie słucha a niebezpieczeństwo tak bliskie jak nigdy. Chmielnicki powrócił z Krymu, siedzi jeszcze na ostrowie, ale się już ruszać poczyna, czując tatarskie posiłki za sobą...

— A mnie się widzi — wtrącił Siciński, — jako te wszystkie niebezpieczeństwa w waszej jeno myśli są... Strach was wielkooki opętał; boicie się...

— My się boimy! — zawołał Fedor i niemal z pogardą na Sicińskiego spojrzał. — Nie bój się jeno wacpan prawdy hetmanowi rzec a my odwagę w potrzebie najdziemy, byleby ona nie była straconą!... Król chce, — mówił dalej kozak, — byście owo pismo doreczywszy hetmanowi, wymogli na nim, aby rozkazy spełnił, co gdy się stanie, macie wnet Króla osobnym zawiadomić gońcem.

— Tym gońcem ty będziesz, Fedor — odparł Siciński z szyderstwem w głosie, — znasz przecie najlepiej drogę do Króla...

Kozak przenikliwie na Władysława spojrział.

— Nie mogę ja teraz — odrzekł — ztąd się wydalać... Wśród rejestrowców tak wierność zmalała, że jeden wierny znaczy wiele...

— To jedź ze mną do Umania — ozwał się Siciński, który jeno nad tem przemyślał, jakby Fedora schwytać i hetmanowi dostawić, — obaczym, co pan krakowski rozkaże...

— Do Umania pojedę niezwłocznie — odparł Fedor, — ale nie do zamku, jeno aby się z kilkoma kozakami, którzy są wierni, porozumieć.

— Coż czynić zamierzacie? — zagadnął Władysław.

Fedor milczał.

— Nie mogę rzec... — odparł po chwili.

— A to jest najgorzej! — wybuchnął Siciński, — że wy tu sami na własną rękę działacie! W przewidywaniu jakichś Chmielnickiego spisków, sami spiski knujecie, odprawujecie do Króla poselstwa, czynicie zmowy a wszystko bez wiedzy hetmana.... Jedź ze mną Fedor do zamku — dodał rozkazująco — zdasz tam hetmanowi ustną relację

z tego coś od Króla słyszał, a dowiesz się sam co powie...

— Nie uczyniłem nic złego — odparł Fedor, — jeno to co sam pan kanclerz Ossoliński, gdy tu był, czynić rozkazał. Za jego wolą jeździłem do Króla a mówiłem to, co mi sumienie i prawda rzec kazały... Nie mam przeto powodu lękać się hetmana, wszakże do zamku nie pójdę, ile że pan hetman strzymać by mię mógł, a ja momentu do stracenia nie mam...

Władysław się zamyślił. Nie mógł on trać z oczu Fedora i wypuścić go nie chciał.

— Dobrze — rzekł po chwili, — do zamku nie pójdziesz, ale do Umania pojedziem niezwłocznie razem. Ja pójdę do hetmana, aby mu pismo królewskie doręczyć, ty zaś z owymi kozakami mówić będziesz... W drodze zaś powiesz mi, co ci Król rzekł i co w Wilnie słychać.

Fedor, jakkolwiek niechętnie, zgodził się na to, nie miał bowiem żadnego powodu czynionej propozycji odrzucać a Sicińskiego o zdradę nie posądzał zgoła.

Za chwilę Władysław, nie pożegnawszy się nawet z p. Solłohubem, wzięwszy tylko jednego pacholika z sobą, jechał wraz z Fedorem do Umania.

Noc była głucha, kiedy tam przybyli. Fedor do miasteczka dojechawszy, strzymał się i rzekł do Sicińskiego:

— Wy jedźcie panie do zamku, ja tu ostać muszę... Wy zaś szukajcie takiej wymowy, byście pana Potockiego przekonać mogli i uprosić, iżby się na wolę królewską zgodził. O mnie nie mówcie nic... Hetmanowi pismo królewskie miłem nie będzie a mógłby się na mnie za to mścić... Powiedzcie przeto, jako nieznany wam goniec owo pismo przyniósł i z rozkazu królewskiego wnet napowrót odjechał. Nie o mnie tu idzie, jeno o to, iż w tym momencie mam do spełnienia wiele a o wierną duszę dziś trudno... Nie mówcie przeto o mnie hetmanowi.

— Nie powiem — odrzekł Władysław.

Ale skoro tylko Fedor odjechał nieco, natychmiast polecił pacholikowi swemu, aby go z oka nie spuszczał, sam zaś poleciał pędem do zamku.

W zamku było cicho jak w grobie. Jeno strażę czuwały. Ale Władysław wnet do kometanta twierdzy poszedł, zwiastując mu jako ważnego szpiega wysłedził, którego natychmiast ująć należało, aby precz nie uszedł. Chciał też natychmiast widzieć się z panem krakowskim, co wszakże okazało się niepodobnem, ileż do komnaty hetmańskiej nikt



w nocy przystępu nie miał. Musiał więc Władysław czekać do rana, ale to uzyskał, iż komendant kilku drabów wysłał natychmiast celem ujęcia Fedora. Pacholik Władysława wskazał im drogę, kędy go szukać mieli, a Siciński nie uspokoił się pierwszej, aż posłyszał, jako draby owe wracali, prowadząc jeńca... Z krużganku wieży zamkowej widział, jako szli, wiodąc wśród siebie skrępowanego Fedora. On postępował zwolna, z obliczem wzniesionem ku niebu, które ciężkimi pokryło się chmurami, grożąc deszczem. Pomimo ciemności zdało się Sicińskiemu, jako dostrzega bladą twarz kozaka i widzi wzrok jego skierowany ku niemu a iskrzący się dziko...

Wzdrygnął się mimowolnie, ale po chwili ręce zatarł i szepnął:

— Już teraz chyba przekonam hetmana i łaskę jego zdobędę, a tak i podróż ukraińska nie będzie straconą...

Był już dobry ranek, gdy p. Potocki otulony w kosztowną szubę sobolową, amaranutowym axamitem krytą, wyszedł na dziedziniec, aby się przyglądać wedle codziennego zwyczaju stadninie swojej, którą przeprowadzano.

Dzień był chmurny i mglisty, ponure myśli rodzący w duszy. Pan krakowski

w niedobrym też dnia tego był humorze. Twarz miał skrzywioną, usta bez uśmiechu, oczy bez blasku; wyglądał jak gdyby znużony.

Siciński zbliżył się.

— Jw. kasztelanie — rzekł, — ważne są wieści...

— Słyszałem — odrzekł z niechęcią pan krakowski, — jako wacpan nawet w nocy budzić mię chciałeś...

— Są listy królewskie... — ozwał się Władysław, podając pismo.

— A!... — zawołał hetman, wyciągając niecierpliwie rękę, — znowu jakieś nowe polecenia...

Rozwinał papier i zbliżywszy do oczu, czytać zaczął. A w miarę jak czytał, ręce mu drżeć poczynęły, wargi blednąć a brwi zsunęły się groźnie... W najwyższym uniesieniu stuknął nogą o ziemię.

— A toś uwieńczył swe dzieło, mości Siciński! — zawołał. — Król pisze, jako wszystko jest źle com uczynił, nie pozwala wojska dzielić, ani przeciw Chmielnickiemu iść, ani dowództwa nad jedną partją Stefanowi dawać, którego młodzieniaszkiem niedoświadczonym zwie.... zgoła chce, abyśmy chłopstwu ulegli...

Zbliżył się do Władysława i głosem drżącym z wewnętrznego oburzenia:

— Waść sobie nie myśl, mości Siciński — rzekł, — aby mię to straszyło. Będzie tak, jak ja chcę, a wacpan możesz dalej skargi swe do Wilna posyłać, dopóki mi się to nie znudzi i nie ukroćę zuchwalstwa...

Siciński nie przestraszył się tym razem hetmańskiego gniewu; patrząc odważnie w oczy rozsierdzonemu panu, odparł:

— Skarg nie posyłałem i posyłać nie będę, jw. kasztelanie. Ażeby zaś dać dowód moich dla jw. pana sentymentów, zdołałem wysledzić donosiciela i przywiodłem go tutaj...

— Nie może to być! — zawołał hetman a oczy mu się zaiskrzyły.

— Szpieg uwięziony jest — odparł Siciński — i oto go prowadzą.

Dwóch drabów prowadziło rzeczywiście skrepowanego powrozami Fedora. Szedł jak wczora wolno, lecz z głową spuszczoną na piersi. Wyglądał nędzniej niż zwykle, w odzieży błotem zwalanej i poszarpanej. Twarz jego wyrażała znużenie, policzki jeszcze bardziej zapadły i zczerniały. Hetman z pogardą nań spojrział i zaśmiał się szydereco.

— Więc to jest królewski goniec! — zawołał — jakieś baśnie prawisz mi, mości Siciński.

Władysław zbliżył się ku hetmanowi i prawie szeptem mówił spiesźnie, urywanymi wyrazy:

— Jest to tajemniczy kozak — rodem pono z Litwy, szlachcic... w kozaka przedzierzgnął się z pielgrzyma, który całą Ukrainę przebiegł — teraz jest rejestrowcem na służbie u Barabasza... Kazanowski chwalił jego wierność a on sam mówił mi, gdym go wczoraj spotkał, jako z polecenia kanclerza Ossolińskiego z Ukrainy do Króla z językiem biegał... On mi też owo pismo królewskie do jw. pana doręczył...

Potocki słuchał, ale było widocznem, jako Sicińskiemu jeszcze nie wierzył.

— Zbliż się! — krzyknął do Fedora. — Jak się nazywasz? — zapytał groźnie.

Kozak podniósł głowę i spojrzał... Wzrok jego padł naprzód na Władysława, a musiał być przenikliwym bardzo, bo Siciński cofnął się i zachnął. Na zapytanie hetmana odrzekł jeniec:

— Zowię się Fedor...

— A dalej?

— Bezimia...

— Kłamiesz! — krzyknął hetman — inne pono masz nazwisko... Ale mniejsza o to... Więc to ty na Litwę chadzasz, aby na mnie skargi zanosić?...

— Skarg nie nosilem — odparł śmiało Fedor. — Mówilem jeno, co mi prawda rzecz kazała...

— Milcz! — zawołał Potocki, oburzony śmiałą odpowiedzią kozaka.

Fedor zbliżył się ku hetmanowi.

— Jw. panie! — przemówił — nie chcecie mię posądzać o nic złego... Pan kanclerz Ossoliński kazał mi donosić wszystko — więc rozkaz spełniłem w najlepszej intencji. Nie tailem nic, jako i przed wami nie taję... Niebezpieczeństwo jest blizkie i groźne, oddziały ordy nogajskiej, oczakowskiej i krymskiej przysuwają się ku granicom... Nasze siły nie wystarczają... Jeśli się ruszymy...

Hetman porwał się ku niemu z pięścią ściśniętą. Zuchwały kozak nawet wypierać się nie myślał swoich poselstw do Króla, a śmiał powtarzać to właśnie, co krakowskiego pana najbardziej oburzało.

— A zkąd ty wiesz, psi synu — krzyknął nie posiadając się z gniewu, — że nie wystarczemy?...

— Bliżej patrzę na sprawy od lat wielu — przerwał Fedor, nie bacząc na wzburzenie hetmana — od kurenia do kurenia chodziłem a słuchałem, co mówią.... Na miłość boską! — zawołał w uniesieniu — rozkażcie mnie puścić!...

Hetmam śmiał się szyderczo urywanym głosem.

— A toś ty mądrzejszy odemnie! — zawołał — a ja twój rozum dyabłu oddam, nogi zaś twoje w żelaza zakuję, aby z głupiem po-selstwy nie biegały...

Siciński zbliżywszy się do hetmana, szepnął:

— Należałoby go wybadać — ile że jakieś spiski miał tu knuć z niektórymi kozakami, których wiernymi zwał...

— A to go sobie badaj! — odparł głośno pan hetman. — Ja go badać nie będę... bo na spiski mam inne sposoby... Hej! hej! — krzyknął na stojących obok hajduków, — wziąć tego urwanca a chłostać, dopóki nie zdechnie!

W oczach Fedora zabłysły ognie... Wzdrygnął się i pomimo krępujących go więzów przysunął się do Sicińskiego.

— Mości Siciński — szepnął, — pomnij coś uczynił... — ocal mnie!

— Wziąć go! — krzyczał hetman, którego to nużyć poczynano; pragnął co rychlej skończyć.

Trzech drabów zbliżyło się ku Fedorowi w milczeniu i chciało go za ramiona ująć. Ale on szarpnął się z taką siłą, że krępujące go więzy pękły...

Zwolnioną ręką odepchnął napastników...

— Mości kasztelanie! — zawołał — jam jest szlachcie wolny, chociaż kozaczą siermięgę noszę... zabić mnie każ, ale nie chłostać!...

— Cha! cha! — zaśmiał się Potocki — ja ci twój herb na skórze wypisać każę!...

W tej chwili schwycono znów kozaka za ręce. Ale w tym szkielecie, który od powiewu wiatru słaniać się zdawał, musiała być siła ogromna. Zdawało się, iż w ziemię wrósł, bo go z miejsca ruszyć było niepodobna, szamotał się zaś i rwał gwałtownie, że co moment napastników odpychał...

Siciński blady, z zaciśniętymi usty, patrzył sztywnie na tę rozpaczliwą walkę Fedora. W tym momencie zuchwała twarz tego kozaka z rozburzonymi włosami, ze świecącymi wewnętrznem oburzeniem oczyma, przypominała mu znowu żywo inne oblicze, a ta walka inną chwilę, zapisaną w duszy niezatartem wspomnieniem... Chwilę, kiedy stary Wodźbun prowadzony ku lochom birżańskim, przeklinał go za pierwszą zdradę wówczas spełnioną...

Było niepodobieństwem, aby Fedor z tej walki mógł wyjść zwycięzko. Już słabnął, — i nagle zwałił się na ziemię, tłoczony kolanami hajduków, krępujących go silnie powrozem.

— Mości hetmanie!... — wołał jeszcze stłumionym głosem — nie kaźcie hańbić wolnego szlacheica!... puśćcie mnie, bo stanie się nieszczęście!...

— Zdrajco! — krzyknął hetman — i ty grozić śmiesz!...

Na wyraz: zdrajca, siły kozaka jakby znowu się wzmogły... jeszcze raz się podniósł i odtrącił hajduków...

— Jam nie jest zdrajca! — zawołał mocnym głosem — zdrajcą jest ten, którego, mości hetmanie, słuchasz... zdrajcą jest Siciński... rodzica mego na śmierć wydał a dziś mnie tak samo zdradził!...

Władysław wzdrygnął się cały... Więc wątpliwości nie było, przecucia go nie omyliły — to był Wodźbun! Jak osłupiały stał milcząc, a czuł, iż w tym momencie wzrok Potockiego, zdziwiony, skierował się ku niemu.

— A!... — ozwał się pan krakowski — więc wacpan znasz z dawna tego kozaka?...

— Nie znam... — odparł Władysław, pomieszania utaić nie mogąc.

— Kłamiesz! — zawołał Fedor, którego w tej chwili wleczono po ziemi, — kłamiesz!... — powtórzył — jam jest Zygmunt Wodźbun, którego rodzica w Birżach zabiłeś!



Wzrok hetmana coraz bardziej zdziwiony, oprzytomnił Władysława. Zaprzeczenie na nic się przydać nie mogło.

— Jeśli to prawda — rzekł tedy pospiesznie — jeśli kozak ten rzeczywiście nazwisko to nosi, to łotr niebezpieczny jest; rodzic jego za zdradę xięcia Krzysztofa Radziwiłła, jako Królowi przeciw xiążęciu fałszywe wieści donosił, więzieniem ukarany, zmarł.... Syn zaś Szwedom wydał twierdzę birzańską.... to całe pokolenie zdrajców....

Fedor osłabły, w omdleniu niemal, walczyć przestał — ciągniono go po ziemi jak trupa, a on też jak trup wyglądał z zawartemi oczyma, z twarzą zbladłą i sinemi warzami. Głowa bezwładnie opuszczona obijała się o ziemię i kamienie.... Ciężko było hajdukom wlec go tak bezwładnego, więc strzymawszy się, podźwignęli go i ujęli pod ramiona.

Fedor oczy otworzył i błędnym, mgłą zasnutym wzrokiem, potoczył dokoła. Hetman odwrócił się ze wstrętem i już rozmawiał z kim innym, pismo królewskie mu ukazując, ale Siciński jak w ziemię wryty, ruszyć się nie mógł. Jakieś przerażenie dziwne przykuwało go do miejsca; chciał się odwrócić, ale wzrok mimo woli szedł ku Wodźbunowi.

Nagle spotkały się ich oczy: spojrzenie Władysława sztywne, lęku pełne, z mętным, omdlałym wzrokiem kozaka. Usta Fedora zadrgały.... i nagle z piersi wydobył się głos dziwny, stłumiony a przejmujący:

— Bodajeś przepadł!... — krzyknął.

Szarpnięto go silnie w tej chwili i uprowadzono po za dziedziniec zamkowy, na puste pole, kędy stał pal wysoki, przy którym wymierzano chłostę skazańcom....

Wtem stojący obok hetmana rozstąpili się spiesźnie i ukazał się w oddali młodzieniec rycerski. Cały był w zbroi lśniącej, z hełmem złocistym na głowie, z pod którego widniała twarz tak piękna, że wzrok ku sobie mimowolnie ścigała. Oczy jego ciemne a blasku pełne, patrzyły śmiało, pogodnie a z łagodnością chwytającą za serce; usta uśmiechały się niezwykle wdzięcznie ku pozdrawiającym go z daleka ludziom. W tej wszakże chwili nie miały uśmiechu, twarz wyrażała zafrasowanie. Młodzieniec szedł szybko; ruchów jego zgrabnych, zwinnych, zdawała się wcale nie krępować ciężka zbroja.

Był to Stefan Potocki, starosta niżyński, syn krakowskiego pana i ulubieniec jego, ku któremu oczy i usta rodzica śmiały się już z daleka. Ale nie tylko rodzic, miłowali tego młodzieńca wszyscy i żołnierze i dwo-

rzanie. Rycerski, śmiały, odważny, łagodnym był jak dziecko a nieczyjej krzywdy dopuścić nie chciał. Szlachetności niezwyklej, był dobroczyńcą każdego, który w niedoli do niego się udał; wszakże w szeregach rycerstwa, ulegając pierwszy ścisłej dyscyplinie wojskowej, surowej też przestrzegał karności.

Z wielką attencją zbliżył się ku rodzicowi, który obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Ojczy, — rzekł młody Potocki — żali to z rozkazanias Waszej Miłości prowadzono tego kozaka na chłostę?...

— Jest to szpieg jakiś.... — odrzekł hetman z nieukontentowaniem — wydał mi go pan Siciński, twierdząc, jako aż na Litwę do Króla biegał i skargi na mnie zanosił.

— Nie może to być! — przerwał żywo kasztelaniec, spoglądając z niechęcią na Sicińskiego — kozaka tego znam, widziałem go w Czerkasach u Kazanowskiego, który mi go bardzo chwalił, jako wielkiego poświęcenia jest człek.... Zdał mi się też całę nie prostym kozakiem, a obożny mi mówił jako szlachciem jest, który się kozakiem uczynił, iżby usługi oddawać.... Nie godzi się go chłostać, ojczy....

— Rozkazałem.... — rzekł hetman.

A w tymże momencie wśród ciszy, jaka zaległa, przeniknął powietrze jęk głośny, nie bólu, ale takiej dzikiej rozpacz, iż wszyscy mimowolnie zadrżeli.... Jęk ścichł niebawem i nie powtarzał się więcej.

Pan krakowski ruszył się żywo, aby do zamku iść, ale syn strzymał go jeszcze i mówił z cicha, niemal błagalnie.

— Proszę o łaskę Waszej Miłości dla tego kozaka.... zwolnijcie go od chłosty przynajmniej....

Potocki zwrócił się ku Władysławowi.

— Każ wacpan — rzekł — chłosty zaprzestać....

I z nietajonem szyderstwem w głosie dodał:

— Chciałeś go waść badać.... to go się rozpytaj, wszak znacie się pono oddawna.... A potem czyń z nim co chcesz.... w więzieniu ostaw, albo go puść wolno — mnie to wszystko jedno....

I wszedł do zamku a za nim Stefan z resztą przedniejszego rycerstwa, które się tymczasem zebrało.

Natychmiast walną złożono naradę i postanowiono wbrew listom królewskim, podzielić wojsko całe na dwie części. Stefan Po-

tockiego otrzymał z rąk hetmana naczelne dowództwo nad jedną partją, która niezwłocznie na-przód, w głąb Ukrainy, przeciw Chmielnickiemu wyruszyć miała.

— Zuchwały chłop — mówił pan hetman — na moje pismo, w którem mu indulgencję ofiarowałem, byle z Zaporozża wrócił a upokorzył się, nawet responsu nie dał, a nadto posła mego w niewoli trzyma. Należy go ukarać przykładnie. Tedy syn mój wyruszy natychmiast, my zaś z głównym obozem ku Czerkasom wrychle się posuniemy.

Przeznaczono tedy staroście niżyńskiemu 6000 dobrze uzbrojonego wojska, prócz tego zaś ze trzy tysiące rejestrowych kozaków pod wodzą Jacka Szemberga, oraz dwanaście dział polowych.

Wszyscy wołali, jako to aż nadto wielka siła dla poskromienia jednego zuchwałego kozaka, zwłaszcza, że w szeregach poddanych dowództwu starosty niżyńskiego, znajdowali się tak dzielni i wypróbowani żołnierze, jak Jan Sapieha starosta owrucki, Zaćwilichowski rotmistrz, Krzysztof Grodzicki pułkownik, i sławny z męstwa i przezorności, jakkolwiek młodszy wiekiem, Stefan Czarniecki. Zostali oni przydani do rady Stefanowi Potockiemu, wszyscy zaś byli najlepszej myśli, prócz je-

dnego Czarnieckiego, który na owej naradzie długo milczał posępnie a wreszcie rzekł:

— Mnie się ta sprawa niebezpieczną być zdaje.... Jeżeli wieści o lidze z Tatarami są pewne, — wówczas Chmielnicki z łatwością nas zdusi.

Inni się na to zaśmieli a najgłośniej sam pan hetman koronny.

— Szaleństwem jest myśleć — rzekł — iżby Tatarzy wspomagać chcieli kozactwo, z którego bezsilności najwięcej korzyści mają.... Zresztą wyprawilem ja już list do Wezyra, żądając, aby wzbronił Ordzie konszachtów z Chmielnickim, jeśli pragnie utrzymania świeżo zawartego pokoju.

Czarniecki nie rzekł na to nic, a inni chwając przezorność hetmana, iż owo pismo do Wezyra wysłał, na wszystko się według woli jego zgodzili.

Tegoż wieczora pisał hetman do Króla oznajmiając, jako wnet po Wielkiejnocy zamierza wyprawę przeciw Chmielnickiemu urządzić.

„Niebaczny ten a swawolny człek, pisał, nie da się poskromić łagodnością; jedynym na niego sposobem postrach miecza nad karkiem.... Wyruszam tedy przeciw niemu nie bez uwagi i rozsądnej rekolekcyi i nie dla przelewania krwi chrześcijańskiej, ale iżbym

niebezpieczeństwu *in herba* zapobiegł i niedobywszy broni, samym strachem wojnę skończył i rozumem, przysługę Waszej Król. Mości uczynił. Dotąd jeszcze kozacy żadnej kropli krwi wojsk W. K. M. nie uronili i nie uronią, jeżeli zrzekną się pychy i zuchwałych uroszczeń, a zawziętości w sobie zatłumiają.“

---

## XVIII.

Wodźbun, w wojsku kozackiem Fedorem zwany, wróciwszy od Króla, przyniósł atamanowi Barabaszowi niejaki pocieszenie. Król, jakkolwiek mocno zafrasowany owem wydaniem listów poufnych i przeczuwając niebezpieczne ztąd następstwa, nie mógł wszakże potępić i karać starego atamana, który sam się kajał i winę swą wyznawał a z wierności był znany. Wyprawiając tedy z powrotem Wodźbuna a dając mu pismo do hetmana z poleceniem, by je Sicińskiemu doręczył, rzekł jeno:

— Szukajcie tam jakiego sposobu, aby owe listy Chmielnickiemu odebrać.... Pochwycił je podstępem, toż może znajdzie się podstęp inny, aby je odzyskać....

Stary ataman wziął te słowa przez Fedora powtórzone, mocno do serca. Namyślał się długo, a potem rzekł do wiernego towarzysza:



— Jedź ty zaraz do Umania.... doręczysz pisma królewskie Sicińskiemu — a sam hetmanowi się nie ukazując, któryby cię strzymać mógł, odnajdź tam między kozakami Romana Pestę.... Dawny to Chmielnickiego wróg a chłop dzielny, przebiegły i siły niezwykłej, że za dzieściu stanie. Powiesz mu wszystko, i wezwiesz, aby co rychlej do mnie przybywał, dobrawszy kilku doświadczonych mołojców. Pójdziemy z kompanią taką na ostrów Buck do Chmielnickiego, wybierzemy moment, kiedy się niczego spodziewać nie będzie, i albo podstępem, albo choćby gwałtem, zabierzemy owe pisma królewskie, które on pewnie przy sobie chowa.... Jeno spieszyć się trzeba, bo na ten ostrów coraz więcej idzie hultajstwa.... ale teraz toby jeszcze dobyć go można....

Poszedł tedy Fedor nie zwłócząc, a wiadomo już, jako wpadł w ręce Sicińskiego i zdradzony przezeń został. Pochwycono go właśnie w chwili, gdy z Romanem Pestą się układał i zawiadamiał go o niebezpiecznem przedsięwzięciu Barabasza.

— Ano, trudna jest sprawa, — mówił Pesta, — ale udać się może, choćbyśmy zaś i owego przekłętego Chmiela przy tej okazji zdusili, nie zaszkodziło by nic.... Jeno, że go czort strzeże — bom go już raz pod moją

szablą miał, a żelazo głowy jego jąć się nie chciało....

Gdy pachołkowie zamkowi nadbiegli i Fedora schwycili, zaniepokojony tem Pesta, nie domysłając się coby to znaczyć mogło, pobiegł za nimi i z rana, patrząc zdala, był świadkiem, jako go ciągniono po ziemi, a potem dźwignawszy, uwiązano do pala, aby chłostę wymierzyć....

W około pala było pusto.... Nikt patrzeć nie przychodził na chłostę, która była rzeczą zbyt zwykłą, a zresztą kupili się wszyscy w tym momencie na dziedzińcu zamkowym, kędy świetne szło rycerstwo na naradę wojenną.... Przy palu było tylko trzech owych hajduków, którzy Fedora przywiedli. Zdarłszy mu odzież z pleców, przygotowywali się już do pierwszego ciosu, gdy z piersi kozaka wyszedł ów jęk przeraźliwy i rozpachy pełen, który aż uszu hetmana i Sicińskiego doszedł i wszystkich współczuciem przeniknął.

— A czego on krzyczy, gdym go jeszcze nie tknął?... — odezwał się jeden z drabów, mimowolnie opuszczając rękę, nie uderzywszy.

— Co to bić takie kości mizerne.... — zauważył drugi, aż przerażenie bierze....

— Zaczynaj.... rychlej skończysz! — rzekł trzeci — on i pięćdziesięciu nie strzyma, chociaż siłę w ręku ma jeszcze ogromną.

Pierwszy drab, który był chłop olbrzymiego wzrostu, stanął tedy w takiej pozycyi, aby uderzenie największą siłę mieć mogło, rozmachnął się kilka razy, nahażem świsnął w powietrzu, by postronki, które były ze skóry plecione, dobrze rozprostować i rękę wreszcie z wielkiem wytężeniem podniósł...

Ale w tymże momencie, jak piorun z jasnego nieba, spadł na nich Roman Pesta z trzema jeszcze kompanami. Ani jeden głos z ich piersi nie wyszedł. Milcząc wpadli.... Pesta rzucił się na tego, który z nahażem stał i tak silnie w piersi pięścią go pchnął, że drab ów wielki zatoczył się i o kilka kroków na ziemię zwałił. Inni rzucili się ku tamtym dwóm hajdukom, przytrzymując i krzycząc nie dając, podczas gdy Pesta więzy Fedora przeciął i osłabłego a ledwie przytomnego w ramiona biorąc, spiesźnie wprowadził.

Stało się to tak rychło jako mgnienie oka, bez jednego krzyku, bez szamotania się i walki. Tak niespodziewane było natarcie, że zanim draby oprzytomnieli, już Fedora, Pesty i jego kompanów nie było.

Siciński, otrzymawszy rozkaz hetmański, aby dał znak do zaprzestania chłosty, uczuł się mocno dotknięty. W głosie krakowskiego pana brzmiało jakieś szyderstwo i pogarda a w słowach: w więzieniu go ostaw lub na wolność

puścić, mnie to wszystko jedno, — nie trudno poznać było można, jako pan Potocki rzecz tę całą lekce sobie ważył i Sicińskiemu w schwytaniu Fedora żadnej nie przyznawał zasługi.

Co go zaś najbardziej dotknęło, to gdy widział, jako wszyscy przedniejsi na ową naradę do hetmana szli, on zaś wcale na nią inwitywany nie był, chociaż jako poseł królewski o zamiarach i planach winien był mieć wiadomość.

Zły tedy i wzburzony w sobie, szedł zwolna przez dziedziniec, wcale się nie spiesząc.

— A niech go tam przedtem zatłuką.... — myślał.

Dziwiło go to jednak niemało, jako żadnych jęków nie słyszał.

— Omdlał pewno, albo też może i zginął.... mruknął sam do siebie — a byłoby to nie małe dla mnie szczęście, gdybym się tego Wodźbuna pozbył. Od pierwszego momentu, gdym go u Kazanowskiego w Czerkasach ujrzał, przejął mię dziwny strach na jego widok, a czuję jako nieprzeblaganego wroga w nim mam, zwłaszcza teraz, gdy nie tylko za rodzica, lecz i za siebie mścić się będzie.... Jeśli żyw jest, to go na wolność nie puszczę, jeno w więzieniu zamknąć każę.... Niech go wypuszczą dopiero wtedy, gdy będę ztąd daleko.... Nie myślę też długo na tej Ukrainie

przekłętej bawić, — uczynię tak, jak mi pan Sołłohub radzi, wrócę do Upity, a niech się zresztą dzieje, co chce!

Tak rozmyślając, minął dziedziniec i wchodził już na owo pole, kędy karę chłosty wymierzano, gdy z najwyższym podziwem ujrzał, iż w okół pola nie było nikogo, a owe draby w wielkim pośpiechu i pomieszaniu sami biegli ku niemu. W rychle dowiedział się co zaszło, a zrazu wierzyć temu nie chciał, posądzając drabów o zdradę. Pobiegl co tchu z powrotem do zamku; chciał gonić tych, którzy Fedora uprowadzili, ale nikt bez wyraźnego rozkazu hetmana na to odważyć się nie mógł, hetman zaś przy owej naradzie wojennej był, kędy nikt prócz starszyny wojskowej i najbliższych zaufanych doradców nie miał wstępu.

Siciński wszakże, widząc jako zwłoka wszelką pogoń za Fedorem niepodobną uczyni, odważył się wkroczyć do komnaty, kędy odbywała się narada. Z nietajonem nieukontentowaniem spojrzał nań hetman, obojętnie wysłuchał, a potem machnąwszy ręką, rzekł:

— A niech sobie ten kozak uchodzi!... Gonić go nie będę, bo w tym czasie niespokojnym i takie małe sprawy wagę mieć mogą, niepotrzebnie drażniąc. Niezaszkodzi mi zresztą nic, choćby z nowymi dowodami do Króla

biegał, bo zanim by wrócił, my tu porządek zrobimy....

Siciński widząc, jako pan krakowski z coraz większą obchodzi się z nim niechęcią i lekceważeniem, nie odrzekł ani słowa, jeno pożegnał go, zwiastując, iż Ukrainę wrychle opuszcza.

Pan Potocki postanowienie to pochwalił.

— Dla wacpana nie ma tu teraz co czynić — rzekł bez ogródki. — Nie posłów nam trzeba, którzyby traktaty pisali z chłopstwem, co rzecz jest śmieszna i bezskuteczna, jeno żołnierzy.... A skoro waść przed Królem Jegomością staniesz, to mu powtórz to, co mu już tylokrotnie mówiłem: Chmielnickiemu jeno żelazo pomódz może.... a ja wrychle złożę dowody, jako najlepszego sposobu użyłem....

Tak odprawiony, wrócił Siciński do pana Solłohuba w większem niż kiedykolwiek przygnębieniu. Ostatnia nadzieja ujęcia hetmana i zdobycia sobie w ten sposób oparcia, gdyby mu go u Króla i dawnych protektorów zabrakło, najzupełniej zawiodła. Zdradzeniem Fedora nie uzyskał nic a pan Potocki odwrócił się od niego z takim samym wstrętem i pogardą, jak niegdyś xiażę Krzysztof za zdradę starego Wodźbuna.... Teraz jeno to zyskał, iż ów na poły oszalały, przejmujący go

lękiem kozak, mógł go ścigać zemstą, co na tej pustej Ukrainie, gdzie życie jednego człowieka nie miało niemal żadnego znaczenia, zdawało się najłatwiejszem. Zdany był na łaskę i niełaskę takiego Fedora lub Pesty; w każdym momencie zamordować go oni mogli bezkarnie a nikt by się o niego nawet nie spytał....

Należało tedy co rychlej ztąd uchodzić. A gdy pan Sołłohub zupełnie do drogi przygotowany, namawiać go ponownie począł, aby z nim razem na Litwę powrócił, — Władysław nie opierał się ani słowem i wkrótce potem już ich obu na Ukrainie nie było.

Tymczasem Chmielnicki siedział jeszcze na swoim ostrowie, Bucku; jeno że ten ostrów inaczej już wyglądał niż wówczas, gdy Barabasz odwiedzał pisarza wojsk zaporozkich i namawiał go do układów z Ossolińskim. Dworzysko Chmielnickiego, otoczone wałem obronnym, strzeżone było dniem i nocą tak ściśle, że nikt niepostrzeżenie zakraść się tam nie mógł. Cały nawet brzeg dnieprowy, z którego na ostrów najłatwiej dostać się można było, obsadzony został silną strażą, a przepuszczano tych tylko, których Chmielnicki żądał lub wzywał, albo którzy w różnych do niego poselstwach przybywali.



Nadaremnie Barabasz, z Fedorem i Pestą, dobrawszy kilku jeszcze dzielnych mołojców, kilkakrotnie usiłowali na ostrów się przedostać. Było już zapóźno — a raz gdy się za daleko zapuścili nad brzeg dniewowy, wpadli w zasadzkę i omal życiem nie opłacili swego zuchwalstwa. Potrzeba było wyrzec się planu ułożonego przez starego atamana, aby owe listy królewskie pochwyczone podstępem, napowrót odebrać. Zresztą i to nie na wiele się już przydać mogło. Fedor, który teraz po swem cudownem niemal uwolnieniu z rąk oprawców w Umaniu, w nieustannym był ruchu a nawet siermięgę pielgrzymią lub żebraczą, znowu czasami przebierał, aby móżdż lepiej tajne plany Chmielnickiego zbadać, mówił z rozpaczą, jako wszystko było straconem.

Ze stepów, z Niżu, ze wszech stron i ze wszystkich mniejszych i większych ukraińskich grodów, ciągnęli kozacy nieposłuszni i chłopstwo zbuntowane, ku Chmielnickiego siedzibie. A taką była władza jego i znaczenie, iż niesforne to hultajstwo szło cicho, bez gwałtów, nocami, kryjąc się w trawach stepowych, które już wyrastać zaczynały i niezliczonem mnóstwem otaczając ostrów.

Mówiono, że Chmielnicki był teraz jakby oszalały. Codziennie słał nowych gońców



„na dół“, do Krymu — zwłaszcza od czasu gdy się dowiedział, jako młody Potocki wyruszył już w głąb Ukrainy, ku Żółtym Wodom. Nikt teraz, prócz jednego Krzyczewskiego nie miał przystępu do groźnego atamana, który jeno pił ciągle, wyzywał potęgi piekielne i przeklinał. Chadzali doń na ostrów różni posłowie tatarscy a także popi i czernicy z rozmaitych monasterów i cerkwi. Ale on jeno posłów przyjmował chętnie, popów zaś, gdy mu nauki dawać chcieli, napędzał.

— Mołczy, popie! — wołał — perechresty i idy k'czortu...

Zgoła jak gdyby opętany był. A wzrosła w nim teraz pycha tak wielka, że wszystkim, chociaż starszych kozaków, którzy dawniej dowódcami byli, takimi synami, chłopami i drabami zwał a nawet Krzyczewskiego sponiewierał nieraz, gdy był pijany.

— Już ty mi teraz nie gadaj nic! — wołał, gdy Krzyczewski go uśmierzał, — będę ja miał dwakroć, trzykroć sto tysięcy swoich; orda wszystka przy mnie... a nie darmo ja całował szablę Islam Gireja i z nim po mużułmańsku namaz odprawowałem... Cha! cha! cha! — śmiał się, pod boki się biorąc, — psy niewierne!... ale mi pomogą Lachów zdusić! Będzie teraz sprawa i rozprawa, wojna być musi w trzech albo czterech niedzielach, albo

jeszcze rychlej, niechno się tylko królewską zejdą, aby ich lepiej wszystkich wyrzezać można!...

Czasem znów napadał go strach ogromny. Siedział wówczas ponury i milczący, że słowa z niego wydobyć nie można było, — aż się porwał w dzikiej wściekłości, czuprynę targał, nogami tupał, przeklinał siebie i pieniał się w szaleństwie; — były takie momenta, że uciekać chciał i kryć się a ciągle mu się zdawało, iż grozi mu niebezpieczeństwo wielkie.

Nareszcie jednej nocy zerwał się i chociaż tak pijanym był, że się zataczał, rzekł do Krzyczewskiego, który w wielkiej tajemnicy tegoż dnia na ostrów przybył z ważnemi doniesieniami.

— Chodźmy!... — spisek jest na mnie... trzeba go zdusić...

Wzięli z sobą Filona, który od owego pochwycenia listów królewskich ciągle na usługach Chmielnickiego był, i popłynęli na brzeg dniewy. Noc była ciepła, pogodna, a taki spokój panował w powietrzu, że trawy nie kołysały się nawet na stepach.

Szli tak brzegiem czas jakiś milcząc, aż Bohdan przystanął i rzekł do Krzyczewskiego:

— Ile ma wojska młody Potocki?

— Może dziewięć a może dziesięć tysięcy, ale w tej liczbie trzy tysiące rejestrowych, którzy...

— Do nas przejdą — dokończył Chmielnicki — a to jest jeszcze nic, iż przejdą, ale tem przejściem okrutny wywołają popłoch... to najważniejsza...

— Wojsko jest dobre? — pytał dalej?

— Wyborne — odrzekł Krzyczewski, — lśniące od złota i srebra... idą za niem tabory wielkie, — konie cudne, w rzędach wspaniałych.

— To nasze... wszystko nasze!... — wtrącił Chmielnicki — a potem, jakby wewnętrzny niepokój uśmierzyć chciał i własnym odpowiadał myślom:

— Nie ci to już Lachowie — zawołał, — co przedtem bywali a bijali Turki, Moskali, Niemce, Tatary... nie ci! nie Żółkiewscy, nie Chodkiewicz, nie Koniecpolscy!... Paniątka to są, co ze strachu pomrą, gdy nas ujrzą...

— E! — wtrącił Krzyczewski — są i tam dzielni, jako Czarniecki, Sapieha Jan i sam Potocki Stefan...

— A milcz-że ty owaki synu! — wrzasnął Bohdan — zgłupiałeś ze strachu... ja ci mówię nie ci to są, którzy przedtem bywali, nie ci!...

Przystanął. Zdala na stepie, w blaskach wieżycowych dojrzeć można było rozsypane jak mogiły kurenie, wysterczające wśród drzew jeszcze bezlistnych.

— Filon! — zawołał Chmielnicki do idącego za nim kozaka — w którym ty miejscu widziałeś Barabasza?

Dźedżelej poskoczył ku Chmielnickiemu.

— Niedaleko ztąd — odparł — koło Wasyłowego kurenia. Szło z nim pięciu innych kozaków a między tymi Pesta.

— I co mówili?

— Zmawiali się na życie Waszej Miłości... Jeden z nich, Fedor Bezimia, który Barabaszo-  
wi służy, wysłany został do obozu Potockiego Stefana na Żółte Wody... Barabasz zaś, Pesta i jeszcze kilku tu się skryć mieli, aby na was czekać i skoro się ukażecie, pochwycić...

Chmielnicki się zaśmiał.

— Zgłupiał stary Barabasz! — zawołał, — żali nie widział, co się na stepach dzieje... żali nie słyszał, jak się kurenie ruszają...

— Toż mówił — wtrącił Filon, — jako na śmierć idzie, ale się przysięgał, iż spełni to, co mu sumienie każe... Słyszałem wyraźnie jako rzekł do Pesty: — Chmiel listy królewskie mi wziął i nosi je przy sobie, aby lud buntować... albo je odbiorę albo zginę...

— Ano, zginie! — zawołał Bohdan. — Ty Filon będziesz miał dziś zemstę...

Filon zęby wyszczerzył i pokłonił się Chmielnickiemu do ziemi.

— Spasybih, bat'ku atamane — rzekł.

Chmielnicki przyłożył palec do ust i gwizdnał raz, drugi i trzeci... Jeszcze echo nie umilkło tego gwizdania, gdy ozwały się zewsząd także same hasła jedno po drugim i po całej niezmierzonej przestrzeni stepu rozbiegły się donośnem echem.

— Hop! hop! hej! hej! — zawołał Bohdan.

A na wołanie to jak z pod ziemi wyrosło mnóstwo postaci.

Ze wszystkich stron, ze wszystkich kuren, które zdala jak mogiły widniały, wybiegali mołojcy, spiesząc ku Bohdanowi.

— Patrzaj! — ozwał się on, zwracając ku Krzyczewskiemu, — wszystko czuwa i czeka jeno hasła...

Za chwilę stał na wzgórku otoczony całą armią mołojców.

— Do Wasylowego kurenia idźcie! — rozkazał — a tych, którzy tam są, przyprowadzić wszystkich!... A spieszcie się, owacy synowie... gdyby Barabasz umknął, wam śmierć, chłopcy podłe!... Niech idzie dziesięciu, reszta do jam, a jutro świtanem na Krutą Bałkę...

Jak rozkazał tak się stało. Za chwilę znów pusto było dokoła.

— Stepy te — ozwał się Bohdan, — to już nie martwa ziemia, ale jeden człek żywy, który wstanie i zwali się olbrzymem na laszą potęgę...

I stali już w milczeniu, czekając na powrót owych dziesięciu. Chmielnicki bardzo pijany, toporkiem, który w rękę trzymał, o ziemię bił a mruczał niewyraźnie, tłustemi wargami ruszając; Krzyczewski zamyślony nie mówił nic, a Filon zęby szczerzył od czasu do czasu w dzikim uśmiechu.

— Ida! — zawołał nagle, ukazując w dal ręką.

Rzeczywiście zdala szło wolno kilkanaście postaci. Gdy się nieco zbliżyli, dostrzedz można było pochyloną wiekiem, ale zawsze wyniosłą postać atamana Barabasza, postępującą zwolna. Ręce miał związane na plecach, a prowadziło go pod ramiona dwóch innych kozaków; — za nim postępowali inni jeńcy, również skrzepowani, a żaden nie odzywał się ani słowem, ani się spierał, ani walczyć usiłował z tymi, którzy ich wiedli. Szli powolnie z pochylonemi na piersiach głowami, pewni tego, co ich czekać może.

Stanęli przed Chmielnickim, który wsparłszy się jedną ręką na czekanie, drugą pod boki się wziął.

— Barabaszeńku! — zawołał ochrypłym głosem — a ty tu zkąd bat'ku?

Stary ataman głowę nagle podniósł i wzrok śmiały, rozogniony w tej chwili wewnętrznym zapalem, na Bohdana podniósł.

— Złodzieju! — krzyknął — oddaj mi listy!...

Chmielnicki porwał się gwałtownie, ryknął z wściekłością, chciał mówić, ale zabełkotał jeno i podniosłszy rękę, ściśniętym kułakiem uderzył w twarz starca.

Barabasz zachwiał się na nogach...

— Zabij mnie! — zawołał — niech się krew bratnia naprzód poleje... abyś mówić nie mógł, żeś z nieprzyjacioły walczył!...

— Cha! cha! cha! — zaśmiał się Bohdan — znam ja cię, psi synu... słuگو Lachów, najemniku pański!...

— Opamiętaj się, Bohdanie! — przerwał z uniesieniem Barabasz — na mnie rękę podnosisz, to jakbyś własnego rodzica mordował... dyabeł cię opętał, że nie czujesz jakoś duszę stracił. Listy królewskie mi skradłeś i nimi lud buntujesz; niewierne plemię tatarskie na świętą ziemię naszą sprowadzasz, niewinnych mordujesz, za jednego winnego! Dyabeł cię opętał, że siebie i lud kozacki na zatracenie wiedziesz...

Chmielnicki milczał, a od czasu do czasu śmiał się... Upajał się własną wściekłością, która w nim wzbierała. Chwilami się porywał, pięści ściśnięte podnosił i strzymywał się, czekając aż gniew w nim wzbierze jeszcze mocniejszy; dawał przeto mówić Barabaszowi, nie przerywając, a oczy mu się iskrzyły.

— Dyabeł cię opętał — powtórzył stary ataman, — boś się własnej wiary świętej wyrzekł a mahometańską wiarę przyjął na pohanbienie...

— Łżesz, sobako! — wrzasnął Bohdan, ledwie obracając pijanym językiem, — nie zmieniłem ja wiary — jeno z Islamem wieczorne odprawiałem modlitwy, aby mi pomoc dał przeciw laszym królewietom.... Prawowierny jestem, a mam takiego patryarchę, który do Kijowa z Jerozolimy przybędzie...

— Nieprawy patryarcha! — przerwał Barabasz — kłamca!...

— Taki on sam pop jak inni! — wrzasnął Bohdan — a on mię zna xiążęciem... jedynowładcą... Cha! cha! — każe mu — to mię i ukoronuje w Kijowie, abym takich jak ty atamanów wieszać mógł, albo na pal wbić, albo skórę z nich drzeć!... On mi dał też absolutionem od wszystkich przeszłych i przyszłych grzechów i dał błogosławieństwo na



wojnę z Lachy a powiedział: ty będziesz Jedynowładcą, Samodzierząca wszystkiej Rusi...

— Chmiel w głowie masz, Bohdanie... — przerwał Barabasz.

A Chmielnicki na te słowa znowu w gębę go uderzył, poczem tak mówił dalej:

— Ja lubię z tobą gadać, atamanie... łaskoczą mnie twoje słowa, że wszystkich Lachów do góry nogami bym przewrócił, gdybym cię jeno ciągle słuchać mógł... Ano, nie mogę, bo czasu szkoda i Filon czeka na ciebie, zębami zgrzytając...

Zaśmiał się znowu a tocząc w okół wzrokiem:

— Hej mołojcy! — zawołał ku tym, którzy innych jeńców wiedli — weźcie tych owakich synów, obwieście, albo skórę z nich drzyjcie... Bawcie się! byle przed świtaniem było skończone...

A na te słowa jeden z owych jeńców, wzrostem olbrzymi, zatrząsł się tak, że powrozy krępujące go pękły, i poskoczył ku Bohdanowi.

— Dyabelski synu! — krzyknął — będziesz że ty kozacką krew pić!

Chmielnicki się cofnął i zatoczył, że omal nie upadł — ale wnet z większą jeszcze wściekłością porwał się ku owemu zuchwałemu jeńcowi.

— A... a! — wrzasnął — tyś to jest Pestą, któryś już raz na mnie godził, że mię jeno misiurka, którą miał na głowie, od twojej szabli ocaliła... A ty sobako!

To mówiąc, z dzikim śmiechem podniósł czekanik, który w rękę trzymał... Krzyczewski podbiegł, chcąc go strzymać, ale było za późno.

Czekan całym ciężarem spadł na głowę Pesty i utkwił w niej tak głęboko, że Chmielnicki szarpnąć musiał, aby go wydostać... Krew i mózg rozprysnęły się na wsze strony... Olbrzymi kozak moment stał jeszcze, a potem wzdrygnął się całym ciałem i zachwiał, ręce wyprężył, jęknął głucho i jak dąb siekierą podcięty, zwałił się na ziemię...

Głuche milczenie zaległo... A Chmielnicki śmiał się ciągle...

— Od razu zdechł — ozwał się po chwili, — głowę miał miękką jak ciasto...

Kopnął nogą trupa.

— Weźcie go! — rzekł — niech mi tu nie śmierdzi... A nie stójcie tak, jakbyście się przelekli; tych zaś innych w rychłe sprawcie, bo czasu nie ma...

Zaczem zaczęła się wrzawa. Bohdanowi mołojcy rzucili się na jeńców, aby uprowadzić ich dalej i dźwignawszy trupa, odeszli wszyscy a został tylko Bohdan z Krzyczew-

skim i Barabasz z rękami skrępowanemi. Śmierć Pesty nie uczyniła już na nim żadnego wrażenia, — wiedział on, co jego i drugih kompanów, z którymi ujęty został, czekało. Stał więc z pochyloną na piersi głową w milczeniu.

Za to inni jeńcy, widząc jako litości spodziewać się nie mogą, poczęli wykrzykiwać, gdy ich odprowadzano, a wyzywać Bohdana.

— Na pohybel mu! — wołano. — Krew nasza i Pesty na głowę jego!

Chmielnicki, któremu trunek szumiał tak w głowie, że chwilami przytomności pozbawiał — zachnął się.

— Co oni wrzeszczą? — zabelkotał.

— Przeklinają cię, Bohdanie — odparł Barabasz — a przeklinać cię będą i dzieci i wnuki i prawnuki nasze, za nas i za siebie, żeś nas wymordował, żeś całą Ukrainę niewiernym na wieki zaprzedał, a wiarę ruską i cerkwie święte pogaństwu dał w ręce...

— A sokole ty mój! — przerwał Chmielnicki — gadaj ty jeszcze, gadaj!... każde twoje słowo to jak najlepsza gorzalka... wnętrzości piecze...

— Piekło cię spali! — rzekł Barabasz.

— Ale przedtem — przerwał znów Bohdan — spalę ja Lachów i podepczę tak, że wszyscy będą pod memi nogami a was wszyst-

kich zdrajców, chłopów, carowi tureckiemu w niewolę poddam...

I mówił dalej, miotając się a rzucając wściekle... Przyskakiwał do Barabasza, w gębę go bił, za brodę szarpał, że krew oblała starca, który już milczał, znosząc wszystko cierpliwie.

— Korol... Korolom bude! — bełkotał Bohdan — aby szlachtę ścinał i kniazie. Zgrzeszy kniaź, urzeza mu szyję, zgrzeszy kozak, toż mu uczyni... Nie pozostanie tu żadnego kniazia ani szlachcica na Ukrainie...

Mowa ta męczyła go, język mu się skręcał i plątał a tchu w piersiach brakło... Nogami tupał, skrwawionym toporem w powietrzu wywijał, że zdawało się, iż się nie strzyma, aby Barabasza tak jak Pesty nie zamordować.

Nadaremnie Krzyczewski pomiarkować go chcąc, strzymywał za rękę i mówił doń szeptem. Wyrwał mu się Bohdan, krzycząc:

— Mołczy!... mołczy Lachu! jam tu jest jedynowładca... patryarcha mi to rzekł i pomoc obiecywał...

Filon, snadź w obawie, aby Barabasz rąk jego nie uszedł, zbliżył się także do Bohdana i zęby białe szczerzył... A prócz niego była też tam od pewnego momentu inna jeszcze postać, która na klęczkach ku Bohdanowi się czołgała, mrucząc groźnie.

— Taras Bihun! — zawołał Bohdan, ujrawszy go nagle przed sobą.

Taras kudłami siwymi potrząsł, oczyma błysnął i zamruczał:

— Barabasza nam dajcie!... on nasz, bat'ku, przyrzekliście...

— A... a... — zabełkotał Chmielnicki... — Barabasza wam dać?... Dobrze... tylko go jeszcze sokoła mego popieszczę! On się na życie moje zmaśniał, królewskie pisma odebrać chciał... sobaka!

Jeszcze raz przyskoczył do starego atamana i podniosłszy pięść, całą siłą w skroń go uderzył. Starzec zachwiał się, krew oblała go strumieniem, jęknął, i twarzą upadł na ziemię.

— Pokłon mi dał!... — szyderczo zaśmiał się Bohdan — a teraz go sobie zabierzcie.

Z dzikim krzykiem rzucili się na starca Taras i Filon.

— Unieście go precz! — rozkazał Chmielnicki.

Chwycili omdlałego atamana i dźwignawszy z ziemi, unieśli nad brzeg dniewowy. A Chmielnicki z Krzyczewskim zwolna odeszli napowrót ku ostrowi.

Gdy zaś byli u dniewrowego brzegu, kędy czekało czółno na Bohdana, — rzekł on, Krzyzewskiego żegnając:

— Zajutro rozprawa... Pilnuj rejestrowców, aby na dany znak przeszli... U Krutej Bałki zasadzka... wpadną tam wszyscy i co do nogi zginą...

I na tem się rozeszli.

A gdy dnia tego pierwsze brzaski słońca rozproszyły mgły białe, snujące się po stepach, to niedaleko od miejsca, kędy w nocy stał Bohdan, z krzykiem zerwało się z ziemi spłoszone ptactwo żarłoczne i poczęło kołować w powietrzu ponad walającymi się trupami owych kozaków z Barabaszem ujętych. I rosa iskrząc się a mieniać w słonecznych promieniach na świeżej wiosennej trawie, miała tam krwawe odbłaski, a ziemia ukraińska piła w siebie ablową krew kozacką...

Zaś u brzegu dniewrowego, kędy rzeka z głośnym szumem rozbijała się o kamienie, leżał trup Barabasa pół nagi, obrócony twarzą ku słońcu... Twarz ta była cała jakby pokrajana nożem... krew skrzepła okrywała policzki i siwą obryzgała brodę... oko jedno otwarte, patrzyło sztywnie, bez blasku — drugie, wypłynięte, zwisało na nitkach krwawych — z pod potarganej na szmaty odzieży widniała pierś rozdarta głęboką raną, której

brzegi nierówne, poszarpane, świadczyły jako pastwiono się dziko. Pięście miał ściśnięte groźnie; usta sine, otwarte, zdawały się wołać o pomstę ku niebu. A woda dniewprowa, pieniać się, zbiegała aż do tego trupa, szła czysta jak łza a wracała krwawa. Silniejszym popchnięta prądem, falą podmywała trupa, który chwilami poruszał się, jakby upiorem chciał wstać i mścić się za przebyte męczarnie.

We dwa dni później, w noc chmurną, po nad tym samym brzegiem i szeroko stepami, przez uroczyska i jary dążyła ćma niezliczona pieszego ludu... Szli cicho, jakby się skradali; uzbrojeni byli rozmaicie, niektórzy mieli szable, a drudzy topory, inni dzidy, kopie i widły i wielkie siekiery a nawet pale nabijane gwoździemi... Rzeką zaś sunęły się czółna, czajki i tratwy, i płynęły także cicho — odgłos wiosła tłumiał szum spienionej rzeki i jęk wichru, który gnał groźne chmury po niebie.

Ponad samym brzegiem jechał na siwym bachmacie Chmielnicki. Zadumany był, posepny, a ubrał się jak senator. Kontusz miał axamitny amarantowy, okryty altembasowym kopieniakiem sobolowym, takiż kołpak z piórem czaplem miał na głowie, w ręku buławę dzierzył hetmańską, krzywa szablą tatarską, brylantami sadzona o bogatej ręk-

jeści, zwiślała mu u boku. Otoczony był starszyzną na koniach, pułkownikami swymi i asaulami, za nim zaś jechał kozak z chorągwią czerwoną.

Chmielnicki zrazu milczał, a potem nagle głową rzucił, buławą potrząsł i spytał jadących obok:

— Tohaj bej z tatary swymi idzie z przeciwnej strony?

— Idzie — odpowiedziano.

— A nie zdradzi? — zagadnął znowu. — Nie zdradzą te psy niewierne?

— Nie zdradzą... — brzmiała krótka odpowiedź.

— Konnica — mrucał jakby sam do siebie Bohdan — za nami idzie... z prawej uderzy Tohaj bej, my z lewej — rozbijemy ze szczętem; co nie zginie od miecza, to się potopi... W drogę wybraliśmy się bez wozów i armat, bo to wszystko u Lachów najdę... Juki jeno a sakwy pobraliśmy z sobą... Prawda? — zapytał głos podnosząc.

— Prawda... — odpowiedziano.

— Dobrze... — rzekł Bohdan. — Bo kto by jedną kolaskę wziął z sobą na tę wojnę, każę mu szyję urznąć! Wszystko nam Lachy dać muszą...

A potem, jakby sumienie swe uspokoić chciał, szepnął jeszcze:



— Korol jak Korol, ale kniaziowie i królewiewięta nabroili mnogo....

Poczem zamilkł chmurno. Strach go jakiś ogarniał, że oglądał się ciągle po za siebie, to głowę podnosił i oczami błyskał.

I jechał tak nie ustając, aż do miejsca Krutą Bałką zwanego, kędy śmierć rycerstwu polskiemu gotował.

Zaś na brzegu dniewnym, w noc tę chmurną leżał jeszcze krwawy trup Barabasza, twarzą patrząc ku schmurzonemu niebu, z ramiony rozwartemi i usty, jakby gniewu Bożego wzywał....

## XIX.

Król od kilku miesięcy bawił na Litwie. Został on tam takie same usposobienie umysłów jak i w Koronie; szlachta bowiem równie niechętnem okiem patrzyła na wojenne Króla zamiary a o buncie kozackim coraz straszliwsze nadchodziły wieści, szerząc niepokój. Było to jakby przecucie wielkiej klęski, pewnych bowiem wiadomości nie było, jeno pogłoski z niewiadomego pochodzące źródła, które przechodząc z ust do ust, przebiegały Litwę całą. Mówiono też, że Król srogim niepokojem dręczony, coraz ciężej na zdrowiu zapadał a znosił niewymowne męczarnie, wśród których o śmierć rychłą Boga błagał. Gryść go też nie miało musiały niesnaski między katolikami a dyssydentami, które były już nieco przycichły a teraz znowu srożej wybuchły, gdy w majątności xiążęcia Janusza Radziwiłła, świadomość, zwanej, jakąś ręką zbrodniczą poobalala wszystkie krzyże po drogach stojące. Sprawa ta, wytoczona przed

sejmem, ciągnęła się długo, zjeżdżały komisye różne i odbywały śledztwa, które niesforne umysły jeszcze bardziej jątrzyły.

Tymczasem wiosna nadeszła i nagle wielki popłoch ogarnął wszystkich. Od Dniepru przychodziły coraz groźniejsze wieści, a do Wilna zbiegała się ze wszech stron szlachta, chcąc u dworu królewskiego zasięgnąć języka; mówiono już bowiem, że Tatarzy w zмовie z Chmielnickim jedną olbrzymią masą idą ku granicom. Z Ukrainy też przybywali uciekając, tacy, którzy tam od niepamiętnych czasów osiedleni byli a przybywszy opowiadali, jako tam chłopstwo zbuntowało się przeciw panom i wielką groziło rzezią. Szczegółów nie wiedzieli żadnych, bo uciekli jeszcze przed burzą, ale przybywali z takim lękiem, że dość było spojrzeć na nich i słów ich bezładnych posłuchać, aby się przerazić.

Opodal królewskiego zamku w Wilnie, była wielka gospoda, kędy pewnego wieczora, przy końcu maja, tłumem zgromadziła się przybyła i miejscowa szlachta. Rozprawiano głośno i gwarnie. Właśnie nadeszły wieści, jako Król wyjechawszy z Wilna do Warszawy, o czternaście mil od stolicy litewskiej, w Mereczu, zatrzymać się musiał, ile że sam był chory a nadomiar Królowa zasłabła. Mówiono tedy o tej chorobie Króla, o ukraińczykach

sprawach i zamiarach królewskich, które do skutku nie przyszły, a wreszcie o dyssydenckich niepokojach, która to ostatnia sprawa największą wywoływała wrzawę.

— Jeszczem nigdy tak tchórzliwej szlachty nie widział, jaka teraz jest! — mówił z oburzeniem imép. Baltazar Tukałło, który teraz najczęściej w Wilnie przebywał a lubił ową gospodę, dla miodu, który tam najprzedniejszy był. — Siedział też i teraz przy kubku ulubionego trunku a mówił z ożywieniem wielkiem i głos podnosząc dla stłumienia powszechnej wrzawy. Nie postarzał się on zgoła przez te lata; jeno na skroni włosy mu zbieły i wąs sumiasty posiwił, co mu tem większej dodawało powagi. Postawa była zawsze jednako wspaniała, oczy patrzyły jak dawniej zuchwale przed siebie a głos donośny nie utracił siły.

— Jeszczem nigdy tak tchórzliwej szlachty nie widział! — zawołał ponownie, wodząc z powagą okiem po obszernej izbie gospodniej, kędy na ławach drewnianych, dokoła ścian i pośrodku, przy stołach, siedziała szlachta, żywą prowadząc dyskusję. — Dawniej, — mówił dalej, zagłuszając donośnym swym głosem panującą wrzawę — dawniej pomnę, rwano się do okazji rycerskich — teraz zaś miecze pordzewiały a dusze pleśnią porosły,

wśród długiego pokoju.... Za piecem by się chciało panom braciom siedzieć.... Rozumiem i konkluduję, jako się coś popsowało w tej Rzpltej, a nie wiedzieć z której strony, z góry li czy z dołu?...

— Z góry! — zawołano chórem. — Król konstytucye łamie, z kozakami potajemnie zma-  
wiać się chciał....

Pan Tukałło stuknął w stół pięścią.

— Powtarzacie — krzyknął — co wam powiedziano, a nie wiecie zgoła co jest....

— A wacpan wiesz lepiej? — zagadnięto.

— Pewnie, że wiem, — odparł pan Baltazar, prostując się — ile że mam rozliczne kon-  
nexye u senatorów i królewskiego dworu....

— Najwięcej u fraucymeru królowej — przerwał jakiś głos żartobliwy. — Imćp. Baltazar pomimo wieku....

— A waści co do mojego wieku! — krzyknął p. Tukałło — fraucymer królowej także mi nie obcy a rozumiem i konkluduję, żebym jeszcze takich młodzieniaszków jak wacpan, snadnie przez kij przesadził.... Ale ja z białogłowami o polityce i wojnie nie gadam.... Mam ja inne, zgoła dobre źródła, z których wiadomości zasięgam, jako na przykład, mówił mi wczora zacny człek, imćp. Kazimierz Siciński, który jest teraz znacznym dworzaninem u wojewody Słuszeki....

— Syn marszałka upitskiego.... — przerwano. A wiecie, jako pan marszałek z dworem birzańskim srodze się poróżnił i zachorawszy mocno, do Upity odjechał?....

— Zgoła nie do uwierzenia! — wołali inni. — Taki zaciekły kacerz jak pan Siciński, jakżeby mógł z xiążęciem Januszem, który głową kacerstwa jest, się różnić. Oni się wzajem wspierają a pan Siciński dla experyencyi swej w sprawach dyssydenckich pierwsze ma znaczenie....

Pan Tukałło mocno niekontent, że mu przerwano, rzucił się niecierpliwie, a gdy o marszałku upitskim zaczęła być mowa, nie mogąc się zdzierżyć, krzyknął:

— Co tam mościpanowie o tym heretyku mówić będziecie!... Dzięki Bogu, że go już starość tak zgnębiła, iż teraz cicho siedzi... jeno podejrzewam, jako to z jego rozkazu w Swiadości krzyże porąbano.... Posłuchajcie lepiej co mi syn jego, wcale do rodzica niepodobny, in puncto spraw kozackich mówił....

— Niepodobny, — przerwano znowu — ile że garbus jest potworny....

— Z kalectwa wacpan nie urągaj — odparł imćp. Baltazar, — zwłaszcza, iż w tym kalectwie dusza jest szlachetna i wielka. Otóż on mi te kwestye jasnym rozumem tak wyło-

żył, jako Król wojny pragnął z Turcyą, aby szlacheckie męztwo rozbudzić....

— I dla tego z kozakami wbrew woli sejmu się zmałował! — zawołano.

— To było źle — potwierdził p. Tukało — ile że takie konszachty wolności naszej zagrażają, a gdyby raz na to zezwolono, to rozumem, jako wolność nasza by zginęła.... Inaczej mi to wprawdzie młody Siciński przedstawiał, ale się skonwinkować nie dał, przyznając wprawdzie, jako Król miał intencye dobre....

— Nie ma na to zgody! — przerwano.

— Ja się bez waszej zgody snadnie obejde! — krzyknął Tukało — bo mam rozum swój i tak konkluduję, jako Król dobrze chciał przeciw nieprzyjaciołom świętego Krzyża broń podnieść.... Ale dziś szlachta jeno wygody swej patrzy i ruszać się nierada.... W tym spokoju, który nas ogarnął, to krew szlachecka albo się burzy i zapala bez powodu, albo tak gęstnieje, że już z takim zgęstniałym szlachcicem chyba jeno pacierze klepać.... Exemplum: przytomny tu imięp. Woydat.... Dzielny był człek a wesół, lecz na nic zmarniał, bo mu krew zgęstniała.... Oczyma jeno łypie i językiem w gębę obraca milcząc, a w piersi się bije za grzechy — nie swoje, lecz xiażęcia Krzysztofa....

A na to wszyscy zwrócili oczy ku siedzącemu opodal szlachcicowi, w którym rzeczywiście trudno było rozeznąć dawnego Woydata. Zgarbiony, o twarzy zwiędłej i zmarszczkami okrytej, patrzył przed siebie zamgłonymi i smutnymi oczyma, od których biegły po chudych policzkach dwie głębokie bruzdy, jakby łzami wyżłobione. Gdy wspomniano, jako pan Siciński marszałek upitski z xiążęciem Januszem się poróżnił, Woydat, który dotychczas nieruchomo siedział, zachnął się, powstał z ławy i ku panu Tukalle się zbliżył.

Na słowa pana Baltazara, które powszechną nań ściągnęły uwagę, nie odrzekł nic, jeno ręką machnął.

— Popatrzcie się waszmościowie na niego i na mnie.... — mówił dalej pan Tukałło. — Jam już dawno szablę szczerbił na tatarskich i rozmaitych szkaradnych karkach, gdy imép. Woydat jeszcze pierś mateczyną smoktał — a oto teraz, powiedźcie, kto z nas młodszy jest? On starzec, a ja....

— Młodzieniaszek! — zawołano chórem śmiejąc się — a jakąż to wacpan tajemnicę masz długiej młodości?

Pan Tukałło pogardliwem spojrzeniem objął całą kompanię.



— Zwę się Tukałło — rzekł — a to już ród jest taki mocny. Jestem zaś Tukałło podwójnie, ile że i matka moja Tukałłówna była de domo, rycerskiego iście animuszu niewiasta a ręki dzielnej, która raz, gdym już wyrostkiem był, tak mię ściśniętą pięścią za jakąś swawolę skarciła, że jeszcze teraz, skoro słota ma być, czuję łamanie w łopatce i za duszę ś. p. dzielnej niewiasty pozdrowienie anielskie od-mawiam....

Kompanowie się śmieli a pan Tukałło pięścią w stół grzmotnął.

— I czegoż się mości panowie śmiejecie! — zawołał. — Rozumiem jako w tem nic śmiesznego nie ma!... Uderzenie macierzy karku nie ugina, jeno go hartuje, toż go prosto noszę przez żywot cały.... A przytem i wygodę mam, bo czas pogodny albo słotny naprzód rozpoznam, i pożytek dla duszy, bo ją modlitwą a pamięcią matki odświeżam....

Zamilkł chwilę i spoważniał p. Tukałło, ale wnet otrząsł się z zadumy i spojrzał znów na Woydata.

— Gdybyś i wacpan, mości Woydat — rzekł — trzymał się był moich pryncypiów, to byś był tak nie zmarniał....

— A jakież to są owe pryncypia? — zagadnięto.

— Primo: miód pić, bo to arcyszlachecki trunek jest, który myśli dobre pomnaża i siły wzmacnia; secundo: prawdę gadać, bo czem miód wśród trunków, tem prawda w mowach ludzkich, pożytek zawżdy przynosi choćbyś jej i nad miarę nalał; zakrztusi się nią wróg a człek zacny to cię po niej pozna, jak po herbowym znaku; tertio: smutku w duszy długo nie nosić, bo to rdza jest, która przejada i trawi; quarto: myśli swych nie kryć, bo nie powinny być takie, abyś je kryć potrzebował, każda zaś myśl utajona, to indygestya duszy, i świadczy jako ją złemi potrawami, alias zamysłami karmisz.... quinto: szablą od czasu do czasu koło ucha bliźnich swoich machać, bo to krew zagrzewa a czasem i upuści, aby nad miarę nie wezbrała.... sexto....

— A jeśli okazyi do walki niema? — przerwano.

Pan Tukałło miodu się napił i zaśmiał się z lekceważeniem.

— Okazyja zawżdy jest.... niema Turka, Tatar, Szweda, to jest zawżdy jaki sąsiad oporny, albo najlepiej dyssydent....

Woydat się poruszył.

— A cóż to wacpan — rzekł żywo — wojnę domową głosisz?

— Oho! — zawołał pan Baltazar — jako się za dyssydentami obruszył ten istny radziwiłowski pogrobek, ile że po śmierci xiążęcia Krzysztofa wszystką swą fantazyę, animusz a nawet zda się wiarę świętą katolicką zatracił....

— Wacpan możesz sobie mówić o mnie co jeno chcesz — odparł Woydat — alem ja religii świętej katolickiej w sercu nie wygubił, owszem mam ją, ile że po chrześcijańsku nieprzyjaciołom moim przebaczam.

— Ja moich nieprzyjaciół — krzyknął p. Baltazar — za kark wyrzucam i nie myślę o nich więcej, niech im tam Pan Bóg przebaczy.... Co się zaś tyczy nieprzyjaciół wiary świętej, jako dyssydenci są, tym mocy przebaczenia nie mam, bo nie mnie, jeno Boga kacerstwem swem obrażają, więc ich chłoszczę, dopóki siłę w ręku mam....

— I dla tego źle jest.... — przerwał Woydat — i dla tego, krew się tu lała po ulicach chrześcijańska i bratnia, i dla tego nie masz wśród nas ani wolności zupełnej, ani zgody w umysłach....

— Z dyabłem i wyznawcami jego zgody nie ma! — wrzasnął pan Tukałło, porywając się z miejsca w wielkim wzburzeniu. Co mi tu wacpan jakieś dzikie principia, cale szlacheckiemu rozumowi przeciwne głosić

będziesz! — wołał dalej, grożąc pięścią Woydatowi. — Żal ci tak za xiażęciem Krzysztofem, to go u Lucypera szukaj!...

Pan Woydat nie zalałszy się gniewu Tukalły, stał ciągle ze wzrokiem ponuro przed siebie utkwionym.

— Rok ósmy mija — rzekł spokojnym głosem — od śmierci xiażęcia Krzysztofa.... Nie bluźnij waść pamięci jego.... Żali zna kto wyroki Boże?

Spokój, z jakim stary dworzanin te słowa wymówił, twarz jego smutku pełna i głos przejmujący, podziałyły mimowolnie na wszystkich obecnych. Pospuszczali głowy na piersi a nawet p. Tukalło nie odrzekł nic, jeno mruknął coś pod wąsem niewyraźnie i usiadł ciężko na ławie.

— Rok ósmy mija — powtórzył Woydat — a powiedzcież sami mościpanowie, nie dziejeż się gorzej na Litwie z dniem każdym? Xiażę Krzysztof wszystkich dokoła siebie skupiał, słowo jego miało tu największą wagę, rozstrzygało wszystko.... Dziś powszechna rozterka, bo niema ktoby dawał hasło.... Syn jego xiażę Janusz, jakkolwiek mu animuszu rycerskiego, odziedziczzonego po rodzicu, nie braknie, wszakże....

— Syn taki jak i rodzic.... — mruknął Tukalło — obaj zdrajcy....

— Nie szafuj wacpan tym wyrazem, — przerwał żywo Woydat z widocznem uniesieniem. Przepadło już u nas wielu ludzi przez takie oszczerstwa....

— Ho, ho! — krzyknął Tukałło znów się podnosząc — zapłacisz mi waść za to słowo....

— Nie zapłacę nic.... — odrzekł spokojnie Woydat — bo go kupować nie chcę, a snadnie bym darmo oddał, ktoby je tylko z naszej Rzpltej wziąć chciał, by go lekkomyślnie nie powtarzano.... Wacpan, mości Tukałło, temu winien nie jesteś, że tak mówisz, boś xiążęcia Krzysztofa nie znał....

— I znać nie chcę! — wtrącił p. Baltazar — bo bym się w piekle parzyć musiał, chcąc takie konnexe mieć....

Woydat przenikliwy wzrok utkwił w postać grubego szlachcica.

— Dobrześ waść to powiedział — odezwał się po chwili milczenia — jako wacpan zawsze młodym jesteś. Chociaż młodszy od wacpana wiekiem, jam starzec, bo mi od lat wielu a zwłaszcza od czasu gdy z Warszawy tu wrócił, siła myśli ciężkich osiadło na duszy....

— Trzeba je było wypluć, albo miodem zalać — zauważył Tukałło — a z dyssydentami nie trzymać, boć to grzech i szkarada!

— Dobrzebyś wacpan uczynił — odparł Woydat — abyś więcej na słowa własne baczył, które ci miód na język przynosi, a które w złą godzinę wypowiedziane, nieszczęścia stać się mogą powodem....

— A ktoś ty jest, mości panie, wrzasnął p. Baltazar, czerwony z gniewu; a ktoś ty jest radziwiłłowski pacholku, abyś mnie, Baltazarowi Tukalle, nauki dawał?... Znam ja sposób na takich jak ty służalców....

I pieniać się z gniewu, porwał się z ławy a chciał już lecieć ku Woydatowi, który ani kroku się nie cofnął, jeno o stół się oparłszy, odrzekł głosem jednako spokojnym:

— Nie ulęknę się ja gniewu wacpana, ani słów obelżywych, chociaż mi dziw, że waść tak łatwo o starej zapominasz przyjaźni....

— Nie chcę ja mieć przyjaźni — odkrzyknął p. Baltazar — z tymi, którzy się z nieprzyjaciołmi wiary świętej sprzymierzają....

— Nie sprzymierzam się ja z nikim.... — przerwał Woydat, — jeno obowiązek spełniam, nie dozwalając, aby nierozważne słowo wzburzało umysły i aby znieważano pamięć xiażęcia Krzysztofa, który jakkolwiek dyssydent, zaczął i prawą a rycerską miał duszę.... Dawnoż-to, jak się krew po ulicach Wilna lała, jedynie dla tego, że tacy jak wacpan, mości Tukallo, języka nie strzegli?....

Niewzruszony spokój Woydata jeszcze gorzej rozdrażniał p. Baltazara. Niecierpliwą ręką odpychał innych, którzy go mitygować i powstrzymywać chcieli, a darł się z wściekłością ku Woydatowi, krzyząc:

— Na rany Chrystusa, puście mnie! albo niech ten lodowaty Woydat trochę się obruszy i takim głosem zemdlonym nie gada, bo mnie wewnętrzności się przewrócą.... Rozpłatom go na dwoje, a zobaczycie mościpanowie, jako w jego żyłach nie krew, jeno pomyje płyną....

Niebawem też wszyscy obecni na dwa podzielili się obozy. Zaczęto sobie przymawiać, znaleźli się i dyssydenci, którzy przeciw panu Tukalle groźnie wyzywać poczęli, inni znów stanęli po stronie pana Baltazara, a od słów obelżywych już do korda brać się chciano i byłaby się może natychmiast krew polała, gdy wtem drzwi gospody się otwarły, i wszedł p. chorąży Dziembowski z Sołokajem. Obaj postarzelili się znacznie. Chorąży wszedł zwolna, kulejąc mocno a usłyszawszy wrzawę i ujrawszy zwaśnionych, przystanął.

— Ho, ho! — rzekł — panowie bracia do korda się biorą, a przeciw komu to, bisurmanom czy Szwedom?

— Gorzej jeszcze, — odparł Tukallo, zawstydzony nieco, ile że przed chorążym zawsze wielki respekt miał, zwłaszcza od czasu smoleńskiej okazyi; — gorzej jeszcze, powtórzył, bo przeciw domowym wrogom, dyssydentom i zausznikom ich....

— Dałbyś wać pokój teraz dyssydentom — odparł pan Dziembowski — niebawem trzeba będzie przeciw innym, groźniejszym nieprzyjaciółom się bronić, a rozumiem i spodziewam się jako wówczas katolicy i dyssydenci razem będą. Wieści są złe, coraz gorsze....

A na te słowa pana chorążego, którego wielu z obecnych znało i szanowało, uciszono się niemal zupełnie. Wszyscy otoczyli go w koło, pytając co się stało.

— Król mocno zachorzał w Mereczu — odparł Dziembowski smutnie — a z Ukrainy nadeszły pewne wiadomości....

— Kto je przyniósł? — zagadnięto.

- Powrócił niedawno z Ukrainy brat pana Solłohuba z Tronik, a z nim razem przybył do Wilna, szukając Króla, imćp. Władysława Siciński.... Z panem Solłohubem mówiłem.... i on mi rzekł, jako na Ukrainie Chmielnicki w zмовie z Tatarami, chłopstwo całe zbuntował.... Niestety gotuje się wiel-



kie... Siciński pojechał już do Merecza, do Króla, aby mu to zwiastować...

Głuche zapanowało milczenie... Wszyscy spoglądali na siebie w niemem przerażeniu. Jeden pan Tukallo nie tracił fantazyi.

— Wielka rzecz! — zawołał. — A coż znaczy taki pan Chmielnicki ze swem chłopstwem i choćby Tatarami, wobec potęgi Rzeczypospolitej... Mieliliśmy innych, straszniejszych nieprzyjaciół a nie lękaliśmy się, coż nam chłopstwo uczynić może? Rozumiem i konkluduję jako to puste strachy są...

Chciał jeszcze coś mówić, ale nie zdążył, bo drzwi gospody znowu się otwarły a na progu stała postać, na którą wszyscy zwrócili uwagę.

Postać była niezwykła. Wysoki, chudy był to człek, odziany po kozacku. Ubior wszakże na nim zupełnie zniszczony, kurzawą okryty, rozpadał się nieledwie w łachmany. Broni przy sobie nie miał, a tak wyglądał jakby po srogiej walce; twarz miał poranioną i okrytą krwawymi znakami; jedna ręka chustą podwiązana, bezwładnie zwisała; zdjął czapkę z głowy i ukazała się druga skrwawiona chusta, otaczająca czoło, z którego na twarz i policzki ściekła krew i skrzepła.

Wszedł i błędnym wzrokiem potoczył dokoła. Zdawał się omdlewać, zachwiał się i o stół oprzeć musiał, aby nie upaść, poczem ciężko usiadł na ławie.

Podbiegł ku niemu pan Tukałło, Dziembowski także się zbliżył a zbliżywszy się i wpatrzywszy w przybyłego, omal nie krzyknął.

— Poznajesz wacpan? — szepnął do Tukałły.

Imép. Baltazar sztywnym wzrokiem patrzył na omdlewającego ze znużenia kozaka.

— Własnym oczom nie wierzę... — odparł — tak mi się zda, jakby to był...

Nie dokończył, ale podbiegłszy za ramię kozaka ujął i pochylając się:

— Tyś jest Zygmunt Wodźbun... — szepnął — zkąd wracasz?

Kozak drgnął całym ciałem, oczy otworzył, wielkie, zdziwione i dźwignął się z ławy.

— Zkąd wracam? — odparł głosem stłumionym. — Wracam z Ukrainy, z pod Żółtych Wód... Pędzę nocą i dniem... do Króla!...

— Król w Mereczu — wtrącił Dziembowski — a nadeszły wieści, jako mocno chory jest...

— W Mereczu! — wyszeptał kozak — czternaście mil ztąd! Droga daleka, a ja nie wiem czy dojadę — brak mi sił!...

Znowu omdlewać się zdawał. Głowę wsparł o ścianę i oddychał ciężko. Poczęto go trzeźwić, wodą oblewać, a dokoła szły szepty i pytania:

— Z Ukrainy wraca... A jakie wieści przynosi?... Muszą być straszne, skoro mówić nie chce...

Nagle dreszcz przejął wszystkich.... Z kościołów wileńskich zadźwięczały dzwony. Hasło dał jeden, z katedralnej świątyni — a potem inne rozjęczały się zaraz, a potem bito we wszystkie dzwony, głośno, ponuro, żałobnie... Czas był nie zwykły takiego dzwonienia, więc lud się zbiegał na ulicach strwożony, pytając co się stało. Nikt zrazu odpowiedzieć na to nie umiał — rozbiegano się w popłochu, dążono do królewskiego zamku, kędy widać było na dziedzińcu tłum dworzan i kilku jezdnych, których snadź wyprawiano w drogę. Tu zamieszanie panowało takie, iż pytań ciekawych nie słyszano i żadnej nie dawano odpowiedzi, na twarzach odbijało się przerażenie i niewymowny smutek.

Lud coraz gromadniej skupiał się w okóło zamku... Dzień był skwarny, a miał się już ku schyłkowi. Gaspące słońca promienie odbijały się na złoconych kopułach kościołów i była cisza w powietrzu, mącona jeno od dźwiękiem dzwonów, który rozechodził się

ponurem echem coraz głośniej, coraz żałobniej. Nagle na szczycie zamku ukazała się chorągiew — zaszeleściła w powietrzu i rozwinęła się szeroko, jak odpowiedź niema na pytania. Chorągiew była żałobna!...

I nagle cały tłum ciekawych, przed chwilą tak gwarny, umilkł w niemem przerażeniu. A potem wydobył się jakby z jednej piersi krzyk rozpaczliwy, bolesny:

— Król umarł!...

Rozbiegano się po ulicach z tym okrzykiem na ustach; wołano z łkaniem, że umarł, chociaż nikt jeszcze nie zastanowił się nad znaczeniem tych słów, nikt głębokości ich nie zmierzył. Wołano: Król umarł! i przerażano się tym okrzykiem, przeczuwano bowiem powszechnie, instynktowo, że śmierć ta, to nie tylko kres żywota monarchy, którego myśl przewodnią, następcę prowadzić ma dalej, lecz zarazem kres tej myśli, która urwana nagle, zostawiła naród nad otwartą przepaścią...

— Król umarł!

Na okrzyk ten, dochodzący z ulicy, a łączący się z ponurem brzmieniem dzwonów, obecna w gospodzie szlachta porwała się z miejsc.

— Być że to mogło? — pytali jedni drugich, spoglądając na siebie jak w oblędzie.

A kozak ów ranny, który w omdleniu na ławie spoczywał, zadrżał na całym ciele, powstał jakby mu nagle sił przybyło i głosem stłumionym, który się wraz z jękiem wydobył z piersi:

— Król umarł! — powtórzył — zginęła Rzeczpospolita!

Drzwi od gospody otwarte, dawały wolny przystęp przechodniom. To też gdy jedni wybiegali, chcąc wieść straszliwą sprawdzić, inni wchodzili i zbladłemi usty a głosem drżącym opowiadali, co się w zamku działo.

Panowało tam zamieszanie straszne: istne szaleństwo przerażenia. Gońce z Merecza przybywali ciągle opowiadając, jako Król po trzydniowej chorobie w okrutnych męczarniach Bogu ducha oddał.

Nie było przeto wątpliwości. Okropna prawda stawała coraz wyraźniej przed oczyma obecnych. Już nie pytano: żali to być mogło, jeno, co się stanie teraz, gdy mężna dłoń Władysława skostniała w uścisku śmierci, gdy duch jego potężny, walczący do ostatka z przeszkodami, jakie stawiano jego myślom śmiałym a zbawczym, uleciał ze świata?...

W pierwszym momencie przerażenia, nie zwracano uwagi na rannego kozaka, który stał teraz o stół oparty, z oczyma wzniesionemi ku niebu, wsłuchując się w brzmienie

rozjęczonych dzwonów... W okół niego po chwilowem milczeniu podnosiła się wrzawa. Mówiono już o następcy Władysława i buncie kozackim...

Aż nagle porwał się kozak i zawołał donośnie:

— Zginęła Rzeczpospolita! A wiecie wy co się stało u Żółtych Wód? Żali wiecie, że tam kwiat rycerstwa poległ... W rękach tatarskich lub kozackich najznakomitsi rycerze: Stefan Czarniecki, Sapieha, Szemberg.... Zginęli: Stefan Potocki, Chełmski, Bełchacki, Malicki... Zamordowani najwierniejsi z kozaków: Barabasza, Hajduczeńko, Olesko; pułkownicy Gurski i Wadowski...

A na te słowa cisza zaległa... Słuchano i uszom własnym nie chciano wierzyć. Dziembowski, Tukallo, Woydat rzucili się ku mówiącemu.

— Zkądże ty wracasz? — pytali znowu. — Zkąd owe wieści przynosisz?... — A kozak odpowiadał:

— Widziałem u Żółtych Wód całe pole usiane trupami! Z partyi Stefana Potockiego, wszyscy zginęli lub w niewolę wzięci.... U Kamiennego Zatonu, ziemia nie wypila dotychczas wszystkiej krwi rozlanej... Żółte Wody krwawemi się stały, a u dniprowego brzegu walają się trupy Barabasza i wiernych

kozaków... Nie wielu ich było — ci wymordowani a rejestrowcy zdradzili wszyscy, wraz z Krzyczewskim.... Gdy się zaczęła bitwa, przeszli tłumnie na Chmielnickiego stronę...

— A hetmanowie? — pytano. — A hetman Potocki, co czyni?...

— Potocki — odparł kozak — w szaleństwie rozpaczy, iż syna zgubił, a wraz z nim kwiat polskiego rycerstwa... Kto wie, żali sam żyje jeszcze... szedł ku Korsuniowi z resztą wojska, a przeciw niemu niezliczona éma chłopstwa i ordy tatarskiej...

Gdy to mówił ranny kozak, słuchano słów jego zrazu w przerażeniu niemem, ale wnet obudziły się powątpiewania.

— Kto wie — szeptano, — co zacz jest ten kozak? i żali wierzyć można jego słowom?...

Szepty te snadź doszły do uszu kozaka, bo nagle porwał się; niecierpliwą ręką szarpnął odzież i odkrył pierś, którą przerzynała jedna wielka rana krwią skrzepłą zaciekła, sina, okropna... zdarł chustę z głowy i strumień krwi świeżej trysnął...

— Patrzcie! — rzekł — skoro nie wierzycie! Jam jeden cudem uszedł z tej rzezi... Noc i dzień pędziłem, aby Królowi zdać sprawę i błagać o posiłki... Jam jeden ocalał, aby zwiastować klęskę straszną, której oby oczy moje nie były widziały!... Słyszałem

jęki mordowanych, pijane wycia tatarskiej ordy, wściekłe okrzyki rozpasanego kozactwa... Widziałem rozpacz hetmana, gdy podnosząc ramiona ku niebu, wołał w niemej rozpacz: Żyjeż syn mój ukochany?... i widziałem jak poszedł sam z resztą wojska na stracenie... Nie wierzycie mnie?... Uwierzcie rychło a uzbróćcie się wszyscy... niech idą ku obronie i starce i młodzieńcy i pacholęta, kto jeno broń w ręku udzierży — niech idzie!... bo zanim krew z tych ran, które widzicie, płynąć przestanie... Chmielnicki lub Tatarzyn stanie nad głowami waszemi...

Zamilkł kozak i znużony, omdlały osunął się w ramiona Tukałły i Dziembowskiego, którzy ze współczuciem nań patrzyli, chcąc mu pomoc dać i rany opatrzyć.

Ale on wszelką pomoc odepchnął.

— Dajcie umrzeć! — rzekł — a zwracając się ku panu Tukalle, szepnął:

— Pochowaj mnie waszmość, przy rodzicu... w kurhanie, pod Raginianami...

I upadł na ławę, skrwawioną głowę oparł o mur, i oczy zawarł, odychając chrypliwie. Z rozrąbanej czaszki sączyła się zwolna krew dużemi kroplami, spływała po czole i policzkach, zalewała oczy, że płakać się zdawały krwawo...



A nad tym konającym gońcem straszliwej wieści, stali inni w przerażeniu, nie śmiejąc już słowa przemówić... Cisza zaległa, że słyhać było wyraźnie trudny oddech ranego, jak się dobywał z piersi i milkł w jęku stłumionym.

Dzwony ucichły na moment... Aż nagle zerwał się znowu dzwon katedralny i poważny, donośny, ponury zabrzmiał w powietrzu... Na ulicach zmierzch zapadał... po dniu upalnym niebo okryło się chmurami. — U krańców widnokregu, z ławy czarnych obłoków, dobywał się ogień błyskawic, jakby łuna dalekiej pożogi i dochodziło odległe echo grzmotu, niby działowych wystrzałów. Ponad Wilnem jeszcze był spokój w powietrzu, ale tam, daleko, wrzała już nawałnica sroga, i coraz częściej szedł ztamtąd podmuch gwałtownego wichru, który w rozpędzie porywał w wirze kurzawę z ulic i słupem unosił w powietrze... A chmury coraz były czarniejsze, coraz bliższe i coraz szybciej pędziły po niebie... Dzwon katedralny jęczał ciągle, do modlitwy za zmarłych wzywając...

Przechodnie zaś wśród tego wichru, błyskawic i grzmotów, padali na kolana na ulicach, i z łkaniem, głośno, modlili się o zbawienie dla duszy zmarłego monarchy...

W końcu ucichło wszystko... ludzie rozbiegli się po domach, ulice opustoszały. Z chmur nie chciał padać deszcz ożywczy; powietrze stało się parne, duszące... I nagle błyskawica olbrzymia rozdarła schmurzone niebo z krańca w kraniec; otwarła się jakby otchłań ognista; ogłuszający odgłos gromu rozszedł się echem daleko a w świetle błysków piorunowych, ukazał się na szczycie królewskiego zamku, wielki sztandar czarny, rozwinięty szeroko, który szarpany wichrem powiewał z głuchym szelestem, powtarzając wieść żałobną:

— Król umarł!...

A na wieść tę, która z dźwiękiem dzwoń i szelestem kirowych chorągwi rozbiegła się po kraju, cała Rzeczpospolita zadrgała w przerażeniu i zakołysała się jak okręt, wichrem porwany i ku groźnym niesiony skałom.

— Ze śmiercią Władysława koniec szczęśliwości polskiej! — wołał naród, patrząc w przyszłość chmurną...

KONIEC TOMU TRZECIEGO.













